

JOSEPH
FINDER
POGRZEBANE
TAJEMNICE

I ŻYWCEM ZAKOPANA
DZIEWCZYNA

CZY NICK HELLER
JĄ OCALI?



O książce

Joseph Finder stworzył świetnego bohatera, który będzie mnie dopingował. Pełnych dynamiki powieści z Nickiem Hellerem zdecydowanie nie wolno przegapić!

LEE CHILD

Zemsta, pieniądze czy spisek sięgający najwyższych szczebli władzy?

Siedemnastoletnia Alexa znika po wyjściu z ekskluzywnego klubu. Nikt nic nie wie. Nikt nie zgłasza się z żądaniem okupu. Zrozpaczony ojciec, bostoński inwestor obracający milionami, prosi o pomoc przyjaciela – Nicka Hellera.

Nick, były żołnierz służb specjalnych, potrafi sobie radzić nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Szybko wpada na trop przystojnego mężczyzny, który wyprowadził Alexę z klubu. Ten jest jednak tylko jednym z „podwykonawców”. Za porwaniem stoi znacznie potężniejszy zleceniodawca. A może zleceniodawcy.

Tymczasem dla dziewczyny – uwięzionej w trumnie zakopanej pod ziemią – liczy się każda sekunda.

J O S E P H
FINDER
POGRZEBANE
TAJEMNICE

Z angielskiego przełożył
ROBERT WALIŚ



Wydanie elektroniczne

JOSHEPH FINDER

Pisarz i dziennikarz amerykański specjalizujący się w tematyce międzynarodowej oraz zagadnieniach związanych z funkcjonowaniem służb wywiadowczych. Absolwent Yale i Harvardu. Współpracownik „The New York Timesa”, „The Washington Post”, „The New Republic”. Członek Stowarzyszenia Byłych Oficerów Wywiadu. Autor jedenastu powieści, które odniosły międzynarodowy sukces, m.in. **Klub Moskiewski**, **Godzina zero**, **Człowiek firmy**, **Gra pozorów**, **Zniknięcie** i **Pogrzebane tajemnice**. **Instynkt zabójcy** otrzymał tytuł Najlepszego Thrillera 2006 Roku od Międzynarodowego Stowarzyszenia Autorów Powieści Kryminalnych. Dwie książki – **Pod karą śmierci** i **Paranoja** – zostały sfilmowane.

www.josephfinder.com

*Dedykowane pamięci Jacka McGeorge'a i Kena Kooistry,
którzy chętnie dzielili się wiedzą,
a w końcu zostali moimi przyjaciółmi
A także mojej kochanej kuzynce, Lindzie Gardner Segal
– odeszłaś o wiele za wcześnie*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Bywają tajemnice, które nie dają się wypowiedzieć. Ludzie konają nocami w swych łóżach, ściskając dłonie upiornych spowiedników i patrząc im żałośnie w oczy – konają z rozpaczą w sercu i zdławionym gardłem z powodu tajemnic, które nie znoszą, aby je wyjawiano. Zdarza się, niestety, że sumienie ludzkie dźwiga tak ciężkie brzemie okropności, iż może pozbyć się go tylko w grobie. Stąd to istota wszelkiej zbrodni pozostaje w ukryciu.

Edgar Allan Poe, Człowiek tłumu (1840)
w przekładzie Stanisława Wyrzykowskiego

Jeśli tak wygląda więzienie, pomyślała Alexa Marcus, to spokojnie mogłabym tutaj zamieszkać. Choćby na zawsze.

Razem z Taylor Armstrong, swoją najlepszą przyjaciółką, stały w długiej kolejce przed najmodniejszym barem w Bostonie. Bar nazywał się Pudło i mieścił w luksusowym hotelu, w który przekształcono dawne więzienie. Właściciele pozostawili kraty w oknach oraz olbrzymi okrągły plac otoczony pomostami, chcąc zachować więzienny klimat.

Oglądała się na grupkę chłopców, którzy wyglądali jak członkowie elitarnego studenckiego stowarzyszenia z MIT, za wszelką cenę próbujący sprawić odjazdowe wrażenie: wypuszczone koszule, tanie sportowe marynarki, ufryzowane włosy, toksyczne opary dezodorantu Axe. O drugiej w nocy chwiejnie ruszą do domu, rzygając na moście prowadzącym do Cambridge i narzekając, że wszystkie dziewczyny z Pudła to zdziiry.

– Piękne przydymione powieki – odezwała się Taylor, przyglądając się makijażowi oczu Alexy. – Widzisz? Bardzo ci pasują.

– Malowałam je chyba godzinę – odrzekła Alexa. Sztuczne rzęsy, czarna żelowa kredka do oczu i cień do powiek w kolorze węgla: wyglądała jak dziwka, którą pobili alfons.

– Mnie to zajmuje trzydzieści sekund – powiedziała Taylor. – Tylko popatrz na siebie. Teraz jesteś superlaską, a nie studentką z przedmieścia.

– Wcale nie wyglądam jak dziewczyna z przedmieścia – zaprotestowała Alexa. Zerknęła na dwóch chudych chłopców o europejskim wyglądzie, którzy palili i rozmawiali przez komórki. Niezłe ciacha, ale może to geje? – Tata mieszka w Manchesterze. – Prawie powiedziała „Mieszkam w Manchesterze”, ale już nie uważała olbrzymiej rudery, gdzie dorastała, za swój dom, po tym, jak jej tata ożenił się z Belindą, stewardesą, której zależało tylko na jego kasie. Wyprowadziła się z domu niemal cztery lata temu i wyjechała do Exeter.

– Niech ci będzie – odpowiedziała Taylor. Alexa zwróciła uwagę na ton jej głosu. Taylor bez przerwy przypominała wszystkim, że jest miastowa. Dorastała w rezydencji na Beacon Hill, przy Louisburg Square – jej tata był amerykańskim senatorem – więc

uznawała się za fajniejszą i cwańszą od innych. Poza tym ostatnie trzy lata spędziła na odwyku w Akademii Marston-Lee, surowej „terapeutycznej szkole z internatem” w Kolorado, gdzie senator ją posłał, żeby wyleczyła się z nałogu.

Powodzenia.

Za każdym razem, gdy Taylor wracała do Bostonu podczas ferii, wyglądała jak inna gwiazdka porno. W zeszłym roku miała grzywkę i włosy ufarbowane na czarno. Teraz nosiła obcisłe czarne legginsy, za dużą przezroczystą szarą bluzkę, czarny koronkowy biustonosz i trzewiki nabijane ćwiekami. Alexa, która nie była tak rozrywkowa, miała na sobie ciemne wąskie dżinsy oraz jasnobrązową skórzaną kurtkę od Tory Burch, zarzuconą na podkoszulek bez rękawów. Może nie była aż tak modna jak Taylor, ale na pewno nie wyglądała na dziewczynę z przedmieścia.

– O Boże – mruknęła Alexa, gdy kolejka zbliżyła się do bramkarza.

– Wyluzuj, Lucia – rzuciła Taylor.

– Lucia...? – zaczęła Alexa, po czym przypomniała sobie, że takie imię widnieje na jej podrobionym dokumencie tożsamości. Tak naprawdę dokument był autentyczny, tylko nie należał do niej – miała siedemnaście lat, a Taylor właśnie skończyła osiemnaście, tymczasem alkohol można było kupić dopiero od dwudziestego pierwszego roku życia, co stanowiło idiotyzm. Taylor kupiła dokument Alexy od starszej dziewczyny.

– Patrz bramkarzowi w oczy i zachowuj się swobodnie – poradziła. – Wszystko będzie dobrze.

...

Taylor oczywiście miała rację.

Bramkarz nie poprosił ich o dokumenty. Kiedy weszły do hotelowego holu, Alexa podążyła za Taylor do staroświeckiej windy wyposażonej w licznik pięter ze strzałką. Drzwi windy się otworzyły, a znajdująca się za nimi żelazna krata odsunęła się i złożyła jak harmonijka. Taylor wsiadła do kabiny z kilkoma innymi osobami. Alexa się zawahała, wślizgnęła do środka, zadrżała – Boże, nienawidziła wind! – a gdy krata się zatrzaśniwała, wykrztusiła: – Pójdę schodami.

Spotkały się na czwartym piętrze, gdzie zdołały znaleźć dwa duże, wygodne fotele. Kelnerka w wiązanej bluzce, tak skąpej, że widać było wytatuowany pod pachą kwiatek, przyjęła od nich zamówienie: dwie wódki Ketel One z wodą sodową.

– Spójrz na te dziewczyny na barze – zawołała Taylor. Modelki ubrane w czarne skórzane szorty obnażające tyłek i czarne skórzane kamizelki paradowały po kontuarze, jakby to był wybieg.

Jeden ze studentów MIT próbował poderwać Taylor i Alexę, ale Taylor go spławiła.

– Jasne, zadzwonię do ciebie... kiedy będę potrzebowała korków z rachunku różniczkowego.

Alexa poczuła na sobie spojrzenie koleżanki.

– Co się dzieje, dzieciaku? Odkąd przyszliśmy, jesteś zdołowana.

– Nic mi nie jest.

– Może przydałaby ci się zmiana leków?

Alexa pokręciła głową.

– Po prostu mój tata ostatnio zachowuje się... czy ja wiem... dziwacznie.

– To nic nowego.

– Ale teraz wpadł w prawdziwą paranoję. Zamontował w całym domu kamery.

– No wiesz, w końcu jest najbogatszym gościem w Bostonie. Albo jednym z najbogatszych...

– Wiem, wiem – przerwała jej Alexa, nie chcąc tego słuchać. Całe życie musiała się zmagać z piętnem bogatego dzieciaka: udawała, że pieniądze nie są ważne, żeby jej znajomi nie czuli się zazdrośni. – Ale to nie wynika z jego normalnego zamiłowania do kontroli. Zupełnie jakby się bał, że coś się wydarzy.

– Spróbuj pomieszkać z pieprzonym senatorem.

Taylor najwyraźniej zaczęła się czuć nieswojo. Przewróciła oczami, lekceważąco pokręciła głową i rozejrzała się po coraz bardziej zatłoczonym barze.

– Muszę się jeszcze napić – powiedziała. Zawołała kelnerkę i zamówiła martini z zalewą z oliwek. – A ty? – spytała Alexę.

– Nie, dziękuję. – Tak naprawdę Alexa nie znosiła wysokoprocentowych trunków, zwłaszcza wódki. A najgorszy był gin. Jak ktokolwiek może z własnej woli pić to paskudztwo? Równie dobrze można by żłopać terpentynę.

iPhone Alexy zawibrował, więc go wyjęła i przeczytała SMS-a. Koleżanka pisała z imprezki w Allston, że jest bosko i Alexa powinna przyjechać. Odpisała, że nie może. Nagle coś sobie przypomniała.

– O mój Boże, pokazywałam ci to? – Zaczęła przerzucać kolejne aplikacje, aż znalazła tę, którą niedawno ściągnęła. Uruchomiła ją i przyłożyła iPhone'a do ust. Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał piskliwie i dziwacznie, jak u Chipa i Dale'a. – Hej, mała, chcesz wpaść do mojego akademika? Zrzucisz ciuszki i nauczymy się algebry.

Taylor aż pisnęła z radości.

– Co to jest? – Próbowwała chwycić telefon, ale Alexa cofnęła rękę, a następnie przesunęła palcem po ekranie i nagle zaczęła mówić niepokojącym głosem Golluma z *Władcy Pierścieni*.

– Mój ssskarb!

Taylor wrzasnęła i obie zaczęły się śmiać tak mocno, aż łzy napłynęły im do oczu.

– Widzisz, od razu czujesz się lepiej, prawda? – odezwała się Taylor.

– Mogę do was dołączyć? – spytał jakiś męski głos.

Alexa podniosła wzrok i zobaczyła faceta stojącego przy ich fotelach. To nie był jeden ze studentów. Zdecydowanie nie. Miał ciemne włosy i brązowe oczy, jednodniowy zarost i był słodziutki. Czarna koszula w białe prążki, wąskie biodra, szerokie ramiona.

Alexa się uśmiechnęła, zaczerwieniła – wbrew sobie – i popatrzyła na koleżankę.

– Znamy się? – zapytała Taylor.

– Jeszcze nie – odrzekł facet, posyłając im oszałamiający uśmiech. Zbliżał się do trzydziestki albo niedawno ją przekroczył. Trudno było stwierdzić. – Znajomi mnie zostawili. Pojechali na imprezę do South End, na którą nie mam ochoty się wybrać. – Mówił z hiszpańskim akcentem.

– Mamy tylko dwa fotele – oznajmiła Taylor.

Powiedział coś do pary siedzącej obok i po chwili przysunął wolny fotel. Podał rękę Taylor, a następnie Aleksie.

– Mam na imię Lorenzo.

W łazience stało mydło w płynie Molton Brown (odmiana Thai Vert) i leżały prawdziwe ręczniki, poskładane w idealne kwadraty. Alexa nałożyła nową warstwę błyszczyku do ust, podczas gdy Taylor poprawiała makijaż oczu.

– On totalnie na ciebie leci – stwierdziła Taylor.

– O czym ty mówisz?

– Nie udawaj, że tego nie widzisz. – Taylor obrysowywała oczy ołówkiem do powiek.

– Jak myślisz, ile ma lat?

– Nie wiem, trzydzieści parę?

– Trzydzieści parę? Myślałam, że najwyżej trzydzieści. Sądziś, że wie, że mamy dopiero... – Urwała, gdy do łazienki weszły kolejne dwie dziewczyny.

– Nie krępuj się – odparła Taylor. – Wszystko jest w porządku. Możesz mi zaufać.

...

Kiedy wreszcie udało im się przepchnąć z powrotem do swoich foteli, Alexa, którą bolały uszy od obłędnie głośno puszcanych kawałków Black Eyed Peas, miała nadzieję, że Lorenza już nie będzie.

Jednak wciąż czekał, siedząc niedbale w fotelu i sącząc wódkę. Alexa sięgnęła po swojego drinka – Peartini, które polecił jej Lorenzo – i z zaskoczeniem stwierdziła, że wypła już połowę. „Rany, naprawdę jestem pijana”.

Lorenzo posłał jej olśniewający uśmiech. Zauważyła, że jego oczy nie są zwyczajnie brązowe, ale jasnobrązowe. Jak kwarcowe tygrysie oko, pomyślała. Miała obrózkę wysadzaną takimi kamieniami, którą mama podarowała jej dwa miesiące przed śmiercią. Nie potrafiła się zmusić, żeby ją założyć, ale uwielbiała na nią patrzeć.

– Wybaczcie, dzieciaki, ale naprawdę muszę już lecieć – odezwała się Taylor.

– Taylor! – oburzyła się Alexa.

– Dlaczego? – spytał Lorenzo. – Proszę, zostań.

– Nie mogę. Tata na mnie czeka. – Z konspiracyjnym błyskiem w oku Taylor pomachała im na pożegnanie i zniknęła w tłumie.

Lorenzo przesiadł się na jej fotel.

– Trudno. Opowiedz mi coś o sobie, Lucio. Dlaczego nigdy wcześniej cię tutaj nie widziałem?

Przez chwilę nie wiedziała, kim jest „Lucia”.

...

Teraz z pewnością była pijana.

Miała wrażenie, że unosi się ponad chmurami, śpiewając razem z Rihanną, uśmiechnięta jak idiotka, podczas gdy Lorenzo coś do niej mówił. Pomieszczenie falowało. Z coraz większym trudem oddzielała jego głos od kakofonii tysiąca rozmów, ich strzępków, kolejnych warstw, które nie miały najmniejszego sensu. Zaschło jej w ustach. Sięgnęła po swoją szklankę z San Pellegrino i ją przewróciła. Uśmiechnęła się wstydliwie. Z rozdziawionymi ustami popatrzyła na rozlaną wodę, zaskoczona, że szklanka się nie rozbiła, i głupkowato się uśmiechnęła, a Lorenzo odwzajemnił się swoim efektownym uśmiechem. Miał łagodne i seksowne spojrzenie. Położył serwetkę na kałuży, żeby ją wysuszyć.

– Chyba powinnam wracać do domu – powiedziała Alexa.

– Odwiozę cię.

Rzucił kilka dwudziestodolarówek na blat, wstał i sięgnął po dłoń dziewczyny. Spróbowała wstać, ale miała wrażenie, że zamiast kolan ma zawiasy. Ponownie wziął ją za rękę, objął w pasie i podniósł.

– Mój samochód...

– Nie powinnaś prowadzić – odparł. – Odwiozę cię do domu. Samochód odbierzesz jutro.

– Ale...

– To żaden problem. Chodź, Lucio. – Jego silne ręce poprowadziły ją poprzez tłum. Ludzie się jej przyglądali i uśmiechali kpiąco, a ich śmiech odbijał się echem. Światła migotały i rozplływały się w tęczę, jakby byli pod wodą i spoglądali na niebo. Wszystko znajdowało się tak daleko.

...

Poczuła na twarzy przyjemny chłód nocnego powietrza.

Gdzieś obok rozbrzmiewały niewyraźne odgłosy samochodów i trąbienie klaksonów.

Leżała na tylnym siedzeniu nieznanego samochodu, z policzkiem przyciśniętym do zimnej i twardej popękanej skóry. W aucie cuchnęło starym dymem papierosowym i piwem. Kilka butelek po piwie przetaczało się po podłodze. To na pewno był jaguar, ale stary, śmierdzący i brudny w środku. Nie spodziewała się, że facet pokroju Lorenza jeździ czymś takim.

– Wiesz, dokąd jechać? – spróbowała spytać, ale jej słowa zabrzmiały niewyraźnie.

Było jej niedobrze i miała nadzieję, że nie zwymiotuje w jaguarze Lorenza. To by było paskudne.

Zastanawiała się, skąd on zna drogę.

...

Usłyszała, że drzwi samochodu otwierają się i zamykają. Silnik nie pracował. Dlaczego tak szybko się zatrzymali?

Kiedy otworzyła oczy, zauważyła, że otacza ich ciemność. Żadnych latarni. Żadnych odgłosów ruchu ulicznego. W ociężałym mózgu poczuła lekkie ukłucie niepokoju. Czy ją tutaj zostawi? Gdzie oni są? Co on robi?

Ktoś szedł w stronę jaguara. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć twarz przybysza. Alexa widziała tylko smukłą, potężną sylwetkę.

Drzwi się otworzyły, a rozbłysk światła wydobył z mroku oblicze mężczyzny. Ogolona głowa, przeszywające niebieskie oczy, ostro zarysowana, nieogolona szczęka. Wyglądał na przystojnego, dopóki się nie uśmiechnął i nie pokazał brązowych szurzych zębów.

– Proszę, chodź ze mną – powiedział.

...

Ocknęła się z tyłu dużego nowego SUV-a. Cadillaca escalade albo lincolna navigatora. Było bardzo ciepło, niemal gorąco. Pachniało tanim odświeżaczem powietrza.

Popatrzyła na tył głowy kierowcy. Miał ogolone czarne włosy. Na jego karku widniał dziwny tatuaż wypełzający spod koszulki. W pierwszej chwili pomyślała, że to wściekle oczy. A może jakiś ptak?

– Co się stało z Lorenzem? – próbowała spytać, ale nie była pewna, jakie słowa wydobyły się z jej ust.

– Połóż się wygodnie i odpoczywaj, Alexo – odrzekł mężczyzna. Również mówił z akcentem, ale bardziej szorstkim i gardłowym.

Dobry pomysł. Poczuła, że odpływa w sen, ale nagle jej serce mocniej zabiło, jakby jej ciało zrozumiało to szybciej niż umysł.

On zna jej prawdziwie imię.

– Po prostu zawsze lubię wiedzieć, z kim robię interesy – oznajmił kurdupel.

Pokiwałem głową, uśmiechnąłem się.

Co za palant.

Gdyby współczesna medycyna uznała niski wzrost za poważne schorzenie, we wszystkich podręcznikach znalazłoby się zdjęcie Philipa Curtisa obok podobizn Mussoliniego, Stalina, Atylli Huna oraz, oczywiście, patrona wszystkich niskich tyranów Napoleona Bonapartego. Owszem, mam ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale znam także wysokich facetów cierpiących na syndrom Napoleona.

Philip Curtis, jak się przedstawił, był taki drobny, że miałem wrażenie, iż mógłbym podnieść go jedną ręką i cisnąć przez okno gabinetu, na co miałem coraz większą ochotę. Miał niecały metr sześćdziesiąt, lśniącą łysinę i nosił olbrzymie okulary w czarnych oprawkach. Zapewne uważał, że dzięki nim prezentuje się bardziej okazale, podczas gdy w rzeczywistości upodabniały go do wkurzonego żółwia, który zgubił skorupę.

Klasyczny zegarek Patek Philippe na jego nadgarstku miał co najmniej sześćdziesiąt lat. To bardzo znaczące. Curtis nie nosił innych efektownych ozdób, a zegarek wyglądał na odziedziczony. Zapewne po ojcu.

– Sprawdziłem pana. – Znacząco uniósł brew. – Przeprowadziłem wyczerpującą analizę. Muszę przyznać, że nie zostawia pan wielu śladów.

– Podobno.

– Nie ma pan strony internetowej.

– Nie jest mi potrzebna.

– Nie ma pan konta na Facebooku.

– Mój nastoletni bratanek je ma. Czy to się liczy?

– Nie znalazłem prawie niczego na pana temat w internecie. Dlatego popytałem ludzi. Wygląda na to, że ma pan nietypową historię. Chodził pan do Yale, ale nie skończył studiów. Odbył pan dwa letnie staże w McKinsey, tak?

– Byłem młody. Nie wiedziałem, co dla mnie dobre.

Uśmiechał się jak gad. Ale niewielki. Na przykład gekon.

– Sam tam pracowałem.

– A już zaczynałem pana szanować – powiedziałem.

– Tylko jednego nie rozumiem. Zrezygnował pan z nauki w Yale, żeby wstąpić do wojska. Ale po co? Faceci tacy jak my tego nie robią.

– Nie uczą się w Yale?

Pokręcił głową z rozdrażnieniem.

– Wydawało mi się, że nazwisko „Heller” brzmi znajomo. Jest pan synem Victora Hellera, czyż nie?

Wzruszyłem ramionami, jakbym chciał powiedzieć: „Ma mnie pan”.

– Pański ojciec był prawdziwą legendą.

– Jest.

– Słucham?

– Jest – powtórzyłem. – Wciąż żyje. Odsiadywa dwadzieścia kilka lat w więzieniu.

– No tak. Na pewno go wrobili, prawda?

– Tak twierdzi. – Mój ojciec, Victor Heller, tak zwany Mroczny Książę Wall Street, właśnie odsiadywał dwadzieścia osiem lat za oszustwa finansowe. „Legenda” stanowiła wyjątkowo uprzejme określenie jego osoby.

– Zawsze podziwiałem pańskiego tatę. Był prawdziwym pionierem. Ale założę się, że niektórzy potencjalni klienci mogą mieć opory przed skorzystaniem z pańskich usług, jeśli dowiedzą się, że jest pan synem Victora Hellera.

– Tak pan uważa?

– Wie pan, co mam na myśli, całe to... – Zawahał się, ale po chwili zapewne stwierdził, że nie musi kończyć. Uznał, że przekazał to, co zamierzał.

Jednak postanowiłem tak łatwo mu nie odpuścić.

– Ma pan na myśli, że jabłko pada niedaleko od jabłoni, prawda? Jaki ojciec, taki syn?

– Tak, w pewnym sensie. Niektórym może to przeszkadzać, ale nie mnie. Nic z tych rzeczy. Według mnie to oznacza, że nie będzie pan nadmiernie drobiazgowy.

– Drobiazgowy?

– No wie pan, w kłopotliwych kwestiach prawnych.

– A, już rozumiem. – Zorientowałem się, że od dłuższej chwili wyglądam przez okno. Ostatnio często to robiłem. Podobał mi się widok. Widziałem stąd High Street prowadzącą aż do oceanu, gdzie potężny marmurowy łuk we włoskim stylu obramowywał wybrzeże przy Rowes Wharf.

Przeprowadziłem się do Bostonu z Waszyngtonu kilka miesięcy temu i udało mi się znaleźć lokal w starym ceglanym budynku w dzielnicy finansowej, w odrestaurowanej dziewiętnastowiecznej fabryce ołowianych rur. Z zewnątrz budynek wyglądał jak

wiktoriańskie schronisko dla ubogich rodem z Dickensa, jednak wewnątrz, pośród ścian z gołej cegły, wysokich łukowatych okien, odsłoniętych przewodów i otwartych, fabrycznych przestrzeni, nie dało się zapomnieć, że w tym miejscu kiedyś coś wytwarzano. Podobał mi się ten steampunkowy klimat. Oprócz mojej agencji w budynku mieściły się siedziby firm konsultingowych, biuro rachunkowe oraz kilka biur nieruchomości. Na pierwszym piętrze niegdyś znajdowała się restauracja, która, zanim splajtowała, proponowała „egzotyczne sushi i tapas”, a także salon z orientalnymi dywanami.

Mój gabinet wcześniej należał do jakiejś ambitnej spółki internetowej; niczego nie tworzyła, jak również nie przynosiła zysków. Upadli tak nagle, że załapałem się na bardzo korzystną cenę. Błyskawicznie się wynieśli, pozostawiając eleganckie metalowo-szklane żyrandole, a nawet kilka bardzo drogich foteli biurowych.

– Więc twierdzi pan, że któryś z członków zarządu oczernia pańską spółkę – powiedziałem, powoli się obracając – i chciałby pan, żebyśmy... jak pan to ujął...? „zatkali przeciek”. Zgadza się?

– Otóż to.

Obdarzyłem go swoim najefektowniejszym konspiracyjnym uśmiechem.

– Czyli chce pan, żebyśmy założyli podsłuchy na ich telefonach i zdobyli dostęp do ich skrzynek e-mailowych.

– Hej, to pan się na tym najlepiej zna – odrzekł, po lizusowsku mrugając okiem. – Nie mam zamiaru pana pouczać.

– Lepiej nie znać szczegółów, prawda? Nie zgłębiać naszych sztuczek.

Dwa razy energicznie skinął głową.

– Żebym w razie czego mógł się wszystkiego wyprzeć. Rozumie pan?

– Oczywiście. Zdaje pan sobie sprawę, że to, o co mnie pan prosi, jest nielegalne?

– Obaj jesteśmy dużymi chłopcami.

Musiałem przygryźć wargę. Jeden z nas, owszem.

Wtedy zadzwonił mój telefon – wewnętrzna linia – a ja podniosłem słuchawkę.

– Słucham?

– A więc miałaś rację – rozległ się niewyraźny głos Dorothy Duval, mojej specjalistki od analizy danych elektronicznych. – Facet nie nazywa się Philip Curtis.

– Oczywiście – odpowiedziałem.

– Nie wymądrzaj się.

– Nic z tych rzeczy. To świetna okazja do nauki. Powinnaś już wiedzieć, że nie warto kwestionować tego, co mówię.

– Jasne, jasne. Cóż, jestem w kropce. Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, złap mnie na komunikatorze, a ja to sprawdzę.

– Dzięki – rzekłem i odłożyłem słuchawkę.

Mężczyzna, który nie był Philipem Curtisem, mówił z wyraźnym chicagowskim akcentem. Niezależnie od tego, gdzie teraz mieszkał, wychował się w Chicago. Miał bogatego ojca: świadczył o tym odziedziczony zegarek Patek Philippe.

Do tego dochodziła czarna etykieta bagażowa na jego walizce od Louisa Vuittona. Mała karta pokładowa. Wynajmował prywatny odrzutowiec na określoną liczbę godzin w roku. Co oznaczało, że chciałby mieć prywatny odrzutowiec, ale nie było go na to stać.

Przypomniał mi się artykuł, który widziałem na BizWire, dotyczący kłopotów pewnej rodzinnej firmy z Chicago.

– Przepraszam jeszcze na chwilę – powiedziałem. – Muszę ugasić pożar. – Następnie wysłałem wiadomość do Dorothy za pomocą komunikatora.

Odpowiedź nadeszła po niecałej minucie: artykuł z „Wall Street Journal”, który Dorothy ściągnęła z ProQuest. Przejrzałem go i już wiedziałem, że przecucie mnie nie myliło. Przypomniałem sobie, że niedawno słyszałem tę obrzydliwą historię.

Rozparłem się w fotelu.

– Powiem panu, na czym polega problem – rzekłem.

– Problem?

– Nie interesuje mnie pańska firma.

Oszołomiony, obrócił się, żeby na mnie popatrzeć.

– Co pan powiedział?

– Jeśli pan naprawdę odrobił pracę domową, to pan wie, że wykonuję zlecenia wywiadowcze dla prywatnych klientów. Nie jestem detektywem, nie zakładam podsłuchów w telefonach i nie zajmuję się rozwodami. No i za cholerę nie prowadzę terapii rodzinnej.

– Rodzinnej...?

– Tutaj wyraźnie chodzi o sprzeczkę w rodzinie, Sam.

Na jego policzkach pojawiły się niewielkie okrągłe różowe plamki.

– Mówiłem, że mam na imię...

– Niech pan sobie daruje – przerwałem mu ze znużeniem. – To nie jest kwestia zatkania przecieku. Pańskie rodzinne kłopoty nie są tajemnicą. Miał pan przejąć firmę tatusia, ale dowiedział się, że rozmawia pan z inwestorami o wykupieniu Richtera.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Jego ojciec, Jacob Richter, zaczynał od prowadzenia parkingu w Chicago, by stworzyć największą sieć luksusowych hoteli na świecie. Ponad sto pięciogwiazdkowych hoteli w czterdziestu krajach plus dwie linie rejsowe, centra handlowe, biurowce i od cholery nieruchomości. Wartość spółki szacowano na dziesięć miliardów dolarów.

– Tak więc tatuś się wkurzył – ciągnąłem – i odstawił pana na boczny tor, a pańską starszą siostrę uczynił prezesem zarządu i prawowitą spadkobierczynią. Tego się pan nie spodziewał, co? Myślał pan, że jest pewniakiem. Ale nie zamierza pan puścić tego płazem. Zna pan wszystkie brudne tajemnice tatusia, więc postanowił pan go nagrać, gdy załatwia podejrzone interesy w branży nieruchomości, proponuje udziały w nieuczciwych zyskach i łapówki, a wtedy, dzięki szantażowi, będzie pan mógł odzyskać dawną pozycję. To się chyba nazywa brzydkim zwycięstwem, prawda?

Twarz Sama Richtera zrobiła się ciemnoczerwona, niemal fioletowa. Dwie wypukłe żyły na czubku jego głowy pulsowały tak mocno, jakby za chwilę miał dostać zawału na środku mojego gabinetu.

– Z kim pan rozmawiał? – spytał ostro.

– Z nikim. Po prostu dokładnie pana sprawdziłem. Zawsze lubię wiedzieć, z kim robię interesy. No i bardzo nie lubię, gdy się mnie okłamuje.

Richter zerwał się na nogi i pchnął fotel – jeden z drogich foteli biurowych, które zostawili ludzie ze spółki internetowej – a ten runął na podłogę, pozostawiając wyraźne zagłębienie w starym drewnie.

– Jak na faceta, którego ojciec siedzi w więzieniu za oszustwo, zgrywa pan strasznie porządnego – rzucił, kiedy był już przy drzwiach.

– Ma pan rację – przyznałem. – Przepraszam, że zmarnowałem panu czas. Znajdzie pan wyjście? – Za nim stała Dorothy z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Victor Heller był... największą szumowiną na świecie! – wybuchnął Richter.

– Jest – poprawiłem go.

– Nie zakładasz podsłuchów w telefonach – powiedziała Dorothy, wchodząc do mojego gabinetu z założonymi rękami.

Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami.

– Zawsze zapominam, że wszystko słyszysz. Pewnego dnia wpadnę przez to w tarapaty. – Uzgodniliśmy, że będzie oglądać wszystkie moje spotkania z klientami przez kamerkę internetową wbudowaną w olbrzymi monitor stojący na moim biurku.

– Nie zakładasz podsłuchów w telefonach – powtórzyła. Zacisnęła usta w kpiącym uśmiechu. – Mmhmm.

– To ogólna zasada – odparłem.

– Daj spokój. Po prostu płacisz za to innym.

– Właśnie.

– Co to miało być, do diabła? – rzuciła, posyłając mi wściekłe spojrzenie.

Dorothy i ja pracowaliśmy razem w Stoddard Associates w Waszyngtonie, zanim przeprowadziłem się do Bostonu i uprowadziłem ją ze sobą. Wcale nie była geniuszem komputerowym – z pewnością nie brakowało osób dysponujących większą wiedzą – ale jak nikt inny znała się na analizie materiałów cyfrowych. Przez dziewięć lat pracowała w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, a tam nie zatrudnia się byle kogo. Choć nienawidziła dla nich pracować, to znakomicie ją wyszkolili. Co ważniejsze, nikt nie był tak uparty jak Dorothy. Nigdy się nie poddawała. Nie było też nikogo bardziej lojalnego.

Była przebojowa, bezceremonialna i nie lubiła pracy zespołowej, przez co nie sprawdziła się w ABN, ale była to jedna z rzeczy, które mi się w niej podobały. Zawsze mówiła prosto z mostu. Uwielbiała mi dogadywać i wytykać błędy, lecz to również przypadło mi do gustu. Lepiej było z nią nie zadzierać.

– Słyszałaś, co powiedziałem. Nie lubię kłamców.

– Ogarnij się. Potrzebujemy tej roboty, a ty odrzucasz więcej zleceń, niż przyjmujesz.

– Doceniam twoją troskę, ale nie musisz się przejmować płynnością finansową firmy. Twoja pensja nie jest zagrożona.

– Dopóki Heller Associates nie splajtuje, ponieważ koszty cię przytłoczą, a nie będziesz miał żadnych dochodów. Nie zamierzam wracać z podkulonym ogonem do Jaya Stoddarda ani przeprowadzać się z powrotem do Waszyngtonu.

– Nie przejmuj się tym.

Z Dorothy łączyły nas bliskie, wręcz intymne więzi zawodowe, ale niemal nic o niej nie wiedziałem. Nigdy nie opowiadała o swoim życiu uczuciowym, a ja powstrzymywałem się od pytań. Nawet nie byłem pewien, czy woli mężczyzn, czy kobiety. Każdy ma prawo do prywatności.

Była oszałamiająco atrakcyjną kobietą o ciemnobrązowej skórze, dużych i lśniących brązowych oczach oraz promiennym uśmiechu. Zawsze elegancko się ubierała, chociaż rzadko spotykała się z klientami. Dzisiaj miała na sobie połyskującą liliową jedwabną bluzkę, wąską czarną spódniczkę oraz buty na wysokim obcasie z paskami. Nosila bardzo krótkie włosy – prawdę mówiąc, była niemal łysa. U większości kobiet mogłoby to wyglądać dziwacznie, ale jej pasowało. Z płatków uszu zwisały turkusowe miedziano-ceramiczne krążki wielkości frisbee.

Dorothy stanowiła zbiór sprzeczności, co również mi się w niej podobało. Regularnie chodziła do kościoła – jeszcze zanim znalazła mieszkanie, wstąpiła do Afrykańskiego Metodystycznego Episkopalnego Kościoła Syjonistycznego w South End – ale nie była nawiedzona. Wręcz przeciwnie: podchodziła do swojej wiary z niemal bluźnierczym poczuciem humoru. Na ścianie swojego boksu umieściła plaketkę z hasłem „JEZUS CIĘ KOCHA – WSZYSCY INNI MAJĄ CIĘ ZA DUPKA”, a tuż obok napis „KOCHAM DZIDZIUSIA MARYI”.

– Myślę, że powinniśmy organizować regularne zebrania, tak samo jak u Stoddarda – stwierdziła. – Chciałabym porozmawiać z tobą o sprawach Entronics i Garrisona.

– Najpierw muszę się napić kawy – odparłem. – Ale nie tej lury, którą parzy Jillian.

Jillian Alperin, nasza recepcjonistka i sekretarka, była ścisłą weganką. (Weganizm to najwyraźniej paramilitarne skrzydło wegetarianizmu). Miała liczne kolczyki, także w wardze, oraz kilka tatuaży. Jeden, który znajdował się na prawym ramieniu, przedstawiał motyla. Pewnego dnia dostrzegłem kolejny w dole pleców.

Była także fanatyczką ekologii; zakazała używania w biurze styropianowych i papierowych kubków. Wszystko musiało być organiczne, etyczne, wiejskiego chowu, sprawiedliwe i wolne od wyzysku. Do biurowego automatu zamówiła kawę z organicznych ziaren, które w cieniu drzew uprawiała niewielka spółdzielnia rdzennych rolników z Chiapas w Meksyku. Napój kosztował tyle co boliwijska kokaina i zapewne nie skusiłby się na niego nawet więzień w celi śmierci.

– Ale marudzisz – orzekła Dorothy. – Po drugiej stronie ulicy jest Starbucks.

– A nieco dalej Dunkin' Donuts – odpowiedziałem.

– Mam nadzieję, że to nie sugestia. Nie chodzę po kawę.

– Nie jestem aż taki głupi – rzekłem, wstając.

Zadzwoił telefon: przytłumiony wewnętrzny dzwonek. W głośniku interkomu rozległ się głos Jillian.

– Marshall Marcus do pana.

– Ten Marshall Marcus? – spytała Dorothy. – Najbogatszy facet w Bostonie?

Pokiwałem głową.

– Jeśli mu odmówisz, Nick, osobiście wychłoszczę cię po tyłku.

– Wątpię, żeby miał dla mnie zlecenie – odparłem. – Pewnie to osobista sprawa. –

Podniosłem słuchawkę. – Marshall. Kopę lat.

– Nick, potrzebuję twojej pomocy. Alexa zniknęła.

Marshall Marcus mieszkał w North Shore, mniej więcej trzy kwadranse samochodem od Bostonu, w nieprawdopodobnie urokliwym miasteczku Manchester-by-the-Sea, będącym kiedyś letnim kurortem dla bogatych bostończyków. Miał olbrzymi, piękny dom, rozległą rezydencję z kamienia krytą gontem, który stał na wzgórzu ponad postrzępionym wybrzeżem. Dom otaczała weranda, a wewnątrz mieściło się więcej pokoi, niż można było zliczyć. Niektóre z nich zapewne widywała tylko pokojówka. Marcus mieszkał tam ze swoją czwartą żoną Belindą. Jego córka Alexa, jedynaczka, uczyła się w szkole z internatem, a wkrótce miała pójść do college'u i – z tego, co kiedyś się od niej dowiedziałem – nie zamierzała długo pozostać w rodzinnym domu.

Gdy skręcało się z głównej drogi, dom Marcusa ukazywał się w oddali, jednak dotarcie do niego zajmowało kolejne dziesięć minut jazdy krętą wąską przybrzeżną drogą prowadzącą obok ogromnych „domków letniskowych” oraz skromnych domów wybudowanych w ciągu ostatniego półwiecza na niewielkich działkach wyprzedawanych przez niegdyś zamożnych patrycjuszy, którzy postradali swoje fortuny. Kilka z dawnych okazałych rezydencji pozostało w rękach zubożałej arystokracji, potomków prawdziwych bostończyków, jednak większość siedzib podupadła. Wiele dużych domów przejęli bossowie ze świata funduszy hedgingowych oraz tytani branży technologicznej.

Marshall Marcus był najbogatszym z nuworyszów, chociaż nie był pośród nich najmłodszy. Wychował się w biedzie przy Blue Hill Avenue w Mattapanie, w starej enklawie żydowskiej klasy pracującej. Jego wuj był właścicielem kasyna na zachodzie, a Marshall jako dzieciak nauczył się grać w blackjaka. Szybko zrozumiał, że kasyno zawsze ma przewagę, i zaczął obmyślać rozmaite systemy liczenia kart. Uzyskał pełne stypendium w MIT, gdzie nauczył się programować w Fortranie na starych IBM-ach 704, wielkich jak domy. Wymyślił sprytny sposób na wykorzystanie Wielkiego Żelastwa, jak nazywali wczesne komputery, do zwiększenia swoich szans przy stole do blackjaka.

Według legendy pewnego weekendu w Reno wygrał dziesięć tysięcy dolarów. Wkrótce dotarło do niego, że jeśli zastosuje ten sam system na rynkach finansowych,

może zgarnąć naprawdę duże pieniądze. Dlatego otworzył konto maklerskie, wykorzystując pieniądze przeznaczone na chesne, i do końca studiów został milionerem, dzięki opracowaniu niezwykle złożonej formuły inwestycyjnej opartej na arbitrażu rynkowym i pochodnych. Kiedy dopracował ten algorytm, założył fundusz hedgingowy i został wielokrotnym miliarderm.

Moja matka, która przez wiele lat dla niego pracowała, pewnego razu próbowała mi to wyjaśnić, ale nic nie zrozumiałem. Nigdy nie byłem dobry z matematyki. Jedyne, co musiałem wiedzieć o Marshallu Marcusie, to że był dobry dla mojej matki w ciężkich czasach.

Gdy przeprowadziliśmy się do Bostonu po zniknięciu mojego ojca – tata dostał cynk, że zostanie aresztowany, i wolał uciec – nie mieliśmy pieniędzy ani domu. Musieliśmy zamieszkać z moją babką, matką matki, w Malden, na przedmieściach. Mama, rozpaczliwie starając się nas utrzymać, zatrudniła się jako sekretarka u Marshalla Marcusa, który był znajomym mojego ojca. Ostatecznie została osobistą asystentką Marshalla. Uwielbiała dla niego pracować, a on zawsze dobrze ją traktował. Dużo jej płacił. Nawet gdy odeszła na emeryturę, nadal wysyłał jej hojne prezenty świąteczne.

Mimo że Marshall był znajomym mojego ojca, bardzo go lubiłem. Nie dało się inaczej. Był towarzyski, sympatyczny i zabawny; miał też olbrzymi apetyt – kochał jedzenie, wino, cygara i kobiety, wszystkie do przesady. Było w nim coś niezwykle pociągającego.

Jego dom wyglądał dokładnie tak samo jak podczas mojej ostatniej wizyty: kort tenisowy z zielonej mączki, basen olimpijskich rozmiarów z widokiem na ocean, powozownia na wzgórzu. Jediną nowość stanowiła budka strażników. Opuszczony szlaban blokował przejazd wąską drogą. Z budki wyszedł strażnik i spytał mnie o nazwisko, a nawet poprosił o okazanie prawa jazdy.

To mnie zaskoczyło. Marcus, pomimo swego olbrzymiego bogactwa, nigdy nie żył jak więzień – ukryty za wysokim płotem, otoczony przez ochroniarzy – co praktykuje wielu krezusów. Coś się zmieniło.

Kiedy strażnik mnie przepuścił, dojechałem do półkolistego podjazdu i zaparkowałem tuż przed domem. Wsiadłem z samochodu i rozejrzałem się, dostrzegając liczne kamery dyskretnie rozmieszczone wokół budynku.

Wszedłem na rozległą werandę i zadzwoniłem. Mniej więcej po minucie drzwi się otworzyły i na progu stanął rozpromieniony Marshall Marcus, wyciągając do mnie krótkie ręce.

– Nickeleh! – zawołał, co stanowiło typowe serdeczne powitanie z jego strony. Zamaszyście otworzył drzwi z moskitierą i pochwycił mnie w niedźwiedzi uścisk. Był

jeszcze grubszy niż kiedyś i zmienił fryzurę. Gdy ostatnio go widziałem, miał łysinę na czubku głowy, a siwe włosy sięgały mu do kołnierzyka koszuli. Teraz ufarbował je na brązowo z nutą pomarańczowego odcienia, zaś włosy na czubku w czarodziejski sposób odrosły. Nie potrafiłem stwierdzić, czy to tupecik, czy bardzo dobre implanty.

Był ubrany w piżamę i ciemnoniebieski szlafrok; miał podkrążone oczy. Sprawiał wrażenie wyczerpanego.

Puścił mnie, po czym odepchnął się od mojej piersi, żeby przyjrzeć się mojej twarzy.

– Tylko popatrz na siebie. Za każdym razem, kiedy cię widzę, jesteś coraz przystojniejszy. Wystarczy już tego dobrego! Wcale się nie starzejesz. Zawarłeś pakt z diabłem, Nicky? Masz na poddaszu swój portret, na którym wyglądasz jak staruch?

– Mieszkam w mieście – odrzekłem. – Nie mam poddasza.

Roześmiał się.

– Nie jesteś żonaty, prawda?

– Jak dotąd udało mi się tego uniknąć.

Delikatnie poklepał mnie po policzku.

– Z taką buźką pewnie musisz się opędać od dziewczyn. – Koniecznie starał się udawać typową dla siebie wesołość, ale mnie nie przekonał. Objął mnie w pasie pulchną ręką. Nie był w stanie dosięgnąć ramion. – Dziękuję, że przyjechałeś, Nickeleh, mój przyjacielu. Dziękuję.

– Nie ma o czym mówić.

– Nowy? – spytał, wskazując głową mój samochód.

– Mam go już od jakiegoś czasu.

Jeżdżę land roverem defenderem 110, który przypomina jeepa, jest kanciasty i praktycznie niezniszczalny. Ręcznie opuszczane szyby. Siedzenia twarde jak kamień. W środku jest niezbyt wygodnie i bardzo głośno, kiedy przekroczy się pięćdziesiątkę. Ale to najlepsze auto, jakie kiedykolwiek miałem.

– Cudowny. Naprawdę cudowny. Jeździłem takim podczas safari w Serengeti. Przez dziesięć dni. Annelise, Alexa i ja. Oczywiście dziewczynom nie spodobało się w Afryce. Przez cały czas narzekały na owady, smród zwierząt i... – Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy, która obwisła, jakby zmęczyło go udawanie. – Ach, Nick – szepnął, a jego oblicze wykrzywił ból. – Umieram ze strachu.

– Kiedy ostatnio miałeś z nią kontakt? – spytałem.

Siedzieliśmy w jedynym pokoju na dole, który sprawiał wrażenie używanego – dużym salonie w kształcie litery L połączonym z kuchnią – w wygodnych fotelach niedbale okrytych białymi narzutami. Widok zapierał dech w piersiach: stalowoszare fale rozbijały się o skaliste wybrzeże Cape Ann.

– Wczoraj wieczorem pojechała do Bostonu. Powiedziała Belindzie, że wróci późno, a Belinda założyła, że to oznacza mniej więcej północ; najwyżej pierwszą albo drugą w nocy, jeśli Alexa będzie się dobrze bawiła.

– Kiedy to było... o której godzinie wyszła z domu?

– Chyba wczesnym wieczorem. Właśnie wracałem z pracy. – Siedziba Marcus Capital Management zajmowała całe piętro w jednym z nowych budynków na Rowes Wharf, który widziałem z okna swojego gabinetu. Marshall zawsze pracował do późna, kiedy mama była jego asystentką, i zapewne się to nie zmieniło. Każdego ranka samochód zabierał go do Bostonu, a wieczorem odwoził do Manchesteru. – Wyszła, zanim dotarłem do domu.

– Co robiła w Bostonie?

Z jego piersi wydobyło się ciężkie westchnienie, które bardziej przypominało jęk.

– Przecież wiesz, że ona stale imprezuje. Bez przerwy gdzieś chodzi, na dyskoteki i takie tam.

„Dyskoteki”. Nie pamiętam, kiedy ostatnio słyszałem to słowo.

– Sama pojechała czy zabrała się ze znajomymi?

– Sama. Uwielbia prowadzić. Zrobiła prawo jazdy w dniu szesnastych urodzin.

– Miała się tam z kimś spotkać? A może to była randka?

– Chyba umówiła się z przyjaciółką. Dzięki Bogu, Alexa nie chodzi na randki. To znaczy na razie. Przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo.

Zastanawiałem się, jak dużo Alexa mówiła ojcu o swoim życiu towarzyskim. Podejrzewałem, że niewiele.

– Mówiła, dokąd jedzie?

– Powiedziała Belindzie jedynie, że się umówiła.

– Ale nie z facetem.

– Nie, nie z facetem. – Sprawiał wrażenie poirytowanego. – Z przyjaciółmi. Albo jedną przyjaciółką. Powiedziała Belindzie... – Pokręcił głową, a jego policzki zadrżały. Następnie zakrył oczy dłonią, mocno ścisnął i ponownie przeciągle westchnął.

Po kilku sekundach cicho spytałem:

– Gdzie jest Belinda?

– Położyła się na górze – odrzekł, wciąż zakrywając oczy pulchną dłonią. – Źle się czuje. Bardzo ciężko to zniosła, Nick. Nie spała całą noc. Jest zdruzgotana. Obwinia się.

– O co?

– O to, że pozwoliła Aleksie wyjść albo niedostatecznie ją wypytała. To nie jest jej wina. Nie jest łatwo być przybraną matką. Za każdym razem, kiedy próbuje egzekwować jakieś zasady, Alexa zachowuje się, jakby chciała jej urwać głowę. Nazywa ją „złą macochą”... to niesprawiedliwe. Belinda troszczy się o Alexę jak o własne dziecko. Kocha tę dziewczynę.

Pokiwałem głową. Odczekałem mniej więcej pół minuty.

– Oczywiście próbowałeś dzwonić do niej na komórkę – odezwałem się w końcu.

– Milion razy. Nawet zadzwoniłem do twojej mamy. Pomyślałem, że może zrobiło się późno i nie chciała wracać samochodem ani dzwonić po nas, więc postanowiła przenocować u Frankie. Uwielbia Francine. – Mieszkanie mojej matki znajdowało się w Newton, znacznie bliżej śródmieścia Bostonu niż Manchester-by-the-Sea.

– Masz powody przypuszczać, że coś mogło się jej stać? – spytałem.

– Oczywiście, że coś się jej stało. Nie uciekłyby bez słowa!

– Marshall, nie mogę mieć do ciebie pretensji, że jesteś wystraszony. Ale nie zapominaj, że ona już nieraz pakowała się w tarapaty.

– To przeszłość. Teraz jest porządną dziewczyną.

– Może tak – powiedziałem. – A może nie.

Przed laty, kiedy Alexa była jeszcze dzieckiem, ktoś uprowadził ją z parkingu galerii handlowej Chestnut Hill na oczach jej matki Annelise, trzeciej żony Marcusa.

Porywacze nie wyrządzili dziewczynce żadnej krzywdy. Zabrali ją na przejażdżkę, a kilka godzin później zostawili na innym parkingu po drugiej stronie miasta. Alexa twierdziła, że nie była molestowana seksualnie, a badanie lekarskie to potwierdziło. Nikt jej nie groził. Nikt nawet się do niej nie odzywał.

Cała historia pozostała niewyjaśniona. Czy porywacze się wystraszyli? Zmienili zdanie? Takie rzeczy się zdarzają. Marcus słynął ze swojego bogactwa; może to była zarzucona próba porwania dla okupu. Przynajmniej tak zakładałem. Potem matka Alexy odeszła, oznajmiając Marcusowi, że dłużej z nim nie wytrzyma. Niewykluczone, że uprowadzenie córki przyspieszyło jej decyzję.

Któż może znać prawdziwą przyczynę. Annelise w zeszłym roku zmarła na raka piersi, więc nie można jej było o to zapytać. Jednak po tamtych wydarzeniach Alexa, która już przedtem nie była łatwym i przystosowanym dzieckiem, wyraźnie się zmieniła. Stała się jeszcze bardziej zbuntowana, zaczęła palić w szkole, późno wracać do domu i szukać kłopotów.

Pewnego dnia, kilka miesięcy po porwaniu, moja matka zadzwoniła do mnie – wtedy pracowałem w Waszyngtonie w Departamencie Obrony – i poprosiła, żebym pojechał do New Hampshire i porozmawiał z Alexą w Exeter.

Namierzyłem dziewczynę na boisku i przez chwilę patrzyłem, jak gra w hokeja na trawie. Chociaż nie uznawała się za sportsmenkę, poruszała się z siłą i wdziękiem. Grała niezwykle skupiona. Miała rzadką umiejętność całkowitego zatracenia się w rozgrywce.

Nie chciała rozmawiać, ale skoro byłem synem Frankie Heller, a ona była zakochana w mojej mamie, i skoro nie byłem jej ojcem, w końcu udało mi się do niej dotrzeć. Wciąż nie poradziła sobie z grozą porwania. Powiedziałem jej, że to normalne i że martwiłbym się o nią, gdyby tamte wydarzenia jej nie przeraziły. Stwierdziłem, że podoba mi się jej bunt.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, a potem podejrzliwością. W co ja z nią pogrywałem?

Powiedziałem, że mówię poważnie. Bunt to coś wspaniałego. W ten sposób uczymy się wytrzymałości. Strach to niezwykle użyteczny instynkt, gdyż stanowi sygnał ostrzegawczy. Uzmysławia nam, że stajemy w obliczu zagrożenia. Powinniśmy się w niego wsłuchiwać i go wykorzystywać. Nawet podarowałem jej książkę o „darze strachu”, ale wątpię, czy ją przeczytała.

Powiedziałem, że jest nie tylko dziewczyną, ale także piękną i bogatą dziewczyną, co jest dla niej potrójnie niebezpieczne. Nauczyłem ją wypatrywać zagrożeń, a następnie pokazałem jej kilka podstawowych technik samoobrony i ciosów ze sztuk walki. Nic wielkiego, ale wystarczy. Nie chciałbym być w skórze pijanego chłopaka z Exeter, który zbyt szybko znajdzie jej za skórę.

Zabrałem Alexę do dojo na przedmieściach Bostonu, gdzie pokazałem jej techniki samoobrony bujinkan. Wiedziałem, że w ten sposób nauczę dziewczynę dyscypliny, wzmocnię jej pewność siebie i zagwarantuję zdrowe ujście dla agresji, która gromadziła się w środku. Za każdym razem, gdy przyjeżdżałem do Bostonu, a ona miała przerwę w zajęciach szkolnych, spotykaliśmy się i razem ćwiczyliśmy. Po pewnym czasie zaczęliśmy także rozmawiać.

Jednak w ten sposób nie udało mi się rozwiązać problemu. Alexa nadal robiła rzeczy, przez które mogła wpaść w tarapaty – paliła, piła i tak dalej – aż w końcu Marcus musiał posłać ją na rok do jakiegoś zakładu poprawczego. Któż to wie, dlaczego sprawiała takie kłopoty. Może przeżywała traumę po porwaniu. Ale równie dobrze mogła to być reakcja na ucieczkę matki.

A może po prostu zachowywała się jak nastolatka.

...

– Skąd te zwiększone środki bezpieczeństwa? – spytałem. – Było inaczej, kiedy ostatnio cię odwiedziłem.

Marcus przez chwilę milczał.

– Czasy się zmieniły. Na świecie jest więcej szaleńców. Mam więcej pieniędzy. Napisali o mnie w „Newsweeku”. Pojawiam się w „Forbesie”, „Fortune”, wiadomościach w kablówce. W końcu nie jestem zbyt skryty.

– Ktoś ci groził?

– Groził? Masz na myśli, czy ktoś podszedł do mnie na State Street z pistoletem w dłoni i zapowiedział, że strzeli mi w łeb? Nie. Ale nie zamierzam beczynn timer czekać.

– Więc to tylko zapobiegliwość.

– Uważasz, że przesadzam?

– Oczywiście, że nie. Po prostu chciałbym wiedzieć, czy wydarzyło się coś konkretnego, co cię zaniepokoiło, na przykład jakieś włamanie... Coś, co skłoniło cię do

zwiększenia środków bezpieczeństwa.

– Ja go namówiłam – odezwał się kobiecy głos.

Do kuchni weszła Belinda Marcus. Wysoka, smukła blondynka, niezwykle piękna, ale zarazem zimna jak lód. Miała około czterdziestu lat, ale była bardzo zadbana. Regularnie stosowała botoks i kolagen, kilka razy zdecydowała się także na subtelny lifting twarzy. Należała do tego typu kobiet, które zapytane, co ostatnio robiły, wracają myślą do gabinetu chirurga plastycznego.

Była ubrana na biało: w wąskie spodnie z rozcięciami przy kostkach, jedwabną bluzkę z szerokimi ramiączkami, które wyglądały jak origami, niskim dekoltem oraz marszczeniem na biuście, co sprawiało, że jej niewielkie, ale jędrne piersi przyciągały wzrok. Była boso. Paznokcie u stóp miała pomalowane koralowym lakierem.

– To szaleństwo, że Marshall nie zatrudniał strażników. Człowiek tak bogaty i ważny jak Marshall Marcus? Stanowimy tutaj łatwy cel. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, co spotkało Alexę.

– One były na zakupach, Belindo. Albo w kinie, nieważne. Coś takiego mogłoby się wydarzyć, nawet gdybyśmy otoczyli dom batalionem żołnierzy. Przecież pojechały do Chestnut Hill, na litość boską!

– Nie przedstawiłeś mnie panu Hellerowi – przerwała mu Belinda. Podeszła i podała mi rękę. Miała kościstą i chłodną dłoń. Paznokcie u rąk również pomalowała na koralowo. Cechowało ją klasyczne piękno atrakcyjnej lali i mówiła z przesłodzonym akcentem z Georgii, pachnącym słodkimi miętowymi koktajlami i mrożoną herbatą.

Wstałem.

– Nick – przedstawiłem się. Wiedziałem o niej tylko tyle, ile powiedziała mi matka. Belinda Jackson Marcus była stewardesą w liniach lotniczych Delta i poznała Marcusa w barze hotelu Ritz-Carlton Buckhead w Atlancie.

– Przepraszam za tę gafę – rzekł Marcus, ale nie wstał z fotela. – Nick, to jest Belinda. Belindo, to jest Nick – dodał od niechcienia. – Czyż to nie zachwycające stworzenie? – Uśmiechnął się z zadowoleniem, a ja zauważyłem, że założył sobie korony na zęby. Do tego nowe włosy. Marcus nigdy nie był próżny, więc uznałem, że zrobił to wszystko na skutek niepewności, chcąc się podobać o wiele młodszej i pięknej żonie. A może to ona namówiła go do poprawienia urody.

Belinda przekrzywiła głowę i kokieteryjnie przewróciła swoimi sarnimi oczami.

– Zaprosiłeś pana Hellera na lunch?

– Dziękuję, nie trzeba – odpowiedziałem.

– Co się z tobą dzieje, kochanie? – spytała Belinda.

– Ależ ze mnie paskudny gospodarz – odparł Marshall. – Widzisz? Co bym począł bez Belindy? Jestem zwierzęciem. Niecywilizowaną bestią. Masz ochotę na kanapkę, Nickeleh?

– Nie, dzięki – odrzekłem.

– Na pewno nic?

– Dziękuję.

– A może zaparzę wam kawy? – zaproponowała Belinda.

– Chętnie.

Posuwistym krokiem zbliżyła się do długiej czarnej kuchennej wyspy z saponitowym blatem i włączyła czajnik elektryczny. Obcisłe białe spodnie podkreślały kształt jej zgrabnego tyłka. Najwyraźniej spędzała większość czasu na ćwiczeniach, zapewne pod okiem trenera, szczególnie skupiając się na poślądkach.

– Nie znam się na parzeniu kawy, ale mamy kawę rozpuszczalną – powiedziała. – Jest całkiem smaczna. – Podniosła niewielkie foliowe opakowanie.

– Jednak zmieniłem zdanie – rzekłem. – Dzisiaj wypilem już za dużo kawy.

Belinda nagle się odwróciła.

– Nick, musisz ją znaleźć. – Powoli do mnie podeszła. – Proszę. Musisz ją znaleźć.

Zauważyłem, że miała świeżo nałożony makijaż. Nie wyglądała jak po nieprzespanej nocy. W odróżnieniu od swojego męża sprawiała wrażenie wypoczętej, jakby właśnie się obudziła po długiej krzepiącej drzemce. Różowy błyszczący idealnie podkreślał kształt jej ust. Znam się na kobiecym makijażu wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie wygląda się tak zaraz po wstaniu z łóżka.

– Czy Alexa powiedziała ci, z kim się umówiła? – spytałem.

– Ona... nie mówi mi wszystkiego. W końcu nie jestem jej matką.

– Kocha cię – wtrącił się Marcus. – Po prostu jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Ale pytałaś ją, prawda? – drążyłem.

Błyszczące usta Belindy rozchyliły się na centymetr.

– Oczywiście, że ją pytałam! – odparła z rozdrażnieniem.

– Nie zapowiedziała, o której godzinie wróci?

– Założyłam, że o północy, może trochę później, ale ona nie lubi, kiedy zadaję takie pytania. Twierdzi, że nie lubi być traktowana jak dziecko.

– A jednak to dosyć późno.

– Dla tych dzieciaków? Wtedy impreza dopiero się zaczyna.

– Nie o to mi chodzi – odrzekłem. – Myślałem, że dzieci poniżej osiemnastego roku życia nie mogą prowadzić samochodu po północy, czy może po dwunastej trzydzieści,

jeśli nie jedzie z nimi dorosły opiekun. W przypadku zatrzymania policja może im zawiesić prawo jazdy na sześćdziesiąt dni.

– Czy to prawda? – zdziwiła się Belinda. – O niczym takim nie wspominała.

Uznałem, że to dziwne. Alexa nigdy nie zrobiłaby niczego, co mogłoby jej zagrozić utratą prawa jazdy i związanej z nim niezależności. Poza tym wydawało mi się nietypowe dla Belindy, że nie trzymała ręki na pulsie w kwestii wszystkich zasad. W końcu zwracała uwagę na najmniejsze detale, malowała usta błyszczkiem przed spotkaniem ze mną, chociaż powinna być psychicznym wrakiem po zaginięciu przybranej córki.

– Więc co się z nią stało, jak myślicie? – spytałem.

Belinda wyrzuciła ręce w górę.

– Nie wiem. – Oszołomiona popatrzyła na Marcusa. – Nie wiemy. Po prostu chcemy, żebyś ją odnalazł.

– Dzwoniliście na policję?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Marcus.

– Dlaczego oczywiście? – zdziwiłem się.

– Policja niczego nie robi – wyjaśniła Belinda. – Przyjadą, sporządzą raport i każą nam odczekać dwadzieścia cztery godziny, a wtedy jej sprawa wyląduje na dnie szuflady.

– Jest niepełnoletnia – sprzeciwiłem się. – Traktują bardzo poważnie zaginięcia nastolatków. Radzę wam od razu to zgłosić.

– Nick – wtrącił się Marcus. – Chcę, żebyś ty jej poszukał. Nie gliny. Czy kiedykolwiek prosiłem cię o pomoc?

– Proszę – dołączyła się Belinda. – Tak bardzo kocham tę dziewczynę. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby coś się jej stało.

Marcus pomachał ręką i powiedział coś, co brzmiało jak „tfu-tfu-tfu”. Pewnie chciał się ustrzec przed zapieszeniem.

– Nie mów tak, kochanie.

– Dzwoniliście do wszystkich szpitali?

Wymienili zaniepokojone spojrzenia, po czym Belinda pokręciła głową.

– Gdyby coś jej się stało, to chyba już byśmy się dowiedzieli, prawda?

– Niekoniecznie – odparłem. – Od tego zawsze należy zacząć.

– Myślę, że może chodzić o coś innego – stwierdził Marcus. – Nie sądzę, żeby mojej córeczce coś się stało. Myślę...

– Nie wiemy, co się wydarzyło – przerwała mu Belinda.

– Coś złego – rzekł Marcus. – Dobry Boże.

– Zaczniemy od obdzwonienia szpitali – powiedziałem. – Dla pewności. Dajcie mi jej numer komórki. Może mój technik zdoła ją w ten sposób namierzyć.

– Oczywiście – zgodził się Marcus.

– I zawiadomcie policję, dobrze?

Belinda pokiwała głową, a Marcus wzruszył ramionami.

– Niczego nie zrobią, ale skoro nalegasz.

Do żadnego ze szpitali między Manchesterem a Bostonem nie przyjęto osoby pasującej do rysopisu Alexy, co jednak nie przyniosło Marcusowi i jego żonie spodziewanej ulgi.

Wyglądało na to, że ukrywają coś, co ich przeraża, coś ważnego i złowrogiego. Sądzę, że właśnie to wrażenie sprawiło, iż poważnie potraktowałem prośbę Marcusa. Działo się tutaj coś bardzo niedobrego. Miałem złe przeczucia, które tylko się pogłębiały.

Nazwijcie to darem strachu.

Alexa drgnęła i poruszyła się w swoim łóżku.

Obudził ją ból głowy, rytmiczne pulsowanie, które stale przybierało na sile i ciągnęło ją ku przytomności.

Ukłucia bólu przeszywały gałki oczne.

Miała wrażenie, że ktoś wbija szpikulec do lodu w czubek jej głowy i właśnie przebił się przez kruchą skorupę, rozłupując płaty mózgu tuż za czołem.

Czuła dotkliwą suchość w ustach. Język przywarł do podniebienia. Spróbowała przełknąć ślinę.

Gdzie się znalazła?

Niczego nie widzi.

Otacza ją ciemność. Czyżby oślepla?

A może to sen.

Jednak nie miała wrażenia, że śni. Pamiętała, że... piła w Pudle z Taylor Armstrong. Coś z jej iPhone'em. Z czegoś się śmiały. Wszystko było niewyraźne i zamazane.

Zapomniała, jak wróciła do domu ojca i trafiła do swojego łóżka w pokoju z zaciągniętymi zasłonami.

Wciągnęła w nozdrza dziwną zatęchłą woń. Nie znała jej. Czy naprawdę jest w swoim łóżku? W jej pokoju w Manchesterze tak nie śmierdziało. Jej pościel pachniała płynem do płukania.

Czyżby u kogoś przenocowała? Raczej nie u Taylor. W jej domu pachniało cytrynowym środkiem do polerowania mebli, a pościel zawsze była za mocno wykrochmalona. Ale dokąd jeszcze mogła pojechać? Nie pamiętała... niczego, po tym jak śmiały się z Taylor z czegoś na jej iPhone'ie...

Wiedziała tylko, że śpi na łóżku. Nie okrywała jej kołdra. Pewnie ześlizgnęła się w nocy. Alexa wolała spać pod przykryciem, nawet w najgorętsze dni w nieklimatyzowanych pokojach. Na przykład tamtego paskudnego lata w Marston-Lee w Kolorado, gdzie nie mieli klimatyzacji i kazali im spać na piętrowych łóżkach, a ona musiała zapłacić zdzirze, z którą mieszkała, żeby ta pozwoliła jej zająć górne łóżko. Na dolnym czuła się uwięziona i niepewna.

Trzymała rękę wzdłuż ciała. Poruszyła palcami, szukając krawędzi kołdry, a wtedy grzbietem prawej dłoni otarła się o jakąś gładką i twardą powierzchnię. Opuszkami palców wyczuła atlasowy materiał okrywający coś twardego, co skojarzyło jej się z drewnianymi barierkami po obu stronach piętrowego łóżka w Marston-Lee, które miały zapobiegać spadnięciu z posłania na podłogę.

Czyżby wróciła do Marston-Lee, a może tylko jej się to śni?

Ale gdyby śniła, czy czułaby taki potworny ból głowy?

Wiedziała, że nie śpi. Po prostu wiedziała.

Jednak nadal nic nie widziała. Otaczała ją całkowita ciemność, bez najmniejszego przebłysku światła.

Wąchała zatęchłe powietrze i wyczuwała dotyk miękkiego materaca oraz wygodnych spodni od piżamy... Opuszkami palców przesunęła po miękkim materiale okrywającym jej uda i stwierdziła, że nie przypomina bawełnianego dresu, który zazwyczaj wkładała do snu. Miała na sobie coś innego. Nie był to dres ani piżama. Może szpitalny strój?

Czy trafiła do szpitala?

Może coś jej się stało, na przykład miała wypadek?

Szpikulec do lodu coraz bardziej zagłębiał się w mózg, sprawiając niewyobrażalny ból, tak że miała ochotę przeturlać się na brzuch i zakryć głowę poduszką. Uniosła kolana, żeby się obrócić, powoli i delikatnie, gdyż nie chciała, aby pękła jej głowa...

Uderzyła o coś kolanami.

O coś twardego.

Zaskoczona, odruchowo uniosła głowę, a wtedy zderzyła się z czymś czołem i grzbietem nosa.

Gwałtownie wyprostowała ręce na boki i napotkała twarde ściany. Miała po kilkanaście centymetrów wolnej przestrzeni po obu stronach. Ponownie uniosła kolana, o niecałe dziesięć centymetrów, i znów natrafiła na przeszkodę.

Nie.

Przesunęła palcami po bokach, a następnie nad sobą, wyczuwając atlasową ścianę niespełna dziesięć centymetrów od swoich ust.

Zanim mózg zdążył zrozumieć, co się dzieje, jakiś zwierzęcy instynkt podsunął jej odpowiedź, która napełniła ją przerażeniem i sprawiła, że jej ciało zdrętwiało i stało się zimne jak lód.

Znajdowała się w jakiejś skrzynce.

Mogła dotknąć jej końca palcami u nóg.

Spanikowana, zaczęła szybko i płytko dyszeć.

Serce tłukło się w piersi.

Zadrżała, a po chwili już nie mogła powstrzymać dygotania.

Rozpaczliwie próbowała zaczerpnąć tchu, ale do płuc trafiały tylko niewielkie porcje powietrza.

Usiłowała usiąść, lecz ponownie uderzyła czołem o sufit. Nie mogła się poruszyć. Nie mogła zmienić pozycji.

Dyszała coraz szybciej, jej serce łomotało, ciało oblewał pot, jednocześnie gorący i zimny.

To nie może być prawda. Na pewno śni jakiś koszmar: najgorszy, jaki kiedykolwiek ją nawiedził. Zamknięta w skrzynce. Jak w...

Atłasowe obicie. Ściany z drewna, może ze stali.

Zupełnie jak w trumnie.

Jej dłonie zadrżały. Stukała w twarde ściany, raz za razem powtarzając: „Nie... nie... nie...”.

Zapomniała o bólu głowy.

Poczuła oszołomienie, ucisk w żołądku oraz wszechogarniające zimno, które w jej przypadku zawsze zapowiadały utratę przytomności.

Odpłynęła.

Zanim wsiadłem do land rovera i ruszyłem szosą numer 128 w stronę Bostonu, minęło południe. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że Marshall Marcus ma poważny powód, aby obawiać się, że coś przytrafiło się jego córce, i że się tego spodziewał.

Innymi słowy, to nie był wypadek, nawet jeśli nie miało to żadnego związku z krótkotrwałym uprowadzeniem przed laty. Może chodziło tylko o kłótnię Alexy z macochą, zakończoną groźbą dziewczyny – „Już nie wrócę!” – i jej wyjściem.

Jednak nie widziałem powodu, dla którego Marcus miałby coś takiego przede mną zataić. Nawet gdyby chciał się zachować po rycersku i ochronić żonę przed upokorzeniem, którym skutkowałoby publiczne pranie brudów, dyskrecja nie leżała w jego naturze. To był facet, który chętnie opowiadał o swoich zatwardzeniach, problemach z oddawaniem moczu i o tym, że viagra poprawiła jego życie seksualne jeszcze bardziej niż portale randkowe. Był królem „ZDI”, jak mawiał mój bratanek Gabe: Za Dużo Informacji.

Właśnie miałem zatelefonować do Dorothy i spytać, jak możemy namierzyć komórkę Alexy, gdy zadzwonił mój BlackBerry. To była Jillian, sekretarka.

– Przyszedł pański syn – oznajmiła.

– Eee, ja nie mam syna.

– Twierdzi, że mieliście zjeść razem lunch. – W tle słyszałem zdecydowanie zbyt głośną muzykę. Zmieniła mój gabinet w pokój w akademiku.

– Ups. Racja. To mój bratanek a nie syn. – Obiecałem Gabe’owi, że zabiorę go na lunch, ale zapomniałem wpisać to do kalendarza.

– Dziwne – odrzekła. – Właśnie ucieliśmy sobie z Gabe’em długą pogawędkę. Założyłam, że jest pańskim synem, a on nie wyprowadził mnie z błędu.

– Tak, no cóż. – Może sobie pomarzyć, pomyślałem. – Dzięki. Powiedz mu, że wkrótce przyjadę.

– Fajny dzieciak.

– Owszem. To twoja muzyka?

Rozległ się trzask i muzyka ucichła.

– Muzyka?

– Mogłabyś mnie połączyć z Dorothy?

Gabe Heller był przybranym synem mojego brata Rogera. Miał szesnaście lat i był bardzo bystry, choć niewątpliwie niedopasowany. Nie miał prawie żadnych kolegów w prywatnej szkole dla chłopców w Waszyngtonie. Ubierał się na czarno: w czarne dżinsy, czarne bluzy z kapturem, czarne tenisówki marki Chuck Taylor. Ostatnio nawet zaczął farbować na czarno włosy. Nie jest łatwo mieć szesnaście lat, ale wyjątkowo ciężko być Gabe'em Hellerem.

Nie ma co ukrywać, że Roger, mój brat, z którym straciłem kontakt, był palantem. Do tego, podobnie jak nasz ojciec, siedział w więzieniu. Na szczęście Gabe nie był spokrewniony z Rogerem, w przeciwnym razie zapewne wylądowałby w poprawczaku. Wyglądało na to, że byłem jedynym dorosłym, z którym potrafił się dogadać. Nie wiem, dlaczego mam taki dobry kontakt z niepokorną młodzieżą. Może, tak jak psy wyczuwają strach, nastolatki czują, że nigdy nie zostaną rodzicem, więc nie stanowią zagrożenia. Sam nie wiem.

Gabe spędzał lato w mieszkaniu mojej matki w Newton. Uczestniczył w letnim programie plastycznym dla uczniów szkół średnich organizowanym przez Museum School. Uwielbiał swoją babkę i chciał uciec od matki, Lauren, która z pewnością z ulgą powitała fakt, że nie musi się nim zajmować podczas wakacji. Moja matka nie jest surową osobą, więc Gabe po szkole wskakiwał w metro i jechał powłóczyć się po Harvard Square. Niewątpliwie podobało mu się, że może się poczuć jak dorosły.

Jednak sądzę, że chciał być w Bostonie przede wszystkim po to, żeby móc się ze mną widywać, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. Uwielbiałem tego dzieciaka i lubiłem spędzać z nim czas, mimo że nie zawsze było to łatwe. Nie wszystko, co wartościowe, jest proste.

Siedział przy moim biurku i rysował w swoim szkicowniku. Gabe był niesamowicie utalentowany plastycznie.

- Pracujesz nad komiksem? – spytałem, wchodząc.
- Powieścią graficzną – odparł sztywno.
- Jasne, przepraszam, zapomniałem.
- Tak jak o naszym lunchu. – Miał na sobie czarną zapiętą bluzę z kapturem, ozdobioną paskami, klamerkami i metalowymi oczkami. Zauważyłem w jego lewym

uchu malutką złotą wkrętkę, ale postanowiłem nie zwracać na nią uwagi. Na razie.

– Za to też przepraszam. Jak ci mija lato?

– Nuda.

Jak na Gabe'a zabrzmiało to wręcz entuzjastycznie.

– Masz ochotę coś przegryźć? – spytałem.

– Jeśli wcześniej nie zemdleję z głodu.

– Potraktuję to jako zgodę.

Zauważyłem Dorothy stojącą w progu.

– Posłuchaj, Nick – odezwała się. – Ten numer, który mi dałeś. Nie będę w stanie namierzyć jej telefonu.

– Taki defetyzm nie jest w twoim stylu.

– To nie defetyzm – powiedziała. – Ani nie kwestia moich umiejętności. Chodzi o przepisy.

– Czy to cię kiedyś powstrzymało?

– Nie... o, cześć, Gabrielu. – Ton jej głosu uległ ochłodzeniu.

Gabe coś mruknął. On i Dorothy często się kłócili. Gabe uważał, że jest od niej mądrzejszy – w czym zapewne się nie mylił, gdyż był niepokojąco sprytnym dzieciakiem – a także lepiej się zna na komputerach, co nie było prawdą. Przynajmniej na razie. Jednak miał szesnaście lat, więc sądził, że jest lepszy we wszystkim. A to tylko wkurzało Dorothy.

– Oto jak się mają sprawy – powiedziała. – Osoba, której telefon kazałeś mi namierzyć... – Poirytowana zerknęła na Gabe'a. Zawsze zachowywała dyskrecję w kwestii zleceń, które dla mnie wykonywała, ale teraz była wyjątkowo ostrożna. – Możemy porozmawiać na osobności, Nick?

– Gabe, daj mi dwie minuty – poprosiłem.

– Jasne – odburknął i wyszedł z mojego gabinetu.

...

– Wygląda na to, że naprawdę zamierzasz przyjąć tę sprawę – rzekła Dorothy. – Czy cuda nigdy się nie skończą?

Pokiwałem głową.

– Nie mogłeś sobie odmówić honorarium?

– Pewnie, chodzi tylko o pieniądze – odparłem sarkastycznie.

– Masz z nimi jakiś problem?

– Nie, to... to skomplikowana sprawa. Nie chodzi o Marshalla Marcusa. Po prostu lubię jego córkę. Martwię się o nią.

– Dlaczego on tak świruje? Przecież ona ma siedemnaście lat, prawda? Pojechała do miasta, pewnie do jakiegoś klubu, spotkała faceta. Tak dzisiaj robią dzieciaki.

– Często sypiałaś z byle kim, kiedy byłaś w jej wieku, Dorothy?

Posłała mi surowe spojrzenie i ostrzegawczo uniosła palec wskazujący z długim liliowym paznokciem. Nie miałem pojęcia, jak może pisać na klawiaturze z takimi szponami.

Uśmiechnąłem się. Chociaż niewiele wiedziałem o jej życiu seksualnym, domyślałem się, że nie była zbyt rozwiązła.

– Ja też tego nie rozumiem – przyznałem.

– Zrozumiałabym, dlaczego ojciec stracił głowę, gdyby to się wydarzyło wkrótce po jej porwaniu z parkingu. Ale od tamtej pory minęło wiele lat, prawda?

– Zgadza się. Myślę, że on wie więcej, niż mi mówi.

– Na przykład?

– Sam nie wiem.

– Może powinieneś zadać mu bardziej konkretne pytania.

– Tak zrobię. A teraz opowiedz mi o Facebooku.

– Opowiedzieć ci o Facebooku? Wystarczy, jeśli będziesz wiedział, że to nie dla ciebie.

– Chodzi mi o Alexę. Na pewno ma tam konto, prawda?

– Myślę, że to prawny obowiązek wszystkich nastolatków – odrzekła. – Tak jak kiedyś pobór do wojska.

– Może na jej stronie znajduje się jakaś wskazówka. Czy dzieciaki nie piszą tam o wszystkim, co robią?

– Dlaczego sądzisz, że wiem cokolwiek o nastolatkach?

– Sprawdź, co publikowała na Facebooku, dobrze?

– Nie da się tego zrobić, jeśli ona nie ma cię wśród „znajomych”.

– Nie możesz po prostu złamać jej hasła?

Wzruszyła ramionami.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Więc na czym polega problem z namierzeniem jej iPhone’a?

– To niemożliwe, jeśli nie pracuje się w policji.

– Myślałem, że właściciele iPhone’ów mają jakiś sposób na zlokalizowanie zgubionych telefonów.

– Potrzebowalibyśmy nazwy użytkownika i hasła. A zgaduję, że nie dzieli się takimi informacjami z tatusiem.

– Nie możesz się włamać?

– Jasne, strzelę palcami i będę w środku, jak za sprawą czarów. Nie, Nick, to wymaga czasu. Musiałabym sporządzić listę imion jej zwierzaków oraz najważniejszych dat, a potem wypróbować dziesięć najczęściej używanych haseł, chociaż to bez sensu. Nawet jeśli mi się uda, zapewne nic nam to nie da, bo musielibyśmy uruchomić usługę MobileMe na jej telefonie, a wątpię, żeby to zrobiła. Ma siedemnaście lat i prawdopodobnie niezbyt się interesuje tym, jak to działa.

– Pewnie nie.

– Najszybciej będzie poprosić w AT&T, żeby ustalili położenie telefonu poprzez swoją sieć.

– A oni robią to tylko na żądanie władz – rzekłem. – Musi istnieć jakiś inny sposób na znalezienie telefonu dziewczyny.

– Ja go nie znam.

– Więc się poddajesz.

– Powiedziałam, że nie znam sposobu, a nie, że się poddaję. Nigdy się nie poddaję. – Podniosła wzrok i zauważyła Gabe'a, który stał za drzwiami mojego gabinetu. – Twój syn chyba zgłodniał – rzuciła, puszczając do mnie oko.

Zabrałem Gabe'a do Mojo's, pobliskiego baru, w którym można było zjeść lunch. To typowy bostoński bar – pięć płaskich ekranów pokazujących transmisje albo wiadomości sportowe, mnóstwo pamiątek po drużynach Red Sox i Celtics, stół do piłkarzyków w głębi sali, typowe dla pubów jedzenie – skrzydełka, nachos i burgery – oraz lepka podłoga z drewnianych desek. Podawali tutaj dobre zimne piwo, jak również niesławny lokalny wyrób browarniczy Brubaker's, który nawet ja uznawałem za paskudny. Właścicielami była zgodna grupa maklerów giełdowych i taksówkarzy. Jeden z miejscowych recenzentów kiedyś porównał stałych klientów Mojo's do knajpianej sceny z *Gwiezdnych wojen*: zbiór dziwacznych międzygalaktycznych stworzeń. Herbowi, właścicielowi, tak się to spodobało, że opisał artykuł i powiesił go na ścianie.

– Podoba mi się ta nowa dziewczyna, którą zatrudniłeś – stwierdził Gabe.

– Jillian?

– Tak, jest fajna.

– Na pewno inna. A teraz mi powiedz: babcia źle cię traktuje?

– Nie, jest spoko.

– A Lilly? Jak ci się układa z Lilly?

Lilly to suczka mojej matki, krzyżówka shar peia z angielskim mastiffem, którą uratowała ze schroniska. Nie tylko była najbrzydszym psem na świecie, lecz także miała najgorszy charakter. Wielokrotnie ją porzucano, a ja doskonale rozumiałem dlaczego.

– Naprawdę staram się ją polubić – odrzekł Gabe – ale... no po prostu nie znoszę tego kundla. Poza tym ona cuchnie.

– To pies z piekła rodem. Nie patrz jej w oczy.

– Dlaczego?

– Ostatnia osoba, która to zrobiła, padła trupem na miejscu. Mówią, że to był zawał, jednak... – Wzruszyłem ramionami.

– Jasne.

– Tęsknisz za domem?

– Tęsknię? Chyba żartujesz.

– W domu nie jest za dobrze?

– Do dupy.

– Mogę cię o coś spytać?

– O co?

– Co to za kolczyk?

– Dlaczego pytasz? – odparł ostrożnie.

– Mama wie, że przekłuteś sobie ucho?

Wzruszył ramionami. To wystarczyło za odpowiedź.

– Ciągle zapominam – dodałem. – Lewe ucho przekłuwają sobie geje?

Zaczerwienił się, od czego jego trądzik przybrał szkarłatny kolor.

– Nie. Lewa strona jest prawa, a prawa nieprawa, nie słyszałeś tego powiedzenia?

– Aha, czyli bycie gejem to coś nieprawego?

– Nie to miałem na myśli.

Uśmiechnąłem się. Trudno było wytrzymać z Gabe'em, kiedy udawał wszechwiedzącego, dlatego uznawałem za swój obywatelski obowiązek, żeby wyprowadzić go z równowagi.

Herb przyjął zamówienie. Zazwyczaj stał za barem, jednak w porze lunchu nie miał wielu klientów. Był potężnym, brzuchatym facetem z silnym południowym akcentem.

– Hej, Nicky – zawołał. – Jak ci idzie w księgowości? Masz dla mnie jakieś wskazówki, na przykład, jak przestać płacić podatki?

– To proste.

– Czyżby?

– Rób to, co ja. Po prostu ich nie płać.

Na chwilę umilkł, po czym głośno się roześmiał. Nie trzeba wiele, żeby go rozbawić.

– Tak naprawdę jestem aktuariuszem. – Szydł na naszym biurze głosił „Heller Associates – Konsultacje aktuarialne”. To była świetna przykrywka. Gdy mówiłem ludziom, że jestem aktuariuszem, od razu przestawali zadawać pytania.

– No tak – odrzekł. – Kto to jest aktuariusz?

– Nie mam pojęcia.

Ponownie się roześmiał.

– Muszę przyznać, człowieku, że nie wiem, jak ty to robisz – powiedział z sympatią. – Cały dzień zajmujesz się cyferkami? Chybabym zwariował. – Gabe posłał mi porozumiewawczy uśmiech. Zamówiłem burgera i frytki, zaznaczając, żeby to nie były „frytki curry”, które nie nadawały się do jedzenia. Gabe podniósł wzrok znad jadłospisu.

– Macie wegetariańskie burgery? – spytał.

– Mamy burgery z indyka, młody człowieku – odparł Herb.

Gabe zmarszczył czoło i przekrzywił głowę. Rozpoznawałem tę wyniosłą minę. To przez nią regularnie dostawał manto w szkole, a czasami nawet był wyrzucany z lekcji.

– Nie wiedziałem, że indyk to warzywo.

Herb zerknął na mnie z ukosa, jakby chciał zapytać: „Co to za dzieciak, do diabła?”, jednak za bardzo mnie lubił, żeby kłócić się z moim gościem.

– Może sałatkę Cobba? – spytał beznamiętnie.

– Faj – odparł Gabe. – Poproszę talerz frytek z ketchupem. Do tego coca-colę.

– Widzę, że Jillian ma nowego rekruta – powiedziałem, kiedy Herb się oddalił.

– Jillian twierdzi, że jedzenie czerwonego mięsa wywołuje agresję – odrzekł Gabe.

– A to coś złego?

Nie połknął przynęty.

– Nieważne. Hej, wujku, miałeś dobry pomysł z kontem Alexy na Facebooku.

– O czym ty mówisz?

– O Aleksie Marcus? Jej tata boi się, że coś jej się stało?

Patrzyłem na niego przez kilka sekund, po czym powoli się uśmiechnąłem.

– Ty skubańcu. Podśluchiwałeś.

– Nie.

– Daj spokój.

– Wiedziałeś, że Dorothy ma w swoim komputerze łącze audio, dzięki któremu może słuchać wszystkiego, co dzieje się w twoim gabinecie?

– Tak, Gabe. Tak się umówiliśmy. Pytanie, czy Dorothy wie, że grzebałeś w jej komputerze.

– Proszę, nie mów jej. Proszę, wujku.

– Więc co mówiłeś o koncercie Alexy na Facebooku?

– Nie powiesz Dorothy, prawda.

– Oczywiście, że nie.

– Dobrze. Myślę, że wiem, dokąd Alexa pojechała wczoraj wieczorem.

– Skąd?

– Wrzuciła informację o tym na swoją ścianę.

– Jakim cudem ją przeczytałeś?

– Jesteśmy znajomymi na Facebooku.

– Naprawdę?

– To znaczy... – zająknął się i ponownie zaczerwienił. – Ona ma ponad tysiąc znajomych, ale zgodziła się mnie dodać.

– Super – odpowiedziałem, tylko dlatego, że był z tego taki dumny.

– Kilka razy wpadła do babci, odkąd tam mieszkam. Podoba mi się. Jest fajna. No i wcale nie musi być dla mnie miła, co nie?

Pokiwałem głową. Piękne i bogate dziewczyny takie jak Alexa Marcus zazwyczaj nie są miłe dla irytujących nudziarzy takich jak Gabe Heller.

– Więc dokąd pojechała?

– Ona i Taylor wybrały się do Pudła.

– Co to za miejsce?

– Jakiś elegancki hotelowy bar w byłym budynku więzienia. Hotel chyba nazywa się Graybar?

– Taylor to chłopak czy dziewczyna?

– Dziewczyna. Taylor Armstrong. Córka senatora Richarda Armstronga. Alexa chodziła z nią do szkoły.

Zerknąłem na zegarek i położyłem dłoń na ramieniu Gabe'a.

– Może poprosimy, żeby zapakowali twój lunch na wynos?

– Chcesz porozmawiać z Taylor?

Pokiwałem głową.

– Dzisiaj jest w domu – odrzekł Gabe. – Pewnie odsypia. Założę się, że znajdziesz tam także Alexę. Wujku?

– Słucham?

– Nie mów Aleksie, że ci powiedziałem. Pomyśli, że ją prześladowę albo coś.

Zastąpiłem młodszego senatora Massachusetts przy zbieraniu psiej kupy.

Duży biały pudel senatora Richarda Armstronga był ostrzyżony na modłę kontynentalną: ogolone ciało, białe pompony na łapach i ogonie oraz wielkie białe afro na czubku łba. Sam senator, ubrany w wyprasowaną błękitną koszulę i nienagannie zawiązany krawat, prezentował się równie elegancko. Miał idealnie ufryzowane srebrzyste włosy z wyraźnym przedziałkiem z boku. Pochylił się, trzymając dłoń wewnątrz foliowej torebki, chwycił psie odchody i zręcznie wywrócił torebkę na lewą stronę. Wyprostował się z zaczerwienioną twarzą i wtedy mnie zauważył.

– Panie senatorze – odezwałem się.

– Słucham? – Ostrożne spojrzenie. Jako człowiek znany i rozpoznawalny z pewnością obawiał się szaleńców. Nawet w tej bardzo eleganckiej okolicy.

Znajdowaliśmy się w długim owalnym parku ogrodzonym płotem z kutego żelaza, na środku Louisburg Square na Beacon Hill. Louisburg Square to prywatna enklawa długich szeregowców z czerwonej cegły, które wybudowano w dziewiętnastym wieku, uznawana za jedną z najbardziej eleganckich dzielnic Bostonu.

– Nazywam się Nick Heller.

– A, tak – rzekł z uśmiechem ulgi. – Rany, myślałem, że to ktoś ze stowarzyszenia. Tak naprawdę tutaj nie wolno wyprowadzać psów i niektórzy z moich sąsiadów mają pretensje.

– Nikomu nie powiem – zapewniłem. – Zresztą zawsze uważałem, że to psy powinny się uczyć zbierania naszych kup.

– Tak, cóż... Podałbym panu rękę, ale...

– Nic nie szkodzi. Może pan rozmawiać? – Dotarłem do niego za pośrednictwem wspólnego znajomego, wyjaśniłem, co się dzieje, i spytałem, czy mogę przyjechać.

– Przespacerujmy się – zaproponował. Podążyłem za nim w stronę starego kubła na śmieci, do którego wrzucił swoje małe zawiniątko. – Przykro mi z powodu córki Marcusa. Czy wiadomo coś nowego? Jestem pewien, że to tylko rodzinna kłótnia.

Armstrong mówił z wyszukany średnioatlantyckim akcentem, który nie przypomina typowego akcentu bostońskiego. Charakteryzuje bogatych białych protestantów i jest na wymarciu. Prawie nikt już tak nie mówi, może z wyjątkiem kilku

staruchów w Somerset Club. Senator brzmiał jak połączenie Williama F. Buckleya i Thurstona Howella III z *Wyspy Gilligana*. Ktoś mi kiedyś powiedział, że na nagraniach z młodości Armstrong mówi zupełnie inaczej. Gdzieś po drodze jego język pokrył się patyną. Jednak senator naprawdę wywodził się ze starego bostońskiego rodu. „Moja rodzina nie przyплыnęła na *Mayflower* – powiedział pewnego razu. – Tym statkiem posłaliśmy swoich służących”.

Przystanęliśmy przed jego domem – łukowaty front, świeżo malowane czarne okiennice, lśniące czarne drzwi, duża amerykańska flaga powiewająca na wietrze – po czym senator zaczął się wspinać po szarych betonowych schodach.

– Jeśli jest coś, w czym mogę pomóc, proszę dać mi znać – powiedział. – Mam wielu przyjaciół.

Obdarzył mnie swoim słynnym uśmiechem, który czterokrotnie zapewnił mu miejsce w senacie jako umiarkowanemu republikaninowi. Niegdyś pewien dziennikarz porównał uśmiech Armstronga do ciepłego kominka, który z bliska okazuje się sztucznym paleniskiem z ceramicznymi „drzwami” pomalowanymi na czerwono, żeby imitować rozżarzone węgle.

– Znakomicie – odparłem. – Chciałbym porozmawiać z pańską córką.

– Z moją córką? To strata czasu. Taylor nie widziała się z córką Marcusa od kilku miesięcy.

– Spotkały się wczoraj wieczorem.

Senator przestąpił z nogi na nogę. Pudel zaskowyczała, a Armstrong gwałtownie szarpnął smycz.

– Tego nie wiedziałem – odezwał się w końcu. – Obawiam się, że Taylor wyszła na zakupy. Uwielbia sklepy. – Posłał mi udręczony uśmiech, jaki faceci często wymieniają, gdy chcą powiedzieć: „Kobiety – nie da się z nimi żyć, ale też nie da się żyć bez nich”.

– Może niech pan ponownie sprawdzi. Jest teraz na górze.

Gabe śledził nieustanną aktywność dziewczyny na Facebooku i informował mnie na bieżąco przez SMS-y. Nie wiem, jak tego dokonał, gdyż nie był znajomym Taylor na Facebooku, ale znalazł jakiś sposób.

Kilka minut temu Taylor Armstrong napisała swoim 1372 znajomym, że ogląda powtórkę *Kochanych kłopotów* i nudzi się jak mops.

– Jestem pewien, że Taylor i jej matka...

– Panie senatorze, proszę ją zawołać. To ważne. Czy woli pan, żebym zadzwonił do niej na komórkę?

Oczywiście nie miałem jej numeru, ale okazało się, że go nie potrzebuję. Armstrong zaprosił mnie do środka, już nie starając się ukryć rozdrażnienia. Pudel ponownie

zaskowyczał, a senator szarpnął smycz. Wyborczy uśmiech zniknął. Wyłączono elektryczny kominek.

Taylor Armstrong weszła do gabinetu swojego ojca jak uczennica wezwana na dywanik dyrektora, usiłując zamaskować lęk ponurą miną. Usiadła w dużym tapicerowanym fotelu przykrytym kilimem i skrzyżowała nogi, mocno wciskając górną pod dolną. Splotła ręce na piersiach i zgarbiła ramiona. Gdyby była żółwiem, ukryłaby się głęboko w skorupie.

Siedziałem w fotelu naprzeciwko, podczas gdy senator Armstrong przeglądał papiery przy mahoniowym biurku, zerkając przez okulary połówki. Udawał, że nas ignoruje.

Taylor była ładna – nawet bardzo. Miała czarne włosy, bez wątpienia farbowane, i mocno malowała oczy. Ubierała się jak bogata zepsuta dziewczyna, którą najwyraźniej była: znalazła się w tym samym zakładzie poprawczym na zachodzie, w którym Alexa spędziła rok. Była ubrana w brązowy zamszowy podkoszulek bez rękawów, okazały turkusowy naszyjnik, wąskie dżinsy i krótkie brązowe skórzane buty.

Przedstawiłem się i zagadnąłem:

– Chciałbym zadać ci kilka pytań dotyczących Alexy.

Popatrzyła na stary perski dywan i nic nie powiedziała.

– Alexa zaginęła. Jej rodzice bardzo się niepokoją.

Podniosła wzrok z nadąsaną miną. Przez chwilę wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale szybko zmieniła zdanie.

– Kontaktowała się z tobą? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Nie.

– Kiedy ostatnio ją widziałaś?

– Wczoraj wieczorem. Wyszliśmy razem.

Ucieszyłem się, że nie skłamała. A może ojciec z nią o tym porozmawiał, kiedy poszedł po nią na górę.

– Może się przespacerujemy? – zaproponowałem.

– Przespacerujemy? – odrzekła z niesmakiem, jakbym poprosił ją o odgryzienie głowy żywemu nietoperzowi.

– Pewnie. Zacerpniemy świeżego powietrza.

Zawahała się, a wtedy jej ojciec odezwał się, nie podnosząc wzroku znad dokumentów.

– Możecie rozmawiać tutaj.

Przez kilka sekund sprawiała wrażenie osaczonej. Potem, ku mojemu zaskoczeniu, odrzekła:

– Chętnie wyjdę z domu.

...

Opuściliśmy Louisburg Square, przeszliśmy na drugą stronę Mount Vernon Street i zaczęliśmy schodzić stromą Willow Street.

– Może masz ochotę na papierosa?

– Nie palę.

Poczułem od niej papierosa, gdy tylko zeszła na dół.

– Nie krępuj się, nie powiem o niczym twojemu tacie.

Niemal niezauważalnie się rozluźniła. Wzruszyła ramionami, po czym wyjęła paczkę Marlboro i złotą zapalniczkę S.T. Dupont ze swojej czarnej torebki.

– Nie powiem tacie nawet o fałszywych dokumentach – dodałem.

Zerknęła na mnie z ukosa, otwierając zapalniczkę z charakterystycznym brzękiem.

Szybkim ruchem przypaliła papierosa i zaciągnęła się dymem.

– Kupić alkohol można dopiero w wieku dwudziestu jeden lat – powiedziałem. – Jak inaczej mogłybyście zamówić drinki?

Wypuściła dwie smugi dymu nosem jak gwiazda filmowa z dawnych czasów, ale nic nie odpowiedziała.

– Jako dzieciak fałszowałem dokumenty dla siebie i swoich kolegów – ciągnąłem. – Wykorzystywałem ciemnię w szkole. Niektórzy kumple zamawiali międzynarodowe legitymacje studenckie.

– Fascynujące.

– Dzisiaj pewnie jest łatwiej, skoro macie skanery, Photoshopa i tak dalej.

– Nie znam się na tym. Po prostu kupuje się dokument od znajomych.

Przeszliśmy do West Cedar wąską Acorn Street, którą wyłożono kamieniami brukowymi dawno temu wyciągniętymi z rzeki Charles. To była prawdziwa ulica, bardzo urokliwa, ale wątpiłem, żebym zmieścił się na niej land roverem. Poza tym bruk zniszczyłby zawieszenie.

– Dlaczego twój tata nie chciał, żebyś ze mną porozmawiała?

Wzruszyła ramionami.

– Nie masz pojęcia?

– A jak się panu wydaje? – spytała z goryczą. – Ponieważ jest senatorem. Wszystko kręci się wokół jego kariery.

– Córki senatorów nie mają prawa do dobrej zabawy?

Roześmiała się smutno.

– Z tego, co słyszałam, sam bardzo dobrze się bawił, zanim poznał mamę. – Zawiesiła głos dla większego efektu. – Zresztą potem też.

Zignorowałem tę uwagę. Nie byłem pewien, czy plotki są prawdziwe. Richard Armstrong miał nie lada reputację, i to wcale nie ze względu na swoją pracę ustawodawczą.

– Razem poszłyście do Pudła. – Długo czekałem na odpowiedź; pięć albo dziesięć sekund.

– Wypiłyśmy tylko kilka drinków – odrzekła w końcu.

– Alexa wyglądała na niezadowoloną? Wkurzoną na swoich rodziców?

– Nie bardziej niż zwykle.

– Wspominała coś o opuszczeniu domu, wyruszeniu w nieznane?

– Nie.

– Ma chłopaka?

– Nie – odparła Taylor z wrogością, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że to nie moja sprawa.

– Mówiła, że się czegoś boi? Albo kogoś? Kiedyś uprowadzono ją z parkingu...

– Wiem – przerwała mi z pogardą. – Tak się składa, że jestem jej najlepszą przyjaciółką.

– Czy obawiała się, że coś takiego może się powtórzyć?

Taylor pokręciła głową.

– Ale powiedziała, że jej tata dziwnie się zachowuje.

– Co to znaczy dziwnie?

– Jakby miał jakieś kłopoty? Naprawdę nie pamiętam. Byłam już wtedy lekko wstawiona.

– Dokąd pojechała po opuszczeniu Pudła?

– Skąd mam wiedzieć? Pewnie do domu.

– Razem wyszłyście z baru?

Zawahała się.

– Tak.

Wyraźnie kłamała, ale nie chciałem od razu jej tego wytknąć, żeby nie zniechęcić jej do dalszej współpracy.

– Czy coś się stało Lexie? – rzuciła nagle. – Czy pan coś wie? Spotkało ją coś złego?

Zatrzymaliśmy się na rogu Mount Vernon Street i zaczekaliśmy, aż para przechodniów znajdzie się poza zasięgiem słuchu.

– Być może – odpowiedziałem.

– Być może? Co to znaczy?

– To znaczy, że powinnaś mi o wszystkim opowiedzieć.

Rzuciła niedopałek na odkształcony ceglany chodnik, przydepnęła i wyciągnęła kolejnego papierosa z torebki.

– No dobrze, poznała faceta.

– Pamiętasz, jak się nazywał?

Pokręciła głową i zapaliła papierosa, niemal unikając mojego wzroku.

– To mógł być jakiś Hiszpan, nie pamiętam. Oni wszyscy noszą podobne imiona. Marco. Alfredo. Coś w tym stylu.

– Byłaś razem z nią, kiedy go poznała?

Widziałem, jak w głowie dokonuje serii obliczeń. Jeśli tak, to tak. Jeśli nie była z Alexą, to z jakiego powodu? Dokąd poszła? Gdy dwie dziewczyny idą do baru, prawie zawsze trzymają się razem. Nie prowadzą osobnych podbojów. Chronią się nawzajem, wysyłają do siebie sygnały, oceniają szanse. Owszem, czasami rywalizują o tego samego faceta, ale najczęściej działają jako zespół.

– Tak, ale było głośno i nie dosłyszałam jego imienia. Poza tym byłam już wtedy zalana i chciałam tylko wrócić do domu.

– Ten facet nie próbował cię podrywać?

Zmrużyła oczy. Odwołałam się do jej dumy.

– Był do niczego – odparła. – Totalnie go olałam.

– Wyszli razem? – spytałem.

Tak długo czekałem na odpowiedź, że zacząłem podejrzewać, iż mnie nie usłyszała. Gdy już miałem powtórzyć pytanie, odpowiedziała:

– Chyba tak. Sama nie wiem.

– Jak możesz nie wiedzieć?

– Wyszłam pierwsza.

Nie wytknąłem jej sprzeczności.

– Wróciłaś prosto do domu?

Pokiwała głową.

– Pieszko? – Louisburg Square znajdował się na pobliskim wzgórzu i nietrudno było tam dotrzeć, chyba że ktoś był nawalony i ubrany w szpilki.

– Taksówką.

– Alexa odzywała się do ciebie później tej samej nocy?

– Niby po co?

– Daj spokój, Taylor. Dokumentujecie każdą minutę swojego życia za pomocą SMS-ów i wiadomości na Facebooku. Informujecie o tym, że właśnie myjecie zęby. Chcesz mi powiedzieć, że nie napisała do ciebie „Jestem w mieszkaniu tego gościa” albo czegoś w tym rodzaju?

Ponownie przewróciła oczami, spoglądając na mnie z pogardą.

– Nie odzywała się do ciebie, odkąd wyszłaś z Pudła wczoraj wieczorem?

– Zgadza się.

– Próbowełaś do niej dzwonić?

Pokręciła głową.

– Esemesowałaś do niej?

Znów pokręciła głową.

– Nie chciałaś się dowiedzieć, jak jej minęła noc? Myślałem, że jesteście najlepszymi przyjaciółkami.

Wzruszyła ramionami.

– Rozumiesz, że jeśli mnie okłamujesz albo coś ukrywasz, możesz narażać życie swojej przyjaciółki?

Pokręciła głową i zaczęła się oddalać wzdłuż ulicy.

– Niczego nie słyszałam – rzuciła, nawet się nie oglądając.

Intuicja podpowiadała mi, że to prawda. Jednak Taylor z pewnością coś ukrywała. Poczucie winy biło od niej jak blask od neonu. Może nie chciała wyjść na złą przyjaciółkę. Może sama zostawiła Alexę jakiemuś przystojniakowi.

Zadzwoiłem do Dorothy.

– Jakies postępy w namierzaniu telefonu Alexy?

– Nic nowego. Będziemy potrzebowali pomocy jakiegoś przedstawiciela władz, Nick. Inaczej nie da rady.

– Mam pomysł – odrzekłem.

Kiedy twoja praca wymaga kontaktu z tajnymi informacjami, tak jak jest w moim przypadku, uczysz się potęgi sekretu. Wiesz, że może ci on dać przewagę, a nawet kontrolę nad drugim człowiekiem, na szkolnym korytarzu albo w Kongresie, w sali posiedzeń, pokoju nauczycielskim bądź na torze wyścigów konnych.

Większość tajemnic zachowuje się, żeby ukryć zbrodnie, nadużycia lub porażki. Mogą one zniszczyć komuś karierę albo pogrążyć wroga i nieraz posłużyły do obalenia światowych przywódców. W Waszyngtonie twoja pozycja zależy od tego, ile znasz sekretów, gdyż w tej krainie to one są prawdziwą walutą.

Nadszedł czas wydać nieco tej waluty.

Kiedy pracowałem w Stoddard Associates w Waszyngtonie, realizowałem zlecenie dla pewnego kongresmena z Florydy, który toczył brzydką walkę o reelekcję. Jego przeciwnik zdobył kopię umowy wynajmu mieszkania w Sarasocie, w którym kongresmen utrzymywał kochankę, hostessę z Hooters. Ta wiadomość zaszokowałaby jego żonę, matkę ich sześciorga dzieci, i zadała potężny cios politykowi, zwłaszcza biorąc pod uwagę nacisk, jaki kładł na wartości rodzinne. Zabrałem się więc do sprzątnięcia i obciążające dokumenty wkrótce straciły wartość. Hostessa znalazła nową pracę w Pensacoli. Właściciel mieszkania zaprzeczył, aby kiedykolwiek wynajmował je mojemu klientowi, i uznał umowę za sfałszowaną. Kongresmen bez trudu wygrał wybory.

Nie byłem z tego dumny. Jednak teraz wspomniany kongresmen zasiadał w Komisji Sądowej w Izbie Reprezentantów, która nadzoruje pracę FBI. Nie był mi winien żadnych przysług, gdyż sownie zapłacił za „badania” przeprowadzone przez Stoddard Associates, jednak wiedziałem o nim kilka rzeczy, co było jeszcze gorsze. Zadzwoiłem na jego osobistą linię i poprosiłem, żeby w moim imieniu skontaktował się z oddziałem terenowym FBI w Bostonie.

Powiedziałem, że muszę porozmawiać z kimś wysokim rangą. I to natychmiast.

...

Na Cambridge Street, naprzeciwko siedziby FBI, właśnie zwalniało się miejsce parkingowe, co zdarzało się równie rzadko jak zaćmienie Słońca. Zatrzymałem się na

ulicy i czekałem, aż kobieta w buicku, która właśnie uruchomiła silnik, wyjedzie z parkingu.

Jednak wcale się jej nie śpieszyło. Najpierw poprawiła szminkę na ustach, a potem do kogoś zadzwoniła. Dałem jej jeszcze dziesięć sekund, po czym się poddałem.

Tymczasem zadzwoniłem do Marcusa.

– Marshall, co ci powiedziała policja?

– Policja? No wiesz, jak zwykle nic konkretnego. Jeśli Alexa nie pojawi się do północy, mogę złożyć zawiadomienie o zaginięciu.

– Nie będziemy czekać.

– Masz coś nowego?

– Nie – odpowiedziałem beznamiętnie. – Powiadomię cię, gdy tylko czegoś się dowiem.

Dałem spokój kobiecie w buicku i ruszyłem dalej.

Bostońska siedziba FBI znajduje się przy One Center Plaza i stanowi część ohydneho kompleksu budynków Rządowego Centrum, które niektórzy architekci wychwalają jako „imponujące”, większość bostończyków zaś uważa za skazę, betonową bliznę na obliczu naszego pięknego miasta. Jedyna pozytywna rzecz, którą można powiedzieć o Rządowym Centrum, to że kiedyś stało się inspiracją dla niezłego kawałka protopunkowego zespołu Modern Lovers.

Kiedy wyszedłem z windy na szóstym piętrze, zobaczyłem na ścianie potężną złotą pieczęć FBI oraz plakat z dziesiątką Najbardziej Poszukiwanych. W niewielkiej poczekalni znajdowały się bramka wykrywacza metalu oraz przenośne urządzenie rentgenowskie do prześwietlania bagażu, z których nikt nie korzystał. Dwie recepcjonistki siedziały za kuloodporną szybą.

Wsunąłem swoje prawo jazdy w otwór przypominający ten w bankowym okienku, a recepcjonistki poprosiły, żebym oddał telefon. W zamian wręczyły mi odznakę z czerwonym napisem „Wymagana osoba towarzysząca”.

Jedna z kobiet za szkłem powiedziała coś do słuchawki, a następnie poinformowała mnie, że za kilka minut ktoś do mnie wyjdzie.

Czekałem. Mogłem patrzeć tylko na przekrzywione zdjęcie prezydenta wiszące na ścianie oraz zbiór ulotek zachwalających pracę w FBI. Żadnych czasopism i gazet. Bez swojego telefonu nie mogłem sprawdzić e-maili ani do nikogo zadzwonić.

Czekałem dalej.

Po upływie pół godziny wróciłem do kobiety za szybą i zapytałem, czy o mnie zapomniano. Przeprosiła i zapewniła, że tak się nie stało, ale nie podała żadnego wyjaśnienia.

Kiedy musisz czekać dziesięć albo piętnaście minut, zapewne przedłuża się zebranie. Kiedy miną trzy kwadranse, ktoś wysyła ci wiadomość.

Spędziłem w poczekalni niemal godzinę, zanim pojawił się facet z FBI.

Nie tego się spodziewałem. Wszedł do mnie potężny gość, który wyglądał jak stały bywalec siłowni. Na głowie miał łysinę z gatunku tych, które wymagają mnóstwa zachodu, starannego golenia i woskowania. Nosił podróbkę rolexa, szary garnitur

z przykrótkimi rękawami, białą koszulę, która cisnęła go pod szyją, oraz zwykły krawat w paski.

– Pan Heller? – odezwał się grzmiącym głosem. – Nazywam się Gordon Snyder.

Podał mi dłoń, wielką i skórzastą jak stara rękawica do baseballu, i zdecydowanie za mocno ścisnął.

– Asystent agenta specjalnego prowadzącego – dodał.

To oznaczało, że jest jednym z najważniejszych ludzi w bostońskim oddziale FBI i podlega bezpośrednio agentowi specjalnemu prowadzącemu. Mój rozwiązyły kongresmen z Sarasoty dobrze się spisał.

Snyder otworzył drzwi i poprowadził mnie białym korytarzem do swojego gabinetu. Znużona sekretarka nawet nie podniosła wzroku znad komputera. Z dużego pomieszczenia rozciągał się widok na Cambridge Street. Długie biurko, dwa monitory, duży płaski telewizor z wyłączonym dźwiękiem, nastawiony na CNN. Okrągły stół konferencyjny z przeszklonym blatem i czerwona kanapa z imitacji skóry. Po obu stronach biurka flagi – amerykańska oraz jasnobłękitna FBI. Krótka mówiąc, gabinet jak z katalogu.

Snyder usiadł za idealnie czystym biurkiem i lekko się zgarbił.

– Z tego, co wiem, obecnie pracuje pan w prywatnym sektorze, panie Heller.

– Zgadza się. – Zapewne w ten niezbyt subtelny sposób dał mi znać, że czytał moją teczkę.

– Co mogę dla pana zrobić?

– Pomagam przyjacielowi w poszukiwaniach córki – odrzekłem.

Zmarszczył czoło ze współczuciem.

– Jak dziewczynka się nazywa?

– Alexa Marcus.

Pokiwał głową. Jej nazwisko nic mu nie mówiło.

– Jej ojcem jest Marshall Marcus, bostoński przedsiębiorca z branży funduszy hedgingowych.

– Ile ona ma lat?

– Siedemnaście.

Ponownie pokiwał głową i wzruszył ramionami.

– A dlaczego powinno się tym zająć FBI?

– Zważywszy na bogactwo i pozycję jej ojca...

– Została porwana?

– Prawdopodobnie.

– Czy pojawiło się żądanie okupu?

– Jeszcze nie. Ale biorąc pod uwagę okoliczności oraz jej przeszłe doświadczenia...

– Więc ojciec obawia się, że jego córka mogła zostać porwana.

W wyrazie twarzy Snydera było coś dziwnego. Patrzył na mnie z tak przesadnym zaskoczeniem, że było to niemal komiczne. A może sardoniczne.

– Hm, zastanawia mnie, panie Heller, dlaczego nie skontaktowała się z nami bostońska policja.

– Z pewnością powinni byli to zrobić.

– No właśnie. Zazwyczaj od tego zaczynają w podobnych sprawach. Porwania to zadanie dla FBI. Ciekawe, dlaczego tym razem tego nie zrobili.

Wzruszyłem ramionami.

– Niezależnie od przyczyny, gdyby mogli państwo załatwić namierzenie jej telefonu...

Jednak Snyder jeszcze nie skończył.

– Zastanawiam się, czy przypadkiem nie milczą dlatego, że nikt nie powiadomił ich o zaginięciu dziewczynki – rzekł z delikatnym naciskiem. – Czy według pana to możliwe? – Splótł dłonie, opuścił wzrok na biurko, po czym ponownie na mnie popatrzył. – Marshall Marcus wcale do nich nie zadzwonił. Ciekawe, prawda? Można by się spodziewać, że będzie błagał policję i FBI o zlokalizowanie jego córki, czyż nie? Gdyby chodziło o moją córkę, nie czekałbym dwóch sekund. A pan? – Wbijał we mnie przeszywający wzrok, a jego górna warga wykrzywiła się z niesmakiem.

– Zadzwonił na policję – powtórzyłem. – Dwie godziny temu. Może jeszcze nie wprowadzono zgłoszenia do systemu.

Snyder pokręcił głową.

– To się nie zdarza – odparł stanowczo.

– Macie niepełne informacje.

– Wiemy wszystko o Marcusie. Wiemy z całą pewnością, że ani on, ani jego żona nie zadzwonili na policję. Na pewno nie z żadnej ze swoich czterech domowych linii telefonicznych. Ani z jego dwóch komórek. Ani z komórki żony. Ani z żadnego ze stacjonarnych telefonów w siedzibie Marcus Capital.

Nic nie odpowiedziałem.

Agent posłał mi długie, ponure spojrzenie.

– Tak jest, od dłuższego czasu nakazem sądu obserwujemy Marshalla Marcusa. O czym z pewnością wie. Czy to on tutaj pana przysłał, panie Heller?

Gordon Snyder miał małe, głęboko osadzone oczy, które przypominały paciorkowate oczy owada.

– Niech pan nie zaprzecza, że dziś rano spotkał się pan z Marcusem w jego domu w Manchesterze. Czy to dlatego pan tutaj przyjechał? Działa pan w jego imieniu? Chce pan sprawdzić, co na niego mamy?

– Przyjechałem, ponieważ życie jego córki może być zagrożone.

– Czy to ta sama dziewczyna, którą odesłano do zakładu poprawczego z powodu powtarzających się problemów wychowawczych w prywatnej szkole?

Staralem się panować nad głosem, ale z trudem mi to przychodziło.

– Zgadza się. Po tym, jak ją uprowadzono. Coś takiego może pomieszać człowiekowi w głowie. Nic pan nie rozumie. Jesteśmy po tej samej stronie.

– Pracuje pan dla Marcusa, czy tak?

– Tak, ale...

– W takim razie jesteśmy po przeciwnych stronach. Jasne?

Alexa czuła, że jej serce coraz szybciej tłucze się w piersi. Mogła je usłyszeć. W straszliwej ciszy, w której słyszała nawet odgłos zamykanych powiek, bicie serca było jak dźwięk bębna. Czuła jednocześnie dokuczliwe gorąco oraz przeszywający ziąb, od którego zaczęła dygotać.

– Słyszysz mnie, Alexo, prawda? – odezwał się metaliczny głos.

Napływ kwasu podrażnił jej przełyk. Zakrztusiła się, czując, że zaraz wypluje żołądek. Odrobina wymiocin spłynęła na jej wilgotną koszulę, reszta wróciła do przełyku.

Musiała usiąść, żeby opróżnić usta, ale nie potrafiła. Nie mogła podnieść głowy na wyżej niż kilka centymetrów. Nawet nie mogła przewrócić się na bok. Była uwięziona.

Nie mogła się poruszyć.

A teraz krztusiła się wymiocinami, które spłynęły jej do gardła.

– Proszę, uważaj na siebie – rzekł głos. – Nie będziemy mogli otworzyć trumny, jeśli coś ci się stanie.

– Trumny... – westchnęła.

– Nie musisz umrzeć. Nie chcemy tego. Pragniemy tylko nakłonić twojego ojca do współpracy.

– Ile pieniędzy chcecie? – wyszeptała. – Powiedzcie mi, czego potrzebujecie, a mój ojciec wam to da.

– Dlaczego uważasz, że chcemy pieniędzy, Alexo? A nawet gdyby tak było, to twój ojciec niczego nie ma.

– Mój ojciec jest... ma obrzydliwie dużo pieniędzy. Może zapłacić, ile zechcecie. Da wam wszystko, co ma, jeśli tylko mnie wypuścicie, błagam.

– Alexo, musisz mnie teraz bardzo uważnie wysłuchać, ponieważ zależy od tego twoje ocalenie.

Przełknęła ślinę. Miała ściśnięte gardło.

– Słucham – szepnęła.

– Nie słyszę cię.

Spróbowała odezwać się głośniej.

– Słu... słucham.

– To dobrze. Alexo, już ci powiedziałem, jak masz się wypróżnić. Teraz porozmawiamy o oddychaniu. W porządku? Słuchasz mnie?

Zadrżała i jęknęła.

– Proszę...

– Musisz wiedzieć, że w twojej trumnie jest powietrze, ale niezbyt dużo.

– Niezbyt... dużo? – wyszeptała.

– Słuchaj uważnie. Gdybyśmy po prostu wsadzili cię do trumny, zapieczętowali ją i zakopali, nie przeżyłabyś nawet pół godziny. Ale my wiemy, że to za mało czasu.

Gdy usłyszała słowo „zakopali”, przygryzła dolną wargę, tak mocno, że poczuła strużkę krwi.

– Zakopali? – szepnęła.

– Tak. Znajdujesz się w stalowej trumnie głęboko pod ziemią. Jesteś pogrzebana pod trzema metrami ziemi. Alexo, zostałeś pogrzebana żywcem. Ale z pewnością już o tym wiesz.

Coś wybuchło w jej mózgu: jaskrawe iskry. Zaczęła wrzeszczeć i chociaż miała tak zdarte struny głosowe, że z jej ust wydobyło się tylko rzężenie, w ciemności i całkowitej ciszy zabrzmiało ono niezwykle donośnie.

Za wycieraczką land rovera tkwił fluorescencyjny mandat za niewłaściwe parkowanie. Cholerny Snyder. Gdyby nie bawił się ze mną i nie kazał mi tak długo czekać, zdążyłbym przed upływem opłaconego czasu. Miałem ochotę wysłać mu rachunek.

Wyjąłem telefon, żeby zadzwonić do Marcusa, ale nagle usłyszałem za sobą kobiecy głos:

– Nico?

Przezwiseko, którego już prawie nikt nie używał, poza kilkoma osobami, które dawno temu znałem w Waszyngtonie.

Wyczułem ją, może nawet węchem, zanim dotknęła mojego ramienia.

– Diano? – powiedziałem, nawet się nie oglądając.

– Widzę, że nadal jeździsz defenderem. To mi się podoba. Nie zmieniasz się, prawda?

– Cześć – odrzekłem i ją uściskałem. Przez chwilę nie wiedziałem, czy pocałować ją w usta – w końcu te czasy już dawno minęły – ale nadstawiła policzek. – Świetnie wyglądasz.

Nie kłamałem. Diana Madigan miała na sobie obcisłe dzinsy i brązowe kowbojki oraz szmaragdowozieloną bluzkę, która podkreślała kształt piersi i kolor niesamowitych bladozielonych oczu. Według statystyk zielone oczy ma niecałe dwa procent populacji.

Jednak nie tylko to było w niej wyjątkowe. Nigdy nie spotkałem drugiej takiej kobiety. Była twarda, pełna empatii i elegancka. Do tego piękna. Miała jędrne i gibkie ciało oraz bujne kręcone włosy, które podlegały własnym prawom fizyki. Były miodowobrazowe z kasztanowymi cieniami. Nos Diany był duży, a zarazem delikatny z lekko rozszerzonymi nozdrzami. O mijającym czasie świadczyły tylko delikatne zmarszczki wokół oczu.

Nie widzieliśmy się od pięciu albo sześciu lat, odkąd przenieśli ją z biura terenowego FBI w Waszyngtonie do Seattle, a Diana stwierdziła, że nie interesuje jej związek na odległość. Nie łączyły nas silne więzi – co prawda nie byliśmy tylko przyjaciółmi, którzy czasem ze sobą sypiali, ale nasza relacja była wolna od presji i oczekiwań. To nie był narkotyk, który mógłby doprowadzić do długotrwałego uzależnienia. Sama tego

chciała, a ja, zważywszy na to, jak długo pracowałem i jak często podróżowałem, chętnie przystałem na taki stan rzeczy. Po prostu cieszyliśmy się swoim towarzystwem.

Jednak kiedy Diana zadzwoniła i poinformowała mnie, że przeniosła się do Seattle, po początkowym zaskoczeniu poczułem się zraniony. Zależało mi na niej i dziwiłem się, że ona nie czuje tego samego. Nie przywykłem do sytuacji, że kobiety ode mnie odchodzą, ale tutaj nie chodziło tylko o męskie ego. Byłem rozczarowany, że tak źle odczytałem jej intencje. Do tamtej chwili zawsze uznawałem umiejętność czytania innych ludzi za jeden ze swoich talentów.

Diana, w odróżnieniu od wielu kobiet, nigdy nie nalegała na poważne rozmowy. Pod tym względem pasowaliśmy do siebie emocjonalnie. Dlatego uznałem nasz związek za zawieszony.

Jednak nierozwiązane sprawy zawsze nie dają mi spokoju.

– Dobrze wiesz, że wyglądam jak wrak człowieka – odparła. – Właśnie wyszłam z nocnej zmiany i wracam do domu.

– Od kiedy pracujesz na nocną zmianę?

– Przez całą noc esemesowałam do zboczeńców, udając czternastoletnią dziewczynkę.

– Naprawdę? Co za zbieg okoliczności. Ja też.

– Ten zbok ma pięćdziesiąt jeden lat – ciągnęła, ignorując moją uwagę. Nigdy nie żartowała ze swojej pracy. – Umówiliśmy się w motelu w Everett. Faceta czeka niespodzianka.

– Więc wciąż pracujesz w CARD?

– Trudno uwierzyć, prawda?

Pod tym skrótem kryła się jednostka szybkiego reagowania w sprawach porwań dzieci. To było przygnębiające zajęcie. Nigdy nie wiedziałem, jak wytrzymuje to wszystko, czego doświadczała. Spodziewałem się, że już dawno się wypaliła.

Nie nosiła obrączki i mogłem tylko zakładać, że nie ma dzieci. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek się na nie zdecyduje, skoro widziała, co je spotyka.

– Może podwieźć cię do domu? – zaproponowałem.

– Skąd wiesz, że nie mam tutaj samochodu?

– Ponieważ zostawiłabyś go na podziemnym parkingu jak wszyscy pracownicy FBI. Poza tym trzymałabyś kluczyki w lewej dłoni. Nie zapominaj, że cię znam.

Odwróciła wzrok. Czyżby się zawstydzila? Nie byłem w stanie odczytać jej emocji. Jak zawsze pod tym względem działała na mnie obezwładniająco.

– Mieszkam w South End. Zamierzałam pojechać komunikacją miejską.

Otworzyłem drzwi po stronie pasażera.

– Więc teraz następna zmiana zajmie się esemesowaniem do twoich zboczeńców? – spytałem.

– Nie możemy tego robić – odparła Diana. – Podejrzani czasami wyczuwają zmianę. Nawet w krótkich wiadomościach można wyczytać drobne niuanse tonu i rytmu.

Gdy jechaliśmy, poczułem delikatną woń jej perfum. Nigdy nie czułem takiego zapachu u innej kobiety: róża, fiołek i cedr, wyszukana mieszanka, która zapadała w pamięć i nie dawała spokoju.

Neurologzy twierdzą, że nic nie stanowi tak skutecznej furtki do przeszłości jak zapachy. Najwyraźniej nerw węchowy pobudza układ limbiczny w naszym mózgu, gdzie są przechowywane długoterminowe wspomnienia.

Perfumy Diany wywołały powódź wspomnień. Przeważnie szczęśliwych.

– Od jak dawna jesteś w Bostonie? – spytałem.

– Od nieco ponad roku. Dowiedziałam się, że być może tutaj mieszkasz. Stoddard wysłał cię, żebyś otworzył filię?

– Nie, działałam na własną rękę. – Wyobraziłem sobie, że wypytywała o mnie, i powstrzymałem uśmiech.

– Podoba ci się?

– Byłoby idealnie, gdyby szef nie był taki uparty.

Roześmiała się ze smutkiem.

– Nick Heller, pracownik idealny.

– Powiedziałaś Pembroke Street, tak?

– Zgadza się. Skręć z Columbus Avenue. Dzięki.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Przykro mi z powodu Ćwieka – rzekła.

– Ćwieka?

– Gordona Snydera. Ćwiek to jego przydomek z dzieciństwa. Przez całe życie stara się, żeby ludzie o tym zapomnieli.

– Ćwiek?

– Nie mów mu, że wiesz o tym ode mnie. Obiecujesz?

– Wymyśliłbym dla niego kilka lepszych przezwisk niż Ćwiek – odpowiedziałem. –

Żadne z nich nie byłyby przyjemne. Skąd wiesz, że się z nim spotkałem?

Wzruszyła ramionami.

– Widziałam, jak wypadłeś z budynku. Wyglądało na to, że niezbyt dobrze ci poszło.

– Zdradził ci, o czym rozmawialiśmy?

– Jasne.

Zastanawiałem się, czy za mną wyszła. Może to spotkanie nie jest przypadkowe.

Może dowiedziała się, że jestem w budynku, i chciała się przywitać.

Może tylko na tym jej zależało.

Umieściłem kolejną notatkę w teczce podpisanej „MADIGAN, DIANA”.

– Dlaczego tak się wziął na Marshalla Marcusa? – spytałem.

– Marcus to jego wielki biały wieloryb.

– Ale dlaczego?

– Dla takich facetów jak on im bardziej nieuchwytny cel, tym większa obsesja. To może ci się wydać znajome, Nico.

Jeszcze jak, pomyślałem.

– Wyglądało na to, że znacznie bardziej zależy mu na załatwieniu Marcusa niż na znalezieniu jego córki.

– Może dlatego, że zajmuje się przestępstwami finansowymi.

– Aha.

– Muszę przyznać, że nie rozumiem, po co spotkałeś się z szefem wydziału przestępstw finansowych, skoro szukasz zaginionej dziewczynki.

Również zaczynałem się nad tym zastanawiać.

– Takie nazwisko mi podano.

– Marshall Marcus to twój przyjaciel?

– Przyjaciel rodziny.

– Twojego ojca?

– Moja matka dla niego pracowała – wyjaśniłem. – Poza tym lubię jego córkę.

– Jak dużo o nim wiesz?

– Pewnie za mało. Widzę, że sprawdzacie go z jakiegoś powodu. A co ty możesz mi o nim powiedzieć?

– Niewiele.

– Ponieważ niewiele wiesz, czy dlatego, że jest pod lupą FBI?

– Ponieważ to tajne dochodzenie, a ja znajduję się po drugiej stronie barykady.

Zatrzymałem się przy wąskiej kamienicy z łukowatym frontem, stając przed wolnym miejscem, na którym spokojnie zmieściłby się land rover.

- Jeszcze raz dziękuję – powiedziała, otwierając drzwi.
- Zaczekaj. Muszę cię prosić o przysługę.
- Słucham.
- Sądziś, że mogłabyś złożyć wniosek o namierzenie komórki Alexy Marcus?
- To... trochę skomplikowane. Nie jest łatwo zrobić coś za plecami Snydera.

Dlaczego myślisz, że coś jej się stało?

Właśnie miałem odpowiedzieć, gdy nagle Diana się rozejrzała.

– Jeśli chcesz, możesz na chwilę wejść i wszystko mi wyjaśnić – zaproponowała.

Wzruszyłem ramionami, udając obojętność.

– Cholera, szkoda byłoby marnować takie dobre miejsce parkingowe – odrzekłem.

Jej mieszkanie na pierwszym piętrze nie było bardzo duże. Miało najwyżej sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt metrów kwadratowych. A jednak nie wydawało się ciasne, tylko luksusowe, bogate i pełne charakteru. Część ścian pomalowano na różne odcienie czekoladowego brązu, inne na ziemiste kolory. Wyposażenie mieszkania wyglądało, jakby kupiono je na pchlim targu. Jednak każdy mebel, przedmiot, dziwna żelazna lampa, ozdobna poduszka czy miedziana ramka do zdjęć zostały starannie wybrane.

Diana skierowała mnie na tapicerowaną narożną sofę, a sama zabrała się do parzenia kawy – ze świeżo zmielonych ziaren, w dzbanku z filtrem – po czym podała ją w dużym kubku, który wyglądał na ręcznie malowany. Kawa była ciemna i mocna, wręcz idealna. Jednak Diana sama jej nie piła, ponieważ niedługo musiała się położyć. Przyniosła sobie szklanekę gazowanej wody z odrobiną soku z limonki.

W tle cicho brzmiała muzyka, prosta, wpadająca w ucho melodia grana na gitarze, łagodna, o lekko synkopowanym rytmie. Przytłumiony kobiecy głos śpiewał po portugalsku, a potem po angielsku dźwięczną piosenkę o patyku i kamieniu, kawałku szkła, końcu rozpaczy i radości w sercu.

Przyjemny głos właśnie śpiewał po portugalsku: *É pau, é pedra, é o fim do caminho... um pouco sozinho*. Nie wiedziałem, co znaczą te słowa, ale podobało mi się ich brzmienie.

– Kto to śpiewa? – spytałem. Diana zawsze uwielbiała Ellę Fitzgerald i Billie Holiday, Ninę Simone i Judy Collins. Same sławy, a każda inna.

– Susannah McCorkle. *The Waters of March*. Niezwykła wersja, prawda? Im dłużej jej słuchasz, tym więcej warstw odkrywasz. Początkowo jest swobodna i przyjemna, a potem staje się coraz głębsza i smutniejsza.

Mruknąłem potakująco.

Kiedy kobieta zaprasza cię do siebie, zazwyczaj wiadomo, czego możesz się spodziewać. Ale nie w tym przypadku. Oboje staliśmy się kimś innym. Byliśmy dla siebie tylko przyjaciółmi, bez opcji okazjonalnego seksu.

Miałem mnóstwo znajomych. Ale tylko jedną Dianę.

Fakt, że zostaliśmy przyjaciółmi, nie zmienił tego, co do niej czułem. Nie uczynił jej mniej atrakcyjną. Nie sprawił, że przestałem obserwować ją od tyłu i podziwiać wygiętą talię łączącą się z kształtnym tyłkiem. Nie zmniejszył mojego podziwu i fascynacji jej osobą. Nie osłabił jej magnetyzmu.

Psiakrew, jakby emitowała jakieś przyciągające promienie. To niesprawiedliwe.

Jednak przyszliśmy tutaj, żeby porozmawiać o Aleksie Marcus, a ja postanowiłem za wszelką cenę uszanować domyślne granice. Przekazałem Dianie wszystko, co wiedziałem o zniknięciu dziewczyny, a także o Taylor Armstrong, jej najlepszej przyjaciółce.

– Przykro mi, ale Snyder ma rację – odrzekła. – Nie minęło jeszcze nawet dwanaście godzin, prawda? Spotkała chłopaka, pojechała z nim do domu, a teraz odsypia noc w jakimś akademiku. To bardzo możliwe.

– Owszem, możliwe. Ale mało prawdopodobne.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, dziewczyny w jej wieku nie znikają bez śladu. Skontaktowałyby się ze znajomymi. One ciągle do siebie esemesują. Stukają w klawiatury komórek jak protokolantki.

– Żyje pod kloszem i w niepewnej sytuacji rodzinnej, więc sprawdza granice – stwierdziła Diana. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami w wyściełanym fotelu ustawionym pod kątem prostym do kanapy z tego samego zestawu. Zdjęła kowbojki. Paznokcie u nóg miała pomalowane na brunatnoczerwono. Jej makijaż ograniczał się do błyszczycy do ust. Miała półprzezroczystą skórę. Pociągnęła długi łyk gazowanej wody z odjazdowej niebieskiej szklanki z dmuchanego szkła.

– Chyba sama w to nie wierzysz – odparłem. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę to, czym się zajmujesz.

Kształt jej ust stopniowo się zmienił, tak nieznacznie, że trzeba było dobrze ją znać, żeby to zauważyć.

– Masz rację – przyznała. – Przepraszam. Bawiłam się w adwokata diabła. Może starałam się zobaczyć sytuację z perspektywy Snydera. Zważywszy na to, co ta dziewczyna przeżyła... mówię o próbie porwania kilka lat temu... raczej nie pojedzie do domu obcego faceta, niezależnie od tego, jak bardzo jest pijana. Już zawsze będzie ostrożna.

– To nie była próba porwania – zauważyłem. – Została uprowadzona, a potem wypuszczona.

– I nigdy nie dowiedzieli się, kto to zrobił?

– Właśnie.

– Dziwne, co nie?

– Bardzo.

– Nie było żądania okupu?

– Nie.

– Po prostu... zabrali ją, powozili przez kilka godzin, a potem uwolnili? Takie ryzyko bez żadnego zysku?

– Na to wygląda.

– Wierzysz w to?

– Nie mam powodu, żeby wątpić. Dużo o tym rozmawiałem z Alexą.

Rozparła się w fotelu i popatrzyła na sufit. Miała ostro zarysowaną linię szczęki i łabędzią szyję.

– Czy dowiedziałyby się, gdyby jej ojciec potajemnie zapłacił okup, ale nie chciał tego ujawnić?

Diana była sprytna. Już zapomniałem, jak bardzo.

– Może nie, gdyby Marcus miał powód, żeby trzymać to w tajemnicy. Ale nigdy nie odniosłem takiego wrażenia.

– Może nie mówi ci wszystkiego.

– Może to ty coś ukrywasz.

Odwrociła wzrok. A więc się nie pomyliłem.

– Muszę działać bardzo ostrożnie – powiedziała w końcu.

– Rozumiem. – Upiłem kolejny łyk i odstawiłem kubek na stary, ozdobnie rzeźbiony stolik z podniszczonego drewna tekowego.

– Wiem, że mogę liczyć na twoją dyskrecję.

– Jak zawsze.

Wydawało się, że skupia wzrok na jakimś dalekim obiekcie. Jej źrenice przesuwają się w dół i w prawo, co oznaczało, że o czymś rozmyśla. Czekałem. Gdybym za mocno naciskał, zamknęłyby się w sobie.

Odwrociła się w moją stronę.

– Wiesz, że nigdy bym nie ujawniła tajnych informacji dotyczących toczącego się dochodzenia, i nie mam zamiaru tego zmieniać. Żadnych przecieków, żadnych przysług. Nie pracuję w ten sposób.

– Wiem.

– A więc spekuluje się, że Marshall Marcus pierze brudne pieniądze dla bardzo złych ludzi.

– Pierze pieniądze? To absurd. Facet jest miliarderem. Nie musi tego robić. Może obraca funduszami podejrzanych klientów, ale to nie to samo, co pranie brudnych

pieniędzy.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu przekazuję ci, co słyszałam. Muszę cię także ostrzec: Gordona Snydera lepiej nie mieć wśród wrogów.

– Niektórzy mówią to samo o mnie.

– To prawda. Ale... uważaj na tego faceta. Jeśli uzna, że mu bruździsz, spróbuje cię dopaść.

– Czyżby?

– Nie złamie prawa. Ale zbliży się do granicy. Wykorzysta wszystkie prawne narzędzia. Nie uznaje przeszkód.

– Czuję się ostrzeżony.

– To dobrze. Masz jakieś zdjęcie Alexy?

– Jasne. – Sięgnąłem do kieszeni na piersi, gdzie trzymałem jedną z fotografii, które dał mi Marcus. – Ale po co ci ono?

– Muszę zobaczyć jej twarz.

Podeszła i usiadła obok mnie na kanapie, a moje serce szybciej zabiło, gdy poczułem ciepło jej ciała. Rozbrzmiewała kolejna piosenka: zapadająca w pamięć ballada *My Father* w wykonaniu Judy Collins. Wręczyłem Dianie zdjęcie Alexy ubranej w strój do hokeja na trawie, z blond włosami ściągniętymi opaską, zaczerwienionymi policzkami i zdrowo lśniącymi niebieskimi oczami.

– Ładna – stwierdziła Diana. – Wygląda na zadziorną.

– Bo taka jest. Ostatnie kilka lat nie było łatwe.

– Siedemnaście lat to trudny wiek. Sama go nienawidziłam.

Diana rzadko mówiła o swoim dorastaniu; wspominała jedynie, że wychowała się w Scottsdale w Arizonie, gdzie jej ojciec, komendant policji, zginął na służbie, gdy była nastolatką. Wtedy matka przeprowadziła się z nią do Sedony i otworzyła sklep z biżuterią New Age i kryształami.

Zauważyłem, że Diana lekko się do mnie przysunęła.

– Poznaję tę koszulę – powiedziała. – Czy to nie prezent ode mnie?

– Zgadza się. Od tamtej pory jej nie zdejmuję.

– Stary dobry Nico. Jesteś jedynym stałym punktem odniesienia w zmieniających się czasach.

– To z Sherlocka Holmesa, prawda?

Obdarzyła mnie jednym ze swoich zagadkowych uśmiechów.

– No dobrze, złożę wniosek do AT&T. Znajdę sposób, żeby go przeforsować.

– Doceniam to.

– Nie chodzi o ciebie. Ani o nas. Robię to ze względu na dziewczynę. Alexa Marcus jest niepełnoletnia i możliwe, że wpadła w tarapaty, a to mi wystarczy.

– Zatem teraz to oficjalnie sprawa dla FBI?

– Niekoniecznie. Przynajmniej jeszcze nie. Ale jeśli będę mogła ci jakoś pomóc, to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Dzięki. – Zapadła długa, niezręczna cisza. Żadne z nas nie miało w zwyczaju rozpamiętywać nieporozumień ani rozdrapywać uczuciowych ran. Jednak oboje słyneliśmy z bezceremonialności, a skoro już znaleźliśmy się sami w jej mieszkaniu, to trudno o lepszą okazję do poruszenia tematu, którego jak dotąd oboje staraliśmy się unikać.

– Dlaczego... – zacząłem, ale zaraz umilkłem. Zamierzałem spytać: „Dlaczego mi nie powiedziałaś, że wysłano cię do Bostonu?”, lecz nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak wyrzut, więc zamiast tego rzekłem: – I wzajemnie. Jeśli kiedyś będziesz czegoś potrzebowała, możesz na mnie liczyć. Pojawię się na twoim progu jak paczka od kuriera.

Uśmiechnęła się i spojrzała na mnie, a gdy tylko popatrzyłem w te zielone oczy i poczułem na twarzy jej oddech, natychmiast przywarłem ustami do jej warg. Były ciepłe i miękkie, smakowały limonką, a ja nie mogłem się powstrzymać przed ich zbadaniem.

Rozdzwonił się telefon.

Niemal odruchowo opuściłem dłonie na jej biodra i zapewne jako pierwszy poczułem wibrowanie jej telefonu BlackBerry.

Diana się odsunęła.

– Zaczekaj, Nico – powiedziała, wydając aparat z etui na pasku.

Przez chwilę uważnie słuchała.

– Dobrze, zaraz będę.

– Co się stało?

– To mój zboczeniec – odparła. – Znów do mnie esemesował. Chyba nabrał podejrzeń. Chce zmienić godzinę spotkania. Muszę wrócić do pracy... Przykro mi.

– Mnie też.

Wstała i zaczęła szukać karty magnetycznej i kluczy do domu.

– Co my wyprawiamy, do cholery? – spytała, nie patrząc na mnie.

– Nie wiem, co wyprawiamy, ale...

– Dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś o jej iPhone – powiedziała.

– Odwiozę cię.

Nagle stała się niezwykle oficjalna. Pokręciła głową i odparła surowym głosem:

– Mam tutaj samochód.

Poczułem się tak, jakbym wyskoczył z sauny w półtorametrową śnieżną zaspę.

Pojechałem do Beacon Hill i zatrzymałem się na okrągłym podjeździe przed hotelem Graybar, ostatnim znanym mi miejscem pobytu Alexy.

Można by pomyśleć, że większość ludzi będzie się czuła nieswojo, nocując w budynku, gdzie kiedyś mieściło się więzienie. Jednak twórcy Graybar znakomicie się spisali przy przebudowie dawnego bostońskiego zakładu karnego. Niegdyś był to ponury olbrzym, czarny potwór, brudny i przepełniony, w którym wybuchały zamieszki owiane legendą. Gdy Roger i ja byliśmy dziećmi i mama wozila nas Storrow Drive obok więzienia, zawsze próbowaliśmy wypatrzeć więźniów w oknach cel.

Nie wierzę, że w budynkach gromadzi się negatywna energia, jednak właściciele dla pewności sprowadzili grupę buddyjskich mnichów, którzy spalili trochę liści szaławii i odśpiewali modlitwy, żeby oczyścić to miejsce ze złej karmy.

Jednak mnisi najwyraźniej nie byli zbyt dokładni, gdyż w recepcji negatywna energia była tak silna, że miałem ochotę wycelować w zarozumiałego bubka za biurkiem z dziewięciomilimetrowego półautomatu, żeby zwrócić jego uwagę. Facet rozmawiał ze swoją koleżanką o programie *Jersey Shore*, a w holu rozbrzmiewała ogłuszająca muzyka. Na szczęście broń zostawiłem w sejfie w gabinecie.

Odchrząknąłem.

– Czy ktoś mógłby zawołać Nadziego? Powiedzcie mu, że przyszedł Nick Heller. – Nadzi był szefem ochrony w hotelu.

Recepcjonista z ponurą miną podniósł swój telefon i coś do niego powiedział.

– Niedługo przyjdzie – oznajmił. Miał efektownie potargane włosy natarte dużą ilością żelu. Grzywka w połowie zasłaniała mu oczy. Nosił modny jednodniowy zarost. Był ubrany w czarny przyciasny garnitur ze zbyt krótkimi rękawami, z wysoko umieszczonymi otworami na rękawy i klapami szerokości centymetra. Wyglądał, jakby pożyczył go od dziecka.

Czekałem przy recepcji, podczas gdy on wrócił do dyskusji o bohaterach reality show oraz o filmie *W stanie zagrożenia*. Zauważył mnie kątem oka i ponownie odwrócił się w moją stronę.

– To może trochę potrwać – rzucił z rozdrażnieniem.

Przespacerowałem się po holu. Zobaczyłem szyld Pudła na tablicy umieszczonej na mosiężnym stojaku przed wiekową windą. Wjechałem na trzecie piętro i nieco się rozejrzałem. Na ceglanych ścianach wisiały płaskie telewizory; wszystkie pokazywały ten sam program na Fox News. Obok nich umieszczono zdjęcia portretowe sławnych osób – Jima Morrisona, Michaela Jacksona, O.J. Simpsona, Janis Joplin, Eminema, nawet nastoletniego Billa Gatesa. Chyba wszystkich poza moim ojcem.

Skórzane kanapy i wyściełane ławy. Bardzo długi bar. Światła w podłodze. Czarna żelazna balustrada otaczająca atrium znajdujące się na wysokości trzeciego piętra. Nocą to miejsce zapewne robiło duże wrażenie, jednak w bezlitosnym świetle dnia było nieciekawe i rozczarowujące, jak rekwizyty magika oglądane z bliska.

Zauważyłem sporo kamer, przeważnie standardowych lśniących czarnych kopuł rozmieszczonych pod sufitem. Kilka z nich zakamuflowano jako reflektory punktowe – można się było zorientować, gdyż „żarówki”, czyli obiektywy kamer, miały inny kolor. Kamery za barem miały za zadanie zniechęcić pracowników do podbierania gotówki i kradzieży butelek. Kamery w holu zostały lepiej ukryte, zapewne dlatego, że klienci baru mogliby się poczuć nieswojo, gdyby wiedzieli, że każdy ich upokarzający ruch jest nagrywany. Chociaż według mnie kamery monitoringu idealnie współgrają z więziennym wystrojem.

Kiedy wróciłem do recepcji, czekał na mnie bardzo przystojny ciemnowłosy mężczyzna. Miał klasyczną arabską twarz: oliwkową karnację, ciemne oczy, duży nos. Był ubrany w taki sam za ciasny garnitur jak recepcjonista, ale ogolił się i uczesał.

Uśmiechnął się, gdy podszedłem.

– Pan Heller?

– Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać – odrzekłem.

– Pan Marcus jest dobrym przyjacielem hotelu Graybar. Jestem do pańskiej dyspozycji. – Marshall Marcus był nie tylko „przyjacielem” hotelu, ale także jednym z pierwszych i największych inwestorów. Zapowiedział moją wizytę, tak jak obiecał.

Nadzi wyjął owalny breloczek z logo BMW na środku: pilot do drzwi czteroletniego M3 Marcusa – „grata”, którego pożyczył Aleksie. Na kółku wisiał fragment biletu parkingowego.

– Jej samochód został na podziemnym parkingu. Jeśli pan chce, mogę tam pana zaprowadzić.

– Więc nie odebrała auta?

– Wygląda na to, że nie. Zadbalem o to, żeby nikt go nie dotykał, na wypadek gdyby trzeba było zdjąć odciski palców.

Facet najwyraźniej był doświadczony.

– Policja może to zrobić – powiedziałem. – Wiadomo, o której godzinie zostawiła samochód?

– Oczywiście. – Nadzi wyjął bilet parkingowy, typowy pięcioczęściowy perforowany druczek. Dwie dolne części zniknęły; jedną zapewne otrzymała Alexa, gdy zostawiła samochód. Na pozostałych paskach wybito godzinę 21.37. Wtedy Alexa przyjechała do Graybar i przekazała BMW ojca parkingowemu.

– Chciałbym obejrzeć nagrania z monitoringu.

– Z parkingu czy ze stanowiska parkingowych?

– Wszystkie.

...

Centrum ochrony hotelu Graybar mieściło się w niewielkim pomieszczeniu biurowym na tyłach budynku. Wyposażono je w dwadzieścia naściennych ekranów, na których widać było obraz sprzed hotelu, z holu, kuchni i korytarzy przed toaletami. Krępy facet z bródką obserwował monitory. Tak naprawdę czytał „Boston Herald”, ale pośpiesznie odłożył gazetę, gdy Nadzi wszedł do pokoju.

– Leo, włącz nagrania z wczorajszego wieczoru z kamer trzy, cztery, pięć – polecił.

Stanęliśmy za plecami Leo, który klikał myszką, otwierając kolejne okna na ekranie komputera.

– Niech pan zacznie od wpół do dziesiątej – poprosiłem.

Wyglądało na to, że przy stanowisku parkingowych przed hotelem znajdują się co najmniej trzy kamery. Cyfrowy obraz był wyraźny. Leo przesuwiał klatki z podwójną i potrójną prędkością, a kolejne samochody coraz szybciej pojawiały się przed budynkiem. Goście błyskawicznie opuszczali auta jak na komediach slapstickowych, poprawiając fryzury i wygładzając marynarki. O dwudziestej pierwszej trzydzieści pięć podjechało czarne BMW, z którego wysiadła Alexa.

Parkingowy wręczył jej bilet i odjechał autem, a dziewczyna stanęła w długiej kolejce czekających do wejścia do holu.

– Możemy przybliżyć? – spytałem.

Lubię oglądać nagrania z monitoringu. Czuję się wtedy, jakbym uczestniczył w jednym z odcinków *CSI*. Niestety, gdy w prawdziwym życiu powiększasz część obrazu na ekranie komputera, nie towarzyszy temu szum ani wysoki pisk.

W telewizji i filmach wszyscy technicy dysponują niezwykłą zdolnością powiększania niewyraźnego obrazu i czarodziejskiego nadawania mu ostrości za pomocą jakiegoś mitycznego cyfrowego „algorytmu”, dzięki któremu mogą odczytać etykietę na butelce z lekami odbijającej się w czyimś oku.

Leo nie był taki dobry.

Poruszył myszką, wcisnął kilka klawiszy. Zobaczyłem, jak Alexa obejmuje jakąś dziewczynę, która już stała w kolejce.

Taylor Armstrong.

Zaczęły rozmawiać z ożywieniem, dotykając nawzajem swoich rękawów, jak dziewczęta mają w zwyczaju, i oglądając się, być może na jakiegoś faceta.

– Możemy zobaczyć, co robiła w hotelu? – spytałem.

– Oczywiście. Leo, pokaż nagrania z dziewiątki i dwunastki – polecił Nadzi.

Zobaczyłem wnętrze holu pokazane z innego kąta. Dziewczęta podeszły do windy. Nagranie było płynne. Pewnie standardowe trzydzieści klatek na sekundę.

Drzwi windy się otworzyły i dziewczyny weszły do środka. Nagle Alexa wysiadła, a Taylor została w kabinie.

Alexa ma klaustrofobię. Nie może przebywać w zamkniętych przestrzeniach, zwłaszcza w windach.

– Chciałbym zobaczyć, dokąd poszła ta, która nie wsiadła do windy – oznajmiłem.

Inna kamera, zapewne umieszczona na suficie pierwszego piętra, pokazała Alexę wspinającą się po schodach.

Dzięki kolejnej zobaczyłem, jak dziewczyna dociera do baru na trzecim piętrze, gdzie dołącza do Taylor.

– Ja także lubię chodzić po schodach – rzekł Nadzi usłużnie. – To świetne ćwiczenie.

Patrzyliśmy, jak dziewczęta usiadły w fotelach. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. W barze robiło się coraz ciasniej. Skąpo ubrana kelnerka, której cycki prawie wyskakiwały z mocno wyciętego biustonosza, przyjęła zamówienie. Przyjaciółki rozmawiały.

Podszedł do nich jakiś facet.

– Zbliź trochę – polecił technikowi Nadzi. Postanowił się zaangażować.

Facet miał wypuszczone poły koszuli. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat. Rumiany blondyn z przodozgryzem. Na pewno nie wyglądał na Hiszpana. Alexa się uśmiechała, ale Taylor nawet na niego nie spojrzała.

Po kilku sekundach odszedł. Zrobiło mi się go żal.

Dziewczęta dalej rozmawiały. Śmiały się, zapewne z chłopaka w wypuszczonej koszuli.

– Można przewinąć do przodu – powiedziałem.

Leo włączył odtwarzanie z potrójną prędkością i nagranie przyśpieszyło. Wszyscy wykonywali gwałtowne, urywane ruchy, jak na starych niemych filmach. Śmiech, łyk drinka, śmiech, łyk drinka, uśmiech. Alexa coś wyjęła i pokazała. Może telefon? Zrozumiałem, że to iPhone. Pewnie robiła zdjęcie.

Nie: przybliżyła go do ust. Taylor się roześmiała. Wygłupiały się. Taylor chwyciła telefon i również przyłożyła go do ust. Ponownie się roześmiały. Taylor oddała aparat, a Alexa schowała go do przedniej kieszeni skórzanej marynarki. Zapamiętałem to.

Podszedł kolejny facet. Ten miał ciemne włosy. Śródziemnomorska uroda, może Włoch albo Hiszpan. Tym razem obie dziewczyny się uśmiechnęły. Ich język ciała był jednoznaczny; popatrzyły na niego roześmiane. Były bardziej otwarte. Nie znałem Taylor z tej strony – bez naburmuszonej miny, ożywiona i pełna energii.

– Czy możemy to zobaczyć z innego kąta? – spytałem.

Leo otworzył następne okno na ekranie, a wtedy zobaczyłem twarz mężczyzny z profilu. Technik powiększył obraz.

Hiszpania albo Portugalia. Może Ameryka Południowa. Tak czy inaczej, przystojniak. Wyglądał na trzydzieści kilka lat. Zadbany i ubrany w drogie ciuchy.

Przyciągnął dodatkowy fotel i usiadł, najwyraźniej korzystając z zaproszenia. Przywołał kelnerkę.

– Ten człowiek często tutaj przychodzi – rzekł Nadzi.

Odwrociłem się w jego stronę.

– Naprawdę?

– Rozpoznaję go. Znam twarze stałych klientów.

– Jak się nazywa?

Pokręcił głową.

– Tego nie wiem.

Coś ukrywał.

Ponownie zwróciłem się w stronę ekranu. Facet rozmawiał i śmiał się razem z obiema dziewczynami. Pojawiła się kelnerka i przyjęła zamówienia. Znowu wesoło rozmawiali. Wyglądało na to, że dziewczętom podoba się jego towarzystwo.

Mężczyzna siedział obok Taylor, ale nie zwracał na nią większej uwagi. Znacznie bardziej interesowała go Alexa. Wciąż nachylał się w jej stronę i zagadywał, prawie nie spoglądając na Taylor.

Ciekawe, pomyślałem. Taylor była równie ładna jak Alexa, chociaż nieco bardziej wyzywająca; Alexa miała w sobie więcej elegancji i niewinności.

Jednak to ojciec Alexy był miliarderem.

Tylko skąd ten facet mógł to wiedzieć – chyba że wcześniej wybrał cel?

Kelnerka przyniosła drinki w dużych kieliszkach do martini.

Napili się i wkrótce potem obie dziewczyny wstały. Mężczyzna został sam przy stoliku. Leniwie rozglądał się po barze.

– Możemy zobaczyć, dokąd poszły? – poprosiłem.

Leo przełączył się na jedno z otwartych okien i je powiększył. Dziewczyny rozmawiały i podtrzymywały się nawzajem. Obie sprawiały wrażenie lekko wstawionych.

– Trzymajmy się ich – powiedziałem.

Leo jeszcze bardziej powiększył okno. Zobaczyłem, jak wchodzi do damskiej toalety.

– Nie macie kamer w toaletach? – spytałem.

Nadzi się uśmiechnął.

– To nielegalne, proszę pana.

– Wiem, ale musiałem zapytać.

Nagle moją uwagę zwróciło coś, co działo się w innym oknie. Uchwyciła to kamera skierowana na samotnego Latynosa.

Facet coś robił.

Szybkim ruchem przysunął do siebie na wpół opróżniony kieliszek Alexy.

– Co jest, do cholery? – odezwałem się. – Niech pan powiększy to okno.

Kiedy Leo mnie posłuchał, dokładnie zobaczyłem, co robił Latynos. Wsunął prawą dłoń pod marynarkę. Rozejrzał się. Następnie nonszalancko wrzucił coś do drinka Alexy.

Wyjął pałeczkę ze swojego drinka i zamieszał nią trunek w jej kieliszku, najwyraźniej rozpuszczając to, co tam wrzucił. Potem odstawił koktajl Alexy na miejsce.

Wszystko zajęło mu około dziesięciu, może piętnastu sekund.

– Mój Boże – szepnąłem.

– Wrzucił coś do jej drinka – zauważył Nadzi.

Pewnie ktoś musiał powiedzieć to, co oczywiste.

– Założę się, że to Special K – dodał Leo. – Albo Liquid X.

W drugim oknie na ekranie ukazały się dziewczęta. Wyszły z toalety, przeszły korytarzem i wróciły do stolika.

Alexa wzięła do ręki swojego drinka.

Kolejna porcja śmiechu i rozmowy. Kilka minut później Taylor wstała i coś powiedziała. Alexa sprawiała wrażenie niezadowolonej, w przeciwieństwie do faceta. Taylor się oddaliła.

Alexa została.

Znów się napiła, po czym oboje pogrążyli się w radosnej rozmowie.

Zaledwie kilka minut później Alexa zaczęła zdradzać objawy odurzenia. Nie tylko alkoholem. Opadła bezwładnie na fotel i zwiesiła na bok głowę. Uśmiechała się dzielnie, ale wyglądała na chorą.

Mężczyzna ponownie chciał przywołać kelnerkę, ale się rozmyślił. Wyjął portfel, położył pieniądze na stoliku, po czym pomógł Aleksie się podnieść. Wydawało się, że dziewczyna nie jest w stanie samodzielnie utrzymać się na nogach.

– Gotówka – odezwałem się, głównie do siebie.

Ale Nadzi zrozumiał.

– Zawsze płaci gotówką.

– To dlatego nie znacie jego nazwiska?

Pokiwał głową i chciał coś powiedzieć, ale się zawahał.

– Coś pan wie.

– Nie mogę mieć pewności, ale podejrzewam, że jest dilerem.

– Narkotyki.

Nadzi pokiwał głową.

– Ale tutaj nigdy nie handluje – dodał szybko. – Nigdy. Gdyby spróbował, zakazalibyśmy mu wstępu.

– Oczywiście.

Niedobrze.

Hiszpan odwrócił się, podniósł torebkę Alexy z podłogi, a następnie poprowadził dziewczynę do windy. Nacisnął guzik. Alexa wisiała mu na ramieniu. Po chwili winda przyjechała i wsiedli do kabiny.

Alexa bała się wind, ale zapewne w ogóle nie wiedziała, gdzie się znajduje.

...

Kamera w holu uchwyciła faceta odprowadzającego, a właściwie niemal wlokącego Alexę do drzwi wyjściowych. W lewej dłoni trzymał jej torebkę. Dziewczyna się potykała. Ludzie wchodzący do hotelu uśmiechali się, gdy na nią patrzyli. Pewnie uznali, że facetowi upiła się dziewczyna.

Jedna z zewnętrznych kamer pokazała, że Alexa prawie zasnęła na stojąco przed wejściem do hotelu. Mężczyzna wręczył odcinek biletu parkingowemu.

Pięć minut później nadjechał stary jaguar: bodajże dziewięćset jedenastka z lat osiemdziesiątych. Klasyk, ale niezbyt dobrze utrzymany. Tylne błotnik był wgięty, a całą karoserię znaczyły wgniecenia i zadrapania.

Diler umieścił Alexę na tylnym siedzeniu, gdzie położyła się bezwładnie.

Czułem ucisk w żołądku. Samochód ruszył i opuścił okrągły podjazd.

– Chciałbym go zobaczyć z innego kąta – poprosiłem.

– Oczywiście, proszę pana – odrzekł Nadzi. – Chodzi o twarz?

– Nie, o tablicę rejestracyjną.

...

Numer rejestracyjny oczywiście znajdował się na bilecie parkingowym, ale chciałem mieć pewność. Kamera umieszczona dokładnie naprzeciwko stanowiska parkingowych wyraźnie uchwyciła tablicę rejestracyjną.

Na bilecie widniało nazwisko Costa. Mężczyzna przyjechał o 21.08, czyli przed dziewczętami.

Nadzi wypalił na płycie kilka klitek przedstawiających Alexę i Taylor z Hiszpanem, jak również kilka zbliżeń jego twarzy z różnych ujęć. Poprosiłem go o sporządzenie dwóch kopii. Następnie skorzystałem z jego komputera i wysłałem wizerunki Costy na adres e-mailowy Dorothy.

Land rover czekał na jednym z krótkoterminowych miejsc do parkowania przed hotelem. Wsiadłem i zadzwoniłem do Dorothy. Kiedy odebrała, pokrótce streściłem jej to, co zobaczyłem. Następnie odczytałem numer rejestracyjny – auto pochodziło z Massachusetts – i poprosiłem, żeby ustaliła nazwisko oraz adres właściciela. Podałem jej nazwisko Costy, ale ostrzegłem, że zapewne jest fałszywe, i powiedziałem, żeby sprawdziła skrzynkę e-mailową. Już to zrobiła. Przekazałem, że szef ochrony w hotelu podejrzewa, iż chodzi o dilera narkotyków.

Następnie ruszyłem sprzed hotelu. Pokonałem trzy przecznice, lecz nagle coś przyszło mi do głowy i wróciłem do hotelu. Tym razem nie traciłem czasu na modnisią w recepcji. Sam znalazłem Nadziego w holu.

– Przepraszam – powiedziałem. – Mam jeszcze jedną sprawę.

– Oczywiście.

– Chodzi o jaguara. W rejestrze zapisano, że przyjechał o dwudziestej pierwszej osiem.

– Tak?

– Chciałbym zobaczyć nagranie ze stanowiska parkingowych z tej godziny.

Leo potrzebował zaledwie minuty, żeby znaleźć żądany film: poobijany jaguar zatrzymujący się przy krawężniku wcześniej tego wieczoru i wysiadający Costa.

Nagle zobaczyłem coś nieoczekiwanego.

Ktoś wysiadł z auta drzwiami dla pasażera. Kobieta.

Taylor Armstrong.

– Alexo – odezwał się głos – proszę, nie krzycz. Nikt cię nie usłyszy. Rozumiesz?

Próbowała przełknąć ślinę.

– Widzisz, kiedy wpadasz w panikę albo krzyczysz, hiperwentylujesz, a przez to znacznie szybciej zużywasz powietrze. – Nieznajomy mówił z szorstkim i prymitywnym akcentem, ale miał beznamiętny i praktyczny głos, co czyniło go jeszcze bardziej przerażającym.

– Nie nie nie nie nie nie – skandowała cieniutkim, dziecięcym głosikiem, myśląc: To nie mogło mnie spotkać. Nie ma mnie tutaj. To nie dzieje się naprawdę.

– Zatrucie dwutlenkiem węgla nie jest przyjemne, Alexo. Człowiek czuje się, jakby tonął. Umrzesz powoli i w męczarniach, dostaniesz drgawek, gdy twoje kolejne organy odmówią posłuszeństwa. To nie jest spokojna śmierć, Alexo. Zapewniam cię, że nie chcesz w ten sposób odejść.

Pokrywa trumny znajdowała się w odległości pięciu albo siedmiu centymetrów od jej twarzy. Właśnie ta bliskość była najstraszniejsza.

Alexa rozpaczliwie chwytiała powietrze, ale była w stanie nabierać tylko niewielkie porcje. Wyobraziła sobie malutką przestrzeń na samym szczycie płuc. Myślała o powietrzu w swoich płucach jak o wodzie, która powoli podnosi się w zamkniętym pomieszczeniu w jakimś horrorze, zmniejszając dostępną przestrzeń do kilku centymetrów.

Czuła, że całym jej ciałem wstrząsają gwałtowne drgawki.

Była uwięziona trzy metry pod ziemią, pod tonami piachu, w malutkiej skrzynce, w której ledwie mogła się poruszać, a wkrótce nie będzie miała czym oddychać.

Rozpaczliwie drapała jedwabisty materiał nad swoją twarzą. Pulsujące, zakrwawione opuszki palców dotykały gołego zimnego metalu i zdzierały paski tkaniny, które zwisały i laskotały ją po oczach i policzkach.

Nie panowała nad drzeniem ciała.

– Słuchasz mnie, Alexo?

– Błagam – wyszeptała. – Błagam, nie rób tego. Proszę.

– Alexo? – odezwał się głos. – Ja cię widzę. Tuż nad twoją głową znajduje się kamera. Emituje podczerwone promieniowanie, którego nie widzisz. Mogę cię także usłyszeć

dzięki mikrofonowi. Wszystko dociera do nas za pośrednictwem internetu. A kiedy będziesz mówiła do swojego ojca, on również cię zobaczy i usłyszy.

– Proszę, pozwól mi z nim porozmawiać!

– Ależ oczywiście. Już niedługo. Jednak najpierw upewnijmy się, że wiesz, co i jak masz powiedzieć.

– Dlaczego to robisz?! – wykrzyknęła, z trudem wypowiadając słowa pośród łkania. – Nie musisz tego robić.

– Jeśli poprawnie wszystko wyrecytujesz, a twój ojciec da nam to, czego chcemy, odzyskasz wolność w ciągu kilku godzin. Będziesz wolna, Alexo.

– On da wam wszystko... proszę, uwolnij mnie już teraz, Boże, proszę, jak mogę ci zaszkodzić?

– Alexo, musisz uważnie posłuchać.

– Możesz mnie zamknąć w jakimś pokoju albo szafie. Nie musisz tego robić, proszę, Boże, proszę, nie rób tego...

– Jeśli zrobisz dokładnie to, co ci każemy, wkrótce stąd wyjdiesz.

– Ty cholerny potworze! Wiesz, co się z tobą stanie, kiedy cię złapią? Masz o tym pojęcie, ty chory pieprzony psychopato?

Zapadła długa cisza. Alexa słyszała własny oddech, płytki, zmęczony i przyśpieszony.

– Słyszysz mnie, oblechu? Wiesz, co z tobą zrobią?

Znów cisza.

W napięciu czekała na jego odpowiedź.

Czy postanowił zakończyć rozmowę?

Dopiero wtedy zrozumiała, jak bardzo jest zależna od Sowy.

Od mężczyzny z sową wytatuowaną z tyłu głowy. Sowa był jej jedynym łączem ze światem. Miał nad nią całkowitą władzę.

Nie wolno jej nigdy więcej go obrazić.

– Przepraszam – powiedziała.

Znów cisza.

– Proszę, tak bardzo mi przykro. Nie powinnam była tego mówić. Proszę, odezwij się do mnie.

Milczenie.

O Boże, Alexa już rozumiała znaczenie powiedzenia „milczeć jak grób”. Absolutna cisza wcale nie niesie ze sobą spokoju. Jest czymś najgorszym na świecie.

Jest piekłem.

Dziewczyna zadrzała, jęknęła i cicho zapłakała.

– Przepraszam. Wróc.

– Alexo – odezwał się w końcu głos, a ona poczuła przyływ słodkiej ulgi.

– Chcesz z nami współpracować?

Zaczęła szlochać.

– Och, tak, proszę, powiedz mi, co mam mówić.

– Rozumiesz, że od mojej decyzji zależą twoje życie albo śmierć?

– Tak – odrzekła. – Tak, rozumiem. Zrobię wszystko. Jeśli mnie stąd wypuścisz,

zrobię wszystko, czego zapragniesz. Wszystko. Co tylko zechcesz.

Ale dlaczego Sowa zaczął mówić w liczbie pojedynczej? Co to oznacza?

– Alexo, chcę, żebyś sięgnęła pod materac. Możesz to zrobić?

– Tak.

Posłusznie opuściła obie dłonie na cienki materac i odkryła, że ten leży na ukośnych metalowych pasach rozmieszczonych w dziesięciocentymetrowych odstępach, zapewne wzdłuż całej trumny. Wymacała przerwę między pasami i zanurzyła dłonie w przestrzeni znajdującej się poniżej. Jak głęboka była trumna? Lewą dłonią natrafiła na zakrętkę oraz wąską szyjkę plastikowej butelki. Było ich wiele. Przeciągnęła przedmiot przez lukę między pasami. To była butelka z wodą.

– Tak jest, bardzo dobrze – odezwał się głos. – Jak widzisz, zostawiłem ci trochę wody. Na pewno chce ci się pić.

– Tak, o Boże, jeszcze jak.

Rzeczywiście, zupełnie zaschło jej w ustach.

– Pij na zdrowie.

Odkręciła butelkę drugą ręką, a zakrętka odskoczyła z przyjemnym trzaskiem. Przyłożyła szyjkę do spierzchniętych ust i napiła się chciwie, rozlewając nieco wody na twarz i koszulę, czym wcale się nie przejęła.

– Wody wystarczy ci na kilka dni, może na tydzień – odezwał się głos. – Masz także wysokobiałkowe batony, ale niezbyt wiele. Wystarczy ci ich też na kilka dni. Kiedy jedzenie i woda się skończą, umrzesz z głodu. Ale wcześniej się udusisz.

Piła dalej, przełykając powietrze razem z wodą, zaspokajając pragnienie, z którego dotychczas nie zdawała sobie sprawy.

– A teraz musisz mnie posłuchać, Alexo.

Odsunęła butelkę od ust, przerażona, że Sowa ponownie ją opuści.

– Tak – westchnęła.

– Jeśli powiesz dokładnie to, co ci każę, a twój ojciec zrobi dokładnie to, czego zażądam, zostaniesz uwolniona od tych męczarni.

– Da wam wszystko, czego zapragniecie – powiedziała.

– Ale czy jesteś pewna, że kocha cię na tyle, żeby zwrócić ci wolność? Czy kocha cię wystarczająco mocno?

– Tak! – odparła.

– Czy w ogóle cię kocha? Matka zrobi wszystko dla swojego dziecka, ale twoja matka nie żyje. Dziecko nigdy nie może być pewne ojca.

– On mnie kocha – odezwała się żałośnie.

– Wkrótce się przekonasz, czy to prawda. Już niedługo poznasz odpowiedź. Bo jeśli twój ojciec cię nie kocha, czeka cię tutaj straszliwa śmierć. Skończy ci się powietrze, dopadną cię zawroty głowy i zagubienie, zaczniesz wymiotować i dostaniesz konwulsji, a ja będę patrzył, jak umierasz, Alexo. I sprawi mi to przyjemność.

– Proszę, nie, proszę, nie, proszę, nie...

– Będę obserwował ostatnie minuty twojego życia i wiesz co, Alexo?

Zamilkł na dłuższą chwilę, a ona zajęczała jak niemowlę albo małe zwierzątko.

– Twój ojciec także będzie na to patrzył. Spróbuje odwrócić wzrok albo wyłączyć transmisję, ale nie oszuka ludzkiej natury. Niezależnie od tego, czy cię kocha, czy nie, nie będzie w stanie zrezygnować z oglądania ostatnich chwil życia swojego jedyne dziecko.

Po krótkiej wizycie w znakomitej starej trafice na Park Square zatrzymałem się w domu, żeby coś załatwić. Zadzwoiłem do znajomego i poprosiłem go o małą przysługę. Wkrótce potem zadzwonił mój telefon.

Dorothy od razu przeszła do rzeczy.

– Jaguar został zarejestrowany na niejakiego Richarda Campisiego, zamieszkałego przy Dunstable Street w Charlestown.

– No to mamy go – odrzekłem.

– Nic z tego. Ponad tydzień temu zgłosił kradzież samochodu.

– Zapewne widziałaś jego zdjęcie.

– Oczywiście. To nie Costa. W ogóle go nie przypomina.

– Czyli nasz podejrzany ukradł mu auto.

– Na to wygląda.

– Więc zakładam, że nie udało ci się go namierzyć. Niedobrze, Dorothy. Minęło ponad dwanaście godzin od zniknięcia Alexy. Z nikim się nie kontaktowała. Nikt nie potrafi do niej dotrzeć. Zupełnie jak przed kilku laty, tylko tym razem na poważnie.

– Sądzisz, że to porwanie dla okupu?

– Mam nadzieję.

– Masz nadzieję, że to porwanie?

– Mam nadzieję, że chodzi o okup. Ponieważ to oznacza, że Alexa żyje, a jej tata musi tylko zapłacić. Inna możliwość...

– Tak – odparła. – Wiem, jaka jest inna możliwość.

Zadzwoiłem do Diany i poprosiłem, żeby pośpieszyła się ze swoim wnioskiem o namierzenie telefonu Alexy Marcus.

...

Tym razem drzwi kamienicy przy Louisburg Square, w której mieszkał senator Armstrong, otworzyła pokojówka, pulchna Filipinka w czarnej sukience z białym obszyciem i w białym fartuszk.

– Senatora nie ma – oznajmiła.

– Przyszedłem porozmawiać z Taylor.

– Panna Taylor... czy się pana spodziewa?

– Proszę jej powiedzieć, że przyszedł Nick Heller.

Pokojówka wahala się, czy mnie wpuścić, i ostatecznie zamknęła drzwi, prosząc, żebym zaczekał na zewnątrz.

Drzwi ponownie się otworzyły po pięciu minutach.

Stanęła w nich Taylor. Miała na sobie wyjściowy strój i małą czarną torebkę zarzuconą na ramię.

– O co chodzi? – spytała takim tonem, jakim przemawia się do dzieciaka z sąsiedztwa, który dla żartu wcisnął dzwonek.

– Czas na spacer – odparłem.

– Długo nam to zajmie? – zapytała.

– Niedługo.

...

W połowie długości Mount Vernon Street przerwałem milczenie.

– Jak się nazywa facet, z którym Alexa wyszła z Pudła wczorajszej nocy?

– Już panu mówiłam, że nie pamiętam.

– Nie przedstawił się?

– Nawet jeśli tak, to nie dosłyszałam jego imienia. Zresztą nie był mną zainteresowany. Cały czas podrywał Alexę.

– Więc nie masz pojęcia, jak się nazywa.

– Ile razy będzie mnie pan o to pytał? Tylko po to pan wrócił? Myślałam, że czegoś się pan dowiedział.

– Chciałem się tylko upewnić, że dobrze cię zrozumiałem. Czy twój tata wie, że podwiózł cię jakiś facet, którego imienia nie znasz?

Przez ułamek sekundy dostrzegłem w jej oczach panikę, ale szybko zamaskowała ją grymasem niedowierzania.

– Nie podwiózł mnie. Wróciłam do domu taksówką.

– Nie mówię o tym, jak wróciłaś, ale o tym, jak się dostałaś do baru.

– Też taksówką. – Po chwili zapewne przypomniała sobie, że korporacje taksówkowe prowadzą rejestry telefoniczne, gdyż szybko dodała: – Zatrzymałam ją na Charles Street.

– Nie – odparłem cicho. – Przywiózł cię swoim jaguarem.

Ponownie udała niedowierzanie, ale nie czekałem, aż się bardziej pograży.

– Wszystko jest na nagraniach z hotelowego monitoringu. Na pewno chcesz mnie dalej okłamywać?

Na jej oblicze powróciła desperacja, której już nie próbowała ukryć.

– Niech pan posłucha, ja wcale... – Zaczęła z werwą, buntowniczo, ale po chwili się rozsypała. Jej głos stał się cichy, wysoki i żalony. – Przysięgam, chciałam jej tylko pomóc.

– Poznałam tego faceta w Starbucksie, okay? – oznajmiła Taylor. – Wczoraj po południu. Bardzo się do mnie przystawiał.

Popatrzyła na mnie, czekając na jakąś reakcję, ale nie okazywałem emocji.

– Zaczęliśmy rozmawiać i wydawało się, że to fajny gość. Spytał, czy chciałabym z nim pojechać do Pudła, a ja... byłam trochę zdenerwowana, bo dopiero co go poznałam. Zgodziłam się, ale pod warunkiem, że dołączy do nas moja przyjaciółka. Dzięki temu to nie miało przypominać randki, rozumie pan?

– Alexa wiedziała o tym wszystkim?

Taylor pokiwała głową.

– Jak miał na imię?

Chwila wahania.

– Lorenzo.

– A na nazwisko?

– Może mi powiedział, ale nie pamiętam.

– Więc razem pojechaliście do Graybar i tam spotkaliście się z Alexą. W barze na górze czy przed hotelem?

– W kolejce przed wejściem. Tam zawsze ustawia się kilometrowa kolejka.

– Rozumiem. – Pozwoliłem jej jeszcze przez jakiś czas snuć swoją opowieść. Dokładnie pamiętałem nagranie z monitoringu: Alexa dołącza do Taylor w kolejce, ani śladu faceta. Zaczepił je godzinę później w barze. Zachowywał się tak, jakby nigdy wcześniej nie spotkał żadnej z nich.

A więc pełna ustawka. Udawał, że przedstawia się obu dziewczętom. Taylor stanowiła część spisku.

– Masz papierosa? – spytałem.

Wzruszyła ramionami i wyjęła paczkę Marlboro z torebki.

– A ogień? – dodałem.

Pokręciła głową z rozdrażnieniem, przez chwilę grzebała w torebce, po czym wyjęła złotą zapalniczkę Dupont. Kiedy ją brałem, wyślizgnęła mi się z dłoni i z trzaskiem upadła na bruk.

– Jezu! – wykrzyknęła Taylor.

Podniosłem zgubę, przypaliłem papierosa i oddałem zapalniczkę.

– Dziękuję. A teraz opowiedz mi o Lorenzo.

– To znaczy co?

– Ile ma lat?

– Trzydzieści albo trzydzieści pięć.

– Z jakim mówi akcentem.

– Hiszpańskim.

– Dał ci swój numer?

– Nie.

– Jak się poczułaś, kiedy wrócił do domu z twoją najlepszą przyjaciółką zamiast z tobą? – spytałem.

Przez kilka chwil milczała. Miałem wrażenie, że zastanawia się, czy kamery mogły się znajdować nie tylko na zewnątrz, ale także wewnątrz hotelu.

– Nie był w moim typie – rzekła bez przekonania.

Rozmyślnie poprowadziłem ją Mount Vernon Street, minąłem Charles Street, a następnie skręciłem w lewo w River Street. Nie chciałem iść Charles Street. Jeszcze nie.

– Hm. Kiedy wcześniej tego dnia spotkałaś go w Starbucksie, zainteresowałaś się nim na tyle, żeby zgodzić się na kolejne spotkanie.

– No tak, ale okazało się, że jest, czy ja wiem, obleśny? Zresztą znacznie bardziej zaciekał się Alexą, więc postanowiłam dać jej wolną rękę.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedziałem kwaśno. – Jesteś dobrą przyjaciółką.

– Wcale nie starałam się być miła. Po prostu...

– Rozsądna – podsunąłem.

– Nieważne.

– Więc kiedy spotkałaś Lorenza w Starbucksie, siedziałaś w jednym z tych dużych miękkich foteli przy oknie?

Pokiwała głową.

– A on wszedł i usiadł obok ciebie?

Ponownie pokiwała głową.

– Który to był Starbucks?

– Ten przy Charles Street. – Machnęła ręką w kierunku Charles Street, oddalonej o około pół przecznicy.

– Tam chyba są dwa takie lokale?

– To było na rogu Beacon Street.

– A ty siedziałaś tam sama? – ciągnąłem. – Sama w jednym z tych dużych miękkich foteli przy oknie?

Zmrużyła oczy. Nie podobało jej się, że wciąż wspominam o dużych miękkich fotelach.

– Tak, siedziałam tam i czytałam czasopismo. O co panu chodzi?

– Cóż za... cóż za zbieg okoliczności – odparłem. – Jesteśmy na miejscu.

– Co takiego?

Zatrzymaliśmy się na rogu Beacon i Charles. Po drugiej stronie ulicy znajdował się Starbucks, o którym wspominała.

– Przyjrzyj się – zachęciłem.

– Co?

– Żadnych miękkich foteli.

– No tak, ale...

– Zobacz, za cholerę nie ma tam siedzeń przy oknie. Zgadza się?

Wytrzeszczyła oczy, ale to była tylko gra, ponieważ dobrze wiedziała, że znów złapałem ją na kłamstwie.

– On po prostu chciał, żeby Alexa dobrze się zabawiła – odezwała się beznamiętnym głosem. Wyjęła papierosa i go zapaliła. Zaciągnęła się. – Wyświadczałam jej przysługę. Nigdy nie była w poważnym związku.

– Rany, ale z ciebie przyjaciółka – powiedziałem. – Wolałbym nie być twoim wrogiem. Wiedziałaś, że Alexa już kiedyś została porwana i wciąż ma z tego powodu traumę. Potem poznałaś jakiegoś faceta, a może już wcześniej go znałaś, i umówiłaś go ze swoją tak zwaną najlepszą przyjaciółką. Faceta, którego sama uznałaś za obleśnego. Faceta, który wrzucił pigułkę gwałtu do drinka twojej najlepszej przyjaciółki, o czym zapewne wiedziałaś, a następnie ją uprowadził. Może nawet zabił.

Długa czarna limuzyna zatrzymała się na czerwonym świetle tuż obok nas.

Mocno naciskałem Taylor i wiedziałem, że zmuszę ją do jakiejś reakcji.

Jednak udało się jej mnie zaskoczyć.

Wydmuchnęła smugę dymu i odrzuciła włosy do tyłu.

– Może pan tylko udowodnić, że pojechałam do Graybar z jakimś facetem. Cała reszta tych bzdur to tylko przypuszczenia.

Okno z tyłu limuzyny gładko się odsunęło. Ze środka patrzył na mnie człowiek, którego znałem, szykowny jegomość w tweedowej marynarce, muszce i okularach w rogowych oprawkach. Nazywał się David Schechter. Był słynnym bostońskim adwokatem i potentatem, który znał wszystkich graczy i wiedział, za które sznurki pociągnąć, żeby osiągnąć cel. Słyszał z bezwzględności. Lepiej było z nim nie zadzierać.

Obok niego z tyłu auta siedział senator Richard Armstrong.

– Taylor – odezwał się senator. – Wsiadaj.

– Panie senatorze – powiedziałem. – Pańska córka jest zamieszana w zniknięcie Alexy Marcus.

Na twarzy Armstronga nie dało się zauważyć ani śladu zaskoczenia ani oburzenia. Odwrócił się w stronę swojego adwokata, jakby wstrzymywał się z odpowiedzią.

Taylor Armstrong otworzyła drzwi limuzyny i wsiadła. Po raz ostatni spróbowałem do niej dotrzeć.

– A ja myślałem, że jesteś jej najlepszą przyjaciółką.

– Chyba nie będę miała problemu ze znalezieniem nowej – odparła z uśmiechem, od którego przeszły mnie dreszcze.

Wnętrze limuzyny było bardzo obszerne. Taylor usiadła naprzeciwko ojca. Wtedy David Schechter nachylił się i przywołał mnie gestem.

– Panie Heller – odezwał się tak cicho, że ledwie go usłyszałem. Potężny człowiek przywykły do tego, że otrzymuje to, czego pragnie, bez konieczności podnoszenia głosu. – Senator i jego córka nie chcą już więcej z panem rozmawiać.

Następnie zatrzasnął drzwi i limuzyna ruszyła spod krawężnika, włączając się do ruchu.

Zgniotłem papierosa i cisnąłem go do kosza. Rzuciłem palenie dawno temu i nie miałem zamiaru znów zaczynać.

Rozdzwonił się mój telefon. Wyjąłem go i zobaczyłem numer Marcusa.

– Nick, dzięki Bogu. – W jego głosie słychać było panikę.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Mają ją... oni...

Urwał. W ciszy słyszałem jego oddech.

– Marshall?

– To moja córeczka. Moja Lexie. Mają ją.

– Otrzymałeś żądanie okupu?

– Nie.

– Więc skąd wiesz...

– Dostałem e-maila z linkiem do... O Boże, Nick, przyjedź tutaj natychmiast.

Popatrzyłem na zegarek. Zbliżała się godzina szczytu. Podróż do Manchesteru zajmie dłużej niż zazwyczaj.

– Kliknąłeś na link?

– Jeszcze nie.

– Nie rób tego, dopóki nie przyjadę.

– Jezu, Nick, przyjedź jak najprędzej. Proszę.

– Już jadę – zapewniłem.

Nie było dnia ani nocy. Nie było czasu. Był tylko pot spływający strużkami po twarzy i szyi. Gwałtowny, boleśnie krótki oddech i lodowate przerażenie, że już nigdy nie uda się napełnić płuc powietrzem.

Czarna nicość, w której umysł pracował na najwyższych obrotach, jak chomik biegający w kółku.

Pragnienie śmierci.

Uznała, że musi się zabić.

Po raz pierwszy w swoim siedemnastoletnim życiu na poważnie rozważała samobójstwo. Jednak zrozumiała, że śmierć jest dla niej jedynym wyjściem.

„Kiedy hiperwentylujesz, zwiększasz ilość dwutlenku węgla”.

Zaczęła dyszeć, oddychać najgłębiej i najszybciej jak potrafiła. Starła się zużyć ograniczony zapas powietrza w trumnie. Czuła wokół siebie ciepłą, wilgotną powłokę dwutlenku węgla. Nie przerywaj, a może stracisz przytomność.

Zaczęło jej się kręcić w głowie. Słabła i odpływała.

Plan działał.

Ale wtedy poczuła coś innego. Chłodny podmuch powietrza.

Świeże powietrze. Pachniało sosnowym lasem, dalekimi ogniskami, dieslowskimi spalinami i mokrymi liśćmi.

Skądś się sączyło. Prawą dłonią poszukała źródła podmuchu. Powietrze wydobywało się z dna trumny, spod metalowych pasów pod materacem, gdzie znajdowały się butelki z wodą i batony. Dotknęła dna i palcami wymacała zarys okrągłego perforowanego krążka o średnicy około dwóch centymetrów.

Wylot powietrza.

Słyszała odległy szum. Nie, to nie był szum. Raczej odgłos... wysypiska śmieci? Potem coś, co brzmiało jak silnik samochodu. Miarowe sapanie pracujących tłoków. Bardzo szybkie, bardzo daleko.

Nie wiedziała, co to jest, ale podejrzewała, że ma to coś wspólnego z napływem powietrza. Wentylator? Coś bardziej mechanicznego i mniej regularnego.

Do trumny tłoczono powietrze.

Sowa patrzył na jej żalosne próby. Widział, co zamierzała zrobić, i ją pokonał.

Wbrew sobie chwyciła haust powietrza, spijając je równie chciwie jak wodę z butelki. Świeże powietrze utrzymywało ją przy życiu.

Nie mogła się udusić. Nie mogła się zabić.

Pozbawił ją tej jedynej władzy.

Zabrałem Dorothy z biura. Jechało nam się lepiej, niż oczekiwałem, i tuż przed osiemnastą znaleźliśmy się przed budką strażnika na skraju posiadłości Marcusa.

– O kurczę! – odezwała się Dorothy, wytrzeszczając oczy na olbrzymi dom, gdy wspinaliśmy się po schodach na werandę. – A ja właśnie zaczynałam lubić swoje mieszkanie.

Marcus otworzył nam drzwi. Podziękował smutno z twarzą bladą jak ściana i zaprosił do środka. Belinda podbiegła do mnie w słabo oświetlonym przedpokoju i zarzuciła mi ręce na szyję w niespodziewanym pokazie uczuć. Miała kościste plecy. Przedstawiłem Dorothy. Belinda podziękowała mi wylewnie, a Marcus tylko pokiwał głową i poprowadził nas do swojego gabinetu. Jego kapcie szurały na dębowej posadzce.

Gabinet był duży i wygodny, ale nie został urządzone na pokaz. Zaciągnięto zasłony i jedynym źródłem światła była lampka z zielonym szklanym abażurem. Stała na środku masywnego stołu refektarzowego wyrzeźbionego z wiekowej dębiny, służącego Marcusowi jako biurko. Jedynymi przedmiotami na stole były duży płaski monitor oraz bezprzewodowa klawiatura, które zupełnie tam nie pasowały.

Marcus usiadł na czarnym pikowanym skórzanym krześle z wysokim oparciem i wcisnął kilka klawiszy. Drżały mu ręce. Belinda ustawiła się za jego plecami, a Dorothy i ja stanęliśmy po jej obu stronach i patrzyliśmy, jak Marshall otwiera e-mail.

– Kiedy tylko go dostał, kazałam mu do ciebie zadzwonić – wyjaśniła Belinda. – I powiedziałam, żeby niczego nie robił, dopóki się nie pojawi.

– To mój osobisty adres e-mailowy – rzekł cicho Marcus. – Niewielu ludzi go zna. Właśnie to mnie dziwi... jak go zdobyli?

Dorothy, która patrzyła na ekran przez swoje okulary do czytania w czerwonych oprawkach, zawieszane na ozdobnym łańcuszku z paciorkami, zauważyła coś jeszcze.

– Skorzystali z nyma – stwierdziła.

– Kogo? – spytałem.

– Jednorazowego anonimowego adresu e-mailowego. Nie do namierzenia.

W tytule wiadomości napisano „Twoja córka”. Treść była krótka:

Panie Marcus!

Jeśli chce pan ponownie zobaczyć córkę, proszę kliknąć tutaj:

www.CamFriendz.com

Potem kliknąć na: Prywatny Czat

W okienku wyszukiwania wpisać: Alexa M.

Nazwa użytkownika: Marcus

Hasło: ZycieCzySmierc?

Uwaga na małe i wielkie litery.

Może się pan logować tylko z domu lub biura. Z żadnego innego miejsca. Sprawdzamy każdego użytkownika. Jeśli wykryjemy inny adres IP, wliczając adresy policyjnych komputerów, z kraju lub zagranicy, natychmiast przerwiemy połączenie, a pańska córka zostanie uśmiercona.

Obrócił się, żeby na nas popatrzeć. Miał podkrążone oczy.

– Belinda nie pozwoliła mi kliknąć na ten link. – W jego głosie pobrzmiwały wyczerpanie i rezygnacja.

– Co to jest CamFriendz kropka com? – spytała Belinda.

– Strona z czatami wideo – wyjaśniła Dorothy. – Serwis społecznościowy. Głównie dla nastolatków.

– Co powinienem zrobić? – zapytał Marcus.

– Nie dotykaj klawiatury – odrzekła Belinda.

– Zaczekajcie chwileczkę – powiedziała Dorothy. Wyjęła swojego laptopa i podłączyła go z tyłu komputera Marcusa. – Dobrze.

– Co robisz? – spytała Belinda.

– Dwie rzeczy. Uruchamiam program do zapisywania obrazu z ekranu, żebyśmy mogli zarejestrować wszystko, co ci prześlą. A także sniffera do zdalnego przechwytywania danych przepływających w sieci.

– Czyś ty oszalała? – wykrzyknęła Belinda. – Przecież napisali, że jeśli ktoś inny będzie chciał to obejrzeć, to zerwą kontakt! Chcesz ją zabić?

– Nie – odpowiedziała Dorothy cierpliwie. – Po prostu tworzę klon tego komputera. Nie będę się logowała. Nikt tego nie wykryje.

– Możesz po prostu patrzeć na komputer Marshalla – stwierdziła Belinda. – Nie pozwolę narażać bezpieczeństwa Alexy.

– Nie mogą się dowiedzieć, co robię – wyjaśniła Dorothy. Widziałem, że zaczyna tracić cierpliwość. – Poza tym musimy się upewnić, że nie chcą zainfekować tego komputera złośliwym kodem.

– A po co mieliby to robić? – wtrącił się Marshall.

– Żeby przejąć nad nim kontrolę – odrzekła Dorothy. – Czy mogę? – Zawiesiła palce nad klawiaturą. Marcus pokiwał głową i odsunął się razem z krzesłem, dopuszczając Dorothy do biurka.

– Nie dotykaj tego! – zawołała zaniepokojona Belinda.

– Możemy chwilę porozmawiać? – powiedziałem do niej i wyprowadziłem ją na korytarz. – Martwię się o twojego męża – ciągnąłem przyciszonym głosem.

– Naprawdę?

– Gdyby nie ty, wpadłby w panikę. Jesteś jego ostoją. Dobrze zrobiłaś, prosząc go, żeby zadzwonił do mnie i nie klikał w ten link.

Sprawiała wrażenie zadowolonej.

– Wiem, że w takiej chwili nie powinienem dodatkowo cię obciążać, ale chciałbym, żebyś wyszła do innego pokoju i sporządziła kompilację poszlakową.

– Kompilację...?

– Przepraszam, tak się fachowo nazywa dokładny opis wszystkich potencjalnych śladów, które mogą nas doprowadzić do miejsca uwięzienia Alexy. – Wymyśliłem to na poczekaniu, ale brzmiało przekonująco.

– Jakich śladów?

– Wszystkich. Na przykład, co Alexa miała na sobie, kiedy wyszła. Marka i rozmiar butów, poszczególne części stroju, torebka i przedmioty, które mogły się w niej znajdować. Jesteś znacznie bardziej spostrzegawcza od Marshalla, zresztą mężczyźni nigdy nie zwracają uwagi na takie rzeczy. Wiem, że to żmudne zadanie, ale niezwykle ważne, a nikt inny nie może się nim zająć. Poza tym potrzebujemy tej listy natychmiast. Jeśli to możliwe, w ciągu godziny.

– Mam użyć komputera albo maszyny do pisania?

– Jak ci najwygodniej.

Wróciłem do gabinetu. Dorothy stała przed komputerem Marshalla. Stukała w klawisze, poruszała myszką i po chwili oznajmiła:

– Dobrze, można otworzyć hiperłącze.

Po kilku sekundach otworzyło się nowe okno, a w nim tandetna strona internetowa z hasłem na górze: „CAMFRIENDZ – SPOŁECZNOŚĆ NA ŻYWO!”.

Na stronie pokazało się mnóstwo okienek z ruchomymi obrazami. Część przedstawiała drugorzędne gwiazdki; w innych nastoletnie, mocno wymalowane dziewczęta w bluzkach z dużymi dekolami robiły prowokacyjne pozy i znacząco poruszały językami. Niektóre z nich miały przekłute wargi.

– Co to jest? – spytał Marcus. – Jakaś strona porno?

– Nastoletnie dziewczęta i chłopcy siedzą przed kamerkami w swoich komputerach i ze sobą rozmawiają – wyjaśniła Dorothy. – Czasami nie tylko rozmawiają.

Znów użyła klawiatury i myszy, wpisała jakiś tekst, przewinęła obraz w dół, ponownie kilka razy kliknęła.

Nagle na ekranie pojawiło się zdjęcie Alexy.

Wyglądało jak szkolna fotografia z wcześniejszych lat. Blond włosy z grzywką, biała opaska, kraciasty sweterek, zapewne szkolny mundurek. Słodko i niewinnie. Zanim zaczęły się kłopoty.

– O mój Boże! – jęknął Marcus. – O mój Boże! Wstawili jej zdjęcie tam, gdzie każdy może je obejrzeć? Co... co oni zamierzają?

Nad zdjęciem Alexy widniał zielony napis: „Wejdz na czat”.

– Czat? – zdziwił się Marcus. – Co to ma być... z kim będę rozmawiał? Co, u diabła?

Dorothy kliknęła w napis i pojawiło się okno logowania. Wpisała nazwę użytkownika oraz hasło. Przez chwilę nic się nie działo. Podeszła do swojego laptopa, a Marshall i ja zbliżyliśmy się do ekranu.

Nagle pokazało się duże okno z kolejnym zdjęciem Alexy.

Tym razem wykonanym niedawno.

Wydawało się, że dziewczyna śpi. Miała zamknięte oczy, a smugi rozmazanego tuszu do rzęs upodabniały ją do szopa. Była potargana i wyglądała strasznie.

Po chwili zrozumiałem, że to nie zdjęcie, tylko transmisja wideo.

Widać było, jak Alexa delikatnie porusza się przez sen. Film pod względem jakości przypominał brutalne amatorskie porno: kamera zbyt blisko twarzy, ziarnisty obraz, ostrość ustawiona na konkretny obiekt oraz dziwne zielone oświetlenie, jakby film nagrywano kamerą na podczerwień.

To wskazywało, że dziewczyna znajduje się w ciemności.

Rozległ się głośny metaliczny głos.

– Alexo, obudź się! Czas przywitać się z ojcem. – To był męski głos mówiący z wyraźnym akcentem, być może wschodnioeuropejskim.

Alexa otworzyła szeroko oczy i rozwarła usta.

Marcus wstrzymał oddech.

– To ona! – zawołał, zapewne dlatego, że nic innego nie przyszło mu do głowy. – Żyje. Boże Wszechmogący, ona żyje!

Alexa wodziła wkoło wzrokiem.

Niespokojna. Spanikowana.

W jej twarzy coś się zmieniło, ale nie potrafiłem tego wskazać.

– Tato? – odezwała się.

Marcus wstał.

– Lexie! – wykrzyknął. – Kochanie! Jestem tutaj!

– Ona cię nie słyszy – powiedziała Dorothy.

– Tato? – powtórzyła Alexa.

Ponownie odezwał się donośny głos.

– Możesz mówić, Alexo.

Zaczęła pośpiesznie wyrzucać z siebie piskliwe słowa.

– Tato, o Boże, proszę, trzymają mnie w tej...

Nagle jej głos umilkł i silnie akcentowany głos oznajmił:

– Trzymaj się scenariusza, Alexo, w przeciwnym razie już nigdy nie porozmawiasz z ojcem ani z nikim innym.

Zaczęła krzyczeć, miotając głową na boki, z wytrzeszczonymi oczami i zaczerwienioną twarzą, ale bezgłośnie, a po dziesięciu sekundach obraz w oknie zniknął.

– Nie! – zawołał Marcus i zerwał się z krzesła, dotykając monitora pulchnymi palcami. – Moja córeczka! Moja córeczka!

– Link zniknął – oznajmiła Dorothy. W miejscu transmisji wideo znów widniało szkolne zdjęcie Alexy. Słodka dziewczynka z opaską na głowie i grzywką. – Nie chciała współpracować. Próbowaliśmy coś powiedzieć, może przekazać miejsce pobytu.

Marcus niepewnie kołysał się na nogach. Zmarszczone czoło zdradzało przerażenie.

– Wątpię – powiedziałem. – To wszystko wskazuje na zawodowców. Nie pozwoliliby jej zobaczyć, gdzie się znajduje. – Zerknąłem na laptopa Dorothy i zobaczyłem kolumnę białych liczb przemykających na czarnym tle, zbyt szybko, żeby je odczytać. – Co masz? – spytałem. – Wiesz, skąd nadawano sygnał?

Pokręciła głową.

– Wygląda na to, że serwery CamFriendz znajdują się na Filipinach. Właśnie stamtąd wyszła transmisja wideo. To także ślepy zaułek. Zapewne korzystają z darmowego konta, więc mogą być gdziekolwiek na świecie.

Marcus zaczął się chwiać, a ja przytrzymałem go, zanim osunął się na podłogę. Jeszcze nie stracił przytomności. Delikatnie posadziłem go na krześle.

– Zabili ją – powiedział, tępo wbijając wzrok w przestrzeń.

– Nie – odparłem. – To nie leży w ich interesie. Potrzebują jej, żeby dostać okup.

Jęknął i skrył twarz w dłoniach.

Dorothy wstała i wyszła z gabinetu, twierdząc, że nie chce nam przeszkadzać w prywatnej rozmowie. Wyjęła drugiego laptopa ze swojej torby od Gucciego i zabrała się do pracy w kuchni, starając się namierzyć adres IP.

...

– Spodziewałeś się czegoś takiego, prawda? – spytałem.

– Każdego dnia, Nick – odrzekł ze smutkiem.

– Po tym, co przydarzyło się Aleksie przed galerią handlową.

– Zgadza się – odpowiedział cicho.

– Jak myślisz, czego oni chcą?

Milczał.

– Wiem, że zapłaciłbyś każdą sumę, żeby ją odzyskać.

Wpatrywał się w dal, a ja nie wiedziałem, co myśli.

Pochyliłem się na krzesło.

– Nie rób tego – rzekłem cicho. – Wiem, że gdyby się z tobą skontaktowali i zażądali przelewu na jakieś zagraniczne konto, zrobiłbyś to bez wahania. Znam cię. Ale musisz mi obiecać, że tego nie zrobisz. Dopóki nie skonsultujesz tego ze mną i nie upewnimy się, że robimy to właściwie. Jeśli chcesz, żeby twoja córka przeżyła.

Cały czas wbijał wzrok w coś, co znajdowało się poza tym pokojem.

– Marshall? Chcę, żebyś mi to obiecał.

– Dobrze.

– Nie zadzwoniłeś na policję, prawda?

– Cóż...

Przerwałem mu, zanim zdążył powiedzieć więcej.

– Powinieneś się czegoś o mnie dowiedzieć. Nie lubię, kiedy klienci mnie okłamują. Przyjąłem to zlecenie ze względu na Alexę, ale jeśli odkryję, że kłamiesz albo coś ukrywasz, zrezygnuję. Po prostu. Rozumiesz?

Długo na mnie patrzył, szybko mrugając.

– Daruję ci wszystko, co do tej pory robiłeś i mówiłeś – stwierdziłem. – Ale od tej chwili każde kłamstwo spowoduje, że się wycofam z tej sprawy. Więc spróbujmy jeszcze raz: Czy dzwoniłeś na policję?

Przez chwilę milczał. W końcu zamknął oczy i pokręcił głową.

– Nie.

– W porządku. To już jakiś początek. Dlaczego?

– Ponieważ wiedziałem, że przekażą sprawę FBI.

– I co z tego?

– FBI zależy tylko na tym, żeby wsadzić mnie do więzienia. Przykładnie mnie ukarać.

– Dlaczego? Mają jakieś podstawy?

Zawahał się.

– Tak.

Popatrzyłem na niego.

– Naprawdę?

Tylko odwzajemnił moje spojrzenie.

– Jeśli nie powiesz mi wszystkiego, zrezygnuję.

– Nie zrobiłbyś tego Aleksie.

– Ja niczego jej nie zrobiłem. – Wstałem. – I jestem pewien, że FBI zrobi wszystko, żeby ją odnaleźć.

– Nick, nie możesz odejść.

– No to patrz.

Ruszyłem w stronę drzwi gabinetu.

– Zaczekaj! – Marcus zawołał za mną. – Nick, wysłuchaj mnie.

Odwrociłem się.

– Tak?

– Nawet gdyby zażądali okupu, nie mógłbym zapłacić.

– Co to ma znaczyć?

Na jego twarzy jednocześnie malowały się upokorzenie, wściekłość i głęboki smutek. Sprawiał wrażenie straszliwie bezbronny.

– Nie mam nic – odrzekł. – Jestem całkowicie spłukany. Zrujnowany.

CZĘŚĆ DRUGA

*Dlaczego człowiek nie widzi rzeczy? Sam stoi na przeszkodzie:
zakrywa sobą rzeczy.*

Fryderyk Nietzsche, *Jutrzenka*
w przekładzie Stanisława Wyrzykowskiego

– Wszystko zniknęło. – Marcus mówił obojętnym głosem, jakby był pod wpływem znieczulenia.

– Zarządzasz dziesięcioma miliardami dolarów.

– Zarządzałem. Nic nie zostało.

– Zniknęło dziesięć miliardów?

Pokiwał głową.

– To niemożliwe. – Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl. – Mój Boże, ty nigdy nie miałeś tych pieniędzy, prawda? One nigdy nie istniały?

Marcus zeszywniał.

– Nie rób ze mnie Berniego Madoffa – odparł urażony.

Popatrzyłem na niego, przekrzywiając głowę. Sprawiał wrażenie wyczerpanego, pokonanego.

– Więc co się stało?

Spuścił wzrok. Po raz pierwszy zauważyłem plamy wątrobowe na jego twarzy. Wydawało się, że sieć zmarszczek nagle się pogłębiła i uwidoczniła. Był blady i miał podkrążone oczy.

– Mniej więcej sześć albo siedem miesięcy temu mój dyrektor finansowy zauważył coś tak dziwnego, że uznał, iż przypadkowo otrzymał niewłaściwe sprawozdania. Ktoś sprzedał wszystkie nasze udziały giełdowe i przelał cały zysk razem z resztą pieniędzy, które pozostawały do naszej dyspozycji.

– Dokąd przelał?

– Nie wiem.

– Kto to zrobił?

– Gdybym wiedział, odzyskałbym pieniądze.

– Przecież zatrudniasz firmę maklerską, która zajmuje się wszystkimi transakcjami giełdowymi.

– Jasne.

– Więc jeśli coś spieprzą, muszą to potem naprawić.

Marcus powoli pokręcił głową.

– Wszystkie transakcje zostały autoryzowane za pomocą naszych kodów i haseł.

Firma maklerska twierdzi, że nie są za to odpowiedzialni i nic nie mogą zrobić.

– Czy za twoje konto odpowiada jeden konkretny człowiek?

– Oczywiście. Jednak zanim odkryliśmy, co się stało, odszedł z banku. Kilka dni później znaleziono go w Wenezueli. Martwego. Zginął z całą rodziną w wypadku samochodowym w Caracas.

– Z usług jakiej firmy maklerskiej korzystacie? – Spodziewałem się, że będzie to Goldman Sachs, Morgan Stanley albo Credit Suisse, któryś z największych graczy, dlatego odpowiedź Marcusa mnie zaskoczyła.

– Banco Transnacional de Panamá.

– Panama? – spytałem. – Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Połowa naszych funduszy znajduje się poza granicami kraju. Głównie u Arabów. To oni mają najwięcej pieniędzy.

Jednak wciąż wydawało mi się to podejrzane. Panama była Szwajcarią Ameryki Łacińskiej, tylko jeszcze bardziej poufną: krainą bankowej dyskrecji, idealnym miejscem na zdeponowanie pieniędzy bez zbędnych pytań.

Ten, kto wybierał Panamę, zazwyczaj miał coś do ukrycia.

– Nagle okazało się że Marcus Capital Management nie zarządza żadnym kapitałem. Zostaliśmy z niczym. – Wzdłuż czoła Marcusa pulsowała żyłka. Bałem się, że Marshall dostanie zawału na moich oczach.

– Chyba już rozumiem, co się dalej stało. Nie mogłeś powiedzieć swoim inwestorom, że stracili wszystkie pieniądze?

– Niektórzy zainwestowali u nas setki milionów dolarów. Co miałem im powiedzieć? Że spieprzyłem sprawę? Nie potrafiłem stawić temu czoła. Wiesz, że przez te wszystkie dziesięciolecia nigdy nie odnotowałem kwartalnego spadku? Nikt inny nie może się tym poszczycić. Nawet wielki Warren Buffet kilka lat temu stracił prawie dziesięć procent.

– Więc co zrobiłeś, Marshall? Fałszowałeś sprawozdania finansowe jak Bernie Madoff?

– Nie! Potrzebowałem gotówki. Mnóstwa pieniędzy. Potężnych wpływów. A żaden bank na świecie nie udzieliłby mi pożyczki.

– Ach, już rozumiem. Przyjąłeś nowe pieniądze, żeby móc udawać, że niczego nie straciłeś.

Pokiwał głową i wzruszył ramionami.

– To też oszustwo – rzekłem.

– Nie miałem takiego zamiaru!

– Oczywiście, że nie. Od kogo przyjąłeś pieniądze?

– Nie chcesz wiedzieć, Nickeleh. Uwierz mi, że nie chcesz. Im mniej wiesz, tym lepiej.

– Myślę, że powinieneś mi powiedzieć, skoro sprawy zaszły tak daleko.

– Powiedzmy, że nie byli to najbardziej wzorowi obywatele. To źli ludzie, Nicky. –

Zaczęła mu drgać lewa powieka.

– Podaj jakieś nazwiska.

– Słyszałeś kiedyś o takim człowieku jak Joost Van Zandt?

– Czyś ty postradał rozum? – Van Zandt był holenderskim handlarzem bronią, którego prywatne siły zbrojne wspierały morderczego dyktatora Liberii, Charlesa Taylora.

– Raczej byłem zdesperowany – odparł. – A co powiesz na Agima Grazdaniego? Albo Juana Carlosa Santiago Guzmana?

Agim Grazdani był przywódcą albańskiej mafii. Na koncie miał przemyt broni, handel ludźmi i fałszerstwa. Gdy dwa lata temu najlepszy włoski prokurator wydał nakaz jego aresztowania, wkrótce znaleziono go razem z całą rodziną w lodówce w ulubionej rzymskiej restauracji ministra sprawiedliwości. Ciała poćwiartowano i zamrożono.

Od tamtej pory włoscy prokuratorzy byli zbyt zajęci innymi sprawami, żeby ścigać Grazdaniego.

Juan Carlos Santiago Guzman, przywódca kolumbijskiego kartelu Norte del Valle, jeden z najbrutalniejszych przemytników narkotyków na świecie. Zmieniał wygląd dzięki licznym operacjom plastycznym i podobno mieszkał gdzieś w Brazylii. Przy nim Pablo Esobar był jak Matka Teresa.

– No i jeszcze ci przekłęci Rosjanie – dodał Marcus. – Stanisław Łużyn, Roman Nawrozow i Oleg Uspienski.

– Mój Boże, Marshall, co ty sobie myślałeś?

– Sądziłem, że ustabilizuję sytuację i stanę na nogi dzięki nowemu napływowi gotówki. Ale to nie wystarczyło, żeby pokryć wszystkie zobowiązania. Moja firma i tak padła.

– Straciłeś też nowe fundusze.

Pokiwał głową.

– Pieniądze od Guzmana, Van Zandta, Grazdaniego i Rosjan? – upewniłem się.

– Zgadza się.

– Straciłeś je wszystkie?

Skrzywił się.

– Kiedy inwestorzy Berniego Madoffa stracili wszystko, mogli najwyżej wyżalić się przed sądem – zauważyłem. – Ci goście nie mają w zwyczaju płakać. Który z nich porwał twoją córkę?

– Nie mam pojęcia.

– Musisz mi dostarczyć listę wszystkich swoich inwestorów.

– Nie zamierzasz zrezygnować? Dziękuję. – Łzy napłynęły mu do oczu. Chwył mnie za przedramiona niedźwiedzimi łapami. – Dziękuję, Nick.

– Pełną listę – powtórzyłem. – Wszystkie nazwiska. Bez żadnych wyjątków.

– Tak – powiedział. – Oczywiście.

– A także listę wszystkich twoich pracowników, byłych i obecnych. Wliczając osoby zajmujące się domem. No i dokumentację z działu kadr.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwała się Dorothy – ale łącze znów jest aktywne.

– Łącze? – spytał zaskoczony Marcus.

– Alexa. Znów możemy oglądać transmisję na żywo.

Zgromadziliśmy się wokół ekranu. Marcus pochylił się na krześle, podczas gdy Dorothy stuknęła palcami w klawisze.

– Przed chwilą się pojawiło – wyjaśniła.

To samo zdjęcie Alexy z dzieciństwa, a na nim zielone napisy: „Na żywo” oraz „Wejdź na czat”. Dorothy poruszyła myszką i kliknęła.

Ponownie zobaczyliśmy twarz Alexy. To samo duże zbliżenie. Oczy napełnione łzami.

– Tato? – odezwała się. Nie patrzyła prosto w kamerę, ale nieco w bok, jakby nie była pewna, gdzie znajduje się obiektyw. – Tato?

– Lexie? – odpowiedział Marcus. – Tata jest tutaj.

– Ona nadal cię nie słyszy – rzekła Dorothy.

– Tatusiu, oni mnie nie wypuszczą, jeśli czegoś im nie dasz.

Obraz zacinał się i drżał. Transmisja nie była najwyższej jakości. Jak obraz telewizyjny w czasach przed kablówką.

– Mmm... po pierwsze, mówią, że jeśli skontaktujesz się z policją albo kimś innym, to...

Gwałtownie zamrugła, a łzy popłynęły jej po policzkach. Zadrżała.

– Tak mi zimno, tak się boję, nie mam sił – powiedziała nagle monotonnym głosem.

– Nie mogę się obrócić w tym ciemnym miejscu. Nie chcę tutaj dłużej być, tatusiu.

– Dobry Boże – szepnęła Dorothy.

– Ciii – syknął Marcus. – Proszę!

Rozległo się niskie dudnienie i obraz znieruchomiał, zmieniając się w tysiąc pikseli, które się rozsypały. Ekran pociemniał.

– Nie! – zawołał Marcus. – Nie znowu! Dlaczego tak się dzieje?

Jednak po chwili transmisja powróciła. Alexa ponownie mówiła:

– Oni chcą dostać Merkurego, tatusiu. W stanie surowym. Nie... nie wiem, co to znaczy. Powiedzieli, że ty będziesz wiedział. Proszę, tatusiu, już dłużej nie wytrzymam.

Obraz ponownie zniknął. Odczekaliśmy kilka sekund, ale nie powrócił.

– To wszystko? – spytał Marcus, spoglądając dzikim wzrokiem na mnie i Dorothy. – To koniec transmisji?

– Jestem pewien, że to nie ostatnia – odparłem.

– To na pewno kamera na podczerwień – stwierdziła Dorothy. Dlatego obraz był monochromatyczny, zabarwiony na zielono. Taka kamera ma wbudowane źródło promieniowania podczerwonego, niewidzialnego dla ludzkiego oka.

– Trzymają ją w ciemności – dodałem.

– Moja mała Lexie! – wykrzyknął Marcus. – Co oni z nią robią? Gdzie ona jest?

– Jeszcze nie chcą, żebyśmy się dowiedzieli – odrzekłem. – Okrucieństwo jest elementem wywierania presji. Tak samo niewiedza.

Marcus zakrył oczy dłonią. Jego dolna warga drżała, a twarz płonęła. Szlochał bezgłośnie.

– Myślę, że ona leży – stwierdziła Dorothy. – Wskazuje na to wygląd jej twarzy.

– Co się stało z obrazem na końcu? – spytałem. – Dlaczego transmisja się urwała?

– Może wystąpił jakiś błąd.

– Nie byłbym taki pewien. Słyszeliście ten niski hałas? Jakby w pobliżu przejeżdżał samochód albo ciężarówka.

Dorothy pokiwała głową.

– To mogła być duża ciężarówka. Zapewne znajdują się niedaleko jakiejś drogi. W pobliżu głównej szosy albo autostrady.

– Nie – powiedziałem. – To nie była główna szosa. Nie słyszeliśmy dużego ruchu, tylko ten jeden pojazd. To nam mówi, że Alexa znajduje się niedaleko drogi, ale niezbyt ruchliwej. – Zwróciłem się do Marcusa. – Co to jest Merkury?

Odślonił oczy. Były przymrużone, zaczerwienione i zalane łzami.

– Nie mam pojęcia.

– A ta wypowiedź o byciu zbyt słabą i obracaniu się w ciemnym miejscu?

– Kto może wiedzieć, do diabła – odrzekł chrapliwym głosem, po czym odchrząknął.

– Jest oszalała ze strachu.

– Nie mówi tak na co dzień?

– Jest przerażona. To był jakiś... bełkot!

– Może cytowała jakiś wiersz?

Marcus patrzył na mnie bezrozumnym wzrokiem.

– To brzmiało jak odwołanie do czegoś. Jakby coś recytowała. Niczego ci to nie przypominało?

Pokręcił głową.

– Książkę? – zasugerowałem. – Może coś, co jej czytałeś, kiedy była mała.

– Ja, no wiesz... – zaczął i zaraz urwał. – Matka jej czytała. I twoja matka. Ja... nigdy tego nie robiłem. Spędzałem z nią niewiele czasu.

Ponownie zakrył oczy dłonią.

...

Kiedy odjechaliśmy spod domu Marcusa, zanurzając się w mrok bezgwiezdnej nocy – oddalając się od miejsca, które obecnie nazywałem obozem Marshalla Marcusa, chronionym przez uzbrojonych strażników – opowiedziałem Dorothy o tym, jak Marcus wszystko stracił.

Zareagowała z takim samym niedowierzaniem jak ja.

– Chcesz powiedzieć, że ten facet stracił dziesięć miliardów, tak jak się upuszcza drobne za kanapę?

– Mniej więcej.

– Tak się w ogóle da?

– Bez problemu.

Pokręciła głową.

– Właśnie dlatego cieszę się, że nigdy nie zajmowałam się finansami. Zawsze gubię kluczyki i okulary. Jeśli tylko można coś zgubić, ja to zrobię.

Rozmawiając ze mną, stuknęła w klawiaturę swojego BlackBerry.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie powierzał ci żadnych pieniędzy – powiedziałem.

– Wiesz, czym jest Merkury?

– Marshall nie wie. Skąd ja miałbym wiedzieć?

– Marshall twierdzi, że nie wie.

– Racja.

– Może to jeden z zagranicznych funduszy albo coś w tym stylu. Pieniądze, które gdzieś ukrył.

– Nie.

– Dlaczego?

– Jeśli porywacze wiedzą, że stracił ich fundusze, to wiedzą także, że jest bankrutem. Dlatego „Merkury” nie może się odnosić do pieniędzy.

– Może uważają, że coś odłożył na boku. Wszyscy ci goście robią zapasy. Są jak wiewiórki. Złe wiewiórki.

– Ale dlaczego nie powiedzieli tego wprost? Dlaczego nie nakazali mu: przelej trzysta milionów dolarów na takie a takie zagraniczne konto albo zabijemy dzieciaka?

– Nie wiem – przyznała Dorothy.

– Co może być cenniejsze od pieniędzy?

– Cnotliwa kobieta. – Dorothy zacisnęła usta.

– Może jakiś zastrzeżony algorytm handlowy. Formuła inwestycyjna, którą sam wymyślił.

Pokręciła głową, nie przestając stukać w klawisze.

– Algorytm handlowy? Facet jest splukany. Nie interesują mnie jego tajemne sztuczki.

Uśmiechnąłem się.

– Myślisz, że wie, ale nam nie mówi? – spytała Dorothy.

– Owszem.

– Mimo że to może kosztować życie jego córki?

Długo nie odpowiadałem.

– Trudno uwierzyć, prawda? – rzekłem w końcu.

– To ty go znasz, nie ja.

– Nie – powiedziałem. – Myślałem, że go znam, ale już nie jestem tego pewien.

– Hm.

– Co?

– O rany, to nie może być prawda.

– Ale co?

– Dobry Boże, niech to nie będzie prawda.

– O czym ty mówisz?

Na chwilę oderwałem wzrok od drogi i zerknąłem na Dorothy. Wpatrywała się w ekran telefonu.

– Te bezsensowne słowa, które wypowiadała Alexa. Pomyślałeś, że to może być cytat z jakiejś piosenki?

– Tak.

– Sprawdziłam w Google i je znalazłam. To chyba fragment tekstu piosenki zespołu rockowego Alter Bridge.

– No i co?

– Piosenka nosi tytuł *Buried Alive*¹.

Kiedy odwiozłem Dorothy do jej mieszkania na Mission Hill, była już prawie dwudziesta pierwsza.

Moje mieszkanie znajdowało się na poddaszu w dzielnicy skórzanej, co brzmi nieco perwersyjnie, ale odnosi się do rozciągającego się na sześć przecznic obszaru w śródmieściu, pomiędzy Chinatown a dzielnicą finansową, gdzie w starych budynkach z czerwonej cegły niegdyś mieściły się fabryki butów, garbarnie i magazyny.

Znalazłem miejsce do parkowania kilka przecznic od domu, po czym przeciąłem uliczkę, wszedłem ponurym wejściem służbowym i wspiąłem się po stalowych schodkach do tylnych drzwi na czwartym piętrze.

Poddasze miało postać rozległej otwartej przestrzeni z sufitem na wysokości czterech i pół metra. Sypialnia znajdowała się we wnęce po przeciwnej stronie mieszkania niż łazienka. Przykład nieudolnego projektowania. W kolejnej wnęce mieściła się kuchnia wyposażona w ekskluzywny sprzęt, którego nigdy nie używałem, poza lodówką. W mieszkaniu było mnóstwo żelaznych słupów, gołej cegły i oczywiście obowiązkowo odsłoniętej sieci przewodów. Skromnie, funkcjonalnie i bez ozdób. Bez bałaganu.

Jestem pewien, że psychiatra uznałby, iż odreagowuję w ten sposób swoje dzieciństwo spędzone w olbrzymiej posiadłości w Bedford w stanie Nowy Jork, gdzie roiło się od cennych antyków. Mój brat i ja nie mogliśmy swobodnie biegać, gdyż na każdym kroku wpadaliśmy na bezcenną wazę Etrusków albo komodę projektu Johna Townsenda.

Ale może po prostu nienawidzę rupieci.

Komik George Carlin kiedyś miał świetny monolog o „rzeczach”, śmieciach, które zbieramy i przenosimy z miejsca na miejsce w ciągu naszego życia. Stwierdził, że dom jest tylko stertą rzeczy schowanych pod przykrywką, miejscem, w którym chowamy dobytek, gdy wychodzimy po kolejne łupy. Staram się mieć jak najmniej rzeczy, ale to, co mam, jest proste i dobrej jakości.

Poszedłem prosto do łazienki, rozebrałem się i wskoczyłem pod prysznic. Długo stałem pod strumieniem gorącej wody bijącym mnie po głowie, szyi i plecach.

Nie mogłem wyrzucić z głowy obrazu biednej Alexy Marcus. Oczy jak u szopa, skrajne przerażenie. Przypomni mi się jeden z najpotworniejszych internetowych filmików, jakie widziałem: obcięcie głowy dzielnemu dziennikarzowi „Wall Street Journal” przez grupę potworów w czarnych kapturach przed kilku laty.

To skojarzenie napełniło mnie grozą.

Zastanawiałem się, co Alexa miała na myśli, informując nas o pogrzebaniu żywcem. Może trzymano ją w jakimś podziemnym bunkrze albo komorze.

Kiedy zakręciłem wodę i sięgnąłem po ręcznik, wydało mi się, że słyszę jakiś hałas. Trzask albo stuknięcie.

A może mi się przywidziało.

Przystanąłem i przez chwilę nasłuchiwałem, a potem zacząłem się wycierać.

Nagle odgłos rozległ się ponownie. Tym razem już miałem pewność.

Dobiegał z wnętrza mieszkania.

Patrzyłem przez uchylone drzwi łazienki, ale niczego nie widziałem.

Nocą w takim starym budynku w środku miasta rozlegały się rozmaite dźwięki. Odgłosy ciężarówek dostawczych i śmieciarek, pisk hamulców, trzaskanie drzwi, warkot dieslowskich silników autobusów. Alarmy samochodowe, w dzień i w nocy.

Jednak ten odgłos z pewnością pochodził z wnętrza mieszkania.

„Drap, drap, drap” dobiegające z przedniej części poddasza.

Nagi i mokry, upuściłem ręcznik i nieco szerzej otworzyłem drzwi. Wyszedłem z łazienki, chlapiąc wodą na drewnianą posadzkę.

Wyteżyłem słuch.

Jeszcze wyraźniejsze drapanie. Zdecydowanie wewnątrz mieszkania, gdzieś z przodu.

Oba moje pistolety były poza zasięgiem. Półautomat SIG-Sauer P250 leżał pod łóżkiem. Jednak żeby dotrzeć do sypialni, musiałbym minąć intruzów. Przeklinałem idiotyczny rozkład mieszkania, w którym łazienkę umieszczono tak daleko od sypialni. Druga broń, dziewięćmilimetrowy Smith & Wesson M&P, znajdowała się w sejfie pod podłogą w kuchni.

Bliżej intruzów niż mnie.

Drewniane posadzki, niegdyś podrapane i wypaczone, niedawno zostały odnowione. Były stabilne i jedwabiście gładkie, dzięki czemu nie skrzypiały pod stopami. Boso udało mi się postawić kilka bezszelestnych kroków.

Dwaj mężczyźni w czarnych kurtkach. Pierwszy potężny i muskularny z czołem neandertalczyka i czarnymi włosami ostrzyżonymi na jeża. Siedział przy moim biurku i robił coś na klawiaturze, mimo że nie wyglądał na specja od komputerów. Drugi drobny i szczupły z krótkimi brązowymi włosami, ziemistą cerą i policzkami naznaczonymi przez głębokie blizny po trądziku. Siedział na podłodze pod olbrzymim wiszącym płaskim telewizorem. Trzymał modem od kablówki i manipulował przy nim śrubokrętem.

Obaj mieli na dłoniach gumowe rękawiczki i byli ubrani w dżinsy i ciemne kurtki, które wyglądały na nowe. Większość ludzi nie zauważyłaby niczego szczególnego w ich ubiorze. Jednak dla każdego, kto kiedykolwiek działał pod przykrywką, taki strój był

równie krzykliwy jak elektroniczne billboardy na Times Square. Pod ubraniem znajdowały się kieszenie na pistolet i magazynki.

Nie miałem pojęcia, kim są, ale od razu zrozumiałem, że są uzbrojeni.

W przeciwieństwie do mnie.

Nie byłem nawet ubrany.

Nie bałem się. Byłem wściekły, wkurzony bezczelnością tych dwóch intruzów w moim mieszkaniu. Tym, że grzebali przy moim komputerze i nowym telewizorze.

U większości ludzi przypływ adrenaliny powoduje przyśpieszenie pracy serca. Moje serce wtedy zwalnia. Oddycham głębiej i widzę wszystko wyraźniej. Moje zmysły się wyostrzają.

Gdybym po prostu chciał, żeby odeszli, wystarczyłoby zahłasować, a wtedy porzuciliby swoje potajemne zajęcia i wymknęli się z mieszkania. Ale ja nie chciałem, żeby się ulotnili.

Chciałem ich zabić. Oczywiście najpierw musiałem z nimi porozmawiać, żeby dowiedzieć się, kto i po co ich przysłał.

Dlatego cofnąłem się do łazienki i przez chwilę tam stałem, ociekając wodą, rozważając swoje możliwości.

W jakiś sposób dostali się do mieszkania, nie uruchamiając alarmu. Udało im się pokonać mój system zabezpieczeń, co nie było łatwe. Zauważyłem, że drzwi wejściowe są otwarte na oścież, podobnie jak jedno z dużych fabrycznych okien. Wątpiłem, żeby weszli przez okno od strony ruchliwej ulicy. Zwróciliby na siebie uwagę, nawet późnym wieczorem: to było czwarte piętro. Jednak wejście drzwiami wymagało znajomości kodu wyłączającego alarm.

Oczywiście nie spodziewali się, że zastaną mnie w domu. Nie widzieli ani nie słyszeli, jak wchodzę wejściem służbowym na tyłach, z którego rzadko korzystam. Nie słyszeli, jak biorę prysznic pod drugiej stronie mieszkania: w tym starym budynku woda bezustannie płynie rurami.

Moją jedyną przewagą stanowił fakt, że nie wiedzieli o mojej obecności.

Spoglądając na swoje spodnie zwinięte na podłodze łazienki, w myślach dokonałem szybkiego podsumowania. Miałem pod ręką kilka przedmiotów codziennego użytku, których można użyć jako broni, takich jak klucze lub długopisy, chociaż wszystkie nadawały się tylko do walki na krótki dystans.

W takiej chwili przydałoby mi się trochę rupieci. Na pierwszy rzut oka nie widziałem niczego obiecującego. Szczoteczki i pasta do zębów, szklanka z wodą, płyn do płukania ust. Ręczniki do rąk i kąpielowe.

Ręcznik może się zmienić w skuteczną prowizoryczną broń, jeśli używa się go jak *kusari-fundo*, japońskiego łańcucha z ciężarkami, jednak tylko z niedużej odległości.

Nagle zobaczyłem swoją elektryczną maszynkę do golenia. Zazwyczaj golę się zwykłą maszynką, ale kiedy się śpieszę, sięgam po elektryczną. Zwój kabla miał około sześćdziesięciu centymetrów długości. Po rozciągnięciu kabel mógł mieć prawie dwa metry.

Wciągnąłem spodnie, odłączyłem maszynkę i bezszelestnie przeszedłem do salonu.

Najpierw musiałem się zająć osiłkiem. Drugi facet nie powinien stanowić dużego zagrożenia. Kiedy pozbędę się wielkoluda, wycisnę informacje z konusa.

Moje stopy wciąż były wilgotne i lepkie, więc lekko mlaskały, gdy podnosiłem je z podłogi. Dlatego szedłem wolno, starając się robić jak najmniej hałasu.

W ciągu kilku sekund znalazłem się w odległości trzech metrów od intruzów i ukryłem się za kolumną. Powoli zaczerpnąłem powietrza. Trzymając maszynkę do golenia w prawej, a wtyczkę kabla w lewej dłoni, cofnąłem prawą rękę, naciągając zwinięty kabel jak procę.

Następnie z całej siły posłałem urządzenie w bok głowy większego z mężczyzn.

Trafiło go z wyraźnym trzaskiem. Gwałtownie uniósł dłonie, żeby chronić twarz, o sekundę za późno. Wrzasnął, przechylił się do tyłu na krześle i runął na podłogę. Szarpnąłem kabel i maszynka wróciła do mnie rykoszetem.

Tymczasem drugi mężczyzna zaczął wstawać. Jednak najpierw chciałem się upewnić, że wielkolud zostanie na podłodze. Skoczyłem na niego i wbiłem mu prawe kolano w splot słoneczny. Zwiotczał i próbował się cofnąć, bezskutecznie wymachując pięściami. Z trudem łapał oddech. Udało mu się kilka razy trafić mnie w uszy i nieco mocniej w szczękę, ale ciosy, chociaż bolesne, nie mogły mnie powstrzymać. Uderzyłem go z całej siły w twarz. Trafiłem i rozległ się chrzęst. Poczulem, jak coś ostrego i twardego ustępuje pod moją pięścią.

Krzyknął, wijąc się z bólu. Miał złamany nos, zapewne kilka wybitych zębów. Jego krew ochlapała mi twarz.

Kątem oka dostrzegłem, że jego warty towarzysz wstał i wyciągnął spod kurtki coś, co wyglądało na broń.

Podczas krótkiej bójki upuściłem elektryczną maszynkę do golenia, więc teraz sięgnąłem po ciężki dozownik do taśmy klejącej, który leżał na biurku, i cisnąłem go w stronę napastnika. Facet się uchylił i przedmiot uderzył go w ramię, a rolka taśmy wypadła na podłogę.

Nie trafiłem, ale zyskałem kilka sekund. Zobaczyłem, że broń w jego prawej dłoni to czarny pistolet o grubej, owalnej lufie. Paralizator.

Paralizator ma za zadanie obezwładnić, a nie zabić, ale wiercie mi, że nie chcielibyście, aby ktoś was nim potraktował. Z każdego ładunku wystrzeliwane są dwie sondy z haczykami połączone z bronią cienkimi przewodami. Przez ciało ofiary przepływa pięćdziesiąt tysięcy woltów i kilka amperów, paralizując je i zakłócając pracę centralnego układu nerwowego.

Mężczyzna pochylił się, wyciągając paralizator w moją stronę, i wycelował jak specjalista. Był oddalony ode mnie o niecałe pięć metrów, co wskazywało, że wie, jak się zachować. Gdy elektryczne strzałki wystrzeli się z odległości sześciu metrów, zbyt szybko się od siebie oddalają, żeby trafić w cel i zamknąć obwód.

Skoczyłem w bok, a wtedy coś chwyciło mnie za kostkę i spowodowało, że straciłem równowagę. To był mięśniak. Miał zakrwawioną twarz. Stękał i machał rękami, rycząc jak zraniony dzik.

Chudzielec o ziemistej cerze uśmiechnął się do mnie.

Usłyszałem odgłos uzbrajanego paralizatora.

Złapałem dużą czarną latarkę Maglite z krawędzi biurka i cisnąłem nią w jego kolana, ale był za szybki i w porę uskoczył. Latarka z trzaskiem uderzyła w niższe partie nóg. Stęknął, a następnie ryknął z bólu i wściekłości. Ugięły się pod nim nogi.

Chciałem wyrwać mu paralizator, ale zamiast tego złapałem czarną płócienną torbę, którą miał na ramieniu. Okręcił się, ponownie wycelował i strzelił.

Ból był niewyobrażalny.

Każdym mięśniem w moim ciele targnął skurcz. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłem i nie byłem w stanie tego opisać. Straciłem panowanie nad swoim ciałem. Miałem wrażenie, że mięśnie znieruchomiły. Zesztywniałem jak deska i przewróciłem się na podłogę.

Kiedy znów mogłem się poruszyć, po co najmniej dwóch minutach, obu mężczyzn już nie było. Było zdecydowanie za późno na pościg, nawet gdybym mógł biegać. A z pewnością nie mogłem.

Ostrożnie wstałem i zmusiłem się do pozostania w pozycji pionowej, chociaż miałem ochotę opaść z powrotem na podłogę. Coraz bardziej wściekły, ogarnąłem wzrokiem bałagan w mieszkaniu, zastanawiając się, kto przysłał tych dwóch.

Nagle zorientowałem się, że intruzi byli na tyle uczynni, że zostawili kilka śladów.

SIG nadal leżał pod łóżkiem.

Dziewięćmilimetrowy Smith & Wesson był zamknięty w sejfie jako zabezpieczenie, gdyby ktoś znalazł SIG-a. W kuchni, pod błękitnoszarymi płytkami z piaskowca, znajdował się sejf wpuszczony w podłogę. Otworzyłem zatrask i podniosłem jedną z płytek, a następnie otworzyłem sejf szyfrem i przekonałem się, że zawartość – sterta gotówki, kilka dokumentów tożsamości, różne papiery i pistolet – pozostała nienaruszona.

Nie znaleźli go.

Zapewne nawet go nie szukali. Nie po to tutaj przyszli.

Zebrałem przedmioty, które intruzi porzucili podczas pośpiesznej ucieczki, wliczając czarną płócienną torbę na narzędzia oraz mój rozmontowany modem. I jeszcze jedną rzecz: niewielkie białe urządzenie podłączone pomiędzy portem USB z tyłu mojego komputera a kablem klawiatury. Dokładnie pasowało kolorem. Wyglądało, jakby znajdowało się na swoim miejscu. Gdybym go nie szukał, nigdy bym go nie zauważył.

Nie jestem specjalistą od komputerów, nic z tych rzeczy, ale nie trzeba być mechanikiem, żeby umieć prowadzić samochód. To małe urządzenie nazywało się keylogger. Zawierało miniaturowy nośnik USB, który zapisywał w pamięci każde wciśnięcie klawisza. Oczywiście można uzyskać ten sam skutek dzięki specjalnemu programowi, jednak obecnie jest to znacznie trudniejsze, gdy większość ludzi korzysta z oprogramowania antywirusowego. Gdybym nie miał powodu szukać tego urządzenia, na pewno bym je przeoczył.

Wewnątrz obudowy modemu znalazłem małe czarne urządzenie, w którym rozpoznałem pendrive. Przeczynałem, że ono również nie powinno się tutaj znajdować.

Zadzwoiłem do Dorothy.

– Wiedzą, że spotkałeś się z Marcusem – wyjaśniła. – Dlatego nie spodziewali się, że będziesz w domu.

– Skoro tak, to znaczy, że nas nie obserwowali.

– Zauważyłbyś, że ktoś cię śledzi, Nick. Nie są idiotami.

– Więc kim są?

– Wepnij keyloggera z powrotem do portu USB, dobrze?

Tak zrobiłem.

– Umiesz uruchomić edytor tekstu?

– Tak, jeśli mi powiesz, co mam zrobić.

Powiedziała, a ja otworzyłem nowe okno i odczytałem długi ciąg liczb. Następnie wyjąłem keyloggera z portu USB i wsunąłem na jego miejsce niewielkie urządzenie wyjęte z modemu kablowego. Powtórzyłem cały proces, odczytując kolejne liczby.

– Zaczekaj – poprosiła.

Czekałem. Dwa punkty, w które wbiły się igły paralizatora, na prawym ramieniu i w dole pleców po lewej stronie, wciąż mnie mrowiły i zaczynały swędzieć.

W słuchawce słyszałem stukanie w klawisze, mamrotanie i od czasu do czasu stęknienie.

– Hm – odezwała się Dorothy.

– Tak?

– A to ciekawe.

– Słucham.

– Numery seryjne, które przed chwilą mi podałeś, wskazują na sprzęt policyjny. Ktokolwiek się do ciebie włamał, pracuje dla rządu.

– Albo korzysta z rządowego sprzętu – zauważyłem. – To nie musieli być agenci.

– Masz rację.

Jednak już podejrzewałem, kto mógł ich wysłać.

Jeszcze zanim pojawiłem się w bostońskim oddziale terenowym FBI, Gordon Snyder odkrył, kim jestem. Wiedział, po co chciałem z nim porozmawiać, i zdawał sobie sprawę, że pracuję dla Marshalla Marcusa, który stanowił obiekt poważnego dochodzenia FBI.

A ja jako pracownik Marcusa zapewne byłem jego współnikiem, co również czyniło ze mnie cel.

Snyder otwarcie przyznał, że FBI podsłuchuje rozmowy telefoniczne Marcusa. Prawdopodobnie monitorowali także jego e-maile. A to oznaczało, że wiedział o mojej wyprawie do Manchesteru. Wiedział, że nie ma mnie w domu, więc mógł bezpiecznie wysłać swoich chłopców.

Przypomniałem sobie ostrzeżenie Diany: „Uważaj na tego faceta. Jeśli uzna, że mu bruździsz, spróbuje cię dopaść”.

– Możesz sprawdzić nagrania z moich domowych kamer? – poprosiłem. – Chciałbym zobaczyć, jak się dostali do środka.

Kiedy się wprowadziłem, zleciłem firmie ochroniarskiej zainstalowanie kilku kamer o wysokiej rozdzielczości za drzwiami mojego poddasza. Dwie z nich były zamaskowane jako wykrywacze dymu, zaś kolejne dwie miniaturowe kamerki Misumi ukryłem w atrapach otworów wentylacyjnych. Wszystkie uruchamiały się pod wpływem ruchu i były połączone z serwerem wideo w biurze.

Nie miałem pojęcia, jak to dokładnie działa. Nie znam się na takich sprawach. Jednak nagrania z monitoringu były przechowywane w sieci biura.

Dorothy obiecała, że się odezwie. Tymczasem sprawdzałem mieszkanie w poszukiwaniu kolejnych urządzeń lub chociaż śladów pozostawionych przez zespół Gordona Snydera.

W końcu Dorothy oddzwoniła.

– Obawiam się, że nie mam odpowiedzi.

– Dlaczego?

– Popatrz na swój komputer.

Wróciłem do biurka i zobaczyłem na ekranie coś, co wyglądało jak cztery zdjęcia przedstawiające schody przed frontowymi i tylnymi drzwiami do mojego mieszkania. Były to obrazy z różnych kamer. Pod każdym znajdowały się data, godzina oraz ciąg pomieszanych cyfr, które nie wydawały się istotne.

W jakiś sposób Dorothy na odległość umieściła te obrazy na moim komputerze.

– Jak to zrobiłaś? – spytałem.

– Dobry magik nigdy nie ujawnia swoich tajemnic. – Cursor zaczął się poruszać, okrążając pierwsze dwa okna. – W tych pierwszych dwóch nic się nie wydarzyło, więc możemy o nich zapomnieć. – Okna zniknęły. – Teraz patrz.

Pozostałe dwa okna powiększyły się, wypełniając większość ekranu.

– Weszli do twojego mieszkania o dwudziestej dwadzieścia dwie.

Zerknąłem na zegarek.

– Okay.

– Tutaj masz obraz z dwudziestej dwadzieścia jeden plus... trzydzieści sekund. – Obraz poruszył się o kilka klatek, aż nagle pośrodku obu okien pojawił się czerwony błysk, który wykwitł w czerwoną chmurę przesłaniającą cały obraz.

– Laser – zauważyłem.

– Właśnie.

Po minucie obraz wrócił do normy.

Wtedy na ekranie widniały już tylko puste schody.

– Więc nadal nie wiemy, jak weszli – rzekłem. – Ale to nam mówi coś użytecznego.

– Że potrafią oślepić kamerę? Można się tego nauczyć z internetu.

– Nie. Wiedzieli, gdzie są kamery.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie zastanawiali się. Działali szybko i skutecznie. Nie da się oślepić kamer, jeśli się nie zna ich położenia, a oni dokładnie wiedzieli, gdzie ich szukać.

– No i co z tego?

– Te kamery są ukryte – wyjaśniłem. – Jedna w wykrywaczu dymu, a druga w otworze wentylacyjnym. Kamera w wykrywaczu dymu to nic oryginalnego, jeśli ktoś jest na bieżąco z nowościami na rynku. Jednak ta w otworze wentylacyjnym została wykonana na zamówienie. To światłowodowa kamera o grubości niewiele ponad pół centymetra. Trafienie jej za pierwszym razem wymaga nie lada umiejętności.

– Do czego zmierzasz?

– Zdobyli plany monitoringu, a także moje hasło.

– Może od firmy, która założyła kamery.

– Niewykluczone. A może z moich własnych plików w biurze.

– Niemożliwe – odparła. – Zorientowałabym się, Nick.

– Może.

– Nie może – zaproponowała. – Na pewno.

– Nie tylko wiedzieli, gdzie dokładnie znajdują się kamery, ale zdołali unieszkodliwić system. Czyli znali szyfr.

– Od firmy ochroniarskiej.

– Firma nie zna mojego szyfru.

– A kto go zna?

– Tylko ja.

– Nie masz go gdzieś zapisanego?

– Tylko w osobistych dokumentach w biurze – odrzekłem.

– W szafce?

– Na komputerze. Na naszym serwerze.

– Aha.

– Rozumiesz? – spytałem.

– Tak. – Ktoś zadzwonił na drugą linię. Zobaczyłem, że to Diana. – Ktoś dostał się do naszej sieci.

– Albo mamy przeciek – powiedziałem. – Przepraszam, muszę odebrać.

Przełączyłem się na drugą linię.

– Nick – odezwała się Diana głosem zdradzającym napięcie. – Właśnie dostałam wiadomość z AT&T. Chyba znaleźliśmy dziewczynę.

Dopiero kiedy Alexa poszła do szkoły z internatem, dowiedziała się, że inne dzieci, normalne dzieci, nie miewają takich snów jak ona. Inni śnili o lataniu, co jej też czasami się zdarzało, ale także o tym, że wypadają im zęby. We śnie gubili się w labiryncie albo zdawali sobie sprawę, z ogromnym zażenowaniem, że spacerują po szkole nago. Wszyscy miewali koszmary, w których musieli podchodzić do egzaminu z przedmiotu, na który zapomnieli chodzić.

Ale nie Alexa.

Wciąż śniła, że pełza przez niekończącą się sieć jaskiń i utyka w wąskim tunelu setki metrów pod ziemią. Zawsze budziła się zlnana potem i drżąca.

Dowiedziała się, że kiedy ktoś cierpi na jakąś fobię, część jego mózgu stale usiłuje uzasadnić jej obecność. Pokazać ci, dlaczego twoja fobia ma sens.

Czy to nie logiczne, że boisz się węży? Kto mógłby to zakwestionować? Zatem dlaczego strach przed bakteriami albo lataniem samolotem miałby być mniej logiczny? W ten sposób też możesz umrzeć, prawda? Mózg nie musi się wysilać, żeby uzasadnić te fobie.

Przebywanie w zamkniętej przestrzeni było najbardziej przerażającą rzeczą, jaką Alexa potrafiła sobie wyobrazić. Nie potrzebowała logiki. Po prostu wiedziała.

Jak sroka niestrudzenie zbierająca błyszczące drobiazgi, jej umysł zachowywał najstraszniejsze opowieści, które przeczytała lub usłyszała od znajomych; historie dowodzące, że jej lęk jest uzasadniony. Obsesyjnie gromadziła rzeczy, które inni ludzie ledwie zauważali.

Opowieści z książek historycznych o ludziach, którzy zachorowali podczas zarazy, zapadli w śpiączkę i zostali uznani za martwych. Historie, które chciałyby wymazać z pamięci.

Pokrywy trumien podrapane od wewnątrz. Szkielety z garściami pełnymi wyrwanych włosów.

Nigdy nie zapomni przypadku pewnej dziewczyny z Ohio, która zachorowała pod koniec dziewiętnastego wieku. Lekarz orzekł zgon, a rodzina umieściła ciało w tymczasowym grobowcu, być może dlatego, że ziemia była zbyt zmrożona, żeby

wykopać grób. Kiedy na wiosnę otwarto grobowiec, żeby przenieść zwłoki do grobu, okazało się, że dziewczyna ma wyrwane wszystkie włosy i odgryzione kilka palców.

Zjadła własne palce, żeby przeżyć.

Nauczyciel angielskiego w Exeter zmuszał ich do czytania Poego. Alexa nie tylko miała trudności ze zrozumieniem, o czym ten gość pisze, gdyż używał słów, których nie знаła, ale przede wszystkim nie mogła znieść jego opowieści. Ponieważ jako jedna z nielicznych je czuła. Rozumiała zawartą w nich grozę. Jej koledzy kwitowali te opowieści słowami: „Co za chory koleś”, ale ona wiedziała, że Edgar Allan Poe znał prawdę. Nie była w stanie doczytać do końca *Zagłady domu Usherów* ani *Beczki Amontillada* – historii o ludziach pogrzebanych żywcem. Jak ktokolwiek mógł się na to zdobyć?

Dlaczego jej rozgorączkowany sroczy umysł wciąż powracał do tych okropieństw?
W końcu przeżywała własny najgorszy koszmar.

– Jej telefon jest włączony i nadaje sygnał – powiedziała Diana.

– Gdzie ona jest? – spytałem.

– Leominster. – Źle wymówiła nazwę miasteczka, jak większość ludzi, którzy po raz pierwszy je odwiedzają. Nazwa powinna się – prawie – rymować ze słowem „leming”.

– To godzinę jazdy stąd. – Popatrzyłem na zegarek. – Może mniej o tak późnej porze.

Jak dokładną lokalizację otrzymałaś?

– Prześlą mi e-mailem współrzędne geograficzne, w stopniach i minutach.

– Dobrze. To zawęzi obszar poszukiwań do około tysiąca metrów kwadratowych. Ale kiedy dotrę na miejsce, zacznę się rozglądać za potencjalnymi kryjówkami, w których mogą ją przetrzymywać.

– Daj mi dziesięć minut.

– Wracaj do łóżka, jutro nie będziesz się do niczego nadawała. Poradzę sobie.

– To ja złożyłam wniosek, więc nie wolno mi przekazywać informacji komuś spoza biura.

– W porządku – uległem. – Będziesz mnie nawigować.

...

Szybko zabrałem trochę sprzętu, między innymi pistolet Smith & Wesson oraz przenośny odbiornik GPS, wzmocniony egzemplarz eTrex firmy Garmin.

W drodze opowiedziałem Dianie o tym, co się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania. O nagraniu z monitoringu hotelu Graybar i facecie, który wrzucił coś do drinka Alexy, a następnie z nią odjechał, jej „przyjaciółce” Taylor Armstrong, córce senatora, która z jakiegoś niezrozumiałego powodu brała udział w porwaniu, transmisji internetowej oraz wyznaniu Marshalla Marcusa, że przyjął pieniądze od niebezpiecznych ludzi, rozpaczliwie próbując ocalić swój fundusz, który i tak stracił.

Diana zmarszczyła czoło.

– Sprawdzę rejestr rozmów telefonicznych. – Zaczęła szukać czegoś w swoim telefonie.

– Właśnie, ciekawi mnie, czy ostatnie połączenie było wychodzące, czy przychodzące.

– Ostatnie połączenie wychodzące dotarło do wieży w Leominsterze o drugiej trzydzieści siedem w nocy.

– Prawie dwadzieścia cztery godziny temu – zauważyłem. – Jak długo trwało?

Znów przez chwilę przewijała obraz na ekranie telefonu.

– Około dziesięciu sekund.

– Dziesięć sekund? – zdziwiłem się. – To dosyć krótko.

– Usiłowała się dodzwonić na policję, ale wygląda na to, że połączenia nie zrealizowano. Dotarło do wieży, ale potem najwyraźniej zostało urwane.

– Jestem pod wrażeniem. Była odurzona narkotykiem, a jednak na tyle przytomna, żeby próbować wezwać pomoc. A kto wtedy do niej dzwonił?

– Było kilka połączeń pomiędzy trzecią w nocy a południem.

– Widzisz, z jakich numerów?

– Tak, z czterech różnych. Dwa numery stacjonarne w Manchesterze.

– To jej tata.

– Jedna komórka, także należąca do Marcusa. Czwarty numer to komórka zarejestrowana na Taylor Armstrong.

– Więc Taylor próbowała się dodzwonić do Alexy. Ciekawe.

– Dlaczego?

– Skoro usiłowała się z nią skontaktować, to może się o nią martwiła. To by wskazywało, że mogła nie wiedzieć o tym, co się stało.

– Albo czuła się winna z powodu tego, co zrobiła, i chciała się upewnić, że Aleksie nic nie jest.

– Racja. – Przez dłuższą chwilę się nie odzywaliśmy. Nie dało się przyspieszyć podróży do Leominsteru. Nie było skrótu. Musiałem pojechać płatną autostradą do północnej szosy numer 95, a potem szosą numer 2, przy której leży miasteczko – drogą prowadzącą ze wschodu na zachód, która wije się przez Lincoln i Concord, a następnie wiedzie na zachód do stanu Nowy Jork.

Jednak nie przejmowałem się ograniczeniami prędkości. Obok mnie siedziała agentka federalna. Nigdy nie miałem większej szansy na uniknięcie mandatu.

Zaczęło padać. Włączyłem wycieraczki. O tej porze jedynymi samochodami na szosie były ciężarówki. Przedemną jechał stary TIR z powiewającymi gumowymi błotnikami, który chlapał wodą na przednią szybę mojego auta. Zwiększyłem częstotliwość pracy wycieraczek i zmieniłem pas.

Wyczułem, że Diana na mnie patrzy.

– Co? – spytałem.

– Dlaczego masz krew na kołnierzyku? I proszę nie mów, że zaciąłeś się przy goleniu.

Opowiedziałem jej o włamaniu do mojego mieszkania. Podzieliłem się swoją teorią, że stał za tym Gordon Snyder. Kiedy mówiłem, powoli kręciła głową, a gdy skończyłem, odparła:

– To nie było FBI. My tak nie działamy. Nie robimy takich rzeczy.

– Nie oficjalnie.

– Gdyby Snyder chciał sprawdzić twoją pocztę elektroniczną, zrobiłby to na odległość. Nie wysłałby do ciebie agentów.

Przez chwilę się zastanawiałem.

– Może masz rację.

Znów zamilkliśmy. Już miałem ją spytać o to, co się między nami wydarzyło – a raczej prawie wydarzyło – wcześniej w jej mieszkaniu, gdy nagle się odezwała.

– Dlaczego ona wciąż ma włączony telefon?

– Dobre pytanie. Powinni go wyłączyć. Wyjąć baterię. A najlepiej go zniszczyć. Każdy, kto ogląda programy telewizyjne o pracy policji, wie, że komórka może zdradzić twoje położenie.

– Może go przy niej nie znaleźli.

– Wątpię. Miała go w przedniej kieszeni kurtki.

– Więc może go gdzieś ukryła. Na przykład w samochodzie, którym ją uprowadzono.

– Może.

Czarny chevrolet silverado zmieniał pasy, nie używając kierunkowskazów.

– Cieszę się, że się spotkaliśmy – powiedziałem. Wyszło nieco sztywno i oficjalnie.

Milczała.

Ponowiłem próbę.

– Ciekawe, że przez te wszystkie miesiące oboje byliśmy w Bostonie.

– Chciałam do ciebie zadzwonić.

– Ale po co psuć sobie zabawę? Niech facet się zastanawia. Tak jest śmieszniej. – Zastanawiałem się, czy moje słowa zabrzmiały wrogo. Miałem nadzieję, że nie.

Długo nic nie mówiła.

– Opowiadałam ci o swoim tacie?

– Trochę. – Wiedziałem, że zginął podczas pościgu za zbiegiem, ale czekałem na to, co powie.

– Wiesz, że był komendantem, prawda? Pamiętam, że mama cały czas żyła w stresie. Gdy rano wychodził do pracy, nie wiedziała, czy wróci bezpiecznie do domu.

– Ty też każdego dnia ryzykujesz życie – odparłem delikatnie, nie wiedząc, do czego zmierza.

– Cóż, sama wybrałam taki los. Ale stale martwić się o kogoś innego? Tego bym nie wytrzymała, Nico.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że zawarliśmy umowę, a ja jej nie dotrzymałam.

– Umowę?

– Miało nie być żadnych zobowiązań, więzów ani presji, prawda? Ale zaczynałam za bardzo się angażować i wiedziałam, że nic dobrego dla nas z tego nie wyniknie.

– Tak sobie wmówiłaś?

– Naprawdę musimy to robić?

Nie mogłem przestać myśleć o wszystkim, czego sobie nie powiedzieliśmy.

– Nigdy o niczym nie wspomniałaś – wykrztusiłem.

Wzruszyła ramionami i umilkła.

Jechaliśmy niekończącą się, monotonna, płaską trzypasmową autostradą na zachód od Chelmsfordu, przemierzając kilometry nieregularnych, wiecznie zielonych lasów porastających strome zbocza po obu stronach drogi. Przerywane białe linie oddzielające pasy były wytarte. Towarzyszył nam tylko szum autostrady, ciche rytmiczne bębnienie.

– Nie kazali mi wyjechać do Seattle – odezwała się cicho. – Sama poprosiłam o przeniesienie.

– Rozumiem. – Może to zimny podmuch od okna sprawił, że moja twarz zdrętwiała.

– Musiałam się uwolnić. Zobaczyłam swoją przyszłość i się przeraziłam, ponieważ wiedziałam, przez co przechodziła moja mama. Pewnie powinnam wyjść za księgowego.

Długo żadne z nas się nie odzywało.

Pędziliśmy północną szosą numer 12, która wyglądała na główną arterię handlową. Po drugiej stronie ulicy znajdowały się sklep z materiałami biurowymi Staples oraz dom towarowy Marshalls. Restauracja Bickford's zachwalała „śniadanie o każdej porze”, najwyraźniej nie licząc drugiej w nocy. Restauracja Friendly's również była zamknięta. Zjechałem na pobocze i włączyłem światła awaryjne.

Diana podniosła wzrok znad odbiornika GPS.

– To tutaj – oznajmiła. – Jesteśmy w odległości trzystu metrów od jej telefonu.

– Tam – wskazała Diana. – North Main Street czterysta osiemdziesiąt dwa.

Za restauracją Friendly's wznosił się trzypiętrowy motel z cegły pokrytej stiukiem, wybudowany w klasycznym amerykańskim stylu motelowej brzydoty. Przed budynkiem stał wysoki słup z jasno podświetlonym szyldem Motelu 12. Wyglądało na to, że miejscowa dzieciarnia używała go jako tarczy, ponieważ było w nim kilka dziur i pęknięć, przez które przeświecało białe światło. Poniżej zawieszono tablicę z czarnymi plastikowymi literami układającymi się w napis „Darmowy internet”.

Zatrzymałem się na parkingu przed motelem. Stało tam kilkanaście samochodów. Nie było wśród nich jaguara, którego widziałem na nagraniu z monitoringu, ale wcale się go nie spodziewałem. Po drugiej stronie motelu wznosił się wysoki magazyn.

– Psiakrew, potrzebujemy dokładniejszych współrzędnych – mruknąłem. – Możesz oddzwonić do AT&T i poprosić ich o ponowne namierzenie telefonu? Przydałyby się współrzędne GPS w formacie dziesiętnym.

Kiedy Diana dzwoniła, cofnąłem się pieszo do szosy. Minęło mnie kilka samochodów. Po drugiej stronie drogi zobaczyłem szyld „Sheraton cztery gwiazdki”. Żadnych placów budowy, pól ani prywatnych domów.

– Mam – zawołała Diana, biegnąc w moją stronę. Podała mi odbiornik. Zdążyła już wprowadzić nowe współrzędne. Migająca strzałka pokazywała nasze położenie. Kropka oznaczała iPhone Alexy i znajdowała się niedaleko. Jeszcze bardziej zbliżyłem się do szosy, a migająca strzałka poruszyła się razem ze mną.

Zbliżałem się do telefonu Alexy.

Przeszedłem na drugą stronę drogi, cały czas zerkając na ekran odbiornika, i zatrzymałem się obok barierki na zarośniętym poboczu. Strzałka i kropka niemal się pokrywały. Telefon musiał być gdzieś tutaj.

Przeszedłem nad barierką na strome zbocze, które opadało do kanału odwadniającego, a następnie gwałtownie się wznosiło. Zlazłem na dół, tracąc grunt pod nogami i pokonując część trasy ślizgiem.

Kiedy stanąłem na dole, ponownie popatrzyłem na ekran GPS-u. Strzałka znajdowała się dokładnie na kropce. Podniosłem wzrok, popatrzyłem w prawo, a następnie w lewo.

Zobaczyłem go w żółtym blasku ulicznej latarni. Leżał w rowie w odległości metra.
iPhone w różowym gumowym etui.

Telefon Alexy.

Porzucony przy drodze.

– Alexo?

Głos Sowy ją wystraszył.

Próbowała sobie przypomnieć tekst *Lose Yourself* Eminema. Śpiewała piosenki wyciągnięte z głębin pamięci, motywy z telewizyjnych reklam, wszystko, co jej się nasunęło. Wszystko, co mogło jej pomóc zapomnieć, gdzie się znajduje. Zdołała przypomnieć sobie cały tekst *American Pie*. Długo jej to zajęło. Nie wiedziała, jak długo, gdyż straciła poczucie czasu.

– Odeszłaś od scenariusza, Alexo.

Milczała. Nie wiedziała, o czym Sowa mówi.

Nagle sobie przypomniała. Przemycone słowa piosenki, które miały powiedzieć jej ojcu, co z nią zrobili.

– Rozumiesz, że twoje życie znajduje się w moich rękach?

– Mój Boże... to mnie zabij! – wrzasnęła, chociaż jej głos zabrzmiał jak zduszony skrzek. – Zrób to. Nie zależy mi!

– Dlaczego miałbym cię zabić, Alexo? Znacznie gorsze dla ciebie jest przebywanie w trumnie zakopanej pod ziemią.

– Boże, zabij mnie, proszę!

– O nie – odparł głos. – Chcę, żebyś żyła jak najdłużej, ze świadomością, że nikt cię nigdy nie znajdzie. Nikt.

Jęczała i krzyczała, czując zawroty głowy i mdłości.

– Leżysz trzy metry pod ziemią i nikt nie ma pojęcia, gdzie jesteś. Może wybiorę się na przejażdżkę. Na kilkudniową wycieczkę. Oczywiście zostawię włączoną wentylację, żeby nie zabrakło ci powietrza. Będiesz krzyczała, ale nikt cię nie usłyszy; będziesz tłukła pięściami i drapała stalowe ściany trumny, ale nikt nie dowie się, że tutaj jesteś.

– Błagam, zrobię wszystko. Wszystko. – Zamilkła i przełknęła ślinę, czując, że znów zbiera się jej na wymioty. – Jesteś taki silny. Myślę, że jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Z głośnika nad jej głową dobiegł chichot.

– Nic nie podnieci mnie bardziej niż słuchanie, jak mnie błagasz. To dla mnie ogromnie podniecające, Alexo.

– Mój ojciec da ci wszystko, czego zapragniesz. Wszystko!

– Nie. Mylisz się. On niczego nam nie da w zamian za twoje uwolnienie.

– Może nie wie, czym jest Merkury.

– Dobrze wie. Doskonale rozumie. Wiesz, dlaczego nie daje nam tego, czego żądamy?

– Nie wie, czego chcecie!

– Nie jesteś dla niego ważna, Alexo. Kocha swoją żonę i swoje pieniądze bardziej od ciebie. Może nigdy cię nie kochał. Jesteś uwięziona jak szczur, a on wie, że tutaj jesteś, i nic go to nie obchodzi.

– To nieprawda!

Żadnej odpowiedzi.

Tylko cisza.

– To nieprawda – powtórzyła Alexa. – Pozwól mi z nim ponownie porozmawiać. Powiem mu, żeby natychmiast to zrobił.

Nic. Cisza.

– Proszę, pozwól mi z nim porozmawiać.

Żadnego dźwięku.

Nagle w przerażającej ciszy usłyszała odległe szmery, które początkowo wzięła za halucynacje wywołane przez jej przerażony umysł pracujący na wysokich obrotach.

Ale nie, to naprawdę były głosy. Przytłumione, niewyraźne, jednak bez wątpienia ludzkie. W podobny sposób czasami słyszała rozmowy rodziców docierające do niej przez podłogowe kanały grzewcze z odległości dwóch kondygnacji.

Tam byli ludzie. Zapewne Sowa i jego współpracownicy. Ich głosy docierały do niej przez rurkę albo kanał doprowadzający świeże powietrze. Czy oni mu pomagali? A jeśli nic o niej nie wiedzieli?

Zaczęła krzyczeć najgłośniej jak potrafiła.

– Pomocy, pomocy, proszę, niech ktoś mi pomoże, jestem tu, na dole, pomóżcie mi!

Odpowiedziała jej tylko cisza.

Potem znów rozległo się dalekie mamrotanie i Alexa była pewna, że usłyszała czyjś śmiech.

Zamiast Alexy znaleźliśmy porzucony telefon.

Oczywiście stanowiło to ogromne rozczarowanie, ale im dłużej o tym myślałem, tym więcej rozumiałem.

To świadczyło, że Alexa zapewne znajduje się w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Bostonu.

Nagranie z hotelowego monitoringu powiedziało nam, że została uprowadzona. Nieudany telefon na policję dowodził, że niecałą godzinę później przejeżdżała przez Leominster, na północ od Bostonu.

Diana zadzwoniła do kilku osób i doszliśmy do wniosku, że Alexę zapewne wieziono samochodem, a nie wsadzono do samolotu. Jedynym pobliskim lotniskiem był miejski port lotniczy w Fitchburgu, który dysponował dwoma pasami startowymi i służył kilku niewielkim firmom organizującym loty czarterowe. Jednak żadne samoloty nie startowały od poprzedniej północy do szóstej tego ranka.

Minęło zaledwie czternaście godzin między uprowadzeniem i pierwszym kontaktem porywaczy z Marshalllem Marcusem. W tym czasie musieli ją przetransportować, a następnie – jeśli wskazówki Alexy należało rozumieć dosłownie – pogrzebać w jakiejś krypcie albo grobowcu. A także ustawić kamery do internetowej transmisji. To wszystko wymagało wysiłku i czasu, co najmniej kilku godzin. Dlatego nie mogli zbyt daleko odjechać.

Jednak to wciąż niewystarczająco zawężyło teren poszukiwań.

...

Podwiozłem Dianę do siedziby FBI. Była dopiero szósta rano, ale uznała, że może wcześniej zacząć pracę. Zamierzała jak najszybciej skontaktować się z technikami i zlecić im pełną analizę telefonu Alexy.

Kiedy wysiadła, przez chwilę siedziałem beczynnym w land roverze przed One Center Plaza, rozważając wybranie się do domu i złapanie kilku godzin snu, skoro zapowiadał się ciężki dzień.

Jednak potem sprawdziłem pocztę.

Znalazłem długi ciąg e-maili, których nadawcą był jakiś nieznany numer. Dopiero po kilku chwilach zrozumiałem, że zostały automatycznie wysłane przez miniaturowy

nadajnik GPS zamontowany w złotej zapalniczce Taylor Armstrong.

Tak naprawdę nie w jej zapalniczce, tylko tej, na którą ją podmieniłem, gdy „przypadkowo” wypadła mi z rąk na Beacon Hill. Kupiłem identyczny egzemplarz S.T. Dupont Ligne 2 Gold Diamond Head w trafice na Park Square. Absurdalnie drogi klasyk. Ale wyszło znacznie taniej, niż gdybym wynajął kogoś do śledzenia Taylor.

Mikroskopijny nadajnik zamontował mój stary kumpel z sił specjalnych, którego nazywaliśmy Romeo, a który obecnie miał firmę specjalizującą się w urządzeniach do przeciwdziałania inwigilacji. Narzekał, że zapalniczka jest za mała. Nie był pewien, czy znajdzie tak niewielki nadajnik. Wolałby, żebym ukradł dziewczynie telefon; wtedy sprawa byłaby banalnie prosta.

Łatwiej byłoby usunąć Taylor którąś z nerek.

Jednak Romeo w końcu znalazł sposób na wciśnięcie mikroskopijnego nadajnika GPS do pojemnika z płynem wewnątrz zapalniczki. Oczywiście cały czas przy tym marudził. Romeo, który naprawdę nazywał się George Devlin, nie był miły w obyciu, ale znał się na swoim fachu.

Zaprogramował urządzenie w taki sposób, żeby wysyłało sygnał z aktualną lokalizacją tylko wtedy, gdy się przemieści o ponad trzysta metrów. Teraz widziałem, że bezpośrednio po naszej rozmowie na rogu Charles i Beacon Taylor wróciła do domu – albo zawiozła ją tam limuzyna Davida Schechtera – a następnie pojechała do Medfordu, osiem kilometrów na północny zachód.

Z kim chciała się tak pilnie spotkać?

Podejrzewałem, że znam odpowiedź.

Dwadzieścia minut później jechałem Oldfield Road w Medfordzie, sympatyczną ulicą, wzdłuż której stały pełne uroku stare drzewa oraz oszalowane domy. Znajdowały się wśród nich domy dwurodzinne oraz bloki mieszkalne. Większość była dobrze utrzymana, świeżo pomalowana, z elegancko skoszonymi trawnikami, idealnie przystrzyżonymi żywopłotami i wypolerowanymi podjazdami lśniącymi jak heban. Kilka sprawiało wrażenie porzuconych przez zrezygnowanych właścicieli, którzy machnęli ręką, widząc niechlujstwo studentów wynajmujących pokoje. Tufts University znajdował się w odległości krótkiego spaceru.

Dom, w którym Taylor Armstrong zeszłego wieczoru spędziła czterdzieści trzy minuty, był białym, dwupiętrowym drewnianym budynkiem, jednym z ładniejszych w okolicy. O wpół do siódmej rano niewiele się działo w sąsiedztwie. Jakaś kobieta biegła w czarno-turkusowym spandeksowym wdzianku. Jakiś samochód wyjeżdżał z podjazdu na drugim końcu ulicy. Czekałem i obserwowałem dom.

W końcu wysiadłem i minąłem budynek, jakbym był sąsiadem na porannym spacerze. Pośpiesznie się rozejrzałem, po czym cicho, ale swobodnie wspiąłem się na werandę, gdzie zobaczyłem pięć przycisków podpisanych nazwiskami. Pięć mieszkań. Jedno zapewne należało do właściciela. Po dwa mieszkania na każdej z wyższych kondygnacji.

Pięć nazwisk. Schiff, Murdoch, Perreira, O'Connor i Unger. Zapamiętałem je, a następnie wróciłem do samochodu, wcisnąłem skrót klawiszowy na swoim telefonie i obudziłem Dorothy.

...

Oddzwoniła pięć minut później.

– Margaret O'Connor ma siedemdziesiąt dziewięć lat, od piętnastu jest wdową, a ten dom należy do niej od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku. Pozostała czwórka wynajmuje mieszkania. Jedna osoba niedawno skończyła college i pracuje dla Amnesty International. Dwie kolejne to doktoranci na Tufts University. Czwarta to nasz facet.

– Który?

– Perreira. Pełne nazwisko to Mauricio da Silva Cordeiro-Perreira. Znalazłam jego zdjęcie; to ten sam gość co na nagraniu z hotelowego monitoringu.

– Taylor mówiła, że ma na imię Lorenzo.

– Podał jej fałszywe imię.

– Jego nazwisko znajduje się obok dzwonka, więc nawet jeśli nie znała jego imienia, to wiedziała, jak się nazywa. Co ich łączy?

– Oto czego się dowiedziałam. Trzydzieści dwa lata. Urodzony w São Paulo w Brazylii. Bogata rodzina. Mam na myśli naprawdę duże pieniądze. Ojciec pracuje w siedzibie ONZ w Nowym Jorku.

– Czym się tam zajmuje?

– Pewnie niczym. Jest członkiem brazylijskiej misji dyplomatycznej, a ci goście niczego konkretnego nie robią. Mauricio wychował się na ogrodzonym osiedlu w Morumbi, na przedmieściach São Paulo. Chodził do dwujęzycznej szkoły: do Świętego Pawła, a potem studiował na Universidade de São Paulo. Należał do klubu tenisowego Harmonia i klubu polo Helvetia...

– Więc jak to się stało, że taki bogaty młodzieniec trafił do gównianego mieszkania w Medfordzie?

– Wygląda na to, że spędził kilka leniwych lat jako doktorant na wydziale prawa i dyplomacji na tutejszym uniwersytecie. Jednak nie przesiadywał w bibliotece Tischa. Jest dilerem. Handluje głównie koką i ziołem, czasami metamfetaminą.

– Zaczyna się robić ciekawie. Co o tym wiesz?

– Dwa lata temu DEA i ICE prowadziły wspólne dochodzenie w oparciu o podejrzenie, że dzieciak przywoził zakazane substancje w bagażu dyplomatycznym swojego ojca.

– Tatuś pewnie nie był zachwycony – odparłem.

– Nie byłabym zaskoczona, gdyby go wydziedziczył. Młody kilka razy wpadł, ale nie postawiono mu żadnych zarzutów. Wygląda na to, że potrafi oszukać system.

– Jeśli jego ojciec pracuje dla ONZ, to ma immunitet dyplomatyczny.

– Immunitet obejmuje dorosłe dzieci dyplomatów?

– Całą rodzinę – wyjaśniłem.

– Nie można ich aresztować za narkotyki?

– Nie można ich aresztować za morderstwo.

– Rany, wybrałam niewłaściwy zawód. Trzeba było zostać dyplomatą. Wiele bym dała za naładowany pistolet i dziesięć minut immunitetu.

– Teraz wszystko zaczyna mieć sens – stwierdziłem. – Taylor miała problemy z narkotykami, a Mauricio pewnie jest jej dilerem. – Dzięki swojemu pochodzeniu

obracał się w wyższych sferach, co ułatwiało mu kontakty z bogatymi dziećmi z college'u, które nie chciałyby mieć nic wspólnego z byle handlarzem z Revere.

Nie tylko ze studentami, ale także z uczennicami prywatnych szkół średnich, takimi jak Taylor Armstrong, córka senatora.

– Kiedy tatuś go wydziedziczył, Mauricio nagle stracił dostęp do majątku powierniczego – powiedziała Dorothy. – A także bagażu dyplomatycznego. Zmalały dostawy, pieniądze przestały napływać, coraz trudniej było płacić czynsz albo spłacać samochód. Facet rozpaczliwie potrzebował pieniędzy. Postanowił przyjąć ryzykowne zlecenie, takie jak porwanie bogatej dziewczyny.

– A może został wynajęty, ponieważ był dilerem Taylor – stwierdziłem. – To ułatwiło mu zadanie.

– Wynajęty przez kogo?

– Cóż, Mauricio pochodzi z Brazylii, z bogatej i wpływowej rodziny. Jednym z niezadowolonych inwestorów Marcus Capital jest Juan Carlos Guzman.

– Czyli kto...?

– Kolumbijski baron narkotykowy, który mieszka w Brazylii.

– Mój Boże! – zawołała Dorothy. – Jezu Chryste. Dziewczyne porwał narkotykowy kartel? I ty myślisz, że ją odzyskasz?

– Z twoją pomocą mam szansę.

– Nick, ani ja, ani nikt inny nie namierzy tej transmisji internetowej. Rozmawiałam ze wszystkimi, których znam, także z ludźmi, którzy zajmują się tym znacznie dłużej ode mnie.

– Powiedziałaś im, nad czym pracujemy?

– Oczywiście, że nie. Rozmawialiśmy o namierzaniu adresów IP i algorytmach. Analizie danych cyfrowych. W ten sposób ich nie znajdziemy.

– Bardzo się namęczyli, żeby przesłać Marcusowi żądanie okupu – zauważyłem.

– Myślisz, że nasz facet wciąż jest w mieszkaniu, czy raczej uciekł po tym, jak Taylor go ostrzegła?

– Nie wiem. Jeśli tam jest, to znaczy, że był tylko kurierem. Odebrał Alexę i przekazał ją komuś innemu. Nie zdążyłby zawieźć jej do Leominsteru i wrócić.

– Może wyrzucił jej telefon, żeby zostawić fałszywy trop. Żeby wszyscy myśleli, że dziewczyna jest tam, a nie niedaleko Bostonu.

– To zbyt skomplikowane. Znacznie łatwiej po prostu zniszczyć telefon i nie zostawić żadnych śladów. Poza tym prowadził skradziony samochód. Nie ryzykowałby zatrzymania z powodu przepalonej żarówki w tylnym świetle czy nieaktualnej naklejki rejestracyjnej. Jakiś ambitny miejscowy gliniarz mógłby sprawdzić tablice.

– A jeśli go tam nie ma?

– Przeszukam jego mieszkanie i sprawdzę, czy uda mi się znaleźć coś, co może mnie doprowadzić do Alexy. Rachunki, pozostałości dokumentów, pliki w komputerze, cokolwiek.

– No a jeśli zastaniesz go w domu? Może to rozpieszczony bogaty chłoptaş, ale nie zapominaj, że jest dilerem. Na pewno jest uzbrojony. Postaraj się nie zginąć przed dziesiątą.

– Dziesiątą?

– Spotkanie z gubernatorem. Pamiętasz? Chciałś, żebym ci towarzyszyła, na wypadek gdyby pojawiły się techniczne pytania, na które nie potrafiłbyś odpowiedzieć, ponieważ skupiasz się na „całościowej perspektywie”.

Miała na myśli dawno umówione spotkanie z byłym gubernatorem dużego stanu, zmuszonym do rezygnacji z powodu skandalu łapówkowego. Wszyscy zainteresowani wiedzieli, że został wrobiony.

– Każ Jillian odwołać spotkanie.

– Odwołać? – spytała z niedowierzaniem. – Jego prawnicy specjalnie przylecieli z Nowego Jorku. Nie możesz tak po prostu odwołać spotkania.

– Chyba wciąż jestem szefem. Każ Jillian ich odwołać. Poproś ją, żeby usunęła z mojego kalendarza wszystkie spotkania aż do końca tygodnia. Wszystkie. Nie będę się zajmował niczym innym, dopóki Alexa nie wróci do domu.

– Do końca tygodnia – zdziwiła się. – Jeśli myślisz, że rozwiążesz tę sprawę w dwa dni, to masz o sobie wysokie mniemanie. Ale...

– Później porozmawiamy – przerwałem jej, po czym się rozłączyłem i wysiadłem z samochodu. Podeszedłem do bocznej ściany budynku, w którym mieszkał Mauricio Perreira.

Handlarze narkotykami zazwyczaj żyją w stanie ciągłej paranoi. Facet zapewne trzymał broń blisko łóżka. Nie pod poduszką, bo to bardzo niewygodne, ale pod łóżkiem albo za ramą u wezłowania.

Trzeba go wziąć przez zaskoczenie.

Jeżeli nie zarabiasz na życie otwieraniem zamków, to pewnie nie jesteś w tym ekspertem, nawet jeśli potrafisz to robić. Kiedyś zapłaciłem zawodowemu ślusarzowi, żeby mnie pouczył, chociaż już wcześniej poznałem podstawy tej sztuki od złodzieja, którego poznałem jako nastolatek w warsztacie Norman Land Motors w Malden.

W schowku w samochodzie wozilem zestaw narzędzi, a wśród nich wytrychy i klucze dynamometryczne. Jednak staroświeckie wytrychy wymagają finezji, czasu i cierpliwości, a mnie brakowało wszystkich trzech. Wyjąłem elektryczny pistolet do otwierania zamków, smukłe urządzenie z nierdzewnej stali wielkości elektrycznej szczoteczki do zębów, szybsze i łatwiejsze w obsłudze, chociaż bardziej hałaśliwe niż wytrychy. Okazało się, że baterie się wyczerpały, więc sięgnąłem po pistolet uderzeniowy, skuteczny przyrząd obsługiwany ręcznie, pierwotnie opracowany dla policjantów, którzy nie mieli czasu opanować subtelnej sztuki otwierania zamków.

Cóż, pistolety do otwierania zamków nie działają bezgłośnie. Wydają donośny trzask. Ale są szybkie.

Wspiąłem się po bocznych schodach, które zapewniały dojście do drzwi poszczególnych mieszkań. Krótkie betonowe schodki zawiodły mnie na wąską werandę z szarą drewnianą balustradą. Wyżej prowadziły schody z pomalowanego na szaro drewna. Ostrożnie stawiając kroki, wszedłem na najwyższy poziom, przesunąłem się o metr wzdłuż balustrady i oceniłem sytuację.

Niewielkie okno z zaciągniętymi zasłonami obok drzwi mieszkania. Prosty zamek z mechanizmem zapadkowym. Nie był to Schlage albo inny bezpieczny model, który stanowiłby wyzwanie, tylko coś niemarkowego. Co za ulga.

Pojedyncza dioda: system alarmowy.

Jednak światelko było zgaszone. Pewnie wyłączył system, kiedy był w domu.

Tak więc może go zastałem. Dobrze.

Nawet się nie rozglądałem. Nie chciałem sprawiać wrażenia nieproszonego gościa, na wypadek gdyby zobaczył mnie któryś z sąsiadów.

Działąłem szybko, ale swobodnie. Najpierw wsunąłem do dziurki klucz dynamometryczny o rozmiarach rozprostowanego spinacza do papieru i chwilę nim

poruszałem. Ująłem w prawą rękę pistolet uderzeniowy, wepchnąłem igłę do dziurki obok klucza, uważając, żeby nie dotknąć zapadek, i ścisnąłem rączkę.

Rozległ się głośny trzask.

Musiałem strzelić jeszcze dziesięć albo jedenaście razy. Odgłos odbijał się echem w wąskiej przestrzeni między domami. Jeśli Perreira nie spał jak kamień, to na pewno mnie usłyszał.

Wreszcie poczułem, że zamek się obraca.

Dostałem się do środka.

W mieszkaniu było zimno. Gdzieś w innym pomieszczeniu pracował klimatyzator. Zaraz po wejściu uderzył mnie ostry, bagienny smród starej wody z fajki wodnej.

Ktoś tutaj był.

Wszystkie zasłony zaciągnięto. W pierwszym pomieszczeniu panował niemal całkowity mrok. Jednak po kilku sekundach moje oczy przyzwyczyły się do ciemności i zdołałem przejść przez zagracony pokój, klucząc między olbrzymim płaskim telewizorem a wielką skórzaną kanapą, omijając rozrzucone butelki po piwie i winie. Jakimś cudem udało mi się niczego nie przewrócić i w końcu zbliżyłem się do otwartych drzwi sypialni, zza których dobiegało głośne chrapanie. Przystanąłem na progu. Zobaczyłem jakąś sylwetkę na łóżku. Poprawka, dwie sylwetki.

Długie blond włosy okrywały poduszkę. Wyglądało to jak kępa kłaków wykrztuszona przez lwa. Dostrzegłem kobiecą szyję i wyraźnie zarysowane ramiona. Obok, z szeroko otwartymi ustami, chrapiąc jak piła mechaniczna, leżał mężczyzna. Rozpoznałem w nim Lorenza. Faceta, którego uchwyciły kamery monitoringu w Pudle. Faceta, który uprowadził Alexę. Nie miałem co do tego wątpliwości.

Przez chwilę rozważałem swoje możliwości.

Wybrałem najprostsze rozwiązanie.

Podszedłem do łóżka od strony Perreiry, który leżał pod zmiętą pościelą, w połowie nakryty kocem. Wykładzina podłogowa stłumiła odgłos moich kroków. Stary klimatyzator grzechotał i ryczał jak silnik odrzutowy. W pokoju było zimno i cuchnęło starym potem. Perreira był zwrócony twarzą w stronę blondynki i miał kołdrę podciągniętą pod szyję.

Lewą ręką chwyciłem krawędź kołdry. Szybkim szarpnięciem zarzuciłem mu ją na twarz, a następnie zawinałem pod spód, dzięki czemu uwięziłem jego głowę. Zaczął się rzucać. Przeklinał, wrzeszczał, wymachiwał rękami i nogami, ale był owinięty szczelnie jak mumia. Prawą dłoń mocno zacisnąłem na jego gardle. Zaczął się miotać jeszcze bardziej rozpaczliwie, ale kołdra tłumiała jego krzyki.

Dziewczyna też zaczęła wrzeszczeć i wyskoczyła z łóżka. Jej głos brzmiał dziwnie głęboko i męsko. Kiedy usiadłem na wijącym się Mauriciu, przygważdżając go

kolanami do łóżka, zauważyłem, że długowłosa blondynka to tak naprawdę szczupły i delikatny młody mężczyzna.

– Nie mam z tym nic wspólnego! – zawołał chłopak. – Człowieku, ja go ledwie znam!

Cofnął się, jakby spodziewał się, że na niego również się rzucę, ale odwróciłem się i pozwoliłem mu odejść.

Obawiałem się, że Perreira straci przytomność, więc nieco zwolniłem uścisk. Z trudem chwycił powietrze, po czym odezwał się chrapliwym głosem:

– *O que você quer? O que diabos você quer?*

Nie miałem pojęcia, co mówi. Nie znam portugalskiego.

– Gdzie ona jest? – spytałem.

– *Entreguei o pacote!*

– Gdzie ona jest?

– *Eu entreguei a menina!*

– Mów po angielsku.

– *O pacote! Entreguei o pacote!*

Jedno ze słów brzmiało znajomo.

– Paczka?

– Dostarczyłem – łapczywie chwycił powietrze – paczkę. Dostarczyłem paczkę!

– Paczkę? – Poczulem wzbierającą wściekłość, jak prąd przenikającą moje żyły.

Musiałem się hamować, żeby nie zmiażdżyć mu krtani.

Najwyraźniej sądził, że mam jakiś związek z porwaniem. Że wysłali mnie ludzie, dla których pracuje. A więc rzeczywiście był tylko dostawcą. Pierwszym ogniwem w łańcuchu. Wynajęto go, żeby uprowadził Alexę i przekazał ją komuś innemu.

A skoro wziął mnie za jednego ze swoich pracodawców, to zapewne ich nie znał i nigdy nie spotkał. To mogło się okazać użyteczne. Rozluźniłem chwyt na jego gardle.

– *Entreguei a cadela, qual é?* – wychrypiał.

Chociaż nie mówię po portugalsku, to znam po kilka wulgaryzmów w różnych językach i byłem pewien, że Mauricio właśnie użył takiego słowa w odniesieniu do Alexy. To mi się nie spodobało. Ścisnąłem jego gardło, dopóki nie poczułem, że miękka chrząstka zaczyna ustępować, a wtedy z trudem się powstrzymałem. Zabicie tego robaka było bezcelowe. Mógł mi się przydać żywy.

– Teraz cię puszczę, żebyś mógł mi odpowiedzieć na kilka pytań – zapowiedziałem. – Jeśli chociaż raz mnie okłamiesz, nawet w mało ważnej sprawie, odetnę ci ucho i wyślę je twojemu ojcu do siedziby ONZ. Będzie mógł je sobie powiesić na ścianie. Po drugim kłamstwie stracisz drugie ucho. Ono trafi do...

– Nie! Nie! Wszystko powiem! Czego chcesz? Zrobiłem, co kazałeś! Zrobiłem wszystko! Dałem ci dziewczynę i nie puściłem pary z gęby.

– Gdzie ona jest?

– Dlaczego mnie o to pytasz? Kazałeś mi poderwać tę sukę, odurzyć ją i przywieźć do ciebie, więc to zrobiłem. Czego jeszcze chcesz, człowieku? Masz dziewczynę. Ja mam kasę. Nikomu nic nie powiem. Wszystko załatwione. Wszystko w najlepszym porządku.

„Wszystko w najlepszym porządku”. Nienawidzę tego stwierdzenia. Spryciarz przywykł do robienia interesów z wyrafinowanymi klientami, którzy nie przyjęliby niczego od dilerów z więziennymi tatuażami ubranego w opuszczone spodnie. Większość studentów i bogatych dzieciaków nie chciała myśleć o tym, że popełnia przestępstwo. Uznawali towar, który im sprzedawał, za nielegalny delikates, jak irański kawior czy oryginalny camembert. Dzięki takiemu człowiekowi jak Mauricio handel narkotykami nie sprawiał wrażenia czegoś bezprawnego, tylko ekskluzywnego.

– Dla ciebie raczej w najgorszym.

Na stoliku obok łóżka leżała nokia. Chwyciłem ją wolną ręką i wsunąłem do kieszeni.

Następnie sięgnąłem za ramię u wezglowia łóżka i wymacałem tam coś, co kształtem przypominało broń przymocowaną taśmą klejącą. Bardzo drogi pistolet STI. Również schowałem go do kieszeni, a potem puściłem gardło Mauricio. Chrapliwie zaczerpnął powietrza. Miał ciemnoczerwoną twarz i wyglądał, jakby za chwilę miał stracić przytomność. Może nieco przesadziłem.

– No dobrze – powiedziałem, stając obok łóżka. – Wstawaj.

Z trudem usiadł, zaplątany w pościel i osłabiony brakiem tlenu. Miał na sobie tylko czerwone majtki Speedo. Niemrawo spuścił nogi z krawędzi pościeli. Miał zadbane i lśniące paznokcie u rąk i nóg.

– *Jesus Cristo* – sapnął. – Czego ty ode mnie chcesz, człowieku?

– Spieprzyłeś sprawę – odparłem.

Pokręcił głową, posyłając mi przerażone spojrzenie.

– Przekazałem wam... przekazałem... temu facetowi.

– Któremu facetowi?

– Temu, który dał mi telefon. Czyli wam, ludzie. Co jest, do cholery? Też dla nich pracujesz?

– Któremu? – powtórzyłem.

– Nikt nie podał mi nazwiska. Co to ma być? Kim ty jesteś, człowieku?

– Jak się nazywał? – wrzasnąłem.

– Nie znam żadnych nazwisk, człowieku! Nie mogę nic powiedzieć. Ten facet ma oczy z tyłu głowy!

Właśnie miałem spytać, co chce przez to powiedzieć, gdy usłyszałem dudniące kroki na schodach. On również je usłyszał. Przerazenie wykrzywiło mu twarz.

– *Jesus Cristo*, to oni! To oni! Powiedział, że mnie zabiją, jeśli z kimkolwiek porozmawiam. Niczego ci nie powiedziałem, człowieku!

Rozległ się huk, gdy drzwi mieszkania pękły pod uderzeniem metalowego tarana.

Mężczyźni, którzy wpadli do środka, mieli na sobie zielone mundury, zielone kamizelki kuloodporne oraz kevlarowe hełmy i gogle, które upodabniały ich do olbrzymich owadów z jakiegoś kiepskiego filmu science fiction. Tuż za nimi do mieszkania wparowali szturmowcy z pistoletami maszynowymi H&K MP5. Faceci z tarczami byli uzbrojeni w glocki. Na ich ramionach i klatkach piersiowych widniały insygnia FBI.

Kiedy Mauricio zobaczył, kim są, wyraz jego twarzy uległ zmianie.

Wyraźnie mu ulżyło.

Mężczyzna powoli szedł przez gołe pole w stronę gospodarstwa, gdy telefon satelitarny przy jego pasku zaczął dzwonić. Był chłodny i rzeński poranek, a niebo przypominało błękitne szkło.

Wiedział, kto dzwoni, ponieważ tylko jedna osoba znała ten numer, i wiedział, czego chce dzwoniący.

Odebrał telefon, przystając na samym środku niewielkiego kopca ziemi, i postanowił jeszcze raz uklepać go pneumatycznym ubijakiem. Albo kilka razy przejechać po nim oponami koparki. To powinno wystarczyć.

Oczywiście dziewczyna i tak nie mogła uciec, skoro była trzy metry pod ziemią.

Jednak na wsi w New Hampshire sąsiedzi czasami robią się zbyt ciekawscy lub przyjacielscy.

– Słucham? – odezwał się Dragomir.

– Jeszcze nic – odrzekł mężczyzna, który przedstawił się jako Kirył. Rozmawiali po rosyjsku.

Może to było jego prawdziwe imię, a może nie. Dragomira to nie interesowało. Kirył był tylko pośrednikiem, chłopcem na posyłki, który przekazywał wiadomości między Dragomirem a bardzo bogatym człowiekiem, którego nazywał Klientem. Nigdy nie używał jego imienia. Dragomirowi to nie przeszkadzało. Im mniej on i Klient wiedzieli o sobie nawzajem, tym lepiej.

Jednak Kirył zamartwiał się i zawodził jak wystraszona *babuszka*. Obawiał się, że jakiś szczegół może wymknąć się im spod kontroli. Wydawało mu się, że ciągle trzymanie ręki na pulsie i codzienne raporty zagwarantują powodzenie planu.

Nie wiedział, że Dragomir rzadko popełnia błędy.

– Minęło zaledwie kilka godzin – rzekł Dragomir.

– Myślisz, że ojciec położył się spać? Powinien był od razu wysłać plik. Jego córka...

– Cierpliwości – odparł Dragomir.

W górze zaryczał samolot i w słuchawce rozległy się trzaski. Odrzutowce z bazy lotniczej w Bangor w stanie Maine przelatywały mniej więcej co godzinę, głównie nocą. Były to potężnie brzmiące wojskowe transportowce. Przypomnił mu się Afganistan, gdzie nad głową wciąż przelatywały iły-76.

– ...zakładniczka jest w dobrym stanie? – spytał Kirył, gdy zakłócenia ustały.

Linia satelitarna była zakodowana, więc mówił otwarcie, mimo że Dragomir nigdy tego nie robił. Nie ufał technice.

– Coś jeszcze? – zapytał ostro.

– Nie.

Przerwał połączenie. Zachodzące słońce rzucało złocisty blask na świeżo zagrabioną ziemię. Buty Dragomira zapadały się w miękkiej glebie, pozostawiając dokładne ślady, jakby odciski w gipsie. W niektórych miejscach przekraczał ślady opon koparki.

Przypomniawszy mu się ubity grunt więziennego spacerownika, gdzie nigdy nie docierało słońce i nie rosła trawa. Od tamtej pory polubił trawniki.

Wspiął się na werandę, mijając kompresor podłączony długim żółtym przedłużaczem, po czym otworzył drzwi z moskitierą. Siatka była dziurawa, więc szybko zamknął drewniane drzwi, żeby nie wpuszczać owadów do środka. Cały ten przeklęty dom się rozsypywał, ale Dragomir nie miał powodów do narzekań. Gospodarstwo, razem z prawie trzystoma akrami lasu położonego w mało uczęszczanej części New Hampshire, należało do pewnego staruszka, który przeprowadził się na Florydę. Nikt się tutaj nie pojawił od czterech lat, nawet dozorca.

Dlatego Dragomir sam przyjął tę funkcję.

Mimo że rodzina właściciela o niczym nie wiedziała.

Przechodząc przez werandę, usłyszał żalosne zawodzenie dobiegające z głośników komputera. Dziewczyna na ekranie wiała się, machała rękami, wrzeszczała i wierciła się jak jakaś upiorna zielona zjawia.

Odgłos go irytował, więc Dragomir wyłączył dźwięk.

Godzinę później znalazłem się na piątym piętrze One Center Plaza razem z Dianą, która miała zaczerwienione, zapuchnięte oczy i sprawiała wrażenie wyczerpanej. Kręcone kosmyki jej włosów jeszcze bardziej niż zwykle przypominały włosy Meduzy. Mimo wszystko nadal była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Zaczekała, aż wręczą mi identyfikator gościa, po czym wprowadziła mnie do środka.

– Jak to się stało? – spytałem cicho.

Odpowiedziała dopiero, kiedy minęliśmy rząd gabinetów, w których rezydowali asystenci specjalnych agentów prowadzących. Zauważyłem, że drzwi gabinetu Gordona Snydera są otwarte, ale pod takim kątem, że nie widziałem, czy Snyder jest w środku.

– Dowiedziałam się tylko, że powiadomił ich tajny informator.

– Na czyich usługach?

Nie otrzymałem odpowiedzi. Dotarliśmy do labiryntu boksów, w większości pustych. Wciąż było wcześnie.

Jej boksu nie dało się pomylić z żadnym innym.

Na ścianach wisiały zdjęcia ze szkoły podstawowej: słodkie dzieciaki, które oczywiście nie były jej krewnymi. Do tego pozwijane wycinki z gazet, takich jak „Stowe Reporter” (z Vermont), „Biddeford Journal Tribune” (z Maine) czy „Boston Herald”, których nagłówki donosiły o oskarżeniach w sprawach dotyczących molestowania dzieci. Znajdowało się tam także powiększone zdjęcie pościeli w tureckie wzory oraz kserokopia wiadomości nabazgranej drukowanymi literami przez kogoś, kto ledwie potrafił pisać:

CZEŚĆ KOCHANIE OBSERWUJĘ CIĘ TO JA
PORWAŁEM I ZGWAŁCIŁEM ARDEN...

Innymi słowy, rzeczy, na które normalny człowiek nie chciałby nawet zerknąć, stale wisiały przed jej oczami, gdy siedziała przy biurku.

– Nie wiem – odrzekła. – Nie mam dostępu do takich informacji.

Słyszałem irytujący szczeł cążek do paznokci dobiegający z sąsiedniego boksu.

– Więc kto wydał rozkaz wysłania oddziału SWAT?

– Jediną osobą o takich uprawnieniach jest agent specjalny prowadzący. Ale skąd ty wiedziałeś, gdzie znaleźć Perreirę?

– Umieściłem nadajnik na Taylor Armstrong.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Nieźle.

– Ktokolwiek to zrobił, pozbawił nas najlepszej szansy na odnalezienie Alexy – stwierdziłem. – Gdzie on jest?

– Na dole w zamkniętym pokoju przesłuchań.

– Chcę z nim porozmawiać.

– Nie możesz.

– Ponieważ jestem cywilem?

– To nie jedyny powód. On nie chce z nikim rozmawiać.

– Chowa się za adwokatem?

– Powołuje się na immunitet dyplomatyczny.

– Kto z nim teraz jest?

– Nikt. Naradzamy się z rzecznikami Ministerstwa Sprawiedliwości, jak to ugryźć.

– Ja wiem.

Ponownie się uśmiechnęła.

– Nie wątpię.

– Możesz mnie tam przemycić?

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

– Muszę odmówić. Jedzie do nas attaché z brazylijskiego konsulatu w Bostonie. Nazywa się... – zerknęła na nazwisko nabazgrane na karteczce obok jej telefonu – Cláudio Duarte Carvalho Barboza. Dopóki nie skończy rozmawiać z Perreirą, nikt nie może nawet wejść do pokoju przesłuchań.

Wstałem.

– Proszę, pokaż mi, gdzie on jest.

– Po co?

– Po prostu jestem ciekawy – odparłem.

...

Diana sprowadziła mnie po schodach do zamkniętego pomieszczenia pozbawionego okien. Popatrzyłem na proste białe drzwi z metalową gałką. Nikt ich nie pilnował.

– Są tam jakieś kamery albo lustra weneckie?

– Nie. To wbrew polityce biura.

– Hm. Wiesz co, chętnie napiłbym się kawy.

– Nie zrób niczego, przez co wpadnę w tarapaty, Nick.

– Nie zrobię. Nie musisz się śpieszyć z tą kawą.

Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć, ale w oczach dostrzegłem błysk.

– Chyba będę musiała zaparzyć świeży dzbanek. To może trochę potrwać.

...

Mauricio siedział rozparty na metalowym krześle za stołem z laminowanym blatem i wyglądał na znudzonego. Kiedy mnie rozpoznał, na jego usta powoli wypłynął uśmiech zwycięstwa.

– Nic nie powiem, człowieku. Mam... *inmunidade diplomática*.

– Więc gdy tylko pojawi się attaché z brazylijskiego konsulatu, będziesz wolny. Wrócisz do domu, tak?

– Tak to działa, człowieku. Wszystko jest w najlepszym porządku.

– Świetnie – powiedziałem. – To mi się podoba.

Moja odpowiedź go rozbawiła.

– Podoba ci się? – Roześmiał się.

Zawtórowałem mu.

– O tak, jak najbardziej. Ponieważ tam już nie będziesz miał immunitetu.

Jego uśmiech lekko zbladł.

– Kiedy cię wypuszczą, to będzie jak rzucenie garści żarcia do zbiornika z rekinami. Rozpęta się prawdziwe szaleństwo. Woda się zakotłuje, a rekiny zaczną krążyć.

– Nie próbuj mnie zastraszyć.

– Zastanów się. Goście, którzy cię wynajęli, założą, że wszystko nam powiedziałeś.

Pospiesznie pokręcił głową.

– Nie współpracuję z FBI.

– Jesteś zbyt skromny, jeśli chodzi o pomoc, którą nam okazałeś.

– Niczego nie powiedziałem FBI ani nikomu innemu.

– Ależ oczywiście, że tak. – Wyjąłem z kieszeni jego nokię. – Na przykład dałeś nam numer telefonu. Rząd Stanów Zjednoczonych jest ci niezmiernie wdzięczny. Osobiście zadbam o to, żebyśmy wydali oficjalne oświadczenie w związku z pomocą, której udzieliłeś organom ścigania.

– Nikt w to nie uwierzy – odparł, ale już nie był tak pewny siebie. Założył, że pracuję dla FBI, a ja nie zamierzałem wyprowadzać go z błędu.

– Czyżby? Ciekawe, co pomyślą, kiedy nagram na twojej poczcie głosowej wiadomość z nazwiskiem twojego stałego kontaktu w biurze. Przekażę ci informacje dotyczące naszego kolejnego spotkania. Może wspomnę o tym, że kiedy spotkasz się następnym razem ze swoimi kolumbijskimi przyjaciółmi, będziesz nosił podsłuch.

Widziałem, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Chyba wiesz, że monitorują twoją linię – dodałem. – Zapewne również sklonowali twoją komórkę.

Pokręcił głową, wypychając do przodu dolną wargę, udając sceptycyzm, ale widziałem, że do niego dotarłem.

– Słyszałeś, co robią z ludźmi, którzy ich zdradzili?

– Nie zabijają mnie.

– To prawda, lubią najpierw torturować i okaleczać swoje ofiary. Lubią przeciągać sprawy. Będziesz żałował, że od razu cię nie zabili. Mają takie powiedzenie: „Nie da się zidentyfikować ciała po samym tułowi”. – Zamilkłem dla większego efektu. – Dlatego najpierw obcinają dłonie, stopy i głowę. Oczywiście się mylą. Da się zidentyfikować ciało po samym tułowi. Po prostu trwa to nieco dłużej.

Brązowe oczy Mauricia zmętniały, a przerażenie wykrzywiło mu twarz.

– Może twój tatuś mógłby użyć swoich wpływów i zmusić ich, żeby potraktowali cię łagodniej?

Jego grdyka poruszała się w górę i w dół. Próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w ustach. Wyglądał, jakby skarpeta utknęła mu w gardle.

– Ale wiesz co? – odezwałem się. – Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień. Ponieważ jestem gotów zaproponować ci specjalny układ. Na świetnych warunkach. Powiesz nam to, co chcemy wiedzieć, i nigdy więcej nie będziemy zawracać ci głowy. Żadnych podziękowań. Żadnych przyjacielskich telefonów. Może nawet przeżyjesz. – Odczekałem chwilę. – Wszystko będzie w najlepszym porządku.

– Czego chcecie? – wyszeptał łamiącym się głosem.

– Nazwiska. Nazwiska faceta, który zlecił ci poderwanie dziewczyny.

– Już mówiłem...

– Pełny opis. Wzrost. Kolor oczu. Jak się z tobą skontaktował. Dokąd dostarczyłeś... „paczkę”.

– Nie znam jego nazwiska, człowieku – wyszeptał. – To był duży facet, bardzo silny. Wyglądał groźnie.

Byłem przekonany, że mówi prawdę. Strach pozbawił go maski nieuczciwości. Miał tylko jeden cel – pozostać przy życiu. Nie zależało mu na chronieniu zleceniodawców. Nie zamierzał niczego przede mną ukrywać.

– Powiedział ci, po co potrzebuje dziewczyny?

– Kazał mi tylko ją poderwać, podać jej narkotyk i przekazać ją...

Usłyszałem zbliżające się kroki i głosy. Mauricio również je usłyszał. Znieruchomiał, spoglądając na drzwi.

– Dokąd ją zabrałeś? – spytałem.

– Facet ma oczy z tyłu głowy – wyszeptał. – Nie mogę nic powiedzieć.

– Co to znaczy, że ma oczy z tyłu głowy?

Nagle drzwi się otworzyły i do środka zajrzał przysadzisty, potężny mężczyzna w szarym garniturze, świecący łysiną.

– Co pan tutaj robi, do diabła? – zagrzemiał Gordon Snyder.

– Cześć, Ćwieku – powiedziałem.

– W co pan gra, Heller? – spytał Snyder. – Próbuje pan przekazywać instrukcje świadkowi? A może kupić jego milczenie?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zza jego pleców rozległ się donośny głos.

– Nikomu nie wolno rozmawiać z moim klientem! Wyraźnie to zaznaczyłem przez telefon.

Ktoś przepchnął się obok Snydera i wszedł do pokoju przesłuchań: postawny, elegancki mężczyzna, na oko prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie bary. Miał długie siwe włosy sięgające niemal do kołnierzyka koszuli, głęboko osadzone oczy oraz policzki ze śladami po trądziku. Był ubrany w ciemny garnitur oraz fular w kolorze czerwonego wina i roztaczał aurę władczości. Materiał garnituru ciasno opinał jego szerokie ramiona.

Oczywiście był to attaché z brazylijskiego konsulatu.

– Proszę natychmiast usunąć tego człowieka – polecił nienaganną angielszczyzną niemal pozbawioną akcentu. – Nie wolno wam przesłuchiwać mojego klienta. A jeśli w pomieszczeniu znajduje się jakiegokolwiek urządzenie rejestrujące, proszę je natychmiast wyłączyć. Moja rozmowa z klientem ma absolutne pierwszeństwo.

– Oczywiście, panie Barboza – rzekł Snyder. Posłał mi wściekłe spojrzenie i wycelował we mnie gruby palec, po czym płynnym ruchem skierował go w stronę drzwi, jak magik machający różdżką.

– Proszę się stąd wynosić, do cholery.

Na podwórzu szczekał pies.

Dragomir w pierwszej chwili pomyślał o myśliwych. Sezon łowiecki jeszcze się nie zaczął, ale to nie przeszkadzało niektórym ludziom. W zalesionej części posiadłości co piętnaście metrów rozwiesił tabliczki napisem „Teren prywatny/Zakaz polowania”, jednak nie każdy potrafił albo chciał czytać.

Myśliwi to intruzi, a intruzi są wścibscy.

Ludzie na wsi stale wtrącają się w sprawy swoich sąsiadów. Zwłaszcza jeśli chodzi o nieznanego, który pojawił się niespodziewanie i nawet się nie przedstawił.

Jest pan nowym właścicielem? Należy pan do rodziny Aldersonów?

Po co ta koparka za domem? Coś pan buduje? Sam, bez ekipy? Naprawdę? No? Co to będzie?

Kupił całe wyposażenie za gotówkę. Koparka pochodziła ze sklepu ze sprzętem gospodarczym w Biddeford, a kompresor ze składu budowlanego w Plaistow.

Trumnę wybrał w przedsiębiorstwie pogrzebowym w Dover. Wspomniał coś o podwójnym rodzinnym grobie i świętej pamięci wujku, który miał w nim spocząć jako pierwszy. Na głębokości trzech i pół metra, więc trumna musiała być odporna na zmiążdżenie.

Najwytrzymalsza, jaką oferowali, była wykonana ze stali niestopowej pomalowanej na szaro i miała niestandardowe wymiary. Amerykanie byli coraz bardziej otyli, więc duże trumny znakomicie się sprzedawały i Dragomir musiał wziąć egzemplarz z wystawy.

Przesączanie się wód gruntowych zawsze jest problemem, nawet w wypadku najsolidniej wykonanych trumien, a nie chcieli, żeby dziewczyna utonęła, zanim z nią skończą. Na szczęście zakupiony model wyposażono w wodoodporną uszczelkę. Za pomocą pokrętła na jednym końcu można było szczelnie zapieczętować trumnę, a następnie zamknąć ją stalowym prętem. To wszystko stanowiło standardowe wyposażenie, zupełnie jakby złodzieje grobów wciąż byli problemem w dwudziestym pierwszym wieku.

Przerobienie trumny nie trwało długo, zresztą zawsze lubił majsterkować. Kobaltowym wiertłem przewiercił stal w miejscu, gdzie miała się znajdować głowa

dziewczyny. Tam przyspawał półcentymetrowy mosiężny pierścień i zamocował w nim odporny na zgniatanie wężyk, który prowadził do kompresora na werandzie oddalonej o kilkadziesiąt metrów. Powietrze płynęło za każdym razem, gdy kompresor się uruchamiał, czyli przez dwie minuty raz na godzinę, w nocy i w dzień. Dragomir zakopał wężyk w ziemi razem z kablem sieci Ethernet.

Na drugim końcu trumny piłką wyciął znacznie większy otwór. Tam przyspawał mosiężną tuleję, w której zamocował dziesięciocentymetrową rurę na nieczystości. Szary przewód z tworzywa sztucznego sterczał z ziemi na środku pola jak samotne młode drzewko. Jego końcówka zaginała się jak rączka parasola. Podobne instalacje wykorzystywano na wysypiskach śmieci, żeby odprowadzać metan gromadzący się pod ziemią.

Zatem dziewczyna miała stały dopływ świeżego powietrza, na co nie mógł liczyć jego ojciec, gdy został uwięziony w kopalni węgla w Tomsku.

Jako mały chłopiec Dragomir lubił patrzeć, jak ojciec i inni górnicy jadą tyłem w wagonikach kolejki, zagłębiając się na setki metrów pod ziemię. Zawsze prosił ojca, żeby zabrał go ze sobą, ale bezskutecznie.

Każdego wieczoru ojciec wracał do domu pokryty czarnym pyłem, tak że widać było tylko oczy. Jego kaszel wielokrotnie nie pozwalał Dragomirowi zasnąć. Pluł czarną flegmą, która unosiła się w muszli klozetowej.

Kiedyś powiedział Dragomirowi, że górnictwo to jedyny zawód, w którym człowiek sam kopie sobie grób.

Chłopiec z uwagą słuchał ponurych opowieści ojca. O tym, jak jedna z maszyn runęła na jego kolegę i zmiażdżyła mu twarz. Albo o tym, jak wagonik z węglem przeciął jednego z górników na pół. Kiedyś ktoś wpadł do maszyny miażdżącej węgiel, a jej zęby rozdarły go na strzępy.

Matka Dragomira, Dusia, zawsze wściekała się na męża, że wypełnia głowę chłopca takimi przerażającymi historiami, ale Dragomir chciał ich słuchać.

Opowieści na dobranoc skończyły się, gdy Dragomir miał niespełna dziesięć lat. Pukanie do drzwi ich mieszkania komunalnego w środku nocy. Piskliwy krzyk matki.

Zabrała go do kopalni, dołączając do zgromadzonych tam tłumów, błagając o jakieś wieści, nawet złe.

Dragomir był zafascynowany. Chciał się dowiedzieć, co się stało, ale nikt nie chciał mu nic powiedzieć. Podśluchał tylko fragmenty rozmów. Podobno górnicy przypadkowo przebili się do porzuconego, zatopionego szybu, a woda uwięziła ich jak szczury.

Jednak chłopiec chciał wiedzieć więcej. Jego pragnienia nie dało się zaspokoić. Chciał poznać szczegóły.

Wyobrażał sobie, jak ojciec, razem z dziesiątkami albo nawet setkami innych mężczyzn, próbuje utrzymać głowę nad podnoszącą się czarną wodą, walcząc o kilka centymetrów kurczącej się wolnej przestrzeni. Jak miotają się w wodzie, wpychając się nawzajem pod powierzchnię, starzy przyjaciele, a nawet bracia, starając się przetrwać choćby kilka minut dłużej, jednocześnie wiedząc, że żaden z nich nie wyjdzie stamtąd żywy.

Chciał wiedzieć, jakie to uczucie, gdy wie się z całkowitą pewnością o nadchodzącej śmierci, której nie sposób powstrzymać. Myślni wciąż do tego powracał, jak dziecko rozdrapujące ranę. Fascynowało go to, co nieznanne, pociągało to, co odstręczało innych, ponieważ w ten sposób mógł się zbliżyć do ojca i poczuć to samo, co on w ostatnich chwilach życia.

Zawsze czuł się oszukany przez los, ponieważ nie widział, jak umiera jego ojciec. Miał tylko swoją wyobraźnię.

...

Przeklęty pies nie przestawał ujadać. Dragomir słyszał, że zwierzę drapie łapami moskitierę na tyłach domu. Wyjrzał przez okno i zobaczył brudnego kundla, który szczekał i skakał na drzwi. Może był wściekły, chociaż trudno to stwierdzić na pewno.

Dragomir otworzył drewniane drzwi, trzymając w pogotowiu nóż ze sprężonym powietrzem, swoją najnowszą zabawkę. Od psa oddzielała go już tylko moskitiera.

Zaskoczone zwierzę cofnęło się, obnażyło kły i nisko zawarczało.

– Chodź, piesku. – Dragomir zawołał cicho po rosyjsku i otworzył drzwi z moskitierą. Kiedy pies na niego skoczył, wbił mu ostrze w brzuch.

Kciukiem wcisnął przycisk wypuszczający zamrożoną kulę sprężonego powietrza.

Wybuch był natychmiastowy i przyniósł zadowalający efekt, jednak Dragomir od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Teraz cały był pokryty czerwonymi i lśniącościami wnętrznościami zwierzęcia oraz oślizgłymi skrawkami skóry i futra.

Od czasu do czasu się mylił. Następnym razem wbije nóż aż po rękojęść, zanim uwolni powietrze.

Potrzebował pół godziny, żeby zgarnąć rozerwane truchło do worka na śmieci i zawlec do lasu, gdzie później zamierzał je zakopać, oraz opłukać szlauchem lepiące się od krwi werandę i moskitierę.

Wziął prysznic w małej kabinie z włókna szklanego, która znajdowała się na piętrze, a następnie przebrał się w czyste dżinsy i flanelową koszulę. Nagle usłyszał dzwonek do drzwi. Wyjrzał przez okno sypialni i zobaczył terenowego lexusa zaparkowanego na

gruntowej drodze przed domem. Włożył czapkę baseballową tyłem na przód, żeby zasłonić tatuaż, i swobodnym krokiem zszedł do drzwi frontowych.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam – odezwał się mężczyzna w średnim wieku. Nie miał podbródka i nosił grube okulary w drucianych oprawkach. – Uciekł mi pies i chciałem spytać, czy go pan nie widział.

– Pies? – spytał Dragomir zza moskitiery.

– Och, gdzie moje maniery – rzekł mężczyzna. – Nazywam się Sam Dupuis, mieszkam po drugiej stronie drogi.

Zamilkł wyczekująco.

– Andros – przedstawił się Dragomir. – Opiekuję się domem.

Andros brzmiało słowiańsko, a zarazem grecko.

– Miło pana poznać – powiedział sąsiad. – Wydawało mi się, że widziałem Herkulesa na pańskim podjeździe, ale może się pomyliłem.

– Bardzo mi przykro – odrzekł Dragomir z uśmiechem. – Chciałbym panu pomóc. Mam nadzieję, że wkrótce go pan znajdzie.

Znalazłem Dianę w stołówce, gdzie siedziała samotnie nad egzemplarzem „Boston Globe” rozłożonym na okrągłym stoliku. Wyglądało na to, że jeszcze nie zaczęła czytać. Poszczególne części gazety były rozdzielone, ale pozamykane. Na razie czekała.

– Twoja kawa – powiedziała, podając mi kubek. – Przejdźmy się.

Wyszedłem za nią.

– Znaleźli torebkę Alexy pod jego łóżkiem – powiedziała. – Zabrał wszystkie pieniądze, ale najwyraźniej bał się korzystać z kart kredytowych. Skradzionego jaguara znaleźliśmy na podziemnym parkingu przy Tufts University.

– Dowiedzieliście się, dokąd nim jeździł?

– Taki stary model nie ma nawet poduszek powietrznych, a co dopiero nawigacji. Ale znaleźliśmy śladowe ilości jakiegoś białego proszku.

– Kokaina?

– Burundanga. To wyciąg z rośliny borrhachio, znanej także jako kolumbijski oddech diabła. Naturalne źródło skopolaminy.

– Ziołowa pigułka gwałtu.

Pokiwała głową.

– Słyszałam, że połowa pacjentów na izbach przyjęć w Bogocie trafia tam z powodu burundangi. Przestępcy dodają ją do drinków swoich ofiar w nocnych klubach i burdelach. Jest pozbawiona smaku i zapachu, rozpuszcza się w wodzie. Zmienia ofiary w zombi. Świadome, ale całkowicie podporządkowane. Pozbawione woli. Zrobią wszystko, co im się rozkaże, na przykład wypłacą gotówkę z bankomatu i oddadzą ją bez sprzeciwu. A kiedy narkotyk przestanie działać, nie będą niczego pamiętały.

Zmierzając w stronę schodów, minęliśmy attaché z brazylijskiego konsulatu, faceta z długimi siwymi włosami ubranego w drogi garnitur. Czarne kręcone włosy wystawały mu spod rozpiętego kołnierzyka koszuli. Szedł szybkim krokiem, ale miał opuszczoną głowę i wyglądał na zamyślnego.

– Znaleźliście w jego mieszkaniu rejestry połączeń telefonicznych? – spytałem, gdy wchodziliśmy po schodach.

– Wszystko zabrano i teraz specjaliści nad tym pracują, ale na razie bez rezultatu.

Kiedy Diana otworzyła drzwi prowadzące na szóste piętro, nagle się zatrzymałem.

– Czy on nie miał krawata?

Popatrzyła na mnie w słabym świetle, po czym obróciła się na pięcie i popędziliśmy w dół schodów.

Gdy dotarliśmy do sali przesłuchań, gdzie rozmawiałem z Perreirą, Diana otworzyła drzwi i wstrzymała oddech.

Nie powiem, że bym był zaskoczony tym, co zobaczyłem, ale to nie czyniło widoku mniej groteskowym.

Ciało Mauricia Perreiry było nienaturalnie wykręcone, a twarz szpecił straszliwy grymas, jakby uchwyciono go w połowie bezgłośnego, bolesnego wrzasku. Miał niebieskie usta i wytrzeszczone oczy upstrzone plamkami krwi z popękanych naczynek. Klasyczne wybromy.

Jego szyję otaczał mocno zaciśnięty czerwony krawat należący do attaché, niczym opaska uciskowa albo perwersyjny modny dodatek. Był nieco ciemniejszy od śladów na skórze powyżej i poniżej materiału.

– Pewnie nadal jest w budynku – stwierdziła Diana. – Zmierz do wyjścia.

– Sprawdź ten krawat – powiedziałem. – Nie sądzę, żeby pochodził ze sklepu Brooks Brothers.

Zbiegłem po pięciu ciągach schodów na Cambridge Street, licząc na to, że uda mi się złapać Brazylijczyka, ale kiedy wypadłem na ulicę, nie było po nim śladu. Mógł się ulotnić w kilkunastu różnych kierunkach. Wróciłem do holu, mając nadzieję, że skorzystał z którejś ze ślimaczących się wind, ale się nie pojawił. Zszedłem na podziemny parking pod One Center Plaza, lecz gdy tylko tam dotarłem, stwierdziłem, że to bez sensu, gdyż parking przypominał olbrzymi labirynt. Poza tym ktoś, kto przyszedł zabić człowieka przetrzymywanego przez FBI, z pewnością wcześniej zaplanował ucieczkę.

Nie udało mi się złapać tego, który właśnie zlikwidował mój jedyny trop prowadzący do Alexy Marcus.

Diana czekała na mnie na piątym piętrze. Nawet nie pytała, jak mi poszło.

– Nie miałeś szans – stwierdziła.

Na piętrze rozbrzmiewał krzykliwy alarm, a w korytarzach tłoczyli się agenci oraz pracownicy biurowi, którzy nie wiedzieli, co mają robić. Przed drzwiami pokoju, gdzie przetrzymywano Perreirę, zgromadził się niewielki tłum. Technicy już badali miejsce zbrodni, zbierając odciski palców oraz próbki włosów i włókien. Zapewne nigdy nie trafiła im się robota tak blisko miejsca pracy. Na progu pokoju przesłuchań stało kilku waśniaków w garniturach. Rozmawiali pełnymi napięciami głosami.

– Myliłeś się – rzekła Diana.

– W jakiej sprawie?

– Krawata. Rzeczywiście został kupiony w Brooks Brothers.

– Mam pecha.

– Tylko że w środku ma coś, co przypomina żyłkę wędkarską.

– Pewnie plecionka o wytrzymałości trzydziestu sześciu kilogramów. Bardzo skuteczna do duszenia. Działa jak nóż do sera. Mógłby obciąć Perreirze głowę, ale pewnie nie chciał zachlapać sobie garnituru krwią.

Przerażona Diana nic nie odpowiedziała.

– Kto go tutaj wpuścił? – spytałem.

– W tym cały problem. Nie mamy żadnych procedur dostępu. Wszyscy założyli, że ktoś inny go sprawdził. Pokazał dokument tożsamości w recepcji, podając się za Cláudia

Barbozę z brazylijskiego konsulatu, więc kto miałyby zakwestionować jego słowa?

– Ktoś powinien zadzwonić do konsulatu i sprawdzić, czy pracuje tam człowiek o takim nazwisku.

– Właśnie to zrobiłam.

– I co?

– Nawet nie mają attaché do spraw prawnych w Bostonie.

Jęknąłem.

– Pewnie nie ma co liczyć na to, że facet zostawił odciski palców.

– Nie zauważyłeś tych drogich czarnych rękawiczek z owczej skóry?

– Nie – przyznałem. – Ale przynajmniej macie nagrania z monitoringu.

– Owszem, wszędzie są kamery.

– Poza pokojem przesłuchań, gdzie najbardziej by się przydały.

– Takie nagranie nie powiedziałyby nam niczego nowego.

– Cóż, mam nadzieję, że dysponujecie lepszym systemem rozpoznawania twarzy niż Pentagon podczas mojej ostatniej wizyty. Ich system jest do dupy. – Ludzie czasami zapominają, że rozpoznawanie twarzy to nie to samo co ich identyfikacja. Polega na dopasowaniu twarzy do wizerunku uprzednio zidentyfikowanej osoby. Jeśli nie dysponuje się jej zdjęciem w wysokiej rozdzielczości, oprogramowanie nie odróżni Lillian Hellman od Scarlett Johansson.

– Nasz też. Facet to zawodowiec. Na pewno nie ryzykowałby pokazania twarzy, gdyby nie był przekonany, że go nie złapiemy.

– Racja – przyznałem. – Wiedział, że nie będzie miał problemu z wejściem ani wyjściem. Ale dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– To wykracza poza moje kompetencje.

– Słyszałaś, żeby kiedykolwiek zabito człowieka znajdującego się w rękach FBI, i to w siedzibie biura?

– Nigdy.

– Dwaj goście włamali się na moje poddasze, żeby założyć urządzenie przechwytyjące dane w komputerze. Oddział SWAT przybył do Medfordu kilka minut po mnie. Zatrzymali świadka, który następnie został zamordowany w chronionym pokoju przesłuchań w siedzibie FBI. Najwyraźniej ktoś nie chciał, żebym porozmawiał z Perreirą.

– Chyba nie oskarżasz Gordona Snydera.

– Gdybym mógł, chętnie obwiniałbym Gordona Snydera za wyciek ropy, raka i globalne ocieplenie. Ale nie za to. Jest zbyt zafiksowany na dorwaniu Marshalla

Marcusa.

Uśmiechnęła się.

– No właśnie.

– Ale to ktoś w kręgach rządowych. Ktoś wysoko postawiony, komu zależy, żebym nie odkrył, kto porwał Alexę.

– Daj spokój, Nico. Ulegasz teorii spiskowej.

– Jak powiadają, nie każdy spisek jest tylko teorią.

– Czyli mnie również nie ufasz.

– Ufam ci całkowicie. Bez żadnych zastrzeżeń. Muszę tylko pamiętać, że wszystko, co ci mówię, może trafić do skrzynki Gordona Snydera.

Sprawiła wrażenie urażonej.

– A więc jednak mi nie ufasz?

– Powiem tak: gdybyś dowiedziała się czegoś istotnego w ramach swojego dochodzenia i mu tego nie przekazała, zaniedbałabyś obowiązki, prawda?

Po chwili zastanowienia powoli pokiwała głową.

– To prawda.

– Sama widzisz. Nigdy bym cię nie okłamał, ale nie mogę ci mówić wszystkiego.

– No dobrze, rozumiem. Skoro więc ktoś próbuje ci przeszkodzić w odnalezieniu Alexy, to jaki ma motyw?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ale mam wrażenie, że ten ktoś wysyła mi sygnał.

– Jaki?

– Że jestem na właściwym tropie.

Mój stary przyjaciel George Devlin – Romeo, jak go nazywaliśmy w siłach specjalnych – był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego nosiła ziemia.

Nie tylko najlepiej wyglądał i był najbardziej lubiany w swojej klasie w szkole średniej, a także pełnił funkcję przewodniczącego, ale dodatkowo był gwiazdą szkolnej drużyny hokejowej. W miasteczku tak zwariowanym na punkcie hokeja jak Grand Rapids w stanie Michigan to wiele znaczyło. Mógł się też pochwalić doskonałym głosem – w ostatniej klasie wystąpił w szkolnym musicalu. Świetnie znał się na komputerach i był zapalonym graczem.

Mógłby osiągnąć wszystko, czego zapragnął, ale Devlinowie nie mieli pieniędzy, żeby posłać go do college’u, więc zaciągnął się do wojska. Oczywiście zakwalifikował się do sił specjalnych, ponieważ taki już był z niego facet. Po ukończeniu specjalistycznego szkolenia komputerowego został mianowany sierżantem do spraw komunikacji. Wtedy go poznałem; pełnił tę funkcję w moim oddziale. Nie wiem, kto wymyślił przydomek „Romeo”, ale od razu się przyjęło.

Jednak po tym, jak został ranny w Afganistanie i przeszedł leczenie dla weteranów wojennych, nakazał nam, żebyśmy przestali nazywać go Romeo, a zwracali się do niego po imieniu.

...

Spotkałem się z nim w olbrzymim białym kamperze najeżonym antenami, który służył mu jako dom i ruchomy gabinet. Zaparkował na podziemnym parkingu hotelu Holiday Inn w Dedham. To dla niego typowe. Wolał się spotykać w mało uczęszczanych miejscach. Wydawało się, że żyje w ciągłym ruchu. Jakby ktoś starał się go dopaść.

Otworzyłem drzwi auta i wszedłem do słabo oświetlonego wnętrza.

– Heller – dobiegł z ciemności głos Romea. Gdy moje oczy przywykły do mroku, zobaczyłem, że siedzi na stołku, odwrócony do mnie plecami, przed rzędem komputerowych ekranów i innego sprzętu.

– Witaj, George. Dzięki, że zgodziłeś się ze mną tak szybko spotkać.

– Wnioskuje, że nadajnik GPS okazał się skuteczny.

– Jak najbardziej. Wspaniale się spisał. Dziękuję.

– Następnym razem pamiętaj, żeby sprawdzić skrzynkę e-mailową.

Pokiwałem głową, po czym wyciągnąłem w jego stronę nokię, którą zabrałem z mieszkania Mauricia. George okręcił się i zwrócił w moją stronę twarz.

To, co z niej zostało.

Nigdy nie przyzwyczałem się do tego widoku, więc za każdym razem przeżywałem wstrząs. Jego oblicze stanowiło straszliwe kłębowisko wijących się blizn, niektórych białych, innych zaczerwienionych. Miał nozdrza i szparę w miejscu ust, a wojskowi chirurdzy zrobili mu powieki z kawałków skóry pobranych z wnętrza uda. Ślady po szwach wciąż były widoczne.

Na szczęście Devlin był już w stanie oddychać bez silnego bólu, a także widział na jedno oko.

Jednak nie było łatwo na niego patrzeć. Stał się potworem. Cóż za ironia, że jego wygląd, przez którego pryzmat tak długo go postrzegano, wciąż go definiował.

– Podejrzewam, że umiesz sprawdzić numery w rejestrze połączeń – odezwał się chrapliwym szeptem, gdyż miał zniszczone struny głosowe. Często wydawał wilgotny, mlaszczący dźwięk z powodu tkanki znajdującej się w niewłaściwym miejscu.

– Nawet ja to potrafię.

– Więc czego ode mnie chcesz?

– Jedyne numer, który tu się pojawia, zarówno w połączeniach wychodzących, jak i przychodzących, to czyjaś komórka. Zapewne kontakt, który wynajął go do uprowadzenia dziewczyny. Jeśli ktoś jest w stanie namierzyć tego drania po numerze, to tylko ty.

– Dlaczego nie poprosiłeś o pomoc FBI?

– Ponieważ nie jestem pewien, komu mogę zaufać.

– Odpowiedź brzmi: nikomu. Po co w ogóle z nimi współpracujesz? Myślałem, że już dałeś sobie spokój z tym rządowym gównem.

– Potrzebuję ich. Najważniejsze, żeby odnaleźć Alexę.

Hałaśliwie wciągnął i wypuścił powietrze.

– Bez komentarza.

Nienawidził wszystkich rządowych agencji i miał na ich punkcie paranoję. Były jego wrogiem. Wszystkie bez wyjątku dysponowały zbyt dużą władzą, miały złe zamiary i, jak podejrzewam, odpowiadały za detonację prowizorycznego irackiego ładunku, który spowodował wybuch baku w jego humvee. Najwyraźniej nie czuł wdzięczności wobec bohaterskich wojskowych chirurgów plastycznych, którzy ocalili mu życie i dali chociaż namiastkę twarzy, mimo że była groteskowa. Ale kto mógłby go obwiniać za to, że jest wściekły?

Dziwnie przekrzywił głowę, przyglądając się telefonowi. Wolał pracować przy słabym świetle, nawet w półmroku, ponieważ jego oczy stały się nadwrażliwe na światło.

– Ach, nokla 8800. Coś z górnej półki.

– Chyba nokia.

Pokazał mi aparat.

– Potrafisz czytać, Nick? Tutaj jest napisane nokla.

Miał rację.

– Podróbka?

Wcisnął kilka guzików na telefonie.

– Tak, IMEI to potwierdza.

– Co takiego?

– Numer seryjny. – Zsunął tylną klapkę i wyjął baterię. – Fabryka Shenzhen Special – stwierdził, podnosząc ją do światła. Nachyliłem się bliżej. Baterię pokrywały chińskie znaki. – Widziałeś kiedyś specjalną wyprzedaż nowych telefonów nokia na eBayu za połowę ceny? Wszystkie są produkowane w Chinach.

Pokiwałem głową.

– Jeśli kupujesz telefon przez internet, nie musisz ryzykować wizyty w sklepie, gdzie kamera monitoringu może uchwycić twoją twarz – powiedziałem i od razu pożałowałem doboru słów. George wiele by dał, żeby móc wejść do sklepu, nie powodując odwracania wzroku, lęku i krzyków dzieci.

Nagle Devlin odwrócił się i popatrzył na jeden z ekranów. Migąła na nim zielona kropka.

– A skoro mowa o nadajnikach, to czy ty też nosisz jakiś na sobie?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Czy nie prosiłem cię, żebyś zachował czujność, kiedy mnie odwiedzasz?

– Tak zrobiłem.

– Mogę zobaczyć twoją komórkę?

Podąłem mu swój telefon BlackBerry. Popatrzył na niego, położył go na wąskim blacie i otworzył przegródkę na baterię. Wyjął ją, a następnie wydobył coś pęsetą. Podniósł przedmiot i obejrzał go z ukosa. Twarz Devlina jest pozbawiona mimiki, ale gdyby było inaczej, z pewnością pojawiłby się na niej triumfalny uśmiech.

– Ktoś śledzi twój każdy ruch, Heller – rzekł. – Masz pojęcie, od jak dawna?

Oczywiście nie miałem pojęcia, od jak dawna jestem śledzony. Ale przynajmniej już wiedziałem, w jaki sposób namierzyli mnie w mieszkaniu Mauricia Perreiry w Medfordzie. Niezły „tajny informator”.

– Wygląda na to, że FBI ma cię na oku. A ja myślałem, że z nimi współpracujesz. Czy ktokolwiek miał dostęp do twojego telefonu, kiedy tego nie widziałeś?

Pokiwałem głową. Przypomniałem sobie, że zostawiłem telefon w recepcji w bostońskiej siedzibie FBI, nie raz, ale dwa razy.

– Teraz nawet ja zaczynam popadać w paranoję – przyznałem.

George obrócił się, żeby na mnie popatrzeć. Instynktownie miałem ochotę odwrócić wzrok od tej twarzy, więc rozmyślnie spojrzałem mu w oczy.

– To, że masz paranoję, nie oznacza, że nie próbują cię dopaść – stwierdził. W ciemnym wnętrzu furgonetki jego szept przyprawił mnie o gęsią skórkę. – Jeśli się nie mylę, cytuję Nicka Hellera.

– To nie mój tekst.

– Tak czy inaczej, masz całkowitą rację co do chińskich podróbek. Kupowanie ich przez internet rzeczywiście zmniejsza ryzyko rozpoznania. Jednak istnieje jeszcze lepszy powód. Coś, o czym mogą wiedzieć tylko najlepsi bandyci.

– Zamieniam się w słuch.

– IMEI. Indywidualny numer identyfikacyjny. Ma go każdy telefon komórkowy, nawet najtańsze jednorazówki.

– Nawet nokle?

– Tak, nawet nokle. Jednak używając produktów z Chin, twoi źli chłopcy znacznie utrudniają złapanie ich tradycyjnymi metodami.

– Dlaczego?

– Zaraz wyjaśnię. Jeżeli FBI dysponuje numerem identyfikacyjnym prawdziwej nokii, to wystarczy zadzwonić do Finlandii, a Nokia poinformuje, gdzie został sprzedany dany telefon. Bandyci tego nie chcą. Tymczasem to cacko... Do kogo zadzwonisz, do jakiejś fabryki w Shenzhen? Oni nawet nie znają angielskiego, na pewno nie prowadzą rejestru produktów i prawdopodobnie nie odbierają telefonów. Życzę powodzenia.

– Więc mamy do czynienia z zawodowcami – stwierdziłem.

Nie odpowiedział. Pochylał się nad wąskim blatem ze szkłem powiększającym i piętą, starając się oderwać coś od tylnej części telefonu. W końcu mu się udało i podniósł mały pomarańczowy tekturowy prostokąt.

– Karta SIM – zauważyłem. – Też chińska?

– Uzbecka. Ci goście naprawdę są sprytni.

– Karta SIM z Uzbekistanu?

– Pewnie kupują je hurtowo w sieci i sprowadzają do skrytki pocztowej. Tam trop się urywa. Nieźle. Chińska podróbka telefonu z niemożliwym do namierzenia numerem identyfikacyjnym i niemożliwa do namierzenia karta SIM. Znasz jakichś agentów FBI, którzy mówią po uzbecku?

– Co proponujesz?

– Trzeba pokopać głębiej.

– W jakim sensie?

– Zostaw to mnie – odrzekł.

– Ponieważ mój żalosny umysł śmiertelnika nie może tego pojąć?

– Oto twój BlackBerry. Czysty jak łąza.

– Doceniam – powiedziałem. – Ale chciałbym, żebyś z powrotem umieścił w nim nadajnik GPS.

– To... głupota.

– Niewątpliwie – przyznałem. – Jednak najpierw chciałbym, żebyś wyczerpał jego baterię. Możesz to zrobić?

– Nie pobiera mocy z baterii telefonu, więc bez problemu.

– Dobrze. Chciałbym, żeby nadajnik padł za około piętnaście do dwudziestu minut.

George pokiwał głową.

– Dzięki temu nie dowiedzą się, że go znalazłeś.

– Właśnie. Wolę, żeby mnie nie doceniali.

Gdyby mógł się uśmiechnąć, na pewno by to zrobił. Usłyszałem to w jego głosie.

– Wiesz co, Heller? Chyba ja też cię nie doceniałem. Naprawdę imponujący z ciebie gość.

– Zrób mi przysługę i zachowaj to dla siebie – odparłem.

Kiedy wróciłem do samochodu, rozdzwonił się mój telefon.

– Myślałam, że się odezwiesz – powiedziała Diana.

– Chwilowo nie miałem zasięgu.

– Więc nie widziałeś, co ci przesłałam?

– Co mi przesłałaś?

– Zdjęcie naszego porywacza.

Siły policyjne w miasteczku Pine Ridge w stanie New Hampshire (1260 mieszkańców) składały się z dwóch pełnoetatowych funkcjonariuszy, dwóch funkcjonariuszy zatrudnionych na pół etatu oraz jednego komendanta.

Walter Nowicki pełnił tę funkcję w Pine Ridge od dwunastu lat. Wcześniej służył w policji w Concord i przyjął stanowisko komendanta, gdy tylko pojawiła się taka możliwość. Razem z Delią zamierzali się przeprowadzić do jakiegoś małego miasteczka, a Walter chciał mieć więcej czasu na polowania. Praca tutaj była schematyczna i nudna, zwłaszcza poza sezonem łowieckim.

Jason Kent, żółtodziób, z wahaniem wszedł do gabinetu szefa. Policzki i odstające uszy miał zaczerwienione, jak zawsze, gdy się denerwował.

– Panie komendancie? – zagadnął.

– Sam Dupuis ciągle wydzwania – rzekł Nowicki. – Zawraca nam dupę posiadłością Aldersonów.

– O co chodzi? Przecież tam nikt nie mieszka.

Nowicki pokręcił głową.

– Mówił, że uciekł mu pies, nie do końca go zrozumiałem. Ale twierdzi też, że wykonują tam jakieś roboty bez zezwolenia.

– Chce pan, żebym pojechał porozmawiać z panem Dupuis?

– Najlepiej podjedź do posiadłości Aldersonów, przedstaw się i sprawdź, co się dzieje.

– Nie wiedziałem, że Aldersonowie jeszcze tam bywają. Myślałem, że stary wyjechał.

– Według Sama mieszka tam facet, który opiekuje się domem. Wynajęła go rodzina.

– W porządku. – Jason wstał i ruszył do wyjścia.

– Tylko grzecznie, rozumiano? – dodał komendant. – Nie rób niepotrzebnego zamieszania.

Kliknąłem na e-mail od Diany i niecierpliwie czekałem na otwarciu załącznika.

Zdjęcie, niewyraźne i słabo skonstrastowane. Tył głowy i ramiona jakiegoś mężczyzny. Wyglądało, jakby wykonano je w nocy. Może to zdjęcie wywiadowcze?

Dlaczego Diana była taka pewna, że to ten facet?

Uważniej przyjrzałem się fotografii, chociaż nie było to łatwe na ekranie BlackBerry. Zobaczyłem coś, co przypominało zagłówek samochodowego fotela. Zdjęcie zrobiono z tylnego siedzenia.

Ramiona mężczyzny wyraźnie wystawały ponad zagłówek. Był wysoki. Wyglądało na to, że ma ogoloną głowę. Jednak coś zakrywało dużą część jego głowy i szyi. Koszula z wysokim kołnierzem? Nie, może to tylko ciemna plama na zdjęciu. Gdy przyjrzałem się dokładniej, odniosłem wrażenie, że tył głowy oraz kark pokrywa jakieś obrzydliwe znamię.

Jednak po chwili zrozumiałem, że to wcale nie znamię. To był wzór, obrazek. Wyglądał jak tatuaż, ale przecież nikt nie robi sobie tatuaży na głowie, prawda?

Nieprawda.

Tatuaż przedstawiał głowę dużego ptaka, może orła albo sępa. Był to czarny albo granatowy rysunek, bardzo szczegółowy, chociaż prymitywnie wykonany. Stylizowane pióra, ostry dziób, sterczące uszy. Może raczej sowa o dużych, wytrzeszczonych oczach. Olbrzymie puste koła ze znacznie mniejszymi kołami w środku wyglądały na tęczówki.

Wpatrywały się w obserwatora. Wpatrywały się w tego, kto zrobił zdjęcie.

„Facet ma oczy z tyłu głowy”.

Kiedy Mauricio Perreira wybełkotał te słowa, nie zwróciłem na nie większej uwagi. To była tylko przenośnia, część długiej rozpaczliwej tyrady wygłoszonej przez przerażonego człowieka, oznaczająca: ten człowiek jest czujny, wszystko widzi i słyszy, wszędzie ma swoich ludzi, nie mogę podać ci jego nazwiska, boję się go.

Rzeczywiście się bał. Ale to nie była przenośnia. Mówił dosłownie. Ten facet miał oczy z tyłu głowy.

...

Diana odebrała po pierwszym dzwonku.

– Kto zrobił zdjęcie? – spytałem.

– Alexandra Marcus. Pochodzi z jej iPhone'a i zostało zrobione tej samej nocy, kiedy zniknęła.

– O której?

– O drugiej trzydzieści sześć. Okazuje się, że każde zdjęcie zrobione iPhone'em ma zakodowaną datę oraz godzinę, a także współrzędne GPS wskazujące lokalizację telefonu w chwili wykonania zdjęcia.

– Leominster?

– Na drodze prowadzącej do miasteczka, półtora kilometra od miejsca, w którym znalazłeś telefon.

– To sowa.

– Zgadza się. Nie byłam pewna, czy uda ci się ją rozpoznać na ekranie komórki. Ale jeśli powiększysz zdjęcie, zobaczysz, że tatuaż pokrywa głowę, szyję i zapewne sporą część pleców.

– Szukałaś go w bazie danych FBI?

– Oczywiście. Jedna z części rejestru jest poświęcona bliznom, charakterystycznym znakom i tatuazom. Niczego nie znalazłam.

– Wysłałaś zdjęcie do wydziału przestępczości zorganizowanej?

– Jasne. Bez powodzenia.

– Nie istnieje jakiś centralny rejestr tatuażu przestępców?

– Dobry pomysł, ale nic z tego.

Przez chwilę się zastanawiałem.

– Widziałaś kiedyś tatuaze Latynoskich Królów? – Królowie byli największym latynoskim gangiem w kraju.

– Przedstawiają koronę o pięciu wierzchołkach?

– To jeden ze wzorów. Innym jest lew w koronie. Ma ostre zęby i duże oczy. Niektórzy członkowie gangu tatuują go sobie na plecach. To potężny rysunek.

– Myślisz, że ten facet należy do latynoskiego gangu?

– W każdym razie do jakiegoś gangu.

– Wysłałam zdjęcie do naszych siedemdziesięciu pięciu ambasad na całym świecie i każdorazowo poprosiłam o sprawdzenie go w bazie danych lokalnej policji. Może nam się poszczęści.

– Tak, może – rzekłem z powątpiewaniem. – Facet z tatuazem sowy na głowie i szyi rzuca się w oczy. Ludzie go zapamiętają.

– To niezbyt mądre. Sowy podobno słyną z mądrości.

– Przeciętny uliczny gołąb jest dziesięć razy inteligentniejszy od najmądrzejszej sowy – wyjaśniłem. – Nie chodzi o mądrość, ale o groźny wygląd. W niektórych

kulturach sowa symbolizuje śmierć. Zły omen. Przepowiednię śmierci.

– Gdzie? W których krajach?

Przez chwilę się zastanawiałem.

– W Meksyku, Japonii, chyba Rumunii. Może w Rosji. Widziałaś kiedyś polującą sowę? – spytałem.

– Dziwne, ale nie.

– Porusza głową na boki, w górę i w dół. Obserwując i nasłuchując, namierza ofiarę.

Trudno o sprawniejszego i bardziej bezlitosnego zabójcę.

– Dzień dobry, panie Heller – powiedziała Jillian Alperin, kiedy wszedłem do biura. –

Dorothy pana szuka.

– Możesz mi mówić Nick – odrzekłem chyba po raz dwudziesty, odkąd zaczęła dla mnie pracować.

– Dziękuję, panie Heller, ale nie czuję się z tym swobodnie.

– Jasne. Więc najlepiej nazywaj mnie El Jefe.

– Słucham?

Zauważyłem wytatuowanego motyla na jej prawym ramieniu. Była ubrana w koronkową koszulkę na ramiączka, która odsłaniała spory kawałek brzucha. Miała kolczyk w pępku.

– Co oznacza ten motyl? – spytałem.

– To symbol wolności i przemiany. Zrobiłam go sobie, kiedy przestałam się żywić ciałem.

– Byłaś kanibalem? Nie widziałem tego w twoim CV.

– Co? Miałam na myśli, że przestałam jeść mięso. W dole pleców mam tatuaż „Mięso to morderstwo”, chce pan zobaczyć? – Wstała i się odwróciła.

Rozległ się głos nadchodzącej Dorothy.

– Jillian, możesz chwalić się swoimi dziarami po pracy, w wolnym czasie. Poza tym musimy poważnie porozmawiać o właściwym stroju biurowym.

– Mówiła pani, że nie będę musiała chodzić w butach na wysokim obcasie.

Dorothy pokręciła głową.

– Dostałam zdjęcie, które mi wysłałeś – zwróciła się do mnie. – Oglądałam tatuaże na Google, ale jak dotąd bez powodzenia.

– Mój brat pracował w salonie tatuażu w Saugus – wtrąciła się Jillian.

– Może lepiej zmień tusz w drukarce, jak ci kazałam – odparła Dorothy.

...

– Przypomnij mi, dlaczego zatrudniłaś Jillian – rzekłem, kiedy weszliśmy do mojego gabinetu.

– Jest bardzo bystrą młodą kobietą.

– Jakoś mi to umknęło.

– Ale przyznaję, że nieco dłużej wdraża się do pracy biurowej, niż się spodziewałam...

– Przecież nie ma innych obowiązków.

– Daj jej szansę albo znajdź kogoś innego – powiedziała stanowczo. – Czy możemy przejść do rzeczy? Znalazłam oprogramowanie szpiegowskie w naszej sieci.

– Jakiego rodzaju?

– Wirusa, który zagrzebał się w sieci wewnętrznej, wprowadził obcy kod i otworzył tylną furtkę. Od dwóch dni przeszukiwał wszystkie zastrzeżone pliki i wysyłał je na zewnątrz.

– W ten sposób zdobyli moje kody bezpieczeństwa. Dokąd je przesyła?

Pokręciła głową.

– Na serwery pośredniczące, niemożliwe do namierzenia. Ale go usunęłam. Chyba skutecznie.

– Jak dostał się do naszego systemu?

– Próbuję się dowiedzieć...

Rozległ się dzwonek interkomu, a następnie głos Jillian.

– Ma pan gościa.

Popatrzyłem na Dorothy, która tylko wzruszyła ramionami.

– Nazwisko? – spytałem.

– Belinda Marcus – odpowiedziała Jillian.

– Bardzo się martwię o Marshalla – wyznała Belinda. – Obawiam się, że dostanie zawału. – Miała na sobie jasnobrązową lnianą bluzkę z dużym dekoltem obszytym cekinami, która rozszerzała się na brzuchu. Zarzuciła mi chude ręce na szyję. Jej perfumy pachniały jak odświeżacz powietrza w toalecie.

– Przykro mi, Belindo, ale czy byliśmy umówieni?

Usiadła z podwiniętymi nogami.

– Nie, Nick, ale musimy porozmawiać.

– Zaczekaj chwilę. – Odwróciłem się na krześle i napisałem wiadomość do Dorothy za pośrednictwem komunikatora.

Sprawdź Belindę Marcus.

Na kiedy?

Teraz. Wszystko, co znajdziesz.

– Zamieniam się w słuch – powiedziałem. – Napijesz się coli?

– Z napojów gazowanych pijam tylko dietetyczną pepsi, ale teraz nie potrzebuję kofeiny. Nick, wiem, że powinnam wcześniej zadzwonić, ale Marshall musiał pojechać do biura, a ja się z nim zabrałam. Powiedziałam mu, że idę na kawę z koleżanką do Back Bay.

– Po co musiał pojechać do biura?

Pokręciła głową.

– Na pewno chodzi o Alexę. Nie może być inaczej. Nick, odkąd zaczął się ten koszmar, chciałam porozmawiać z tobą na osobności, bez Marshalla.

Pokiwałem głową.

– Mam poczucie, że jestem nielojalna, a on pewnie by mnie zabił, gdyby się dowiedział, że o tym mówię, ale... po prostu nie mogę dłużej wytrzymać, ktoś musi coś powiedzieć. Wiem, że Marshall jest twoim bliskim przyjacielem, mnie natomiast ledwie znasz, ale czy możesz mi obiecać, że on się nie dowie o naszej rozmowie? – Przygryzła dolną wargę i wstrzymała oddech, czekając na moją odpowiedź.

– Dobrze – odrzekłem po chwili milczenia.

Odetchnęła.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Nick, musisz wiedzieć, że Marshall... znajduje się pod ogromną presją. Chce odzyskać swoją ukochaną córkę, ale oni... nie pozwalają mu

oddać tego, czego żądają porywacze. Jest przez to rozdarty.

– Kto mu nie pozwala?

Popatrzyła na mnie z niepokojem.

– David Schechter.

– Skąd o tym wiesz? Nick o tym z tobą rozmawia?

– Nigdy. Po prostu... usłyszałam, jak się kłócili. Marshall go błagał, myślałam, że pięknie mi serce.

– Więc pewnie wiesz, czym jest Merkury?

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nie wiem, naprawdę. To jakiś dokument, ale nie mam pojęcia, co zawiera. Nie obchodzi mnie, czy to odpowiedzi do niedzielnej krzyżówki, czy kody do ataku nuklearnego. Musimy im to przekazać. Musimy uwolnić Alexę.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

Zapatrzyła się na swoje paznokcie. Miała świeżo zrobiony manicure. Lakier pasował do koloru jej bluzki.

– Marshall wpakował się w tarapaty, a ja nie wiem, do kogo mam się zwrócić.

Popatrzyłem na ekran komputera. Pojawiła się wiadomość od Dorothy. Kilka linijek tekstu.

– Jestem pewien, że ci ufa – powiedziałem. – Jesteście małżeństwem już od... trzech lat, tak?

Pokiwała głową.

– Byłaś stewardesą, kiedy się poznaliście?

Przytaknęła z uśmiechem, w którym dało się wyczytać zakłopotanie i zażenowanie, ale jednocześnie zadowolenie.

– Uratował mnie. Zawsze nienawidziłam latania.

– Mówisz z akcentem z Georgii.

– Brawo. Pochodzę z małego miasteczka Barnesville.

– Poważnie? Barnesville w Georgii? Uwielbiam to miejsce.

– Byłeś tam? Naprawdę?

– Kiedyś spotykałem się z dziewczyną z Barnesville. Kilka razy tam pojechaliśmy, poznałem jej rodziców, braci i siostry.

Belinda nie sprawiała wrażenia zainteresowanej.

– Jak się nazywała? Tam się wszyscy znają.

– Purcell. Cindy Purcell?

Belinda pokręciła głową.

– Pewnie była dużo młodsza.

– Ale na pewno bywałaś w restauracji Brownie’s należącej do jej rodziców.

– Jasne. Ale Nick...

– Nigdzie indziej nie jadłem tak pysznych gotowanych krewetek.

– Nie próbowałam tego dania, ale na pewno jest dobre. Południowa kuchnia jest najlepsza, prawda? Bardzo mi jej brakuje.

– No cóż, dziękuję, że do mnie przyszedłaś – powiedziałem, wstając. – Wiem, że nie było ci łatwo, ale na pewno poczułaś się lepiej.

Belinda pozostała na swoim miejscu.

– Wiem, jak ludzie mnie nazywają. Niektórzy uważają, że jestem z Marshalllem dla pieniędzy. Ale nie wyszłam za niego dlatego, że jest bogaty. Chcę, żeby był szczęśliwy. I chcę, żeby dziewczynka wróciła, Nick. Za wszelką cenę.

...

Kiedy wyszła, zwołałem Dorothy.

– Spotkałaś kiedyś kogoś z Georgii, kto wolałby pepsi od coca-coli? – spytałem.

– Nigdy, chociaż tacy ludzie na pewno istnieją. Wcale nie spotykałaś się z kobietą z Barnesville, prawda?

– Nie. I nie ma tam restauracji Brownie’s.

– Niezła sztuczka z gotowanymi krewetkami. Nikt z Georgii nie wziąłby ich do ust. Co wzbudziło twoje podejrzenia?

– Jej akcent. Ludzie z Georgii tak nie mówią.

– Czyli nie pochodzi stamtąd?

– Myślę, że w ogóle nie pochodzi z Południa.

– Więc po co udaje?

– Tego chciałbym się dowiedzieć. Mogłabyś trochę pogrzebać...?

– Już zaczęłam – odparła Dorothy. – Kiedy tylko powiedziała „pepsi”.

W odróżnieniu od Belindy Marcus, Francine Heller nigdy nie chciała mieć bogatego męża.

Moja matka i mój ojciec chodzili do tej samej szkoły średniej w małym miasteczku na północy stanu Nowy Jork. Mama była szkolną piękną. Na starszych zdjęciach wygląda jak Grace Kelly. Ojciec, mówiąc delikatnie, nie przypominał Gregory'ego Pecka.

Kiedy tylko Victor Heller ją zobaczył, ruszył na podbój. Był pełen życia i uroku osobistego. Przypominał żywioł. A kiedy czegoś pragnął, zawsze to zdobywał.

Oczywiście w końcu usidlił Francine i przez dziesięciolecia trzymał ją w złotej klatce.

Nie ulegało wątpliwości, co mu się w niej spodobało – zwiewność i gracia oraz niemal królewski styl bycia, któremu towarzyszyła ujmująca szczerść – ale trudniej było zrozumieć, co ona ujrzała w nim, poza tym, że pożądał jej z ogromną determinacją. Może to wystarczyło, żeby zdobyć zagubioną dziewczynę, która chciała być potrzebna. Jej rodzice się rozwiedli – matka przeprowadziła się w okolice Bostonu, a córki zostały z ojcem, gdyż nie chciały zmieniać szkoły. Stale podróżowały między rodzicami. Może Francine pragnęła stabilizacji.

Pieniądze z pewnością nie wchodziły w grę i podejrzewam, że matka nigdy nie zrozumiała, dlaczego Victor tak ich łaknie. Jego ojciec, nowojorski prawnik na państwowej posadzie, dla oszczędności kilkakrotnie używał tych samych torebek z herbatą.

Nie byli idealną parą. Okazało się, że małżeństwo z Mrocznym Księciem Wall Street to praca na pełen etat. Matka bez przerwy musiała uczestniczyć w galach i koktajlach. W programie każdej imprezy charytatywnej nazwisko pana i pani Heller pojawiało się na liście najhojniejszych darczyńców, a nie tylko „sponsorów” albo, Boże uchroni, odcinających kupony „przyjaciół”. Wspierali wszystkich: uczelnie, organizacje ekologiczne, towarzystwa ochrony zabytków.

Tymczasem ona chciała tylko spędzać czas w domu ze swoimi dwoma synkami – mną i Rogerem.

Ojciec zniknął, gdy miałem trzynaście lat. Uciekł przed trzydziestoma siedmioma zarzutami malwersacji finansowych, które ścigały go jak sfora gończych psów.

Podróżował po Europie i w końcu osiadł w Szwajcarii. Cały jego majątek zamrożono, więc nasza rodzina musiała się przestawić z wysokiego standardu życia na klepanie biedy. Utrata poczucia bezpieczeństwa oraz doznane upokorzenie były traumatycznym przeżyciem dla matki i dla nas wszystkich. Jednak zawsze się zastanawiałem, czy w głębi duszy nie poczuła ulgi.

Ulgi, że wyrwała się ze złotej klatki. Uwolniła od przymusowej roli hostessy. Od niszczącego i duszącego narcyzmu męża.

Kiedy znalazła pracę jako asystentka Marshalla Marcusa, odetchnęliśmy. Mogła czuć się poniżona – facet wczoraj był u niej gościem na kolacji, a teraz odbierała telefony w jego biurze – ale Marshall zadbał, aby tak się nie stało. Nie chciał także, żebyśmy odebrali jego pomoc jako jałmużnę, chociaż myślę, że właśnie tak należało ją traktować. Matka wyjaśniła mi kiedyś, że podchodził do swojej firmy jak do rodzinnego przedsięwzięcia, a ją uznawał za rodzinę.

W końcu odeszła i znalazła pracę jako nauczycielka w miejscowej szkole podstawowej. Teraz pozornie była na emeryturze, ale nadal pracowała jako wolontariuszka w szkolnej bibliotece. Poza tym opiekowała się starszymi paniami w swoim bloku. Trzeba cię podwieźć do lekarza? Zadzwoń do Frankie. Nie potrafisz odczytać recepty? Poproś Frankie. Wiedziała wszystko albo potrafiła się wszystkiego dowiedzieć. Nie wiem, po co udawała, że jest na emeryturze, skoro miała więcej zajęć niż personel medyczny.

Odkąd uwolniła się ze złotej klatki, zawsze szczerze mówiła, co myśli. Nie dawała sobą pomiatać. Moja słodka, łagodna mama zmieniła się w bezpośrednią, krewką staruszkę.

Coś pięknego.

Mieszkała w Newton, w dolnej części „kamienicy” na osiedlu dla ludzi starszych. Wszystkie domy – położone nad sztucznym jeziorem, pośród krętych drózek i starannie zaprojektowanych ogrodów – były identyczne. Nie potrafiłem ich odróżnić i zawsze się gubiłem. Przypominały scenerię ze starego serialu telewizyjnego *The Prisoner*, tylko że tutaj wolno było grać w bingo.

Drzwi otworzyły się, gdy tylko nacisnąłem przycisk dzwonka. Matka miała na sobie turkusowe spodnie i białą bluzkę pod długą luźną suknią w kolorze tęczy, a do tego naszyjnik z dużych zielonkawych szklanych kulek. Nosiła delikatny makijaż, chociaż nigdy nie musiała się malować. Mimo że przekroczyła sześćdziesiątkę, wciąż była piękną kobietą o szafirowych oczach, ciemnych rzęsach i mlecznobiałej cerze, której nie powinna mieć, biorąc pod uwagę to, ile paliła. Kiedy ojciec ją poznał, na pewno robiła oszałamiające wrażenie.

Jak zwykle trzymała w palcach papierosa. Otaczał ją wirujący obłok dymu. Zanim zdążyliśmy się przywitać, jakiś ciemny kształt wystrzelił z za jej pleców i trafił we mnie jak pocisk.

Próbowałem zejść mu z drogi, ale pies już do mnie dopadł, obnażając lśniąca kły, wściekle ujadając i drapiąc mnie po piersi i rękach ostrymi pazurami. Usiłowałem go odepchnąć kolaniem, ale piekielne psisko było zbyt silne i zwinne, więc tylko bardziej je rozwścieczyłem.

– Leżeć, Lilly – spokojnie odezwała się matka. Dziesięciolecia palenia sprawiły, że jej głos stał się niski i chrapliwy. Bestia szybko opadła na wyłożoną klepkami podłogę i oparła łeb na łapach, jednak wciąż patrzyła na mnie groźnie i cicho powarkiwiała.

– Cieszę się, że jest taka posłuszna – stwierdziłem. – Prawie straciłem oko.

– E tam, przecież to taka słodka psina, prawda, Lilly? Chodź tutaj. – Objęła mnie jedną ręką, a drugą wyciągała do tyłu, delikatnie trzymając papierosa dwoma długimi, zakrzywionymi palcami, jakby kierował nią duch Bette Davis.

Kiedy wszedłem, pies wstał i podążył za nami, stukając pazurami na drewnianej podłodze. Trzymał się tak blisko, że obijał mi się o nogi. Miałem wrażenie, że to rozmyślne ostrzeżenie: mógłby w każdej chwili rozszarpać mi gardło. Tylko czekał, żeby jego pani na chwilę opuściła pomieszczenie.

– Jest Gabe? – spytałem.

– Gra w swoim pokoju w jakąś grę, w której jest się żołnierzem i zabija całą masę ludzi. Mnóstwo bomb i wybuchów. Kazałam mu nałożyć słuchawki. Hałas zaczynał mi działać na nerwy.

Bardzo dobrze, nie chciałem, żeby chłopak usłyszał to, co miałem jej do powiedzenia.

– Naprawdę ci nie przeszkadza, że Gabe wdycha ten cały dym?

Popatrzyła na mnie spod przymrużonych powiek przez wijący się dym.

– Widziałeś kiedyś *Call of Duty: Modern Warfare*? Myślę, że dym papierosowy to najmniejszy z jego problemów.

– No dobrze. – Starłem się nigdy nie kłócić z matką.

– Posłuchaj, kochanie, wiem, że jesteś strasznie zajęty, ale czy mógłbyś poświęcić trochę czasu i nauczyć go prowadzić?

– Chce jeździć samochodem?

– Już zdał teorię.

– A co ze szkołami jazdy?

Skrzywiła się.

– Na litość boską, Nick, jesteś jedynym mężczyzną w życiu tego dzieciaka. Jego ojcem chrzestnym. Nie pamiętasz, jaki byłeś rozczarowany, że musisz się nauczyć prowadzić ode mnie, bo twój ojciec się ulotnił?

– Wcale nie byłem rozczarowany.

– Gabe na pewno nie chce, żebym to ja go uczyła.

– Masz rację. Zrobię to. Chociaż kiedy wyobrażę sobie Gabe'a na obwodnicy...

– Dlaczego opowiadasz mu głupoty, że nie powinien patrzeć Lilly w oczy, bo padnie trupem?

Wzruszyłem ramionami.

– Przyłapałaś mnie. Możesz także obwiniać mnie za jego nową fascynację wegetarianizmem. Papuguje to po mojej sekretarce. – Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. – Chyba stara się zrobić na niej wrażenie.

– Kochanie, ważne, żeby cokolwiek jadł. Mam ci przypomnieć, co ty robiłaś, żeby zaimponować dziewczynom? Na przykład, jak próbowałaś zapuścić bródkę w wieku czternastu lat, żeby Jennie Watson myślała, że jesteś męski?

Jęknąłem.

– Wysypiasz się?

– Wczoraj musiałem pracować do późna.

Jej mieszkanie było jak meble z IKEI: wygodne, ale pozbawione stylu. Stołki z pleksiglasu we wnęce kuchennej. Fotel w kasztanowe kwiaty, a obok taka sama kanapa. Na blacie dziennik „Boston Globe” otwarty na stronie z krzyżówką, a także egzemplarz „Modern Maturity”, który matka najwyraźniej rzeczywiście czytała.

Usiadłem w fotelu, a ona na skraju kanapy. Zgasiła papierosa w nieskazitelnie czystej kamiennej popielniczce.

– Nicky, za kilka minut mam spotkanie kółka bibliotecznego, więc czy możemy się streszczać?

– Mam tylko kilka pytań. Kiedy ostatnio rozmawiałaś z Alexą?

Przypaliła kolejnego papierosa tanią zapalniczką i głęboko się zaciągnęła.

– Dwa albo trzy dni temu. Wczoraj dzwonił Marshall i pytał, czy jej tutaj nie ma. Znowu rozrabia, tak?

Pokręciłem głową.

– Gabe twierdzi, że przenocowała u swojej przyjaciółki Taylor na Beacon Hill. Znasz jej ojca, senatora Dicka Armstronga? Ale chyba oboje wiemy, co to znaczy. Jest piękną dziewczyną i...

– To nic z tych rzeczy.

Podniosła wzrok.

– Uciekła?

– Nie.

Wpatrywała się w moją twarz.

– Coś jej się stało – odezwała się w końcu.

Zawahałem się.

– Powiedz mi, co jej się stało, Nick.

Powiedziałem.

Spodziewałem się, że źle to przyjmie.

Ale nie byłem przygotowany na tak silną reakcji.

Miałem wrażenie, że zapada się w sobie w sposób, jakiego nigdy nie widziałem. Wydała z siebie straszliwy zboląły okrzyk, a z jej oczu popłynęły łzy. Objąłem ją i musiało minąć kilka minut, zanim była zdolna cokolwiek powiedzieć.

– Wiem, że ci na niej zależy... – zacząłem.

– Zależy? Och, skarbie, ja kocham tę dziewczynkę. – Drżał jej głos.

– Wiem.

Przez chwilę nie mogła nic powiedzieć.

– Ile żądają? – spytała w końcu.

– Wygląda na to, że dali jej tekst do odczytania. Powiedziała, że chcą czegoś, co się nazywa Merkury. Marshall twierdzi, że nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Merkury?

– Pracowałaś dla niego przez lata. Na pewno natrafiłaś na tę nazwę w archiwach, listach albo gdzieś indziej.

– Pamięć wciąż mam dobrą, dzięki Bogu. Nic mi to nie mówi. Ale gdyby Marshall miał pojęcie, czym jest Merkury, oddałby im to w mgnieniu oka. Zrezygnowałby ze swojej fortuny, żeby odzyskać córkę.

– Gdyby jeszcze miał jakąś fortunę.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nigdy nie wspominał o żadnych kłopotach. Ale obecnie rzadko rozmawiamy. Ilu ludzi wie, że on jest...?

– Zrujnowany. Na razie jakoś udało mu się utrzymać to w tajemnicy. Ale jestem pewien, że wkrótce wszystko wyjdzie na jaw. Nie zwierza ci się?

– Już nie, odkąd wprowadziła się Belinda.

– To duża zmiana.

– Kochanie, Marshall konsultował się ze mną nawet przed pójściem do kibelka. Tym się różnił od twojego ojca. A raczej była to jedna z wielu różnic. Naprawdę cenił moje zdanie. – Zrobiło mi się przykro, ale matka powiedziała te słowa ze swobodą. Zawsze miała alergię na uzalanie się nad sobą.

– Myślisz, że ona rozmyślnie cię od niego odcina?

Mocno się zaciągnęła. Czerwony żar na czubku papierosa rozbłysnął, zaskwierczał i zasyczał.

– Dwa razy zaprosili mnie na kolację, a ona mnie wyściskała i zapewniła tym swoim akcencikiem z Georgii, że „koniecznie musimy się razem wybrać na zakupy na Newbury Street” oraz że „powinniśmy się częściej widywać”. Ale kiedy dzwonię do Marshalla do domu, zawsze to ona odbiera i zapewnia, że przekaże mu wiadomość, a potem pewnie tego nie robi.

– A co z pocztą elektroniczną?

– Zmieniła mu adres e-mailowy, a ja nie znam nowego. Twierdzi, że Marshall musi być ostrożniejszy, znacznie mniej dostępny. Dlatego muszę pisać do Belindy, która odpowiada w jego imieniu.

– Alexa też się z nią nie dogaduje.

Pokręciła głową i wypuściła z ust obłok dymu.

– To toksyczna kobieta. Alexa ciągle się na nią skarżyła, a ja namawiałam ją, żeby dała Belindzie szansę, bo niełatwo być macochą. Ale potem sama ją poznałam i zrozumiałam. Myślę, że Belinda tak naprawdę nienawidzi swojej przybranej córki. Nigdy się z czymś takim nie spotkałam.

– Twierdzi, że uwielbia Alexę.

– Mówi tak w obecności innych, ale przy Aleksie nie ukrywa swoich uczuć.

– Może ukrywa coś jeszcze. Nie skarżyłaś się Marshallowi, że utrudnia wam kontakt?

– Oczywiście, że tak. Na samym początku. Tylko wzruszył ramionami i odpowiedział: „Nauczyłem się, że nie warto się kłócić”.

– Dziwne.

– Często obserwuję coś takiego u żonatych mężczyzn, kiedy się starzeją. Żony zaczynają kontrolować życie rodzinne, potem także przyjaźnie. Mężowie zrzekają się odpowiedzialności, ponieważ są zbyt zajęci albo nie lubią przejmować inicjatywy, a wkrótce stają się własnością swoich pań. Nawet bogaci i potężni mężczyźni tacy jak Marshall... kiedyś. Mam wrażenie, że jedyną osobą spoza biura, z którą się widuje oprócz Belindy, jest David Schechter.

– Od jak dawna Schechter jest jego prawnikiem?

– Schecky? On nie jest prawnikiem Marshalla.

– Więc kim?

– Nie wiesz, że szefowie mafii zawsze mają doradców?

– *Consigliere*?

– Właśnie. Schecky jest *consigliere* Marshalla.

– W czym mu doradza?

– Sądzę, że po prostu jest osobą, z której zdaniem Marshall się liczy.

– A ty mu ufasz?

– Nie znam go. Ale Marshall kiedyś mi zdradził, że Schecky ma najgrubszą teczkę, jaką kiedykolwiek widział. Jak J. Edgar Hoover.

Pokiwałem głową i przez chwilę się zastanawiałem.

– Dlaczego Marshall cię wtedy zatrudnił?

Uśmiechnęła się.

– Pytasz, dlaczego powierzył prowadzenie biura kobiecie bez żadnych konkretnych umiejętności?

– Nie o to mi chodziło.

– Ależ owszem, tylko nie chciałeś urazić moich uczuć – powiedziała serdecznie. – Nic nie szkodzi. – Uśmiechnęła się. – Marshall jest dobrym człowiekiem. Widział, co się z nami stało, kiedy twój ojciec odszedł. Rząd przejął wszystko. Może w głębi duszy pomyślał: Mnie też mógł spotkać taki los? Pewnie tak.

– Zawsze mówiłaś, że był przyjacielem taty i dlatego chciał nam pomóc.

– Zgadza się.

– Ale ciebie nie znał?

– Prawie wcale. Znacznie więcej łączyło go z twoim ojcem. Ale taki jest Marshall. To najbardziej hojny człowiek, jakiego znam. Uwielbia pomagać ludziom, a ja wtedy rozpaczliwie potrzebowałam pomocy. Byłam matką dwóch nastoletnich synów bez własnego dachu nad głową i pieniędzy. Przeprowadziliśmy się z rezydencji w Bedford do domku mojej mamy w Malden. Nie miałam żadnych dochodów ani perspektyw na znalezienie pracy. Postaw się w mojej sytuacji.

Wiedziałem, że to był drobiazg w porównaniu z nędzą, jaką cierpią ludzie, ale jednocześnie trudno mi było sobie wyobrazić, co czuła Francine Heller, którą nagle wyrwano z kokonu bogactwa, nagą i drżącą, zagubioną i słabą, pozbawioną wsparcia.

– Nie potrafię – przyznałem. – Ale wiem, że zachowałaś się po bohatersku.

Ujęła mnie za rękę drobną, miękką, ciepłą dłonią.

– Na litość boską, nic z tych rzeczy. Ale musisz zrozumieć, jak ważne było dla mnie, że ten człowiek, którego ledwie znałam, pojawił się i zaproponował mi nie tylko pieniądze, za które mogłam nas utrzymać, ale prawdziwą pracę. Okazję do robienia czegoś pożytecznego.

– Na pewno słyszałaś plotki, że Marshall potajemnie współpracował z Komisją Papierów Wartościowych i Giełd, kiedy zbierali haki na tatę. Pomógł go zatrzymać. –

Gdyby to była prawda, Marcus zatrudniłby moją matkę z jednego prostego powodu: czułby się winny.

– Niemożliwe. Nie Marshall.

– Cóż, ty go najlepiej znasz.

– Przynajmniej kiedyś tak było. Teraz ja cię o coś zapytam.

– Słucham.

– Sądzisz, że ci porywacze ją wypuszczą, kiedy dostaną to, na czym im zależy? –

Zadała to pytanie z taką desperacją, że nie miałem innego wyboru, jak podać jej nieszczerą, ale uspokajającą odpowiedź, której – podobnie jak Marcus – pragnęła.

– Tak.

– Dlaczego tak mówisz?

– Dlaczego? Ponieważ to typowy schemat porwań dla okupu...

– Nie o to mi chodzi. Pytam, dlaczego uważasz, że nie mogę usłyszeć prawdy. Wiem, kiedy kłamiesz, Nick. Jestem twoją matką.

Zawsze podejrzewałem, że to po niej odziedziczyłem talent do rozszyfrowywania ludzi. Oboje należeliśmy do tych osób, które Zygmunt Freud określał mianem *Menschenkenner*. W swobodnym tłumaczeniu oznaczało to, że „znamy się na ludziach”. Ale to nie wszystko. Dysponowaliśmy niezwykłą umiejętnością czytania twarzy i mimiki, dzięki czemu od razu wyczuwaliśmy, kiedy ktoś nas okłamuje. Z pewnością nie było to niezawodne narzędzie i nie czyniło z nas żywych wykrywaczy kłamstw. Ot, wrodzony talent, tak jak zdolności plastyczne, gawędziarstwo czy dryg do baseballu. Wyczuwaliśmy kłamstwo. Chociaż nie byliśmy nieomylni.

– Nie – powiedziałem. – Myślę, że jej nie wypuszczą.

Znów się rozpląkała, a ja natychmiast pożałowałem swojej szczerości.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją odnaleźć – zapewniłem. – Obiecuję.

Ujęła moją prawą dłoń obiema rękami. Miała kościste, ale zarazem miękkie dłonie.

Nachyliła się w moją stronę z błagalnym spojrzeniem.

– Odzyskaj ją, Nick. Proszę. Odzyskasz ją?

– Mogę tylko obiecać, że się postaram.

– Tylko o to proszę – rzekła i ponownie ścisnęła moją rękę.

Kiedy wstałem, piekielne psisko zawarczało na mnie, nie ruszając się z miejsca. Jakby chciało mi przypomnieć, że jeśli zawiodę jego panią, będę musiał sobie poradzić ze wściekłością bestii.

...

Wychodząc, wstąpiłem do pokoju Gabe'a. Wszędzie piętrzyły się sterty jego ulubionych powieści graficznych, między innymi kilka egzemplarzy *Strażników*, kolekcja komiksów Willa Eisnera i *Joker* Briana Azzarello.

To niezwykle, ale jego tymczasowe lokum od razu wypełnił taki sam smród jak pokój w Waszyngtonie. Cuchnęło jak w małpiarni: potem, brudną bielizną i nie wiadomo czym jeszcze.

Gabe siedział na łóżku ze słuchawkami na uszach i rysował w szkicowniku. Miał na sobie czerwoną koszulkę – co stanowiło rzadkie odstępstwo od typowego czarnego stroju emo – z rysunkiem stylizowanego, kanciastego komputera z wybuchającym z niego słowem „KABLAAM!” zapisanym komiksową czcionką. Usiadłem na krześle przy biurku, na którym stał olbrzymi monitor – zapewne prezent od mojej matki – podłączony do konsoli Xbox 360 z bezprzewodowym padem. Ze słuchawek dobiegał głośny, powtarzający się riff grany na gitarze elektrycznej oraz wrzaskliwy wokal.

– Fajne – stwierdziłem. – Czego słuchasz?

– To taka stara kapela Rage Against the Machine. Prawdziwi geniusze. Śpiewali o zachodnim kulturowym imperializmie i nadużyciach amerykańskich korporacji.

– Hm. Brzmi nieźle. Niech zgadnę, Jillian cię nimi zainteresowała?

Zerknął na mnie wymijająco.

– Tak.

- Co to za piosenka?
- *Killing in the Name*. Raczej by ci się nie spodobała.
- Tak myślisz?
- Nic byś nie zrozumiał.
- To ten kawałek, w którym dwadzieścia razy bluzgają w pięciu liniach tekstu? Popatrz na mnie zaskoczony.
- Masz rację – przytaknąłem. – To nie moje klimaty.
- No widzisz.
- Nie przepadam za obniżonym strojem gitary. Ale może babci się spodoba.
- Babcia jest znacznie bardziej wyluzowana, niż ci się wydaje.
- Znam ją dłużej – powiedziałem prowokacyjnie.

Gabe się zawahał.

- Wujku... słyszałem, co jej mówiłeś.
- Nie powinieneś podsłuchiwać.
- Przecież ona krzyczała. Słyszałem ją mimo słuchawek. Co miałem zrobić, udawać, że nic się nie dzieje? Dlaczego doprowadziłeś ją do łez?

Wątpiłem, żeby usłyszał nas przypadkowo przy tak głośnej muzyce. Po prostu podsłuchiwał.

- No dobrze – odparłem. – Posłuchaj...
- Gdzie jest Alexa? – wszedł mi w słowo.
- Jeszcze nie wiemy.
- Została porwana, tak?

Pokiwałem głową.

– Słuchaj, Gabe, masz do odegrania szczególną rolę. Musisz być silny. Twoja babcia bardzo ciężko to przyjmuje.

Zacisnął usta, a jego wyjątkowo duże jabłko Adama podskoczyło.

- Tak? A ja to co?
- Wszystkim nam jest trudno.
- Kto to zrobił?
- Jeszcze nie jesteśmy pewni.
- Wiesz, że kiedyś ktoś ją uprowadził na kilka godzin?

Ponownie pokiwałem głową.

- Myślisz, że to ci sami ludzie?
- Nie wiem, Gabe. Dopiero się dowiedzieliśmy. Nadal niczego nie wiemy. Mówiła do nas za pośrednictwem kamery, ale to praktycznie wszystko, co mamy.
- Nie wiesz, gdzie ona jest?

– Jeszcze nie. Pracuję nad tym.

– Mogę zobaczyć to nagranie?

– Nie.

– Dlaczego?

Udzieliłem mu odpowiedzi, która od początków świata doprowadza nastolatków do furii.

– Bo nie.

Zareagował dokładnie tak, jak się spodziewałem, posyłając mi obrażone spojrzenie i mocno zaciskając usta.

– Może kiedy to wszystko się skończy, nauczę się prowadzić, co ty na to?

Wzruszył ramionami.

– Spoko – odparł ponuro, ale widziałem, że próbuje ukryć zadowolenie.

Zadzwoił mój telefon. To była Dorothy.

Odebrałem.

– Cześć, zaczekaj chwileczkę.

– Kto to? – spytał Gabe. – Chodzi o Alexę?

– Tak – odpowiedziałem. – Chyba tak.

Uściskałem go i wyszedłem z domu, kierując się w stronę swojego samochodu.

– Co masz? – spytałem.

– Rozmawiałam z liniami lotniczymi Delta. Belinda nigdy u nich nie pracowała.

Zatrzymałem się na środku parkingu.

– Czemu kłamała?

– Ponieważ Marshall Marcus nigdy by się z nią nie ożenił, gdyby znał jej prawdziwy zawód.

– To znaczy?

Dorothy przez chwilę milczała.

– Belinda była dziewczyną na telefon.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – spytałem.

– Sprawdziłam jej numer ubezpieczenia. Wygląda na to, że bez powodzenia próbowała sił jako aktorka. Uczęszczała do szkoły aktorskiej w Lincoln Park, ale jej nie ukończyła. Potem zatrudniła się jako hostessa... – Wyraźnie usłyszałem cudzysłów, w który Dorothy ujęła to słowo – ...w firmie VIP Exxxecutive Service w Trenton. W Exxxecutive są trzy litery „x”.

– Niech zgadnę, była bardzo drogą hostessą.

– Są jakieś inne?

– Cóż, dobrze się ustawiła. Wyszła za bogatego faceta. Nie pochodzi z Południa, prawda?

– Z południa Jersey. Z Woodbine.

Mój telefon dwukrotnie zapiszczał, informując mnie o nadejściu SMS-a. Zerknąłem na ekran.

Krótką wiadomość: „15 minut” oraz dokładne współrzędne miejsca, które wyglądało na parking przed sklepem 7-Eleven oddalony o 1,2 kilometra.

Wiadomość została wysłana przez „18E”. Żadnego nazwiska ani numeru telefonu.

Jednak on nie musiał się przedstawiać. 18E to kod sierżanta specjalizującego się w komunikacji w siłach specjalnych amerykańskiej armii.

George Devlin był jednym z 18E.

– Przepraszam, muszę się spotkać ze starym przyjacielem.

...

– Skąd wiedziałeś, że jestem na tyle blisko, że zdążę w ciągu kwadransa? – spytałem.

– Wiedziałeś, gdzie jestem?

George Devlin zignorował moje pytanie, jakby odpowiedź była zbyt trudna albo zbyt oczywista. Miał swoje sposoby i tyle. Ustawił monitor w taki sposób, żebym również mógł popatrzeć. Blask ekranu rozświetlił mroczne wnętrze jego ruchomego domu/biura, wydobywając z ciemności kaniony, strumienie i dołki na jego okaleczonej twarzy, prążki mięśni i szwy przypominające tory kolejowe. W kamperze unosiła się cierpka woń, zapewne maści, którą regularnie stosował.

Na ekranie widniała zielonkawa topograficzna mapa Massachusetts. Nieco ponad dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Bostonu migąło czerwone kółko. Potem pojawiły się trzy pofalowane linie – biała, niebieska i pomarańczowa – wychodzące z czerwonego kółka. Jedna sięgała do Bostonu, a dwie na północ.

– Nie rozumiem – przyznałem.

– Jeśli przyjrzesz się uważnie, to zobaczysz, że każda z linii składa się z kropek. To miejsca, z których wychodziły sygnały docierające do masztu telefonii komórkowej, nadawane z telefonów Alexy Marcus, Mauricio Perreiry oraz nieznanej osoby, którą będziemy nazywać Panem X.

– Który kolor należy do kogo?

– Niebieski to Mauricio. Biały to Alexa. Pomarańczowy to Pan X.

– Wygląda na to, że Pan X przybył od granicy New Hampshire.

– Zgadza się.

– Mogę spytać, skąd masz te dane?

George powoli wciągnął powietrze, wydając chrapliwy odgłos.

– Możesz pytać ile chcesz.

Pochyliłem się do przodu.

– Więc wszystkie linie spotykają się dwadzieścia kilka kilometrów na północny zachód od Bostonu w... czy to Lincoln?

– Owszem.

– Znajdowali się tam w tym samym czasie?

– Tak. Zaledwie przez pięć minut. Mauricio i porwana dziewczyna oczywiście przyjechali razem. Spędzili tam siedemnaście minut. Pan X zatrzymał się przy nich na zaledwie cztery do pięciu minut.

Zobaczyłem, że spotkali się w lesie, niedaleko stawu Sandy, który oznaczono jako rezerwat. O północy było tam całkowicie pusto: idealne miejsce na spotkanie. Zatem iPhone Alexy pojechał z Bostonu do Lincoln, a następnie na północ do Leominsteru. Tam został wyrzucony.

Już rozumiałem przebieg wydarzeń. Mauricio zabrał dziewczynę z hotelu do Lincoln, o dwadzieścia minut od Bostonu, a na miejscu przekazał ją Panu X.

Podczas gdy Mauricio wrócił do Bostonu – a dokładnie do swojego mieszkania w Medfordzie, nieco na północ od miasta – Pan X pojechał z Alexą na północ. Wyrzucił jej telefon, gdy przejeżdżali przez Leominster. Zapewne dziewczyna była z nim w samochodzie.

Wjechali do stanu New Hampshire.

– Szlak kończy się na południu New Hampshire – zauważyłem. – W Nashua.

– Nie, tam telefon Pana X znika z radaru. Może po prostu go wyłączył albo najpierw stracił zasięg, a potem go wyłączył. Tak czy inaczej, później już z niego nie korzystał.

– To niedopatrzenie z jego strony, że od razu go nie wyłączył.

– Zakładał, że nie da się go namierzyć.

– Miał rację?

– Częściowo. Jest różnica między zidentyfikowaniem a namierzeniem telefonu. To jak śledzenie czarnej skrzynki wiezionej na pace ciężarówki. Nie wiemy, co się znajduje w środku, ale wiemy, dokąd skrzynka jedzie. Tak samo jest tutaj... nie możemy sprawdzić jego tożsamości, ale możemy ustalić jego położenie. Rozumiesz?

– Jest w New Hampshire. Co oznacza, że Alexa też tam jest. Może w Nashua albo gdzieś w pobliżu.

– Nie byłbym taki pewny. Pan X równie dobrze mógł przejeżdżać przez New Hampshire w drodze do Kanady.

– To nie byłaby typowa trasa.

George przytaknął.

– Są w New Hampshire – orzekłem.

Siedziba Marcus Capital Management mieściła się na piątym piętrze budynku Rowes Wharf. Podałem swoje nazwisko recepcjonistce i czekałem w luksusowo urządzonego holu na szarej zamszowej kanapie. Posadzki wykonano z twardego drewna w kolorze czekolady, a ściany pokryto mahoniem. Olbrzymi płaski telewizor wiszący na ścianie na jednej połowie ekranu pokazywał prognozę pogody, a na drugiej wiadomości finansowe oraz pasek z kursem akcji.

Po niecałej minucie pojawiła się osobista asystentka Marcusa. Była to szczupła, rudowłosa Smoki Bacon, oszałamiająco piękna i elegancka młoda kobieta. To mnie nie zaskoczyło. Marcus słynął z tego, że zatrudniał tylko ślicznotki, zwyciężczynie konkursów piękności i były miss. Moja matka, która w młodości była śliczna i atrakcyjna, stanowiła jedyny wyjątek. Nigdy nie wyglądała jak modelka. Była piękniejsza.

Powabna Smoki posłała mi olśniewający uśmiech i spytała, czy napiję się kawy albo wody. Odmówiłem.

– Marshall w tej chwili jest na zebraniu, ale chce się z panem spotkać, gdy tylko skończy. Jednak to może chwilę potrwać. Może chciałby pan wrócić później?

– Zaczekam.

– W takim razie zabiorę pana do sali konferencyjnej, gdzie będzie pan mógł skorzystać z telefonu i komputera.

Poprowadziła mnie korytarzem.

– Bardzo mi miło pana poznać – powiedziała, gdy skręciliśmy za róg i minęliśmy niegdysiejszy giełdowy parkiet. Znajdowało się tutaj około trzydziestu albo czterdziestu pustych stanowisk pracy. Wszystkie komputery były wyłączone. Panowała cisza jak w grobowcu. – Wszyscy tak bardzo się martwimy o Alexę.

– Cóż, proszę nie tracić nadziei – odparłem, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pańska mama czasami się nią opiekowała. Tak mi mówiła.

– Wiem.

– Frankie jest najlepsza.

– Zgadzam się.

– Czasami do mnie dzwoni i pyta, co słyhać. Naprawdę troszczy się o pana Marcusa.

Gdy stanęliśmy na progu pustej sali konferencyjnej, położyła dłoń na moim ramieniu, po czym nachyliła się i szepnęła przez zaciśnięte zęby:

– Proszę, niech pan odzyska tę dziewczynę, panie Heller.

– Postaram się – powiedziałem.

...

Zamiast czekać, postanowiłem wybrać się do gabinetu Marcusa.

Pamiętałem, że jego asystentka Smoki czuwa przy swoim biurku przed wejściem do gabinetu. Wiedziałem także, że Marcus dysponuje prywatną jadalnią obok gabinetu. Kiedyś jadłem tam z nim lunch i zauważyłem, że obsługa przychodziła i odchodziła tylnym korytarzem.

Wkrótce znalazłem korytarz służbowy. Jedno z wejść znajdowało się obok męskiej toalety. Korytarz łączył niewielką kuchnię z salą posiedzeń i jadalnią Marcusa.

W jadalni było ciemno, schludnie i skromnie. Miałem wrażenie, że dawno nikt z niej nie korzystał.

Drzwi gabinetu były zamknięte, ale kiedy obok nich stanąłem, usłyszałem odgłosy kłótni.

Początkowo rozumiałem tylko fragmenty. Na pewno rozmawiali dwaj mężczyźni. Jednym z nich oczywiście był Marcus. Jego głos był donośniejszy i bardziej nacechowany emocjami. Łatwiejszy do wychwycenia.

Druga osoba mówiła cicho i spokojnie, tak że ledwie ją słyszałem.

GOŚĆ: ...teraz się rozklejać.

MARCUS: A nie o to chodziło?

GOŚĆ: ...można się było spodziewać...

MARCUS: Jeśli ona umrze, to przez ciebie, rozumiesz? Będiesz ją miał na sumieniu! Kiedyś je miałeś, prawda?

GOŚĆ: ...na głowie, żeby cię ocalić.

MARCUS: Teraz już mnie nie obchodzi, co ze mną zrobicie. Moje życie się skończyło. Moja córka to jedyne...

GOŚĆ (po długim mamrotaniu): ...lata miałeś wszystkie odpowiedzi... teraz uznają, że stanowisz problem...? znajdą rozwiązanie.

MARCUS: ...po mojej stronie!

GOŚĆ: ...być po twojej stronie, ale nie mogę, jeśli ty nie będziesz po mojej...

MARCUS (coraz głośniej): ...czego chciałeś. Wszystko!

GOŚĆ: ...ci to napisać, Marshall? „Pogrążony w żałobie finansista popełnia samobójstwo w swojej posiadłości w Manchesterze”?

Pchnąłem drzwi i wszedłem do gabinetu. Marcus siedział za długim oszklonym biurkiem zawałonym papierami.

Krzesło dla gościa zajmował David Schechter.

– Nickeleh! – zawołał Marcus. – Co ty tutaj... czy Smoki nie zaprowadziła cię do sali konferencyjnej...

– Podśluchiwał – rzekł Schechter. – Czy tak, panie Heller?

– Jak najbardziej. Słyszałem wszystko, co mówiliście.

Schechter zamrugął.

– Od tej chwili pańskie usługi nie są już potrzebne.

– To nie pan mnie wynajął – powiedziałem.

– Schecky, pozwól, że z nim porozmawiam – odezwał się Marcus. – To szlachetny człowiek.

Schechter wstał i wygładził tweedową marynarkę.

– Będę czekał na twój telefon – rzekł do Marcusa.

Odprowadziłem go wzrokiem, a następnie zająłem krzesło, na którym siedział. Wciąż było ciepło.

W oknie za Marcusem lśnił Atlantyk, zabarwiony na kolor ochry przez zachodzące słońce, jak na widokówce.

– Jakie haki on ma na ciebie? – spytałem.

– Haki...?

Pokiwałem głową.

– Zatrudniłeś mnie, żebym odnalazł Alexę, ale nie zrobię tego, jeśli nie będziesz ze mną szczery. A wiesz, co się z nią wtedy stanie.

Miał przekrwione, szkliste i opuchnięte oczy.

– Nicky, musisz się z tego wycofać. To... sprawa osobista.

– Wiem, jak bardzo kochasz Alexę...

– Ona jest dla mnie wszystkim. – Łzy napłynęły mu do oczu.

– Długo nie rozumiałem, dlaczego zataiłeś przede mną jedyną informację, która mogła mi pomóc w jej odnalezieniu. Schechter cię szantażuje. Powstrzymuje cię przed współpracą z porywaczami. Chyba już wiem, po co mnie wynająłeś.

Obrócił się na krześle i zapatrzył w okno, jakby szukał odpowiedzi w oceanie. Albo po prostu unikał mojego wzroku.

– Wynająłem cię, ponieważ uważałem, że tylko ty możesz ją odnaleźć.

– Nie – odparłem cicho. – Wynająłeś mnie, ponieważ tylko tak mogłeś ją odzyskać bez konieczności spełnienia ich żądań. Prawda?

Powoli się obrócił.

– Czy to cię obraża?

– Spotykały mnie gorsze obrazy. Ale nie w tym rzecz. Od początku starałeś się mnie zmylić. Okłamałeś mnie w sprawie telefonu na policję. Nie powiedziałaś, że zostałeś zmuszony do przyjęcia pieniędzy od przestępców, i nie przyznałeś się, że je straciłeś. Teraz oni chcą akt Merkurego... bo chodzi o akta, prawda? ...a ty udajesz, że nie wiesz, o czym mówią. Odpowiedz mi: czy uważasz, że Schechterowi naprawdę zależy na tym, żeby Alexa przeżyła?

Sprawiał wrażenie zaszokowanego, ale nie odpowiedział.

– Cokolwiek on ma na ciebie, czy to jest warte życia twojej córki?

Skrzywił się, zakrył oczy jak dziecko i bezgłośnie zapłakał.

– Musisz mi powiedzieć, czym jest Merkury – ciągnąłem. – Wtedy coś wymyślimy. Znajdziemy sposób na przekazanie porywaczom tego, czego żądają, w taki sposób, żebyś nie musiał stawić czoła... temu, czego się obawiasz.

Nie przestawał płakać.

Wstałem i podszedłem do drzwi, ale nagle zatrzymałem się i odwróciłem.

– Czy sprawdziłeś Belinę, zanim się z nią ożeniłeś?

Opuścił ręce. Miał czerwoną twarz mokrą od łez.

– Belinę? Co ona ma z tym wspólnego?

– Podczas swojego śledztwa natrafiłem na pewne informacje, ale nie jestem pewien, jak wiele chcesz wiedzieć.

– O czym mówisz?

– Przykro mi, że dowiadujesz się ode mnie, ale ona nigdy nie była stewardesą. Nie pracowała dla Delty.

– Ależ Nickeleh.

– Poza tym nie pochodzi z Georgii, tylko z New Jersey.

Westchnął i powoli pokręcił głową. Nie dowierzał? Nie chciał zaakceptować bolesnej prawdy, że okłamywała go kobieta, którą kochał?

– Była dziewczyną na telefon, Marshall. Panienką do towarzystwa. Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć, nawet jeśli to nie ma dla ciebie znaczenia.

Ale Marcus tylko przewrócił oczami.

– Nickeleh, chłopcze, dorośnij. – Wzruszył ramionami i rozpostarł dłonie. – To wrażliwa dziewczyna. Z jakiegoś zwariowanego powodu nie chce, żeby ludzie znali okoliczności naszej pierwszej randki.

Na moje usta powoli wypłynął uśmiech, gdy ponownie ruszyłem do drzwi. Stary drań.

– Proszę, nie rezygnuj! – zawołał za moimi plecami.

Nie zatrzymywałem się ani nie oglądałem.

– Nie przejmuj się. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Nawet jeśli będziesz chciał.

Dragomir siedział przy komputerze na dusznej oszklonej werandzie z tyłu domu, gdy usłyszał krzyki dziewczyny.

Dziwne, przecież wyłączył głośniki. Niewyraźne krzyki brzmiały, jakby dobiegały z bardzo daleka, ale z pewnością był to jej głos. Nie rozumiał, jak może ją słyszeć, skoro znajdowała się trzy metry pod ziemią. Zastanawiał się, czy to nie złudzenie wywołane samotnością.

Wstał, szurając starym krzesłem po klepkach podłogi, po czym podszedł do tylnego wejścia. Przez chwilę nasłuchiwał. Krzyki dobiegały z zewnątrz. Słabe, dalekie i ciche jak brzęczenie muchy.

Stojąc na werandzie, przekrzywił głowę. Odgłosy dobiegały z podwórza, może nawet z lasu. Niewykluczone, że to wcale nie dziewczyna. Potem zobaczył szarą rurkę z tworzywa sztucznego sterczącą na środku pola. To stamtąd wydobywał się dźwięk. Przewód wentylacyjny niósł nie tylko wydychane powietrze, ale także krzyki.

Miała silne płuca. Już dawno powinna dać sobie spokój.

Cieszył się, że tak głęboko ją zakopał.

Kiedy Dragomir po raz pierwszy wpadł na pomysł, żeby umieścić dziewczynę pod ziemią, miał wrażenie, że to genialne rozwiązanie. W końcu Klient zdobył dokumentację psychiatryczną, która wskazywała na to, że ofiara cierpi na klaustrofobię.

Oczywiście silnie zakorzeniony strach przed pogrzebaniem żywcem dotyczy wszystkich ludzi i stanowi narzędzie przymusu skuteczniejsze niż jakakolwiek konwencjonalna technika stosowana przez porywaczy.

Jednak to nie był prawdziwy powód.

Zakopana trzy metry pod ziemią dziewczyna znajdowała się poza zasięgiem Dragomira.

Gdyby miał do niej bezpośredni dostęp, jak do smakowitego ciastka w lodówce, nie byłby w stanie się powstrzymać, żeby czegoś z nią nie zrobić. Zgwałciłby ją i zabił, tak jak uczynił z wieloma innymi ładnymi młodymi kobietami. Nigdy nie potrafił nad sobą zapanować. To nie byłoby dobre.

Przypomniaws sobie szczeniaka, ktorego dostal w dzieciinstwie. Uwielbial jego mielkosc i kruchosc. Ale jak moglyby w pelni ja docenic, gdyby nie zmiazdzyl jego malutkich kosci? Nie potrafil sie powstrzymac.

Zakopanie dziewczyny pod ziemią bylo jak zamkniecie lodowki na klocke.

Z fascynacja wslychiwal sie w jej zawrozenie, ciche jak zle nastrojona stacja radiowa, tak ze niemal przegapil znacznie glonsiejszy chrzest samochodowych opon na gruntowej drodze przed domem. Jesli to znowu ten sasied szukajacy swojego przeklętego kundla, to Dragomir bedzie musial w koncu sie z nim rozprawic.

Wrocił do domu i wyjrzał przez okno od frontu. Zobaczył granatowy radiowóz z bialym napisem „Policja Pine Ridge”.

Nawet nie wiedzial, ze w miasteczku jest posterunek.

Z samochodu wysiadł niezdarny mlodzienciec i z niepokojem popatrzył na dom. Mial najwyzej dwadzieścia piec lat. Był wysoki i chudy, a jego uszy sterczaly na boki jak uchwyty dzbanka.

Zanim policjant zadzwonil do drzwi, Dragomir zdązil wlozyc brązowa peruke, krotka z przodu i dluga z tyłu.

Podejrzewal, ze policjant przyjechal w sprawie psa. Mlodzienciec stal na werandzie, przestepujac z nogi na noge, a jego cienkie rece niezrecznie zwisaly wzdluz bokow.

– Dzień dobry – zagadnal. – Posterunkowy Kent. Chialbym zadać panu kilka pytan.

Późnym popołudniem, gdy wróciłem do biura, Jillian siedziała na podłodze i z jakiegoś powodu pakowała pudła. Nie chciałem się wtrącać. Podniosła na mnie wzrok. Miała czerwoną twarz lepką od łez.

– Żegnam, panie Heller.

Nie od razu zrozumiałem, gdyż byłem zbyt pochłonięty innymi sprawami.

– Co się dzieje? – spytałem w końcu.

– Zanim odejdę, chciałabym pana przeprosić.

– Za ubranie? Nie żartuj.

– Za elektroniczną pocztówkę.

– O czym ty mówisz?

– Ktoś przesłał mi elektroniczną pocztówkę, a ja otworzyłam ją w pracy.

– I dlatego odchodzisz?

– Dorothy nic panu nie mówiła?

– To ona cię zwolniła?

– Nie, sama odchodzę. – Uniosła podbródek z dumą, może nawet nieco buntowniczo.

– A już zaczynałam myśleć, że jak na korporacyjną Amerykę to wcale nie była taka zła praca.

– Miło mi to słyszeć. Powiesz, co się stało?

– Podejrzewam, że ta pocztówka zawierała jakiegoś wirusa, program szpiegujący czy coś w tym rodzaju. Dorothy twierdzi, że to w ten sposób włamano się na nasz serwer i ukradziono pańskie osobiste dane i kody do domowego systemu bezpieczeństwa.

– To twoja sprawka?

– Myślałam, że ona panu powiedziała – wydukała Jillian.

– Przykro mi, Jillian, ale wybrałaś fatalny moment na odejście, więc nie mogę cię puścić. Rozpakuj pudła i wracaj do odbierania telefonów.

Popatrzyła na mnie pytająco.

– No dalej! – zawołałem. – Do pracy.

Kiedy szedłem do gabinetu Dorothy, Jillian zawołała za mną:

– Panie Heller?!

– Tak?

– Słyszałam, jak rozmawialiście o tym tatuażu z sową.

– I co?

– Może mogłabym pomóc. Mój brat pracował w...

– Salonie tatuażu – przerwałam jej. – Tak, pamiętam. Wiesz, jak najbardziej byś nam pomogła?

Spojrzała na mnie z wyczekiwaniem.

– Gdybyś zapoznała się z instrukcją biurowego systemu telefonicznego.

Im dłużej myślałem o Marshallu i Belindzie Marcusach, tym bardziej byłem przekonany, że coś jest nie w porządku.

Znałem znakomitego cyberdetektywa w New Jersey, niejakiego Mo Gandle'a – kilkakrotnie korzystałem z jego usług, kiedy pracowałem dla Stoddard Associates w Waszyngtonie – więc teraz do niego zadzwoniłem.

– Chciałbym, żebyś sprawdził, kiedy dokładnie była zatrudniona w VIP Exxxecutive Service w Trenton – poprosiłem. – Spróbuj prześledzić jej przeszłość, najdalej jak się da.

...

Zastąpiłem Dorothy przy jej biurku, gdzie siedziała z brodą opartą na dłoniach, wpatrzona w ekran komputera.

Na monitorze widniała twarz Alexy o zapadniętych oczach i potarganych włosach. „Nie chcę tutaj dłużej być, tatusiu!”, mówiła dziewczyna.

Obraz znieruchomiał, a następnie rozpadł się na tysiące kolorowych kwadratów, jak obraz Chucka Close'a. Kwadraty rozpraszały się i grupowały w przypadkowy sposób.

Kiedy obraz powrócił, Alexa mówiła dalej: „Oni chcą dostać Merkurego, tatusiu. W stanie surowym. Nie... nie wiem, co to znaczy. Powiedzieli, że...”.

– Ponownie przyjąłem Jillian – powiedziałem.

Stuknęła w jakiś klawisz, nie patrząc na klawiaturę, powtórnie odtwarzając te same kilka sekund filmu: Alexa mówiła, obraz nieruchomiał, rozpadał się na pomieszane geometryczne śmieci, a następnie znów układał w spójny wizerunek.

– Wcale jej nie zwolniłam. – Dorothy mruknęła nieobecny głosem.

– No więc powiedziałem jej, że nie może odejść. Co robisz?

– Biję głową w mur, ot co.

– Mogę jakoś pomóc?

– Tak, możesz mnie wywalić na zbity pysk.

– Ciebie też? Nic z tego.

– Więc sama rezygnuję.

– Na to też ci nie pozwalałam. Nikt nie może zrezygnować. Opowiedz mi, co się dzieje.

Dorothy mówiła cicho i powoli, a ja dostrzegłem, że obnaża przede mną część siebie, której nigdy wcześniej nie pokazywała.

– Dobrze wiesz, że nie zrezygnuję. To nie leży w mojej naturze. Ale nie wypełniam swoich obowiązków. Nie robię tego, za co mi płacisz. Zawalam najważniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek mi zlecono.

W jej oczach zalśniły łzy.

Położyłem dłoń na jej dłoni.

– Daj spokój. Co się stało ze starą dobrą arogancką Dorothy, którą znam i uwielbiam?

– Ujrzała światło.

– Dorothy, jesteś sfrustrowana. Rozumiem to. Ale musisz się w pełni zaangażować. Myślałem, że nigdy się nie poddajesz. Przypomnij mi, co o tobie mówi twój ojciec?

– Uparta jak osioł na lodzie – odpowiedziała cicho.

– A w zasadzie dlaczego „na lodzie”?

– Skąd mam wiedzieć, do diabła? Nick, zdajesz sobie sprawę, jak często myślę o niej i o tym, co ona przechodzi? Modlę się za nią i wciąż zadaję sobie pytanie, kto mógłby zrobić coś takiego niewinnej dziewczynie, a wtedy czuję się taka... bezsilna.

– Twoje zadanie nie polega na jej ocaleniu.

Oczy Dorothy lśniły, żarliwe i niespokojne.

– Święty Jan w swoich listach napisał: „Wiemy, że jesteśmy z Boga, cały zaś świat leży w mocy Złego”². Nigdy wcześniej tego nie rozumiałam. Co to ma niby znaczyć? Czyżby Szatan wszystkim kierował? Ale teraz zaczynam pojmować. Może po prostu w świecie... jest obecne zło, przeciwko któremu nawet Bóg jest bezsilny. I właśnie o to w tym chodzi.

– Dlaczego złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom? – spytałem cicho. – Już dawno przestałem zadawać takie poważne pytania. Nie wychyłam się i wykonuję swoją pracę.

– Przepraszam, Nick. Obiecałam sobie, że już nigdy nie będę mieszała religii z pracą.

– Nigdy nie kazałem ci zostawiać wiary w domu. Powiedz mi, na czym utknęłaś.

Wahała się tylko przez chwilę.

– No dobrze, posłuchaj tego.

Wcisnęła jakiś klawisz, poruszyła myszką i kliknęła, a wtedy wróciliśmy do tego samego fragmentu nagrania. Dorothy zwiększyła głośność. Szum w tle stał się wyraźniejszy. Obraz znieruchomiał i rozpadł się na małe kawałki.

– Słyszysz ten hałas, prawda?

– Samochód albo ciężarówka, już to ustaliliśmy. I co?

Pokręciła głową.

– Zauważ, że po tym dźwięku obraz zawsze się psuje. Za każdym razem.

– No tak.

– Rzecz w tym, że samochód, ciężarówka albo pociąg nie mogą w ten sposób zaburzyć transmisji wideo.

– Więc?

Posłała mi swoje słynne Spojrzenie: szerzej otworzyła oczy i opuściła czoło, patrząc spode łba. Spojrzenie mogło zmienić słabszą istotę w kamień albo słup soli. Nasz były szef, Jay Stoddard, do tego stopnia nie mógł go znieść, że starał się nie mieć z Dorothy bezpośrednich kontaktów. Próby odwzajemnienia Spojrzenia były skazane na niepowodzenie. Równie dobrze mógłbyś wbić wzrok w słońce, licząc na to, że ono zgaśnie, zanim oślepniesz.

– „Więc?” – powiedziała. – W ten sposób dowiemy się, gdzie jest Alexa Marcus.

– Czy coś się stało, panie władzo?

Dragomir nauczył się, że amerykańscy policjanci lubią, gdy traktuje się ich z szacunkiem, bo rzadko mogą na niego liczyć.

– Nic poważnego, proszę pana. Po prostu chcielibyśmy się przedstawić, żeby pan wiedział, kogo wezwać, gdyby potrzebował pan pomocy.

Uszy i policzki młodzieńca zmieniły kolor na karmazynowy. Uśmiechnął się, odsłaniając dziąsła.

– Dobra wiedzieć. – Podkreślanie przez Dragomira słabej znajomości języka działało rozbijająco na większość ludzi. Dzięki temu sprawiał wrażenie bezradnego. Dragomir zwykł analizować innych ludzi tak jak kolekcjoner motyli bada swoje okazy.

Policjant ponownie przestąpił z nogi na nogę, a drewniana podłoga werandy zaskrzypiała. Młodzieniec poklepał opuszkami palców po swoich udach.

– A więc... eee... pracuje pan dla Aldersonów?

Dragomir pokręcił głową ze skromnym uśmiechem.

– Tylko opiekuję domem. Wykonuję prace. Naprawiam.

– Aha, no tak. Jeden z pańskich sąsiadów zauważył u pana sprzęt budowlany.

– Tak?

– Chciałbym się tylko upewnić, że nie doszło do naruszenia kodeksu budowlanego. Na przykład, że nie buduje pan czegoś bez zezwolenia.

Młodzieniec nie miał w sobie ani krztyny pewności siebie. Niemal przeproszał za to, że pojawił się u Dragomira. Zupełnie inaczej niż rosyjscy milicjanci, którzy traktowali wszystkich jak przestępców.

– Tylko zmieniam rzeźbę terenu.

– To znaczy... niczego pan nie buduje ani...?

– Nie buduję – odparł Dragomir. – Właściciel chce mieć ogrody tarasowe.

– Mogę zajrzeć za dom?

To się posuwało za daleko. Gdyby Dragomir zażądał nakazu rewizji, chłopak wróciłby za godzinę z dwoma innymi policjantami i sądowym nakazem. Przeszukaliby także dom, tylko po to, żeby udowodnić, że mogą to zrobić.

Wzruszył ramionami.

– Proszę – rzekł zapraszająco.

Posterunkowy Kent sprawiał wrażenie uspokojonego.

– No wie pan, tylko po to, żebym mógł powiedzieć przełożonemu, że wywiązałem się z zadania.

– Każdy z nas ma jakieś obowiązki.

Udał się w ślad za policjantem na szczerze pole za domem. Młodzieniec przyglądał się śladom na twardym gruncie, aż w końcu dostrzegł szary przewód wentylacyjny sterczący na środku pola i do niego podszedł.

– Czy to szambo, Andros?

Dragomir znieruchomiał. Nie przedstawił się policjantowi. Najwyraźniej sąsiad podał jego imię.

To go zaniepokoiło.

– To do odpowietrzania gleby – odrzekł, stając obok rurki. – Składowiska odpadów i... kompostu. – Starał się przekonująco improwizować.

– Chodzi o nagromadzenie metanu?

Dragomir wzruszył ramionami. Nie znał angielskiego. Robił tylko to, co mu kazano. Był prostym robotnikiem.

– Ponieważ na założenie szamba jest potrzebne pozwolenie.

Policzki i uszy gliniarza miały kolor zimnego barszczu.

Dragomir się uśmiechnął.

– To nie szambo.

Z otworu rurki dobiegły ciche, przytłumione okrzyki.

Policjant przekrzywił głowę. Wydawało się, że zastrzygł swoimi śmiesznymi uszami.

– Coś pan słyszy? – spytał.

Dragomir powoli pokręcił głową.

– Nie...

Krzyki dziewczyny stały się głośniejsze i wyraźniejsze.

– POMOCY BOŻE POMOCY URATUJCIE MNIE PROSZĘ BOŻE...

– Wydaje się, jakby dobiegały z dołu – zauważył policjant. – Dziwne.

– Zamieniam się w słuch – powiedziałem.

Dorothy westchnęła.

– Zacznijmy od podstawowego pytania: Jak oni się łączą z internetem? Nie wydaje mi się, żeby to było standardowe szybkie łącze.

– Dlaczego?

Odchyliła się i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Moi rodzice mieszkają w Karolinie Północnej. Dwa lata temu postanowili założyć sobie kablówkę, żeby móc oglądać wszystkie filmy. Tylko że w ich okolicy nie było żadnej telewizji kablowej, więc musieli założyć antenę satelitarną na dachu.

Pokiwałem głową.

– Kiedyś chciałam u nich obejrzeć film, ale obraz wciąż zanikał. Doprowadzało mnie to do szału. Spytałam ich, co się dzieje, czy zawsze tak było i czy zadzwonili do firmy, która zakładała antenę, żeby ją naprawiono. Mama odpowiedziała, że tak się dzieje za każdym razem, gdy nad domem przelatuje samolot. Trzeba się przyzwyczaić, bo nie da się temu zaradzić. Mieszkają niedaleko lotniska Charlotte/Douglas. Pod korytarzem powietrznym. Samoloty bardzo hałasują, a wkrótce zauważyłam, że za każdym razem, gdy je słyszę, obraz w telewizorze się psuje.

– No dobrze – rzekłem. – Jeżeli nasi porywacze znajdują się gdzieś w lesie albo na wsi, gdzie nie mają dostępu do szybkiego internetu, to antena satelitarna zapewne jest dla nich jedynym sposobem na połączenie z siecią. Uważasz, że przelatujący samolot może zakłócić sygnał?

– Bez problemu. Podobnie silna burza. Jeżeli coś dostaje się między antenę a satelitę na niebie, łączność zostaje zerwana. Duży samolot lecący na niskim pułapie również może mieć taki wpływ. Być może zakłóci transmisję na ułamek sekundy, ale to wystarczy, żeby tę transmisję spieprzyć.

– Znakomicie – powiedziałem. – Ten hałas może pochodzić od silnika odrzutowca. Więc założmy, że znajdują się niedaleko lotniska. Jak myślisz, w jakiej odległości?

– Trudno to ocenić. Ale lądujące lub startujące samoloty są na tyle nisko, że przesłaniają satelitę. Wszystko zależy od wielkości samolotu, jego prędkości i tak dalej.

– W Stanach jest od cholery lotnisk – zauważyłem.

– Czyżby? – spytała oschle. – Nie myślałam o tym. Ale gdyby udało nam się zawęzić poszukiwania, zadanie stałoby się znacznie łatwiejsze.

– Chyba możemy to zrobić.

– Tak?

– New Hampshire. – Opowiedziałem o zlokalizowaniu telefonów komórkowych przez George'a Devlina i o tym, że Pan X wwiózł Alexę przez granicę stanu Massachusetts do New Hampshire.

Dorothy słuchała mnie, wbijając wzrok w przestrzeń. Po dwudziestu sekundach przerwała milczenie.

– To bardzo nam pomoże. Nie wiem, ile jest lotnisk w New Hampshire, ale właśnie udało nam się zawęzić skalę poszukiwań do rozsądnej liczby.

– Może uda nam się jeszcze bardziej ją zawęzić – oznajmiłem. – Czy ta obleśna strona CamFriendz nadaje transmisje w czasie rzeczywistym?

– Przynajmniej tak twierdzą i podejrzewam, że nie kłamią. Co prawda, trzeba brać pod uwagę wolniejsze łącza, opóźnienia na serwerze i tym podobne, dlatego możliwe są kilkusekundowe rozbieżności.

– Więc możemy zestawić czas transmisji z dokładnymi godzinami lotów zaczerpniętymi z rejestru lotów Federalnej Administracji Lotnictwa.

– Prowadzą coś takiego?

– Oczywiście, że tak. Poszukamy lotnisk w New Hampshire... a co tam, dla pewności niech będzie w Massachusetts, Maine i New Hampshire... i dopasujemy rozkład lotów do czterech zakłóceń transmisji.

Energicznie pokiwała głową.

– Możemy jeszcze bardziej zawęzić poszukiwania – dodałem. – Czy podczas jednej z transmisji nie doszło do dwóch odrębnych zakłóceń sygnału?

– Masz rację.

– Zatem znamy dokładny odstęp czasowy między dwoma lotami.

Jej uśmiech powoli się rozszerzył.

– Nieźle, szefie.

Wzruszyłem ramionami.

– To twój pomysł. – Jedną z rzeczy, których zdążyłem się nauczyć, odkąd założyłem własny biznes, jest zasada, że szef nigdy nie powinien przypisywać sobie zasług. – Możesz włamać się do cyfrowej bazy Federalnej Administracji Lotnictwa?

– Nie.

– No cóż, FBI na pewno jest w stanie do niej dotrzeć swoimi kanałami. Zadzwoń do Diany.

– Przepraszam.

Jillian Alperin wyczekująco stała w drzwiach.

– Mamy zebranie – powiedziała Dorothy. – Czy coś się stało?

– Zapomniałam to wyjąć z drukarki. – Pokazała duże błyszczące kolorowe zdjęcie.

Było to powiększenie fotografii z iPhone'a Alexy, ukazującej tatuaż porywacza.

– Dziękuję – rzekła Dorothy, biorąc zdjęcie.

– Chyba wiem, co to jest – stwierdziła Jillian.

– To sowa – oznajmiłam. – Ale i tak dziękuję.

Wtedy pokazała nam coś innego, co trzymała w drugiej dłoni. Cienką białą książkę w miękkiej oprawie. Na okładce widniał czarno-biały rysunek sowy.

Identyczny jak na tatuażu ze zdjęcia.

– Co to jest? – spytałam.

– Książka o tatuażach, którą znalazł mój brat.

Wręczyła mi tom. Nosił tytuł *Tatuaż w rosyjskim świecie przestępczym*.

– Dorothy – zagadnąłam. – Która jest teraz godzina w Rosji?

Jednym z moich najlepszych źródeł w Rosji był pewien były generał KGB. Anatolij Wasilenko dobiegał siedemdziesiątki; był chudy jak tyczka, miał orli nos i nosił się jak wykładowca z Cambridge. W chwili rozpadu Związku Radzieckiego już zaczynał zarabiać na swoich dojsciach i kontaktach.

Nieszczerólnie go lubilem – był jednym z najbardziej interesownych ludzi, jakich znałem – ale potrafił być uprzejmy i ujmujący, a także dysponował imponującym wizytownikiem. Za odpowiednią cenę mógł zdobyć niemal każdą informację.

Tola zawsze wiedział, do kogo zadzwonić, kogo przekupić, a kogo nastraszyć. Jeśli któryś z moich klientów podejrzewał kierownika swojej moskiewskiej fabryki o malwersacje, Tola potrafił załatwić sprawę za pomocą jednego telefonu. Ściągał faceta do siebie na rozmowę, a ten od tej pory był zbyt wystraszony, żeby ukraść spinacz do papieru z własnego biurka.

Skontaktowałem się z nim w porze kolacji. Po odgłosach w tle wywnioskowałem, że jest poza domem.

– Czy kiedykolwiek zabrałem cię do Turandota, Nicholasie? – spytał. – Zaczekaj, znajdę cichsze miejsce.

– Dwa razy – odrzekłem. – O ile pamiętam, na zupełną pletwy rekina.

Restauracja Turandot mieściła się kilka ulic od Kremla, przy bulwarze Twerskim, i podobno chętnie jadal w niej oligarchowie, przestępcy oraz wysocy rangą urzędnicy rządowi (przy czym niejedna osoba należała do wszystkich trzech grup). Była to obszerna, bogato zdobiona reprodukcja barokowego pałacu z weneckim marmurowym dziedzińcem, posągami rzymskich bogów, gobelinami z manufaktury w Aubusson oraz olbrzymim kryształowym żyrandolem. Masywni ochroniarze stali przed wejściem, gdzie palili i pilnowali bentleyów swoich pracodawców.

Kiedy Tola znów się odezwał, zgiełk rozbrzmiewający w tle zniknął.

– No, teraz dużo lepiej. Nie ma niczego gorszego niż stolik pełen pijanych Tatarów. – Mówił po angielsku lepiej niż większość Amerykanów. Nie mam pojęcia, gdzie przyswoił ten afektowany brytyjski akcent; może w szkole KGB. – Wysłałeś mi ciekawe zdjęcie.

– Wiem.

– Ten tatuaż to Sowa.

– Zauważyłem.

– Chodzi mi o nazwę grupy przestępczej.

– Rosyjska mafia?

– Mafia? Ależ nie, nic aż tak zorganizowanego – odparł. – Sowa to raczej swobodna konfederacja ludzi, którzy siedzieli w tym samym więzieniu.

– Którym?

– Zakładzie karnym numer jeden w Kopiejsku. Paskudne miejsce.

– Masz listę wszystkich znanych członków Sowy?

– Wszystkich członków Sowy? – Zachichotał gardłowo. – Gdybym miał taką listę, byłbym albo bardzo bogaty, albo bardzo martwy.

– Na pewno znasz chociaż część nazwisk.

– Dlaczego cię to interesuje?

Powiedziałem mu.

– Jesteś w kiepskiej sytuacji – stwierdził. – A raczej córka twojego klienta.

– Dlaczego?

– To bardzo źli ludzie, Nicholasie. Zatwardziali kryminaliści najgorszego pokroju.

– Domyślam się.

– Wątpię. Oni nie działają zgodnie z obowiązującymi zasadami. Nie przejmują się normami moralnymi.

– Aż tak źle?

– O ile się nie mylę, ostatnio mieliście w Stanach bardzo nieprzyjemny incydent. Pamiętasz brutalny napad z włamaniem w Connecticut?

– Nie przypominam sobie.

– O rany. Chodziło o jakieś bogate osiedle w Connecticut, może Darien? Prawdziwy koszmar. Lekarz, jego żona i trzy córki spędzali wieczór w domu, gdy włamali się do nich dwaj złodzieje. Pobili lekarza kijem baseballowym, związali i zrzucili ze schodów do piwnicy. Potem przywiązali dziewczynki do łóżek i gwałcili je przez siedem godzin. Następnie polali kobiety benzyną i podpalili...

– No dobrze – przerwałem, nie mogąc dalej słuchać. – To zrobili członkowie Sowy?

– Zgadza się. Jeśli się nie mylę, jeden z nich został zabity podczas próby aresztowania. Drugi uciekł.

– Zrobili to dla pieniędzy?

– Dla rozrywki.

– Słucham? – Poczulem lodowaty ucisk w żołądku.

– Tak jak mówiłem, dla czystej zabawy. Członkowie Sowy robią rzeczy, które normalnemu człowiekowi nawet nie przyjdą do głowy. Trudno o lepszych żołnierzy.

– Żołnierzy?

– Można ich wynająć. Jeśli ktoś potrzebuje ludzi do bardzo brudnej roboty, czegoś wyjątkowo brutalnego i krwawego, to może zatrudnić członków Sowy.

– Kto korzysta z ich usług? Rosyjska mafia?

– Zazwyczaj nie. Mafia ma mnóstwo brutalnych żołnierzy.

– Więc kto?

– Niektórzy oligarchowie. Nasi nowo wykreowani rosyjscy miliarderzy. Często potrzebują twardych współpracowników. Zwłaszcza kilku słynie z tego, że korzystają z pomocy Sowy.

– Którzy?

Anatolij się roześmiał.

– Nicholasie, jeszcze nawet nie porozmawialiśmy o zapłacie! Po kolei.

Podał mi cenę, a ja początkowo miałem ochotę powiedzieć mu, gdzie ma sobie wsadzić swoją propozycję, ale w końcu się opanowałem i przystałem na jego lichwiarskie warunki.

– Znakomicie – rzekł. – Muszę zadzwonić do kilku osób.

Dragomir szybko się uczył.

Tym razem poprawnie użył noża pneumatycznego. Młody policjant nawet nie zdążył się odwrócić, gdyż ostrze błyskawicznie trafiło go w bok, wbijając się aż po rękojeść.

Dragomir wcisnął guzik i usłyszał syk, a następnie trzask.

Posterunkowy Kent opadł na ziemię. Wyglądało to tak, jakby nagle postanowił usiąść na środku podwórza, tylko że niezdarnie się przy tym rozkraczył, co byłoby potwornie bolesne, gdyby wciąż żył.

Jednak umarł prawie natychmiast. Jego organy wewnętrzne rozszerzyły się i jednocześnie zamarzły. Brzuch obrzmiał jak u piwosza.

Kiedy Dragomir zarzucił sobie trupa na ramiona, usłyszał trzask policyjnej krótkofalówki.

Spotkaliśmy się z Dianą w Tawernie pod Owczym Łbem, pubie w irlandzkim stylu w budynku Rządowego Centrum tuż obok siedziby FBI. Diana powiedziała, że musi szybko coś przekąsić przed powrotem do pracy. Nie miałem nic przeciwko: czekała mnie bardzo długa noc.

Wszystkie stoliki na zewnątrz były zajęte, więc usiedliśmy w jednym z boksów pośrodku lokalu. Rzuciło mi się w oczy mnóstwo starego drewna, a raczej nowego drewna, które postarżono za pomocą przypadkowych uderzeń dłutem i mnóstwa ciemnego lakieru. Na ścianie wisiały stare szyldy, a na rzeźbionym drewnianym barze widniały celtyckie litery oraz reprodukcje dawnych reklam guinnessa. W ofercie znajdowało się wiele wyszukanych piw, głównie z amerykańskich mikrobrowarów, ale także nieco niemieckich specjałów. Diana miała na sobie turkusową jedwabną bluzkę i czarne dzinsy, które podkreślały jej kształty, ale zarazem ubranie nie wyglądało nieprofesjonalnie.

– Obawiam się, że niczego się nie dowiedziałam. Niczego nie znaleźliśmy w rejestrze lotów Federalnej Administracji Lotnictwa.

– Jak często się go aktualizuje?

– Na bieżąco.

– Jest kompletny?

Pokiwała głową.

– Obejmuje zarówno prywatne, jak i publiczne lotniska.

– No cóż, to był genialny pomysł, ale nie wszystkie genialne pomysły się sprawdzają – powiedziałem. – Dziękuję, że próbowałaś. Za to ja coś mam.

– Złe wieści?

– Nie. Ale i tak ci się nie spodobają. – Wręczyłem jej zapieczętowaną torebkę z telefonem Mauricia.

– Nie rozumiem – rzekła po kilku sekundach. – Co to jest?

Wyjaśniłem.

– Zabrałeś go z jego mieszkania?

Pokiwałem głową.

– I nic mi nie powiedziałaś?

– Przykro mi, ale nie ufałem Snyderowi.

Zacisnęła usta, a jej nozdrza się rozszerzyły.

– Wiem, że źle zrobiłem, zatajając to przed tobą – przyznałem.

Nic nie odpowiedziała, tylko wbiła wzrok w stół. Jej twarz poczerwieniała.

– Powiedz coś – zachęciłem.

W końcu na mnie popatrzyła.

– Warto było, Nick? Wiesz, że nie będziemy mogli z tego skorzystać w sądzie, skoro nie dopełniłeś procedur?

– Nie uważam, żeby biuro miało ścigać trupa.

– Chodzi mi o tego, kto za tym wszystkim stoi. Przepisów nie ustanawia się bez powodu.

– Ty nigdy nie przekraczasz żadnych granic.

– Lubię jasne zasady, Nico. Tymczasem ty nigdy nie uznawałeś zwierzchnictwa. Nie nadajesz się do pracy w zhierarchizowanej instytucji.

– Ostatnia instytucja, do której wstąpiłem, posłała mnie do Iraku.

– Oboje chcemy tego samego, tylko mamy inne drogi dojścia do celu. Ale póki pracujesz ze mną i FBI, musisz szanować nasze reguły.

– Rozumiem.

Posłała mi surowe spojrzenie.

– Nigdy więcej mi tego nie rób.

– Nie zrobię.

– To dobrze. Mam nadzieję, że przynajmniej dowiedziałeś się w ten sposób czegoś użytecznego.

Pokiwałem głową.

– Znam jego numer oraz jedyny numer, z którym się łączył. Zapewne należy on do gościa, który zlecił mu porwanie Alexy. Jeden z moich informatorów naniósł na mapę wież przekaźnikowych telefonii komórkowej sygnały wysyłane z obu tych numerów, a także z numeru Alexy, i nakreślił trasę, którą pokonali.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Skąd wziął mapę wież przekaźnikowych?

– Nie pytaj. W każdym razie trasa prowadzi na północ do New Hampshire.

– Co to oznacza? Porywacz stamtąd przyjechał?

– Tak, ale co ważniejsze zapewne teraz przetrzymuje tam Alexę.

– Gdzie dokładnie?

– Tego nie wiemy. Gdzieś w New Hampshire.

– To już coś – odrzekła Diana. – Ale będziemy potrzebowali więcej danych.

W przeciwnym razie to na nic.

– A co powiesz na tatuaż?

Pokręciła głową.

– Żaden z naszych ludzi niczego się nie dowiedział.

– Cóż, mam znakomite źródło w Moskwie, które właśnie zdobywa dla mnie informacje.

– W Moskwie?

– Ta sowa to rosyjski tatuaż więzienny.

– Skąd to wiesz?

– Tak się składa, że od mojej dwudziestoczteroletniej wegańskiej sekretarki.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Mówię poważnie. To skomplikowane. Taki tatuaż noszą członkowie Sowy, gangu złożonego z byłych rosyjskich więźniów.

Wyjęła notatnik i coś zapisała.

– Skoro Alexę porwał Rosjanin, to czy jego zleceniodawcy także są Rosjanami?

– Nie mam pewności, ale wszystko na to wskazuje. Mój informator w Moskwie twierdzi, że rosyjscy oligarchowie często wynajmują członków Sowy do brudnej roboty, z którą nie chcą być w żaden sposób powiązani. Pomaga mi to zawęzić grono podejrzanych. Tymczasem chcę się dowiedzieć, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa David Schechter.

– W jaki sposób pomoże nam to odnaleźć Alexę?

Zrelacjonowałem jej podsłuchaną rozmowę Davida Schechtera z Marshalllem Marcusem.

– Uważasz, że Schechter kontroluje Marcusa? – spytała.

– Najwyraźniej.

– W jaki sposób?

– Jeszcze nie wiem. Może ma z tym coś wspólnego podejrzana przeszłość żony Marshalla.

Diana uniosła brew, a ja wyjaśniłem, czego się dowiedziałem o poprzedniej pracy Belindy Marcus.

– W tej chwili sprawdza to dla mnie prywatny detektyw. Chcę się przekonać, czego jeszcze można się na ten temat dowiedzieć. Ale sądzę, że nie o to chodzi. To zbyt świeża i banalna sprawa.

– Więc jakiego haka Schechter ma na Marcusa?

– Właśnie to chcę ustalić.

– Jak?

Wyjaśniłem.

– To nielegalne.

– Więc o niczym ci nie mówiłem.

– Nie przeszkadza ci, że popełniasz przestępstwo?

Wzruszyłem ramionami.

– Jak kiedyś powiedział pewien wybitny człowiek, w niektórych ekstremalnych sytuacjach prawo nie zdaje egzaminu. W celu obnażenia jego niedoskonałości, należy działać poza jego granicami.

– Martin Luther King?

– Blisko. Punisher.

Wyglądała na zbitą z tropu.

– Pewnie nie czytasz komiksów – stwierdziłem.

Dragomir wyjechał na główną szosę, zadowolony, że po drodze musiał minąć tylko ciężarówkę z drewnem. To nie był nikt z miasteczka, kto mógłby zauważyć radiowóz opuszczający posiadłość Aldersonów i później o tym plotkować, a może nawet zadawać pytania.

Wiedział, dokąd jechać. Wcześniej krążył po okolicy, na wszelki wypadek szukając dróg ucieczki, aż w końcu odkrył opuszczoną wąską drogę, która dobrze nadawała się do jego celu. Droga ostro zakręcała przed krawędzią urwiska.

Oczywiście zamontowano balustradę, ale nie na długim prostym dojeździe, gdzie przepaść była równie stroma.

Zatrzymał się w punkcie, z którego mógł zobaczyć samochody nadjeżdżające z obu kierunków. Żadnego nie zauważył. Następnie przejechał jeszcze kawałek, aż znalazł się około sześciu metrów od niezabezpieczonej krawędzi urwiska.

Ponownie się rozejrzał, po czym otworzył bagażnik radiowozu, wyjął ciało posterunkowego Kenta i szybko przeniósł je do otwartych drzwi po stronie kierowcy. Starannie umieścił zwłoki na siedzeniu. Potem zabrał czarne foliowe torby z podłogi bagażnika.

Raczej nie przeprowadzą sekcji. Stwierdzą, że policjant zginął w tragicznym wypadku, i na tym sprawa się zakończy. Zresztą zanim pojawiłyby się wyniki autopsji, jego już dawno by tutaj nie było. Dbał tylko o to, żeby nie dać się złapać w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Nim zepchnął samochód z urwiska, wrzucił bieg. Gdyby zostawił skrzynię biegów na luzie, każdy spostrzegawczy śledczy od razu domyśliłby się, co tak naprawdę się stało.

Dragomir nie zwykł popełniać takich błędów.

Kilka minut po dwudziestej pierwszej John Hancock Tower, najwyższy budynek w Bostonie, przypominał obsydianowy monolit. Kilka rozświetlonych okien tu i ówdzie było jak pojedyncze ziarna kukurydzy na objedzonej kolbie. Niektórzy pracowali przez całą dobę.

Jednak nie dotyczyło to kancelarii prawniczej Batten Schechter na czterdziestym ósmym piętrze. Żadni asystenci nie harowali niestrudzenie, żeby zdążyć w terminie złożyć pozew albo przygotować akta przed rozprawą. Prawnicy z Batten Schechter rzadko brudzili sobie ręce czymś tak prymitywnym jak procesy publiczne. To była stateczna, dumna firma, która specjalizowała się w monopolach, nieruchomościach i okazjonalnych pozwach, a wszystkie sprawy starała się załatwić dyskretnie na drodze ostrych zakulisowych negocjacji, czasami korzystając z pomocy zaufanego sędziego lub urzędnika. Ich praca przypominała hodowlę pieczarek: zdecydowanie woleli działać w ukryciu.

Przejechałem białym fordem furgonetką wzdłuż Trinity Place na tyłach Hancock Tower i wjechałem po rampie do załadunku. Drogę zagrodził mi rząd pięciu stalowych słupków. Wsiadłem, zobaczyłem tabliczki ostrzegawcze – „Nie trąbić” oraz „Jeśli drzwi są zamknięte, proszę nacisnąć przycisk i skorzystać z interkomu” – i wcisnąłem duży czarny guzik.

Stalowe drzwi się uniosły, a za nimi ukazał się samotny człowiek, który sprawiał wrażenie rozdrażnionego najściem. Była dwudziesta pierwsza szesnastka. Na błękitnej koszuli mężczyzny, ponad nazwą firmy, wyszyto imię Carlos. Zerknął na logo na burcie furgonetki – „Derderian – dywany orientalne” – pokiwał głową, pstryknął przełącznikiem i stalowe słupki schowały się pod ziemią. Wskazał miejsce do parkowania w magazynie, gdzie stało już kilka innych samochodów służbowych.

Koniecznienie chciał mną pokierować, jakbym nie potrafił parkować. Zachęcająco machał ręką, aż przód furgonetki trącił czarne gumowe odbojniki.

– Pan do kancelarii Batten Schechter? – spytał.

Pokiwałem głową, starając się znaleźć równowagę między serdecznością a wyniosłością.

Carlos wiedział, że ktoś z kancelarii zadzwonił do administracji budynku i zapowiedział, że po dwudziestej pierwszej pojawi się u nich pracownik firmy czyszczącej dywany. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy, że przedstawiciela Batten Schechter udawała Dorothy.

Cała sprawa była banalnie prosta. Obiecałem panu Derderianowi, że kupię jeden z jego zbyt drogich, choć niewątpliwie eleganckich dywanów do swojego gabinetu, a on chętnie pożyczył mi jedną ze swoich furgonetek. W końcu i tak nie korzystał z nich w nocy.

– Jak się masz, Carlos?

– W porządku – odpowiedział z bostońskim akcentem z lekką latynoską nutą. – Dużo dywanów do wyczyszczenia?

– Tylko jeden.

Mruknął coś w odpowiedzi.

Otworzyłem tylne drzwi furgonetki i wywlokłem na zewnątrz masywną maszynę do prania dywanów. Carlos pomógł mi ją zestawić na ziemię, chociaż nie należało to do jego obowiązków, a następnie wskazał kciukiem rząd wind towarowych.

Winda długo nie przyjeżdżała. Miała porysowane stalowe ściany i aluminiową antypoślizgową podłogę pokrytą wzorem w romby. Wybrałem czterdzieste ósme piętro. Gdy winda jechała, poprawiłem pistolet Mauricia za paskiem. Odkąd zabrałem tę broń z jego mieszkania, trzymałem ją w schowku w samochodzie.

W windzie nie zauważyłem żadnych kamer, ale nie mogłem być pewien, więc nie wyjąłem pistoletu.

Wkrótce stalowe drzwi powoli się otworzyły i zobaczyłem niewielki służbowy hol oświetlony fluorescencyjnymi lampami. Z pewnością nie tędy wchodzili klienci i współpracownicy kancelarii. Wyprowadziłem maszynę z kabiny i zauważyłem cztery pary drzwi. Były to wejścia służbowe do siedzib czterech różnych firm, każde oznaczone czarną wytłoczoną tabliczką.

Obok wejścia do kancelarii Batten Schechter znajdowała się klawiatura elektronicznego zamka. Kancelaria zapewne miała powody, żeby stosować dodatkowe środki bezpieczeństwa.

Z worka wyjąłem długi elastyczny metalowy pręt zgięty pod kątem prostym i z jednej strony zakończony hakiem. Było to specjalne narzędzie, które sprzedawano tylko ludziom z branży ochroniarskiej oraz pracownikom agencji rządowych.

Uklęknąłem, przepchnąłem pręt pod drzwiami, po czym obróciłem go w taki sposób, żeby hak zaczepił o klamkę po drugiej stronie i mocno szarpnąłem. Po trzynastu sekundach byłem w środku.

Na tyle zdał się wyszukany zamek elektroniczny.

Znalazłem się w tylnym korytarzu, gdzie kancelaria przechowywała wyposażenie biurowe, środki czystości i tym podobne. Postawiłem maszynę do prania dywanów pod ścianą i ruszyłem dalej w słabym blasku oświetlenia awaryjnego.

Czułem się, jakbym trafił z najtańszych do najbardziej luksusowych kajut na *Queen Mary*. Miękkie wykładziny, mahoniowe drzwi z mosiężnymi tabliczkami, antyki.

David Schechter jako jeden z imiennych współników miał narożny gabinet. We wnęce przed podwójnymi mahoniowymi drzwiami jego sanktuarium stały biurko sekretarki i niewielka kanapa z niskim stolikiem. Drzwi były zamknięte.

Zobaczyłem kolejną klawiaturę, dyskretnie umieszczoną obok futryny na poziomie wzroku. Dziwne. To oznaczało, że gabinetu Schechtera zapewne nie sprzątała ta sama ekipa, która dbała o porządek w pozostałej części budynku.

Oznaczało to także, że w środku znajduje się coś wartego ochrony.

Niewykluczone, że kod do elektronicznego zamka był zapisany w notatniku schowanym w szufladzie biurka sekretarki. Jednak szybciej będzie ponownie skorzystać z przyrządu do otwierania drzwi.

To wszystko było aż nazbyt proste.

Z worka wyjąłem czarną teczkę. Wewnątrz leżała elastyczna sonda, zwinięta na dopasowanej piankowej podkładce jak metaliczny wąż. Pod wolframową osłoną krył się dwumetrowy światłowód włóknisty o średnicy niecałych sześciu milimetrów. Saperzy w Iraku używali takiego sprzętu do szukania ukrytych ładunków wybuchowych.

Wygiąłem sondę, przykręciłem do niej okular i zamontowałem zewnętrzną lampę metalohalogenkową, a następnie wsunąłem przyrząd pod drzwi. Dzięki dźwigni na uchwycie mogłem poruszać sondą niczym trąbą słonia. Teraz widziałem, co się znajduje za drzwiami. Przyjrzałem się ścianie po drugiej stronie futryny. Niczego na niej nie zamontowano.

Kiedy przesunąłem sondę na przeciwną stronę drzwi, dostrzegłem czerwone światełko.

Czujnik ruchu.

Bierny czujnik na podczerwień. Mógł wykryć nawet drobne wahania temperatury w pomieszczeniu, spowodowane ciepłotą ludzkiego ciała. Często spotykane urządzenie, ale trudne do przechytrzenia.

Światełko nie migało, co oznaczało, że czujnik był aktywny i gotowy do działania.

Zakląłem.

Istnieją sposoby na ominięcie takich zabezpieczeń. Próbowałem sobie przypomnieć sztuczki, o których słyszałem, chociaż nie była to moja specjalność. Wprost przeciwnie. Mogłem tylko zgadywać. Przez chwilę rozważałem rezygnację z operacji.

Jednak zaszedłem za daleko, żeby się wycofać.

Tak więc zabrałem kilka przedmiotów z pomieszczeń biurowych Batten Schechter. Pierwszy nie nastręczył mi żadnych problemów. Na szafce za biurkiem asystentki Schechtera stał zbiór fotografii. Wysunąłem szklany prostokąt z ramki ze zdjęciem małej wystraszonej dziewczynki siedzącej na kolanach Świętego Mikołaja w centrum handlowym.

W magazynie wśród półek z przyborami do pakowania i akcesoriami pocztowymi znalazłem karton z arkuszami polistyrenowymi, których używa się do wykładania wnętrza pudeł lub zabezpieczania zwiniętych dokumentów, a także rolkę taśmy klejącej.

Następnie wróciłem pod podwójne drzwi gabinetu Schechtera i w ciągu dziesięciu sekund otworzyłem je za pomocą swojego przyrządu.

Teraz zaczęła się najtrudniejsza część.

Trzymając przed sobą arkusz polistyrenowy jak tarczę, podszedłem do czujnika ruchu, powoli przemierzając wnętrze oświetlone upiornym blaskiem miejskich świateł i gwiazd. Jeśli się nie pomyliłem, pianka powinna zapobiec wykryciu ciepłoty mojego ciała.

Dotarcie do ściany z czujnikiem trwało potwornie długo. Przytrzymałem arkusz około dziesięciu centymetrów przed soczewką czujnika. Nie za blisko – gdybym całkowicie go zasłonił, również uruchomiłby się alarm.

Tak jak większość standardowych czujników na podczerwień, ten również miał pewną wadę konstrukcyjną. Co prawda, wyposażono go w możliwość obserwowania „strefy czołgania” – gdyby ktoś próbował się pod nim prześlizgnąć, soczewka od razu by to wykryła – ale nie widział niczego ponad sobą.

Wziąłem do ręki małą szybkę, którą wcześniej przykleiłem taśmą do paska, powoli ją uniosłem i umieściłem przed soczewką czujnika. Pasek taśmy klejącej zamocował szybkę na miejscu.

Potem opuściłem arkusz pianki.

Czerwone światełko nie zamigało. Nie uruchomiłem czujnika.

Powoli odetchnąłem.

Szkoło nie przepuszcza promieniowania podczerwonego, więc czujnik nie mógł niczego za nim wykryć, a jednocześnie nie postrzegał go jako przeszkody.

Zapaliłem światła. Dwie ściany wyłożono mahoniem. Pozostałe dwie były oszklone, niemal od podłogi do sufitu, a za nimi rozpościerały się oszałamiające widoki na Boston: zatokę Back, rzekę Charles, Bunker Hill, przystań. Światła migotały jak rozgwieżdżony baldachim, który opadł na ziemię. Jeżeli każdego dnia ze swojego gabinetu oglądałeś taki widok, mogłeś zacząć wierzyć, że rządysz krainą w dole.

Biurko było niewielkim, delikatnym antykiem z miodowego mahoniu o blacie pokrytym skórą w kolorze butelkowej zieleni i żłobkowanych nogach. Stał na nim tylko telefon.

Kiedyś panowała zasada, że im potężniejszy dyrektor, tym większe ma biurko. Widywało się biurka o rozmiarach parowców. Jednak obecnie im jesteś ważniejszy, tym mniejsze i delikatniejsze jest twoje stanowisko pracy, jakbyś chciał pokazać światu, że twoja władza opiera się na kontroli myśli. Robota papierkowa jest dla prostaków. Nigdzie nie zauważyłem komputera. Nie rozumiałem, jak ktoś w dzisiejszych czasach może bez niego prowadzić biznes. Najwyraźniej dobrze jest być królem.

Wszędzie stały bezcenne antyki – gięte dziewiętnastowieczne krzesła, ciemne lustra, pergaminowe kosze na śmierci, kredensy oraz stoliki na jednej nodze. Wiekowy jedwabny dywan o delikatnym splocie w kolorze bladooliwkowym, upstrzony stonowaną żółcią i czerwienią przyprawilby o ślinotok nawet pana Derderiana.

Znam dyrektorów banków, którzy zostali zwolnieni za wydanie tak wielu pieniędzy na wystrój gabinetu. Zapomnieli, że jeśli masz gust dekoratorski osiemnastowiecznego francuskiego arystokraty, to zapewne skończysz na gilotynie. Roztropni dyrektorzy kupują w sklepach z używanymi meblami.

Jednak David Schechter nie musiał odpowiadać przed żadnymi udziałowcami. Jego klientom nie przeszkadzało, że za ich pieniądze kupuje drogie meble. Bogactwo u prawnika jest wyznacznikiem sukcesu.

Nagle zauważyłem drugie podwójne mahoniowe drzwi.

Nie były zamknięte na klucz. Kiedy je otworzyłem, zapaliły się światła.

Zobaczyłem szafki z osobistymi aktami Schechtera, zbyt niebezpiecznymi, żeby trzymać je w centralnym archiwum, gdzie każdy mógłby mieć do nich dostęp.

Każda stalowa szafka była zabezpieczona wysokiej jakości zamkiem elektromechanicznym X-90 firmy Kaba Mas, który spełniał najbardziej surowe standardy rządowe i ogólnie uchodził za niemożliwy do sforsowania.

Zamków rzeczywiście nie dało się otworzyć, ale co innego z szafkami. Były to typowe stalowe szafki z czterema szufladami, które nie spełniały norm bezpieczeństwa.

Równie dobrze można by założyć zamek za tysiąc dolarów na pustych w środku drzwiach, które może otworzyć kopnięciem nawet dziecko.

Wybrałem szafkę oznaczoną literami H-O, licząc na to, że znajdę teczkę Marshalla Marcusa. Uklękłem i wsunąłem metalową podkładkę pod dolną szufladę. Usłyszałem szcęk przesuwającego się rygla.

Otworzyłem górną szufladę i przyjrzałem się oznaczeniom teczek. Na pierwszy rzut oka wyglądały na akta klientów, byłych i obecnych.

Jednak to nie byli zwykli klienci, tylko encyklopedia bogatych i potężnych. Znajdowały się tutaj akta najbardziej wpływowych urzędników w kraju z ostatnich trzech albo czterech dekad. Nazwiska mężczyzn (oraz kilku kobiet) rządzących Ameryką. Nie wszyscy byli sławni. Część z nich – byli dyrektorzy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i CIA, sekretarze stanu i skarbu, niektórzy sędziowie Sądu Najwyższego, szefowie sztabu, senatorzy czy kongresmeni – dawno została zapomniana.

Nieemożliwe, żeby David Schechter reprezentował choćby część z nich. Zresztą, jakie usługi prawne by im zapewnił? Więc dlaczego miał ich te czki?

Kiedy usiłowałem to rozgryźć, mój wzrok przyciągnęło jedno z nazwisk.

Gen. Mark Warren Hood, USA.

Generał Mark Hood. Człowiek, który kierował wydziałem tajnych operacji w Agencji Wywiadu Obronnego, dla której kiedyś pracowałem.

Wyjąłem brązową teczkę. Miała grubość ponad dwóch centymetrów. Z jakiegoś powodu moje serce mocniej zabiło, jakbym miał przeczucie.

Większość dokumentów zbrązowiała ze starości. Przeglądałem je pośpiesznie, niepewny, co one tutaj robią.

Nagle zauważyłem, że na górze każdej strony postawiono niebieską pieczęć z tym samym słowem: „Merkury”.

Znalazłem.

To wszystko w jakiś sposób łączyło się ze mną za pośrednictwem mojego dawnego szefa.

Miałem przed sobą rozwiązanie, gdyby tylko udało mi się zrozumieć te kolumny liczb i tajemnicze skróty, a może szyfry. Przewracałem kolejne strony, próbując znaleźć stronę lub słowo, które mogły coś wyjaśnić.

Zatrzymałem się przy zdjęciu przypiętym do grubego arkusza. U góry strony widniały słowa: „Zaświadczenie zwolnienia albo wydalenia ze służby”. Wojskowy formularz DD-214. Mężczyzna na fotografii miał krótko ostrzyżone włosy i wyglądał na kilka kilogramów lżejszego niż obecnie.

Prawdę mówiąc, dopiero po chwili rozpoznałem swoją twarz.

Byłem tak zaszokowany, że nie usłyszałem cichego szurania na dywanie za sobą. Po chwili było już za późno, gdyż dostałem silny cios w głowę. Przenikliwy, obezwładniający ból przeszył moją czaszkę, a zanim wszystko ogarnęła ciemność, poczułem w ustach smak krwi.

Kiedy odzyskałem przytomność i wreszcie udało mi się skupić wzrok, stwierdziłem, że znajduję się w wyłożonej panelami sali konferencyjnej i siedzę na końcu olbrzymiego stołu w kształcie trumny.

W głowie czułem bolesne pulsowanie, zwłaszcza w prawej skroni. Gdy spróbowałem poruszyć dłońmi, zauważyłem, że nadgarstki mam przypięte plastikowymi kajdankami do stalowych podłokietników biurowego krzesła. Nylonowe paski wrzynały się w skórę. Kostki miałem przywiązane do pojedynczej nogi krzesła.

Jak przez mgłę pamiętałem, że gdzieś mnie wleczono, krępowano, obrzucano wyzwiskami. Może nawet torturowano. Zastanawiałem się, od jak dawna siedzę na tym krześle.

Po drugiej stronie stołu siedział David Schechter i przyglądał mi się z zaciekawieniem. Miał na sobie jaskrawożółty sweter i okrągłe okulary w rogowych oprawkach, które upodabniały go do sowy. Prawie się spodziewałem, że za chwilę odezwie się głosem Doktora Zło, prostując mały palec i domagając się miliona dolarów za moje uwolnienie.

Jednak to ja odezwałem się pierwszy.

– Pewnie się zastanawiasz, po co cię tutaj wezwałem.

Na twarzy Schechtera pojawił się grymas, który zapewne był próbą uśmiechu. Kąciki niezwykle cienkich ust opuściły się, tworząc idealny odwrócony łuk, jak u żaby, ciągnięte w dół przez dziesiątki pionowych zmarszczek. Miało się wrażenie, że uśmiechanie się sprawia mu olbrzymi wysiłek i rzadko je praktykuje.

– Czy wiesz, że za nocne włamanie z zamiarem popełnienia przestępstwa możesz trafić do więzienia na dwadzieścia lat? – spytał.

– Wiedziałem, że powinienem studiować prawo.

– A jeśli masz jeszcze przy sobie niezarejestrowaną broń, może cię czekać dożywocie? W Massachusetts nie znajdzie się sędziego, który da ci za to mniej niż dziesięć lat. No i pozostaje kwestia twojej licencji detektywa. Możesz się z nią pożegnać.

– Zakładam, że policja już jest w drodze.

– Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy tego załatwić osobiście, bez udziału policji.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Schechter nie miał zamiaru wzywać władz.

– Trudno mi się myśli, kiedy tracę krążenie w dolnych kończynach.

Coś poruszyło się na skraju mojego pola widzenia. Po bokach czaiło się dwóch osiłków o szerokich barkach. Pewnie strażnicy. Albo osobiści ochroniarze. Każdy miał przy pasie glocka. Jeden był blondynem pozbawionym szyi, z bezmyślnym obliczem naznaczonym śladami po sterydach.

Drugiego rozpoznawałem.

Miał czarne krótko ostrzyżone włosy i był jeszcze bardziej muskularny niż blondyn. To był jeden z mężczyzn, którzy włamali się do mojego mieszkania na poddaszu. Nad lewym okiem tuż poniżej brwi miał cienki biały plaster. Znacznie większy opatrunek znajdował się na jego lewym uchu. Przypomniałem sobie, że rzuciłem mu w twarz elektryczną maszynką do golenia i go zraniłem.

Schechter patrzył na mnie przez kilka sekund, po czym zamrugał powoli jak legwan i pokiwał głową.

– Rozetnijcie mu kajdanki.

Wielkolud posłał swojemu pracodawcy niezadowolone spojrzenie, ale posłusznie wyjął przecinak z żółtą rączką z kieszeni kurtki. Podszedł do mnie ostrożnie, jakby był saperem, a ja uzbrojonym ładunkiem nuklearnym, który za chwilę wybuchnie.

W milczeniu, z nadąsaną miną przeciął nylonową pętlę, którą mój nadgarstek był przytwierdzony do prawego podłokietnika krzesła, gdy tymczasem jego kompan o dziobatej twarzy wpatrywał się we mnie bez emocji i trzymał mnie na muszce.

Przecinając mi kajdanki, Wielkolud nachylił się i szepnął przez zaciśnięte zęby:

– Jak się miewa George Devlin?

Nawet nie drgnąłem.

Nie śpieszył się. Sprawiało mu przyjemność drażnienie się ze mną.

– Widziałem Bliznę na jednej z naszych kamer monitoringu – ciągnął niemal bezgłośnie. – Soczewka o mało nie pękła.

Uśmiechnął się ukradkowo i popatrzył mi w oczy.

– Pewnie ciężko jest wyglądać jak potwór. – Przeciął drugą pętlę, oddzielając moje ręce od krzesła, ale wciąż pozostawiając je związane. – Jednego dnia każda napotkana dziewczyna chce ci się dobrać do rozporoka, a następnego nawet dziwka nie zgodzi się...

Błyskawicznym ruchem trafiłem go obiema pięściami w podbródek, zamykając mu szczękę tak gwałtownie, że aż usłyszałem trzask pękających trzonowców. Kiedy się zatoczył, uderzyłem go w grzbiet nosa. Nie miałem dużo miejsca na zamach, ale włożyłem w ten cios całą siłę.

Coś głośno chrupnęło. Strumień tryskającej krwi wskazywał, że zapewne złamałem mu nos. Wielkolud ryknął z bólu i wściekłości.

Schechter wstał z krzesła i wydał jakieś ostre polecenie drugiemu strażnikowi, który przeładował pistolet, wprowadzając pocisk do komory. Kiepsko. Już wcześniej powinien był przygotować broń.

– Heller, na litość boską – rzekł z rozdrażnieniem Schechter.

Wielkolud zamachnął się i spróbował mnie uderzyć, ale bez trudu się uchyliłem.

– Wystarczy, Garrett – wrzasnął Schechter, a jego człowiek znieruchomiał jak dobrze wytresowany doberman.

– A teraz skończ go uwalniać – polecił prawnik. – I trzymaj przy tym język za zębami.

Garret, albo Wielkolud, jak wolałem go nazywać, przeciął plastikowe kajdanki, przewiercając mnie wzrokiem. Po dolnej połowie jego twarzy spływały dwa strumyki krwi. Kiedy skończył, otarł krew rękawem.

– Tak dużo lepiej – powiedziałem do Schechtera. – A teraz, jeśli mamy szczerze porozmawiać, powiedz tym dwóm amatorom, żeby sobie poszli.

Schechter pokiwał głową.

– Siemaszko, Garrett, zostawcie nas samych.

Strażnicy zmierzili go wzrokiem.

– Możecie poczekać na zewnątrz. Jestem pewien, że nie będzie żadnych problemów. Pan Heller i ja musimy porozmawiać na osobności.

Wychodząc z sali, Wielkolud groźnie pomachał w moim kierunku pistoletem i ponownie otarł zakrwawiony nos rękawem.

– Chciałeś dowiedzieć się czegoś konkretnego? – spytał Schechter, gdy drzwi się zamknęły.

– Owszem – odrzekłem. – Czy Marshall Marcus wie, że zorganizowałeś porwanie jego córki?

Schechter parsknął kpiąco.

– Nie ma w tym ani odrobiny prawdy.

– Zważywszy na twoje powiązania z Marcusem oraz senatorem Armstrongiem... ojcem porwanej dziewczyny i ojcem dziewczyny, która pomogła w tym porwaniu... nie próbuj udawać, że to zbieg okoliczności.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie?

– Kiedy kazałeś mi się trzymać z daleka od senatora i jego córki i oznajmiłeś, że moje usługi już nie będą potrzebne, dałeś mi do myślenia. Ale ja chcę doprowadzić do uwolnienia Alexy Marcus.

– Myślisz, że ja nie?

Wzruszyłem ramionami.

– Popatrz na to ze statystycznego punktu widzenia – dodał. – Jakie są szanse na to, że Alexa wróci żywa do domu? Ona już jest stracona i Marshall chyba to rozumie.

– Znacznie pogorszyłeś jej szanse, gdy nie pozwoliłeś, żeby Marcus przekazał im akta dotyczące Merkurego.

Schechter zamilkł.

– Naprawdę są warte dwóch istnień? – spytałem.

– Zdziwiłbyś się.

– To może mnie oświecisz.

– Są warte znacznie więcej. Są warte tyle, co życie miliona Amerykanów, którzy zginęli w obronie naszego kraju. Ale myślę, że już to wiesz. Czy nie dlatego musiałeś odejść z Departamentu Obrony?

– Odszedłem z powodu konfliktu.

– Z generałem Hoodem, swoim szefem.

Pokiwałem głową.

– Ponieważ odmówiłeś przerwania dochodzenia, które rozkazano ci zakończyć. Dochodzenia, które ostrzegłoby pewne osoby, że jest prowadzona przeciwko nim największa prowokacja korupcyjna w historii.

– Czyżby? – spytałem sardonicznie. – Ciekawe, że wtedy nikt o tym nie wspominał.

– Wtedy nie można było o tym mówić. Ale teraz musimy wierzyć w twoją dyskrecję, rozsądek i patriotyzm. Wiem, że się nie zawiedziemy.

– Nic o mnie nie wiecie.

– Mnóstwo o tobie wiem. Wiem, że bardzo się zasłużyłeś ojczyźnie. Nie tylko na polu bitwy, ale także w ramach pracy wywiadowczej dla Departamentu Obrony. Generał Hood twierdzi, że jesteś zapewne najbardziej błyskotliwym i niewątpliwie najodważniejszym agentem, z jakim miał szczęście współpracować.

– Jestem zaszczycony – powiedziałem kwaśno. – A dlaczego tak cię zainteresowała historia mojej służby?

Schechter skrzyżował ręce na piersi i nachylił się w moją stronę.

– Ponieważ gdybyś to ty dbał o bezpieczeństwo Marshalla, nigdy by do tego nie doszło – odrzekł głosem pełnym emocji.

– To nic pewnego.

– Cholera, dobrze wiesz, że mam rację. Jesteś ogromnie utalentowany. Oczywiście, że mam twoją teczkę. Oczywiście, że cię sprawdziłem.

– W jakim celu? – spytałem.

Milczał przez dziesięć albo piętnaście sekund.

– Zapewne wiesz o „zaginionych” dwóch-przecinek-sześć biliona dolarów, które rewident odkrył w Pentagonie przed kilku laty?

Pokiwałem głową. Pamiętałem, że o tym czytałem, a potem rozmawialiśmy na ten temat ze znajomymi. Cała historia nie doczekała się spodziewanego zainteresowania w tak zwanych głównonurtowych mediach. Może Amerykanie już przywykli do korupcji, ale przecież nie jesteśmy Somalią. Niewykluczone, że taka suma jest trudna do wyobrażenia, jak ciężar planety Ziemi.

– Tak się dzieje, kiedy nikt nie sprawuje kontroli nad rządową agencją o budżecie wysokości trzech czwartych biliona dolarów.

– Nigdy nie znaleziono tych pieniędzy, prawda?

Wzruszył ramionami.

– To nie moje zmartwienie i nie o to mi chodzi. Po prostu chcę powiedzieć, że Pentagon to czarna dziura. Wie o tym każdy w środowisku wywiadowczym.

– Skąd masz taką pewność? Nie jesteś wewnątrz tego środowiska.

Przechylił głowę.

– To zależy, co przez to rozumiemy. Myślę, że ludzie kierujący CIA w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat nie zgodziliby się z tobą.

– Więc co, Batten Schecher to przykrywka dla CIA?

Pokręcił głową.

– CIA? Daj spokój. Widziałeś, jak nisko spadli w hierarchii? Są niżej niż Urząd Statystyczny. Kiedyś CIA kierowała środowiskiem wywiadowczym. Dzisiaj odpowiadają przed dyrektorem wywiadu krajowego, a on również ma swoich przełożonych...

– No dobrze, więc kim jesteś, do diabła?

– Tylko pośrednikiem. Kontaktem. Zwykłym prawnikiem, który pomaga zadbać o to, żeby nikt ponownie nie „zgubił” trzech bilionów dolarów.

– A bardziej konkretnie?

– Niech będzie. Skąd pochodziła twoja pensja, kiedy pracowałeś dla Departamentu Obrony w Waszyngtonie?

– Z czarnego budżetu – odpowiedziałem. – To były ściśle tajne fundusze przeznaczone na finansowanie operacji wywiadowczych, utajnionych badań, projektów broni i tak dalej. Na to wszystko, co oficjalnie nie istnieje. Te pieniądze są tak dobrze ukryte w budżetowym chaosie, że nikt nie jest pewien, ile ich jest i na co dokładnie są wydawane.

– Otóż to.

– „Merkury” dotyczy czarnego budżetu?

– Blisko. Domyślasz się, ile wynosi czarny budżet?

– Około sześćdziesięciu miliardów dolarów.

Schechter parsknął.

– Jasne. Jeśli wierzysz w to, co piszą w „Washington Post”. Powiedzmy, że to liczba, którą ujawniono społeczeństwu.

– Więc... – zacząłem, ale zaraz umilkłem. Nagle wszystko wydało mi się jasne. – Chcesz powiedzieć, że Marshall Marcus inwestował w czarny budżet Stanów Zjednoczonych i nim zarządzał? Przykro mi, ale tego nie kupuję.

– Oczywiście nie zarządzał całością, ale całkiem sporą częścią.

– O jakiej sumie mówimy?

– To nieważne. Kilka lat temu pewni bardzo mądrzy ludzie wzięli pod lupę nasze wydatki na obronę i zrozumieli, że uzależniamy bezpieczeństwo państwa od kaprysów ludzi i politycznych mód. W jednym roku wołamy: „Zabić wszystkich terrorystów”, by w następnym pytać: „Dlaczego łamiemy swobody obywatelskie?”. Przeskakujemy od zimnej wojny do „dywidendy pokoju”. Przyjrzyj się, jak osłabiono CIA w latach pięćdziesiątych – zrobili to prezydenci zarówno z obozu republikanów, jak i demokratów. Potem przyszedł jedenasty września i nagle wszyscy wpadli we wściekłość: Gdzie była CIA? Jak to się mogło stać? No cóż, sami wypatroszyliście CIA i oto skutki.

– Więc...?

– Więc podjęto decyzję na bardzo wysokim szczeblu, żeby odkładać fundusze z tłustych lat na przetrwanie lat chudych.

– I przekazywać je Marshallowi Marcusowi, który miał je inwestować.

Schechter pokiwał głową.

– Kilkaset milionów tutaj, miliard albo dwa tam i wkrótce Marshall czterokrotnie powiększył nasze tajne fundusze.

– Genialne – powiedziałem. – A teraz wszystko zniknęło. To dopiero czarna dziura. Wygląda na to, że wcale nie poradziliście sobie lepiej od księgowych w Pentagonie.

– Racja. Jednak nikt nie spodziewał się, że Marshalla tak ostro wezmą na celownik.

– Zatem porywaczom Alexy wcale nie chodzi o pieniądze, prawda? „Merkury w stanie surowym”. Chodzi o archiwa inwestycji?

– Postawmy sprawę jasno. Oni chcą poznać nasze najściślej strzeżone tajemnice operacyjne. To bezpośredni atak na amerykańskie bezpieczeństwo narodowe. Szczerze mówiąc, nie zdziwiłbym się, gdyby maczali w tym palce ludzie Putina.

– Więc uważasz, że to Rosjanie?

– Jak najbardziej.

To by wyjaśniało, dlaczego porywacz był Rosjaninem. Tola wspomniał, że członków Sowy często wynajmują rosyjscy oligarchowie. Jednak teraz zacząłem się zastanawiać, czy za tym wszystkim nie stoi raczej rosyjski rząd.

– Masz dostęp do tajnych informacji, wyłączając te ściśle tajne?

– Posłuchaj, Pentagon już nie może bezpośrednio przekazywać pieniędzy firmom, które pracują dla nich pod przykrywką. Dobrze wiesz o przepisach utrudniających pranie brudnych pieniędzy. W zamyśle są wymierzone w terrorystów, ale dają zbyt wielu biurokratom w zbyt wielu krajach możliwość śledzenia przepływu funduszy. Prywatne finansowanie musi pochodzić z prywatnego sektora, w przeciwnym razie jakiś rewident w końcu odkryje prawdę.

– Rozumiem. Co to oznacza w praktyce?

– Jeżeli niewłaściwi ludzie zdobędą numery przelewów, będą mogli zidentyfikować spółki, które otrzymują od nas pieniądze, a następnie dojść do tego, co i gdzie dla nas robią. Przekazanie tych informacji to cios w nasze bezpieczeństwo narodowe. Nie mogę na to pozwolić. A gdyby Marshall myślał rozsądnie, przyznałby mi rację.

– Nie byłbym taki pewien.

– Uwierz mi, że nic nie ucieszyłoby mnie bardziej, niż gdybyś zdołał odnaleźć i uwolnić Alexę Marcus. Ale z tego, co wiem, teraz to praktycznie niemożliwe. Nie znamy nazwisk jej porywaczy. Nie mamy zielonego pojęcia, gdzie ją przetrzymują.

Nie wyprowadziłem go z błędu.

– Skończyliśmy?

– Jeszcze nie. Miałeś w rękach tajne akta, więc musisz obiecać, że nikomu o nich nie powiesz. Rozumiemy się?

– Naprawdę nie obchodzi mnie, co jest w waszych aktach. Interesuje mnie tylko odnalezienie córki Marshalla Marcusa. Owszem, rozumiemy się, dopóki nie będziecie mi wchodzić w drogę.

Znów poczułem pulsowanie w głowie i wstałem z krzesła. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę drzwi. Ochroniarze Schechtera próbowali zastawić mi wyjście, ale się między nimi przepchnąłem. Skrzywili się groźnie. Odpowiedziałem uśmiechem.

– Nick! – zawołał Schechter.

Zatrzymałem się.

– Tak?

– Wiem, że zrobisz to, co należy.

– Och, tego możesz być pewien.

Dochodziło wpół do jedenastej, gdy wróciłem do furgonetki pana Derderiana. Włączyłem swój BlackBerry, który zaczął ściągać e-maile i informować o nagranych wiadomościach na poczcie głosowej.

Jedną z dzwoniących osób był Mo Gandle, prywatny detektyw z New Jersey, który badał przeszłość Belindy Marcus.

Wysłuchałem jego wiadomości z oszołomieniem. Praca dziewczyny na telefon była zdecydowanie najmniej ciekawą częścią historii Belindy.

Już miałem do niego oddzwonić, gdy zauważyłem, że cztery połączenia wykonano z Moskwy. Zerknąłem na zegarek. W Moskwie było dwadzieścia po szóstej rano. Zdecydowanie za wcześnie na telefon. Toła na pewno spał.

Tak więc zadzwoniłem i go obudziłem.

– Zostawiłem ci kilka wiadomości – powiedział.

– Przez pewien czas miałem wyłączony telefon – wyjaśniłem. – Masz dla mnie jakieś nazwiska?

– Tak, Nicholasie, mam. Wolałem nie zostawiać tych informacji na poczcie głosowej.

– Zatrzymam się i znajdę coś do pisania.

– Z pewnością zdołasz zapamiętać jedno nazwisko.

– Mów – poprosiłem.

Wtedy mi powiedział.

...

Było za późno, żeby złapać samolot z Bostonu na nowojorskie lotnisko LaGuardia.

Jednak zawsze znajdzie się jakiś sposób. Mój stary przyjaciel pilotował samoloty towarowe dla FedExu. Stacjonował w Memphis, ale znalazł dla mnie miejsce w samolocie, który o jedenastej leciał z Bostonu do Nowego Jorku. Niecałą godzinę później wszedłem do „klubu rozrywki dla dorosłych” zwanego Gentry przy Zachodniej Czterdziestej Piątej na Manhattanie.

Kiedyś takie miejsca nazywano klubami ze striptizem. Albo rewią cycuszków. W wysmakowanych kręgach używano określenia „klub dla panów”, dopóki ono również nie stało się politycznie niepoprawne.

Pewnie właściciele nie chcieli obrazić feministek.

W wyłożonym lustrami holu stali nieodzowni ochroniarze z New Jersey w czarnych blezerach mających za krótkie rękawy oraz czarnych koszulach w białe prążki. Wykładzina podłogowa miała jaskrawoczerwony kolor. Balustrady i poręcze tak bardzo lśniły, że nawet nie próbowały udawać mosiądzu. Rozbrzmiewała głośna kiepska muzyka. Wokół stały czerwone winylowe fotele o łagodnych kształtach oraz czerwone winylowe ławy i boksy, z których połowa świeciła pustkami. Pozostałe zajmowali goście rozmaitych konferencji, dyrektorzy średniego szczebla podejmujący swoich klientów, uczestnicy wieczorów kawalerskich z Connecticut i japońscy biznesmeni bawiący się na koszt firmy. Światła reflektorów punktowych krążyły po sali, stroboskopy wirowały na suficie, a wszędzie były lustra.

Dziewczyny – przepraszam, „tancerki” – były ładne, biuściaste i spryskane samoopalaczem. Większość została chirurgicznie udoskonalona. Kiedy tańczyły, nic nie falowało. W lokalu było wystarczająco dużo silikonu, żeby położyć fugi we wszystkich hotelowych łazienkach na Manhattanie. Tancerki miały na sobie stringi i podwiązki, skąpe czarne biustonosze i buty na tak wysokich obcasach, że dziwiłem się, jak udaje im się utrzymać równowagę i nie runąć na twarz.

Na głównej scenie, która miała kształt płytkiego półksiężyca otoczonego mosiężną balustradą, w jaskrawych światłach reflektorów punktowych stał zażenowany przyszczaty młodzieniec, a wokół niego wiła się uwodzicielsko czarnoskóra dziewczyna, której akrobatycznych ruchów nie próbowałaby powtórzyć nawet wytrawny jogin.

Wzdłuż schodów wisiały zdjęcia różnych części kobiecego ciała, tworzące „artystyczny” kolaż. Znalazłem „Salę dla VIP-ów”, kierując się czerwonym neonem nad drzwiami. Znajdowała się na górze, tuż za strefą dla palaczy i rzędem prywatnych „pokoi”, oddzielonych czerwonymi aksamitnymi zasłonami. Szczodrze obdarzona kobieta z ozdobnymi nalepkami na sutkach otworzyła mi drzwi.

Tutaj rozbrzmiewała bardziej tradycyjna muzyka. Justin Timberlake zapowiadał, że kogoś rozpali, a po chwili Katy Perry wyznała, że pocałowała dziewczynę i jej się to podobało. Na ścianach wisiały białe zasłony podświetlone od dołu fioletowymi reflektorami punktowymi. Zgromadzili się tu nieco bardziej wyszukani klienci, usadowieni na zakrzywionych jasnobrązowych zamuszowych ławach skierowanych w stronę sceny. Skąpo odziane kobiety krążyły jak roboty z tacami pełnymi drinków. Jakaś piękność o brazylijskim wyglądem wiła się na kolanach korpulentnego biznesmena z Bliskiego Wschodu.

Facet, którego szukałem, siedział na ławie w obstawie dwóch krzepkich ochroniarzy. Obaj mieli na sobie tanie czarne skórzane kurtki i byli wielcy jak futboliści. Jeden miał

krótko ostrzyżone włosy, a drugi czarną grzywkę w stylu Juliusza Cezara. Z kilometra było widać, że to Rosjanie.

Młodzieniec był wysoki i chudy, miał ziemistą cerę i rzadką bródkę. Był ubrany w fircykowaną czarną aksamitną marynarkę o wąskich wzorzystych klapach, która wyglądałaby kiczowato, nawet gdyby włożył ją Liberace. Pod spodem miał czarną koszulę z malutkim kołnierzykiem oraz cienki czarny krawat. Pił coś brązowego ze szklanki, a towarzyszyło mu pięciu albo sześciu równie niechlujnych rówieśników, którzy ostro popijali, gapili się na tancerki, za głośno się śmiali i ogólnie zachowywali się nieznośnie.

Arkady Nawrozow wyglądał na czternaście lat, chociaż miał prawie dwadzieścia. Nawet gdyby ktoś nie wiedział, że jego ojciec, Roman Nawrozow, jest nieprzyzwoicie bogaty, mógłby się tego domyślić, patrząc na wyniosłe zachowanie chłopaka.

Mówiono, że majątek Romana Nawrozowa opiewa na ponad dwadzieścia pięć miliardów dolarów. Roman wyjechał z Rosji, gdzie zgromadził swoją fortunę jako jeden z nowo upieczonych oligarchów pod rządami Borysa Jelcyna, przejmując kontrolę nad państwowymi spółkami z branży paliwowej i gazowej, a następnie je prywatyzując. Kiedy władzę przejął Władimir Putin, wsadził Nawrozowa do więzienia pod zarzutem korupcji.

Roman odsiedział pięć lat w niesławnym więzieniu w Kopiejsku.

Z pewnością zawarł jakiś układ z Putinem, ponieważ został dyskretnie zwolniony z więzienia i uciekł z kraju, zachowując większość fortuny. Miał domy w Moskwie, Londynie, Nowym Jorku, Paryżu, Monako, na Saint-Barthélemy... Zapewne sam już stracił rachubę. Był właścicielem klubu piłkarskiego w zachodnim Londynie. Jego jacht, największy i najdroższy na świecie, zazwyczaj cumował na Riwierze Francuskiej. Był wyposażony w rakietowy system obronny francuskiej produkcji.

Wszystko dlatego, że Roman Nawrozow żył w ciągłym strachu. Przetrwiał dwie próby zamachu, o których poinformowano opinię publiczną, oraz zapewne niezliczoną liczbę kolejnych, dzięki osobistej armii złożonej z około pięćdziesięciu ochroniarzy. Popełnił błąd, wypowiadając się krytycznie na temat rządu, któremu to się nie spodobało.

Jego jedyny syn Arkady w zeszłym roku został wyrzucony ze Szwajcarii za zgwałcenie szesnastoletniej łotewskiej pokojówki w pałacu Beau-Rivage w Lozannie. Ojciec wyłożył pokaźną sumę, żeby uratować go przed oskarżeniem.

Roman obawiał się, że ktoś porwie jego syna, dlatego pilnował, żeby Arkady nigdy nie wychodził bez własnych ochroniarzy.

Jednak Arkady był nowoczesnym chłopakiem i korzystał z Facebooka oraz innego serwisu społecznościowego zwanego Foursome, na którym przez cały dzień można informować znajomych o swoim miejscu pobytu.

Wcześniej tego dnia umieścił wpis:

Arkady N. w Nowym Jorku:

napiśa@Gentry: Wieczorem baluję w sali VIP!

Po przybyciu na miejsce dodał:

Arkady N.@Gentry

w. 45th St.

Wkrótce potem ja również pojawiłem się w klubie Gentry, tylko nie zamierzałem balować ani nigdzie o tym pisać.

Nie lubię, kiedy ludzie się mnie spodziewają. To psuje niespodziankę.

...

Mój stolik znajdował się po przeciwnej stronie pomieszczenia, ale w zasięgu wzroku. Zerknąłem na zegarek.

Dokładnie o czasie najładniejsza kobieta w sali zbliżyła się do Arkadego. Ochroniarze poprawili się na ławie, ale nie uznali Cristal za śmiertelne zagrożenie. Dziewczyna szepnęła coś młodzieńcowi do ucha, po czym usadowiła mu się na kolanach. Jedną dłonią pogłaskała go po kroczu.

Znajomi Arkadego zachichotali. Chłopak wstał zawstydzony i podążył za Cristal do jednej z prywatnych stref ukrytych za fioletowo podświetlonymi zasłonami.

Ochroniarze pośpieszyli za nim, ale odpędził ich machnięciem ręki.

Tak jak się spodziewałem.

Zanim wrócili na ławę, odszedłem od stolika.

...

Odgrodzona strefa prywatnych występów, dokąd Cristal zaprowadziła chłopaka, wyglądała jak fałszywy wiktoriański buduar w burdelu w Nevadzie: ściany pokryte czerwonym aksamitem, powycierany czerwony dywan, duże czerwone aksamitne łoża ze złotymi frędzlami. Do tego przygaszone światła.

Zza czerwonych zasłon zobaczyłem, jak oboje wchodzą.

– ...rozgościć się, kiedy pójde po szampana, w porządku? Lubisz Dom Pérignon?

Posadziła go na łóżku, wsadziła mu język do ucha i szepnęła:

– Wrócę za chwilę.

– Hej, dokąd idziesz, do cholery? – spytał chłopak. Mówił z bezbarwnym, nadmiernie zamerykanizowanym rosyjskim akcentem.

– Kochanie, kiedy wrócę, stracisz dla mnie głowę – odrzekła, wsuwając się za zasłony. Wręczyłem jej plik banknotów, drugą połowę tego, co jej obiecałem.

Arkady uśmiechnął się z zadowoleniem, przeciągnął jak kot i zawołał w ślad za dziewczyną:

– Obiecujesz?

Nie zauważył, że zbliżyłem się do łóżka z drugiej strony. Skoczyłem szybko jak kobra, zasłoniłem mu usta dłonią i przystawiłem rewolwer do głowy. Odbezpieczyłem broń.

– Widziałeś kiedyś, jak człowiek traci głowę, Arkady? – wyszeptałem. – Ja tak. Niezapomniany widok.

Roman Nawrozow był właścicielem apartamentu na ostatnim piętrze hotelu Mandarin Oriental, skąd roztaczał się jeden z najpiękniejszych widoków na miasto. Ostatnio spędzał dużo czasu w Nowym Jorku. Próbował kupić drużynę Mets, której właściciela pogrążyła afera Bernarda Madoffa.

Czuł się bezpiecznie w hotelu Mandarin, przynajmniej tak twierdził Tola, mój przyjaciel z KGB. Dysponował licznymi zabezpieczeniami oraz kilkoma wyjściami. Czujni pracownicy hotelu stanowili jego pierwszą linię obrony.

W holu spotkał się ze mną szczupły, elegancki, mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna o srebrzystych włosach. Miał na sobie drogi granatowy garnitur w prążki z idealnie złożoną złotą poszetką.

Przedstawił się jako Eugene, bez nazwiska, „współpracownik” pana Nawrozowa.

Przypominał mi angielskiego lokaja. Choć było po północy, a on wiedział, że właśnie porwałem syna jego szefa, traktował mnie grzecznie. Rozumiał, że przyszedłem w interesach.

Poprowadził mnie w stronę osobistej windy Nawrozowa.

– Obawiam się, że zaszła drobna zmiana planów – stwierdziłem.

Obrócił się, unosząc brwi.

– Nie spotkamy się w jego apartamencie. Zarezerwowałem pokój kilka pięter niżej.

– Jestem pewien, że pan Nawrozow się nie zgodzi...

– Jeśli chce jeszcze kiedyś zobaczyć syna, być może wykaże się elastycznością – odparłem. – Ale oczywiście to jego decyzja.

Piętnaście minut później pięciu mężczyzn wysiadło z windy na trzydziestym ósmym piętrze.

Roman Nawrozow i jego niewielka armia ochroniarzy poruszali się z wojskową precyzją: jeden z przodu, jeden z tyłu i dwaj po bokach. Najwyraźniej byli to ochroniarze większego kalibru niż kretyni, którzy towarzyszyli jego synowi. Mieli na sobie drogie garnitury i zakrzywione słuchawki na modłę agentów Secret Service. Wszyscy byli uzbrojeni i zapewne nosili kamizelki kuloodporne. Bacznie obserwowali otoczenie, gdy prowadzili swojego szefa korytarzem.

Roman Nawrozow był krępyim mężczyzną i mimo niezbyt dużego wzrostu sprawiał władcze wrażenie. Mógłby być watykańskim kardynałem, który wychodzi na balkon Bazyliki Świętego Piotra, żeby ogłosić: *Habemus papam*. Miał jastrzębie brwi i nienaturalnie czarną obwódkę z włosów wokół potężnej łysiny. Trochę mi przypominał aktora, który grał Herkulesa Poirot w brytyjskim serialu telewizyjnym.

Mocno zaciskał wąskie usta z pogardliwą królewską manierą. Miał na sobie czarny blezer i wykrochmaloną białą koszulę z wypuszczoną jedną połą, jakby przed chwilą pośpiesznie się ubrał i był rozdrażniony, że musi przemykać hotelowymi korytarzami w środku nocy.

Kiedy znajdowali się w połowie długości korytarza, ochroniarz idący na przedzie wykonał szybki gest dłonią, a Nawrozow się zatrzymał, otoczony resztą swojej świty. Tymczasem pierwszy z jego ludzi podszedł do drzwi z wyciągniętą bronią.

Od razu dostrzegł, że drzwi są uchylone, oparte na zatrzasku zamka.

Ponownie machnął dłonią, a wtedy dołączył do niego drugi ochroniarz, który szybko zajął miejsce po drugiej stronie wejścia. Pierwszy z mężczyzn otworzył drzwi kopniakiem i ochroniarze wpadli do środka, wzajemnie się osłaniając.

Może spodziewali się pułapki. Ale skoro patrzyłem na nich przez wizjer w drzwiach pokoju po drugiej stronie korytarza, to nikogo nie zastali.

Wybrałem numer na swoim telefonie.

– Zajmuję pozycję numer jeden – oznajmiłem.

– Zrozumiano – odpowiedział głos w słuchawce.

Głos należał do członka mojego oddziału sił specjalnych, niejakiego Darryla Amosa. Kiedy leciałem do Nowego Jorku, Darryl przyjechał do miasta samochodem z Fort Dix w New Jersey, gdzie zajmował się szkoleniem konwojentów. Wynajął pokój w hotelu Conroy, straszliwej dziurze przy Zachodniej Czterdziestej Trzeciej. Na internetowych stronach turystycznych określa się go jako najbrudniejszy hotel w mieście. Niedawno jedna z pokojówek odkryła pod łóżkiem zwłoki zawinięte w prześcieradło. Prześcieradła ponownie użyto, choć przedtem oddano je do pralni.

Następnie Darryl zaczekał na mnie i Arkadego w uliczce za klubem ze striptizem.

Teraz niańczył syna Romana Nawrozowa w hotelu Conroy. Byłem pewien, że potomek oligarchy nigdy się nie zetknął z takim miejscem.

Widząc, że ludzie Nawrozowa po prostu wykonują swoją pracę – upewniają się, że ich szef nie wpadnie w pułapkę, ale sami nie próbują żadnych sztuczek – otworzyłem drzwi i przeszedłem na drugą stronę korytarza.

Minutę później stałem przy oknie metr od człowieka, który zaplanował porwanie Alexy Marcus.

Byliśmy sami w pokoju. On siedział na krześle we władczej pozie ze skrzyżowanymi nogami.

– Jest pan bardzo ufny – stwierdził.

– Dlatego, że nie mam broni?

Obaj nie mieliśmy. On rzadko nosił broń, a ja oddałem swój pistolet. Ochroniarze stali na korytarzu za drzwiami, które za obustronną zgodą pozostały otwarte, gotowi wpaść do środka, gdyby ich szef chociaż zakaszłał.

– Twierdzi pan, że ma mojego syna – rzekł Nawrozow, nawet na mnie nie patrząc. – Może tak jest, może nie. Tak czy inaczej, teraz to my mamy pana. – Wzruszył ramionami. Był bardzo konkretny i swobodny. – Dysponujemy wystarczającą przewagą. – Uśmiechnął się szeroko. – Więc najwyraźniej nie rozegrał pan tego najlepiej.

– Widzi pan tamten budynek? – spytałem.

Po drugiej stronie ulicy wznosił się gmach hotelu Trump International, który przypominał potężny lśniący czarny monolit.

– Dobry hotel – odrzekł Nawrozow. – Chciałem zainwestować w projekt SoHo pana Trumpa, ale rząd mi nie pozwolił.

– Widzi pan tamte pokoje?

Wskazałem rząd ciemnych okien. To były biura, a nie pokoje hotelowe, ale on zapewne tego nie wiedział.

Uniosłem rękę, jakbym chciał pomachać, a wtedy jedno z okien w długim ciemnym rzędzie się rozświetliło.

– Cześć – powiedziałem. – Tutaj jesteśmy.

Ponownie uniosłem rękę i światło w oknie zgasło.

– Mój przyjaciel w tamtym budynku to światowej klasy snajper.

Nawrozow przesunął się w bok, w swoim mniemaniu usuwając się z linii ognia.

– Kolega z wojska?

– Tak się składa, że nie. Pochodzi z Nowej Fundlandii. Wiedział pan, że najlepsi strzelcy wyborowi na świecie to Kanadyjczycy?

– Możliwe, ale z tej odległości...

– Mój kanadyjski przyjaciel oddał najdłuższy potwierdzony śmiertelny strzał w historii. Trafił talibskiego bojownika w Afganistanie z odległości dwóch i pół kilometra. Myśli pan, że od Trump Tower dzieli nas choćby kilometr?

Nawrozow uśmiechnął się niepewnie.

– Raczej około stu dwudziestu metrów. Równie dobrze mógłby pan mieć tarczę wymalowaną na czole. Dla mojego kanadyjskiego przyjaciela stanowi pan tak łatwy cel, że strzał nawet nie sprawi mu przyjemności.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Używa amerykańskiego karabinu snajperskiego Tac-50 wyprodukowanego w Phoenix i pocisków kalibru 50 wyprodukowanych w Nebrasce. To szybszy pocisk od standardowych, o wyjątkowo aerodynamicznym czubku i płaskiej trajektorii lotu.

– Do czego pan zmierza? – burknął.

– Jeśli tylko któryś z pańskich ludzi do mnie podejdzie, mój przyjaciel zastrzeli pana bez chwili wahania. Czy pan wie, że ten pokój łączy się z dwoma sąsiednimi? No właśnie. Drzwi między nimi są otwarte. Kierownictwo hotelu poszło na rękę grupie starych kumpli z college’u, którzy przyjechali do miasta na szkolny zjazd.

Nawrozow wpatrywał się we mnie spod przymkniętych powiek.

– Czy więc jestem ufny? – dodałem. – Nie wydaje mi się.

Ku mojemu zaskoczeniu Nawrozow się roześmiał.

– Dobra robota, panie Heller.

– Dziękuję.

– Czytał pan kiedyś O. Henry’ego?

– Dawno temu.

– Był bardzo popularny w Związku Radzieckim, kiedy byłem dzieckiem. Najbardziej lubiłem jego opowiadanie *Okup Czerwonego Wodza*.

– Myślałem, że będziemy rozmawiać o pańskim synu.

– Właśnie to robimy. W tym opowiadaniu syn bogatego człowieka zostaje porwany dla okupu. Jednak chłopak okazuje się tak nieznośny, że porywacze zaczynają obniżać żądaną kwotę, aż w końcu ojciec proponuje, że ich od niego uwolni, jeśli mu zapłacą.

– Może chciałby pan sam powiedzieć synowi, że nie dba pan o jego los. – Włączyłem laptopa stojącego na biurku i wcisnąłem kilka klawiszy, otwierając okno czatu.

– Oto Czerwony Wódz – powiedziałem.

Na ekranie pojawił się Arkady Nawrozow. Siedział na tle brudnej ściany, miał potargane włosy i usta zaklejone kawałkiem szerokiej taśmy.

Już nie miał na sobie swojej czarnej aksamitnej marynarki.

Darryl ubrał go w kaftan bezpieczeństwa pożyczony ze szpitala w Fort Dix. Bawełniany kaftan, używany do unieruchamiania brutalnych więźniów podczas transportu, miał kolor złamanej bieli i długie rękawy, które krzyżowało się z przodu, a następnie spinało kłamrą na plecach.

Taki strój nie był konieczny – Darryl zapewne mógłby przytwierdzić chłopaka taśmą do krzesła – ale bardzo skuteczny. A co ważniejsze, wywarł odpowiedni efekt na Romanie Nawrozowie. W dawnych złych czasach krępowano tak politycznych dysydentów w sowieckich „więziennych szpitalach psychiatrycznych”.

Wiedziałem, że ten widok poruszy nawet kamienne serce Nawrozowa.

Arkady się kulił. Obok niego widać było narożnik łóżka nakrytego kapą w ohydny odcieniu pomarańcza.

Po chwili w kadrze pojawiła się lufa pistoletu z długim tłumikiem i dotknęła głowy chłopaka, który zaczął rozpaczliwie wodzić wkoło oczami. Chciał coś krzyknąć, ale spod taśmy wydobył się tylko wysoki, stłumiony pisk.

Jego ojciec zerknął na ekran, po czym odwrócił wzrok, jakby ktoś uciążliwy próbował mu pokazać mało śmieszny filmik na YouTube.

Westchnął.

– Czego pan chce? – spytał.

– To proste – odrzekłem. – Chcę, żeby natychmiast uwolniono Alexę Marcus.

Nawrozow kilka razy spokojnie odetchnął. Jego oczy spoważniały.

Kilka minut wcześniej patrzył na mnie niemal z podziwem. Teraz uznawał mnie za zagrożenie. Widziałem, jak budzi się w nim instynkt drapieżcy. Nieruchomo wbijał we mnie wzrok jak wilk obserwujący zdobycz.

– Czy powinienem znać to nazwisko?

Westchnąłem z rozczarowaniem.

– Żaden z nas nie ma czasu na gierki.

Uśmiechnął się ponuro, na chwilę pokazując długie ostre zęby.

– Gdzie ona jest? – spytałem. – Chcę poznać dokładne współrzędne.

– Kiedy płacę komuś za wykonanie zadania, nie patrzę mu na ręce.

– Jakoś w to wątpię. Założę się, że taki człowiek jak pan na pewno wie, gdzie ona jest i co się z nią dzieje.

– Nie wiedzą, kim jestem, a ja nie wiem, kim oni są. Tak jest znacznie bezpieczniej.

– Więc jak się porozumiewacie?

– Przez pośrednika.

– Ale ma pan ogólne pojęcie, gdzie oni się znajdują.

Wzruszenie ramionami.

– Chyba w New Hampshire. Tyle wiem.

– A gdzie przebywa pośrednik? Tylko niech mi pan nie mówi, że tego też pan nie wie.

– W Maine.

– Jak się pan z nim kontaktuje?

W odpowiedzi wyjął komórkę, pomachał nią, a następnie ponownie schował do kieszeni.

– Niech pan teraz do niego zadzwoni i powie, że operacja dobiegła końca.

Jego nozdrza się rozszerzyły, a usta mocniej zacisnęły. Widziałem, że nie lubi, gdy ktoś się tak do niego odzywa. Nie przywykł do takiego traktowania.

– Już za późno – powiedział.

– Niech pan każe swoim ludziom zamknąć drzwi. Proszę powiedzieć, że potrzebuje pan prywatności.

Zamrugął, ale się nie poruszył.

– Natychmiast – rzuciłem.

Może dostrzegł coś w moich oczach. W każdym razie posłał mi surowe spojrzenie i wstał z krzesła. Podszedł do drzwi i odezwał się po rosyjsku, pośpiesznie i cicho. Następnie odblokował zamek, zamknął drzwi i wrócił na swoje krzesło.

– Proszę odwołać operację – poleciłem.

Uśmiechnął się.

– Marnuje pan mój czas.

Wcisnąłem kilka klawiszy na laptopie, a obraz na ekranie ożył. Kolejnym przyciskiem włączyłem wbudowany mikrofon.

– Zastrzel go – rozkazałem.

...

Nawrozow popatrzył na mnie i zamrugął. Lekko zmarszczona brew, niepewny uśmiech.

Nie wierzył mi.

Na ekranie laptopa coś się gwałtownie poruszyło. Ktoś się szamotał.

Kamera drgnęła, jakby ktoś potrącił laptopa po drugiej stronie. Teraz widać było tylko połowę ciała chłopaka, ramię i rękę w białym kaftanie bezpieczeństwa.

A także czarny walec tłumika przykręconego do lufy czterdziestkipiątki marki Heckler & Koch należącej do Darryla.

Nawrozow torpedował mnie wzrokiem.

– Chyba pan nie sądzi, że uwierzę...

Daryl mocniej zacisnął dłoń na pistolecie i wsunął palec wskazujący pod osłonę spustu.

Nawrozow szerzej otworzył oczy, z uwagą obserwując obraz na ekranie.

Darryl pociągnął za spust.

Rozległo się głośne pyknięcie pistoletu z tłumikiem. Zobaczyliśmy słaby błysk, gdy broń odskoczyła do tyłu.

Z ust Nawrozowa wydobył się dziwny, zduszony okrzyk.

Taśma klejąca stłumiła wrzask jego syna. Prawa ręka chłopaka podskoczyła i w jej górnej części pojawił się otwór, z którego krew trysnęła na białe płótno.

Arkady zaczął wyginać zranioną rękę i kołysać się na krześle. Nie było wątpliwości, że bardzo cierpi. Przerwałem transmisję.

– *Swołocz!* – zagrzemiał Nawrozow, uderzając pięścią w biurko. – *Proklatyj sukinsyn!*

Rozległo się dudnienie do drzwi. Ochroniarze.

– Niech pan ich uspokoi, jeśli mamy porozmawiać o warunkach uwolnienia pańskiego syna.

Wściekły Nawrozow, którego twarz poczerwieniała, wstał z krzesła i podszedł do drzwi.

– *Wsie w poriadkie* – sapnął.

Wrócił i popatrzył na mnie z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– No dobrze – powiedziałem. – Niech pan zadzwoni do pośrednika i powie mu, że operacja została zakończona.

Spoglądał na mnie przez kilka sekund. Potem wyjął komórkę, nacisnął jeden przycisk i przyłożył telefon do ucha.

Po kilku sekundach odezwał się po rosyjsku, pośpiesznie i cicho.

– *Izmienienija w planach.* – Przez chwilę milczał. – *Niet, ja oczen' ser'jozny. Siejczas. Oswobodit' dziewczuszku. Da, kanieszna, swiazat' wsie konce.*

Wcisnął kolejny przycisk, żeby zakończyć rozmowę.

Opuścił telefon i opadł na krzesło. Wyglądał, jakby wyparowała z niego cała siła i zmienił się w figurę woskową niegdyś groźnej osoby.

– Gotowe – oznajmił beznamiętnie.

– Ile minie czasu, zanim Alexa odzyska wolność?

– Pośrednik musi osobiście przekazać wiadomość.

– Nie słyszeliście o telefonach z koderami?

– Trzeba zatrzeć wszystkie ślady. Można to zrobić tylko osobiście.

– Musi usunąć wykonawcę?

– Tego wymagają środki bezpieczeństwa.

– Czyli przyjedzie aż z Maine?

Nawrozow posłał mi nieprzychylnie spojrzenie.

– Zajmie mu to najwyżej pół godziny. Wszystko załatwione.

– Nie, dopóki nie porozmawiam z Alexą.

– To zajmie trochę czasu.

– Z pewnością.

– Mój syn wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej.

– Im szybciej dziewczyna odzyska wolność, tym szybciej zajmie się nim lekarz.

Nawrozow wypuścił powietrze, a jego nozdrza rozdęły się jak u byka.

– Dobrze. Zatem zakończyliśmy negocjacje. Marcus odzyska córkę, a ja syna.

– Niezupełnie.

– Słucham...?

- Jeszcze nie skończyliśmy.
- Czyżby?
- Musimy jeszcze o czymś porozmawiać.

Skrzywił się.

- Mam kilka pytań dotyczących Anji Afanasjewej.

Wstrzymał oddech. Wiedziałem, że go mam.

- Gdzie nauczyła się tak kiepsko naśladować akcent z Georgii?

Roman Nawrozow sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął smukłe czarne pudełko z wizerunkiem złotego orła. Sobranie Black Russian. Ostrożnie wyjął czarnego papierosa ze złotym filtrem i włożył go do ust.

– To pokój dla niepalących, tak?

Pokiwałem głową.

Wyjął pudełko zapalek z przedniej kieszeni marynarki. Potarł główkę zapalniczki paznokciem kciuka, przysunął płomień do końcówki papierosa i się zaciągnął. Następnie wypuścił długą, okazałą smugę dymu spomiędzy zaokrąglonych ust.

Nawrozow nie tylko palił rosyjskie papierosy, ale robił to jak Rosjanin. Rosjanie, zwłaszcza starsi, trzymają papierosy tak samo jak na Zachodzie trzyma się skręta z marihuaną: między kciukiem a palcem wskazującym. Takich zwyczajów nie da się wykorzenić.

– Anja Iwanowna wcale nie była złą aktorką – stwierdził. – Ale nie tej klasy co, dajmy na to, Meryl Streep. Najwyraźniej powinna była dowiedzieć się więcej o stanie Georgia.

Nie miałem powodu uważać, że Marshall Marcus kłamał odnośnie okoliczności poznania kobiety, która przedstawiła mu się jako Belinda Jackson. W końcu był ofiarą. Kiedy spotkał ją w barze hotelu Ritz-Carlton w Atlancie, z pewnością wiedział, że ma do czynienia z dziewczyną do towarzystwa. Napalony stary kozioł Marshall Marcus potrafił to rozpoznać, tak jak spaniel potrafi wywęszyć zdobycz podczas polowania.

Po prostu nie zdawał sobie sprawy, że już nie była zatrudniona w tej roli przez VIP Exxxecutive Service.

Była na usługach Romana Nawrozowa.

Mój człowiek sprawdził, kiedy pracowała w agencji towarzyskiej, i potwierdził moje przeczucia. Biorąc pod lupę jej historię, dokopał się znacznie głębiej niż Dorothy, gdyż mógł skorzystać z niedostępnych dla niej archiwów i rejestrów w New Jersey.

Kobieta, która zmieniła nazwisko na Belinda Jackson i została usunięta ze szkoły aktorskiej w Lincoln Park w New Jersey, rozpoczęła naukę pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Na jej akcie urodzenia widniało nazwisko Anja Iwanowna Afanasjewa. Była córką rosyjskich emigrantów i wychowała się w rosyjskiej enklawie w Woodbine

w New Jersey. Jej ojciec był inżynierem w Związku Radzieckim, ale tutaj udało mu się zdobyć tylko mało ważną pracę biurową w firmie ubezpieczeniowej.

To było wszystko, co wiedziałem na pewno. Resztę odgadłem. Pomyślałem, że Anja zaczęła szukać pracy jako dziewczyna do towarzystwa, kiedy nie udało jej się przebić w branży aktorskiej. A może chciała się w ten sposób zbuntować przeciwko swoim staroświeckim rodzicom.

– Podejrzewam, że dostarczyliście Anji pełne akta Marshalla Marcusa – odezwałem się. – Wiedzę o tym, co lubi i czego nie lubi, jaki ma gust filmowy i muzyczny. Może nawet listę seksualnych grzeszków.

Nawrozow wybuchnął śmiechem.

– Naprawdę pan myśli, że kobieta tak atrakcyjna i utalentowana w łóżku jak Anja potrzebuje dodatkowych informacji, żeby usidlić takiego starego głupca? To bardzo łatwe. Większość mężczyzn ma bardzo proste potrzeby, a Anja potrafi je zaspokoić z nawiązką.

– Pan również miał proste potrzeby – powiedziałem. – Wystarczyły panu jego numery kont i hasła, dane dotyczące struktury i słabych punktów jego funduszu.

Parsknął pogardliwie, co odebrałem jako zaprzeczenie.

– Znam pańską historię zawodową. Wiem, że potajemnie przejął pan kontrolę nad drugim co do wielkości bankiem w Rosji, a następnie za jego pomocą zawładnął przemysłem aluminiowym. Bardzo sprytnie.

Zamrugnął i pokiwał głową, nie chcąc mi pokazać, jak dużą przyjemność sprawił mu mój komplement. Jednak tacy ludzie są bardzo podatni na pochlebstwa. To ich największa słabość. Widziałem, że moja taktyka działa.

– Przejęcie Marcus Capital Management było doskonałym krokiem. Przejął pan kontrolę nad bankiem, który sprawował pieczę nad wszystkimi udziałami Marcusa. Kupił pan Banco Transnacional de Panamá. Ich maklera. To było... genialne.

Odczekałem kilka sekund.

Strategiczne oszustwo, w ramach działań wojennych albo szpiegowskich, to jedna z form psychologii stosowanej. Tajemnica polega na tym, żeby nie okłamywać celu, tylko skłonić go, aby sam się oszukiwał. Wzmocnić jego przekonania.

Roman Nawrozow żył w stanie paranoi i podejrzliwości, dlatego bez zastrzeżeń uwierzył, że umieściłem snajpera w pustym biurze po drugiej stronie ulicy, a nie tylko włączałem i wyłączałem światło za pomocą przycisku w swoim telefonie. George Devlin zaprojektował dla mnie taki system, a mój znajomy z Nowego Jorku go zamontował, gdyż znacznie wykraczało to poza moje umiejętności.

Nawrozow nie miał też powodu wątpić, że miałem swoich ludzi w sąsiednich pokojach. Dlaczego nie? On też by tak postąpił.

Tak samo z zainscenizowanym nagraniem, które Darryl wcześniej zarejestrował, angażując swojego kumpla, który zgodził się włożyć kaftan bezpieczeństwa z zamontowanymi petardą i prezerwatywą pełną krwi. Kumpla, który zaufał Darrylowi, że jego H&K jest naładowany ślepakami, a nie ostrą amunicją.

Roman Nawrozow uwierzył w tę całą maskaradę. W końcu robił znacznie gorsze rzeczy małżonkom i dzieciom swoich przeciwników; takie okrucieństwo stanowiło jego żywioł.

Jednak to, czego teraz próbowałem – wyciągnięcie z niego informacji poprzez przekonanie go, że wiem więcej niż w istocie – było znacznie bardziej ryzykowne. Ponieważ w każdej chwili mogłem się pomylić i powiedzieć coś, co zdradziłoby, że kłamię.

Obserwował mnie kilka sekund przez chmurę dymu papierosowego. Dostrzegłem delikatną zmianę w jego oczach, złagodnienie rysów, rozluźnienie mięśni twarzy.

– No cóż – rzekł, a na jego ustach pojawił się dumny uśmiech, który miałem nadzieję wywołać.

Prawdę mówiąc, na swój pokrętny sposób rzeczywiście postąpił genialnie.

Jeśli chcesz okraść jakiś fundusz hedgingowy, wystarczy kupić bank, który kontroluje jego portfel. Oczywiście to niemożliwe w przypadku większości normalnych funduszy korzystających z usług dużych banków inwestycyjnych w Stanach Zjednoczonych. Ale Marcus Capital nie był normalnym funduszem.

– Niech pan powie, dlaczego musiał pan porwać córkę Marshalla? – spytałem.

– To była akcja ratownicza. Desperackie działanie. Ponieważ pierwotny plan nie zadziałał.

– Jaki pierwotny plan...?

Głęboko zaciągnął się dymem i wolno go wypuścił. Potem zamilkł.

– Chciał pan zdobyć akta dotyczące Merkurego – dodałem.

– Oczywiście.

To miało sens. Roman Nawrozow był biznesmenem, a biznesmeni na najwyższych szczeblach handlują najcenniejszymi towarami. Czy istnieje bardziej ekskluzywny towar niż najgłębsze i najbrudniejsze sekrety wywiadowcze jedyne światowe supermocarstwa?

– Zamierzał pan sprzedać tajemnice czarnego budżetu rosyjskim władzom?

– Czarnego budżetu?

– Może nie zna pan tego określenia.

– Bez żartów proszę. Wiem, czym jest czarny budżet. Ale czy pan naprawdę uważa, że Merkury ma coś wspólnego z amerykańskim tajnym wojskowym budżetem? Jestem biznesmenem, a nie handlarzem informacjami.

– Akta zawierają szczegóły operacyjne naszych najbardziej tajnych działań wywiadowczych.

Popatrzył na mnie zaskoczony.

– Tak panu powiedziano? Za chwilę będzie mnie pan chciał przekonać, że wierzy w Świętego Mikołaja i dobrą wróżkę.

Nagle zadzwonił jego telefon. Rozległ się irytujący firmowy sygnał Nokii, który kiedyś było słychać wszędzie, zanim ludzie nauczyli się ustawiać inne dzwonki.

Nawrozow zerknął na ekran.

– To pośrednik.

Serce mocniej mi zabiło.

Kirył Aleksandrowicz Czuzoj jechał długą gruntową drogą i czuł w piersi ucisk wywołany zniecierpliwieniem.

Nie lubił mokrej roboty, ale czasami nie miał wyboru, a wtedy wykonywał ją skutecznie i bez wahania. Roman Nawrozow świetnie mu zapłacił i skoro poprosił o zatarcie śladów, Czuzoj zamierzał zrobić wszystko, co konieczne. Na litość boską, nawet pojechał do Bostonu, żeby usunąć mało znaczącego handlarza narkotykami przetrzymywanego w siedzibie FBI! Nadmiernie zwrócił na siebie uwagę i wkrótce będzie musiał opuścić kraj, ale przecież może pracować dla Nawrozowa w innym zakątku świata.

Nie, wcale nie lubił takiej roboty. Tymczasem wykonawca – *zek*, czyli więzień, z Kopiejska – podobno tak bardzo uwielbiał zabijać, że zawsze starał się przedłużyć ten proces.

W tej branży taki niepokojący sadyzm stanowił zaletę. Może nawet konieczność. Facet był zdolny do wszystkiego.

Czuzoj nie czuł się komfortowo z tą myślą.

Niewiele więcej wiedział o *zeku*, poza tym, że ma on wytatuowaną sowę, która szpeci tył jego głowy i kark. Czuzoj zdawał sobie sprawę, że Sowa werbuje najbrutalniejszych więźniów z Kopiejska.

Czuzoj, który szkolił się w dawnym KGB, a później wspinał się po śliskich szczeblach jego następczyni, czyli FSB, kilkakrotnie miał do czynienia z tym typem ludzi i wsadzał ich do więzienia. Takie cechy charakteryzowały najsukuteczniejszych seryjnych zabójców, których rzadko udawało się schwytać.

Wykonawca wiedział, że ludzie boją się jego ogolonej głowy, intensywnego spojrzenia, groteskowego tatuażu oraz zepsutych zębów, i sprawiało mu to przyjemność. Traktował ludzi z pogardą. Uważał siebie za wyżej wyewoluowaną jednostkę.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że wypalony *siłowik*, były agent KGB, nędzny małostkowy biurokrata, może spróbować czegoś takiego.

Element zaskoczenia stanowił jedyną przewagę Czuzoja w starciu z tym socjopatycznym potworem.

Jego oczom ukazał się zarośnięty trawnik: dziki, niemal jak dżungla. Na jego środku stał niewielki dom o oszalowanych ścianach. Czuzoj zaparkował swoje czarne audi na zwirowym podjeździe i podszedł do drzwi wejściowych. Zaczęło padać.

Miał na sobie ten sam garnitur, który nosił w Bostonie, uszyty na zamówienie i dopasowany do jego szerokich ramion. Poruszał się z wyuczoną władczością. Długie siwe włosy opadały mu na kołnierzyk koszuli.

Jego wierny makarow kalibru 380 tkwił w kaburze na plecach.

Pomalowane na zielono drzwi otworzyły się gwałtownie i z ciemności wyłoniła się twarz. Ogolona głowa, intensywne spojrzenie, pobrużdżone czoło: Czuzoj już zapomniał, jak strasznie wygląda ten człowiek.

Było coś niezwykłego w jego bursztynowych oczach. Oczach wilka, dzikich i bezlitosnych, ale zarazem lodowatych, opanowanych i czujnych. Przyglądał się policzkom Kiryła naznaczonym bliznami po trądziku.

– Zaczęło padać – rzekł Czuzoj. – Idzie paskudna burza.

Zek nie odpowiedział. Posłał swojemu gościowi nieprzychylne spojrzenie, po czym się odwrócił, a Czuzoj wszedł za nim do zacienionego wnętrza. W domu unosiła się zatechła woń typowa dla długo zamkniętych pomieszczeń.

Czy dziewczyna tutaj jest?

– Nie masz prądu? – spytał Czuzoj.

– Siadaj. – *Zek* wskazał fotel z wysokim oparciem. Jego obicie zdobił wzór w drobne kwiatki, jakby wybrała go starsza pani.

Oczywiście *zek* nie miał prawa tak się do niego odzywać, ale Czuzoj darował mu tę impertynencję.

– Dziewczyna jest tutaj? – zapytał, poprawiając się niespokojnie w fotelu. W pokoju było tak ciemno, że ledwie widział twarz socjopaty.

– Nie. – *Zek* nie siadał. – Po co to spotkanie?

Czuzoj postanowił przejść do rzeczy.

– Operacja została przerwana – wyjaśnił. – Dziewczyna ma zostać natychmiast uwolniona.

– Za późno – powiedział *zek*.

Czuzoj wyjął plik papierów z kieszeni na piersi.

– Dopilnuję, żebyś niezwłocznie otrzymał resztę honorarium. Wystarczy, że zgodnie z umową podpiszesz te formularze. Dodatkowo, w uznaniu dla twojej znakomitej służby, dostaniesz premię wysokości stu tysięcy dolarów w gotówce, gdy tylko dziewczyna zostanie przekazana w nasze ręce.

– „Przerwana” to nie to samo co „zakończona” – stwierdził *zek*. – Czy nie zapłacono okupu? A może zawarto inne porozumienie?

Czużoj wzruszył ramionami.

– Jestem tylko posłańcem. Przekazuję wiadomość od Klienta. Ale podejrzewam, że rzeczywiście zawarto inne porozumienie.

Mężczyzna wbił w niego wzrok, a Czużoj, który nie był delikatnym człowiekiem, poczuł nagły dreszcz.

– Potrzebujesz długopisu? – spytał.

Zek się zbliżył. Czużoj poczuł woń papierosów w jego oddechu.

Bandyta ohydnie się wykrzywił.

– Moglibyśmy sami zrobić interes na boku – stwierdził. – Ojciec dziewczyny jest miliarderem. Możemy zażądać okupu, który ustawi nas do końca życia.

– Jej ojciec już nie ma pieniędzy.

– Tacy ludzie nigdy nie zostają z niczym.

Nagły podmuch uderzył deszczem w niewielkie okno. W oddali rozległ się grzmot.

A niby dlaczego się nie zgodzić? To i tak bez znaczenia. Facet nie dostanie ani centa.

Zek po przyjacielsku otoczył Czużoja ramieniem.

– Moglibyśmy zostać współnikami. Tylko pomyśl, ile moglibyśmy razem zarobić.

Zręcznie zjechał dłonią po plecach Czużoja i lekko chwycił rękojęść pistoletu. Jakby doskonale wiedział, co i gdzie znajdzie.

– Ostatnio przyszedłeś bez broni.

– To dla mojego bezpieczeństwa.

– Wiesz, co to jest? – spytał *zek*.

Czużoj zauważył błysk stalowego ostrza i grubą czarną rękojęść.

Oczywiście, że wiedział.

– Zawsze jestem gotów porozmawiać o nowych biznesowych propozycjach – odrzekł najspokojniej, jak był w stanie.

Poczuł w boku ukłucie ostrza.

Zek przesunął lewą dłoń w górę jego kręgosłupa na lewe ramię i zacisnął długie palce na jego łopatce. Czużoj poczuł przeszywające ukłucie i stracił władzę w lewej ręce. Na szyi czuł gorący oddech.

– Wiem, że Klient wciąż nie otrzymał żądanego okupu – odezwał się *zek*. – Wiem także, że zawarł układ, żeby się mnie pozbyć.

Czużoj otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale wtedy ostrze na chwilę zagłębiło się nieco dalej w jego ciało. Ból był tak silny, że odebrał mu oddech.

– Jeżeli mamy razem robić interesy, musimy sobie ufać – rzekł bandyta.

– Oczywiście – szepnął Czuzój z zamkniętymi oczami.

– Musisz zasłużyć na moje zaufanie.

– Tak. Oczywiście. Błagam.

Łza spłynęła mu po policzku. Nie był pewien, czy spowodował to fizyczny ból wywołany przez ucisk dłoni *zeka*, czy zwykły strach.

– Chyba się domyślasz, gdzie znajduje się dziewczyna – powiedział *zek*.

Czuzój się zawahał, nie chcąc przyznać, że po ich ostatnim spotkaniu kazał śledzić wykonawcę. To by go tylko rozwścieczyło.

Kirył nakazał śledzącemu, żeby robił to dyskretnie. Prawdę mówiąc, agent trzymał się tak daleko, że zgubił cel.

Ale... czy to możliwe, że *zek* zauważył swojego prześladowcę?

Nawet jeśli tak, to Czuzój znał tylko przybliżone miejsce pochówku. Nie wiedział, w jakim miasteczku się znajdowało. Owszem, znał nazwę stanu, ale ten miał powierzchnię setek kilometrów kwadratowych, więc była to bezużyteczna wiedza.

Zanim zdążył wymyślić jakąś odpowiedź, odezwał się *zek*.

– Człowiek z twoim doświadczeniem powinien zatrudniać lepszych agentów.

Czuzój ponownie poczuł rozpalone do białości ostrze, lecz tym razem bandyta się nie powstrzymał i ból przeszył ofiarę od czubka głowy aż po stopy. Gorąco rozeszło się po całym ciele Czuzoja, a przynajmniej miał takie wrażenie, dopóki nie zrozumiał, że po prostu opróżnił pęcherz.

– Pomyśl o pieniądzach...! – wykrzyknął rozpaczliwie.

Jednak nóż wniknął głęboko w jego brzuch. Czuzój walczył z żelaznym uściskiem *zeka*, krztusząc się czymś gorącym, co paliło mu przełyk.

Na zewnątrz gwizdał wiatr. Deszcz bił w oszalowane ściany. Rozpętała się ulewa.

– Myślę – powiedział *zek*.

– Czego chcesz?! – wrzasnął Czuzój. – Mój Boże, czego ode mnie chcesz?

– Mogę pożyczyć twoją komórkę? Chciałbym do kogoś zadzwonić.

– Niech pan włączy głośnik – poleciłem Nawrozowowi.

To było to. Telefon, który miał nas poinformować, że porwanie zostało odwołane albo...

– *Da?* – gwałtownie odezwał się Nawrozow.

– Głośnik – przypomniałem.

– Nie wiem jak – odrzekł.

Wziąłem od niego telefon i wcisnąłem guzik głośnika, a wtedy usłyszałem coś dziwnego i nieoczekiwanego.

Krzyk.

...

Następnie jakiś mężczyzna odezwał się po rosyjsku.

Oczywiście mogłem się kierować tylko intonacją i brzmieniem głosu, ale odniosłem wrażenie, że mamy do czynienia z opanowanym zawodowcem.

W tle nieprzerwanie rozlegało się kwilenie, pośpiesznie wypowiedane słowa, które brzmiały jak błaganie. Położyłem telefon na biurku i popatrzyłem na wyraźnie zaskoczonego Nawrozowa.

Pochylił się nad telefonem, nie do końca rozumiejąc ideę urządzenia głośnomówiącego.

– *Kto eto?* – spytał.

– *Wy mienia nie znajecie* – rozległ się spokojny głos.

– *Szto słucziłos'?* – rzekł Nawrozow.

– Kto to jest? – spytałem.

– Twierdzi, że wykonawca jest niedostępny, ale może mu przekazać wiadomość...

Jęki w tle nagle przybrały na sile, zmieniając się w wysoki, niemal kobiecy pisk, od którego stanęły mi włoski na karku. Potem rozległ się osobliwy gulgot, a następnie pośpiesznie wypluwane słowa:

– *Ostanow'tie...! Ja proszu... pożałujsta prekrasno! Szto ty chcesz'...? Boże moj!*

Nawrozow wyglądał na zaszokowanego. Jego twarz poczerwieniała i obwisła.

– *Nie mogu... nie... mogu...*

Błagalny głos w tle osłabł.

– Kto mówi? – spytałem ostro.

W głośniku ponownie odezwał się spokojny głos.

– Ktoś tam jest z tobą? – rzekł mężczyzna, tym razem po angielsku. – Powiesz panu Nawrozowowi, że jego pracownik już się do niego nie zgłosi. Do widzenia.

Dopiero po kilku sekundach ciszy zrozumiałem, że połączenie zostało przerwane.

Ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie. Wiedziałem, że stało się najgorsze. Podobnie jak Nawrozow. Rzucił telefonem przez pokój, trafiając w lampkę obok łóżka i strącając ją na wykładzinę. Jego twarz pociemniała i pokryła się plamami. Wyrzucił z siebie strumień rosyjskich wulgaryzmów.

– Drań myśli, że może mi się sprzeciwić! – wykrzyknął, bryzgając śliną.

Drzwi pokoju otworzyły się i do środka wpadli ochroniarze. Pierwszy z nich w prawej dłoni trzymał broń, a w lewej kartę magnetyczną do drzwi. Udało im się ją zdobyć w recepcji.

– Ten drań morduje mojego pracownika!

Ochroniarze pośpiesznie ocenili sytuację i upewnili się, że nie zamierzam skrzywdzić ich szefa. Wymruczeli coś, co brzmiało jak przeprosiny, po czym wycofali się z pokoju.

– Kto to był? – spytałem.

– Na tym polega korzystanie z pośredników! – wykrzyknął Nawrozow. – Nie wiem, kim on jest.

– A gdzie jest?

– Mówiłem panu, gdzieś w New Hampshire!

– W odległości pół godziny jazdy od granicy Maine – rzekłem. – Prawda? Tyle wiemy. Ale czy on przebywał w północnej, czy może południowej części stanu? Nie ma pan pojęcia?

Nie odpowiedział, a ja zrozumiałem, że nie wie i doświadcza czegoś, z czym jak dotąd rzadko musiał się mierzyć: uczucia porażki.

– Niech pan zaczeka – wychrypiał. – Coś mam. Zdjęcie.

Popatrzyłem na niego wyczekująco.

– Pośrednik dla bezpieczeństwa potajemnie sfotografował wykonawcę.

– Jego twarz?

Pokiwał głową.

– Tak, ale bez nazwiska.

– Chcę dostać to zdjęcie.

– Tylko że twarz tego człowieka nie figuruje w żadnej policyjnej kartotece. Trudno będzie go znaleźć.

– Chcę je dostać – powtórzyłem. – Ale to nie wszystko.

Nawrozow zmierzył mnie wzrokiem.

– Chcę się dowiedzieć, czym naprawdę jest Merkury.

Zatem mi powiedział.

Pół godziny później, wciąż odrętwiały z powodu szoku, wyszedłem na ulicę i wsiadłem do taksówki.

CZĘŚĆ TRZECIA

*Jeśli uwięzisz i pogrzebiesz prawdę,
ona wyrośnie i wzbierze taką mocą,
że gdy wreszcie wybuchnie,
zmięci wszystko na swej drodze.*

Émile Zola

Tuż przed szóstą rano lot towarowy FedExu wylądował w Bostonie.

Rozpaczliwie potrzebowałem snu.

Jeśli chciałem liczyć na odnalezienie Alexy Marcus, potrzebowałem odrobiny odpoczynku. Tylko kilku godzin na wyciszenie i odzyskanie jasności umysłu. Osiągnąłem stan, w którym nawet dożylnie podawana kofeina nie utrzymałaby mnie na nogach.

Mój telefon zadzwonił, gdy parkowałem land rovera.

To był Tola Wasilenko.

– Chodzi o zdjęcie, które mi wysłałeś – rzekł. – Bardzo mi cię żal. Wpakowałeś się w wyjątkowe tarapaty.

– Mów.

– Pamiętasz tamto straszliwe morderstwo rodziny z Connecticut, o którym ci wspominałem?

– To on uciekł?

– Tak mi powiedziano.

– Jak się nazywa?

– Wciąż nie uzgodniliśmy ceny.

– Ile chcą? – spytałem ostrożnie.

– Nie chodzi o pieniądze, tylko o... nazwijmy to wymianę informacji.

Przedstawił mi swoje warunki, a ja na nie przystałem bez chwili wahania.

Potem powiedział:

– Dragomir Władimirowicz Żukow.

Obracałem to nazwisko w głowie, próbując je połączyć ze zdjęciem, które przesłał mi e-mailem Eugene, szef ochrony Nawrozowa: wizerunkiem surowego mężczyzny o ogolonej głowie i wściekłym spojrzeniu. Dragomir, powtarzałem w myślach. Dragomir Żukow. Twarde nazwisko.

– Nietypowe imię dla Rosjanina – zauważyłem.

– Niespotykane. Jego matka jest Serbką.

– Co jeszcze o nim wiesz?

– Poza tym, że jest socjopatą, potworem i niezwykle sprytnym człowiekiem? Chcesz wiedzieć coś więcej?

– Szczegóły dotyczące jego pochodzenia. Dzieciństwa i rodziny.

– Postanowiłeś w wolnym czasie zostać psychoanalitykiem?

– Tak pracuję. Im więcej wiem o osobistym życiu celu, tym skuteczniej mogę działać.

– Niestety, mamy niewiele, Nicholasie, nie licząc kartoteki policyjnej, historii służby wojskowej oraz kilku zapisów przesłuchań członków rodziny i świadków.

– Świadców?

– Chyba nie sądzisz, że wtedy w Connecticut po raz pierwszy popełnił morderstwo? Kiedy służył w Czeczenii w rosyjskich wojskach naziemnych, został ukarany za nadmierny zapał.

– Jakiego rodzaju „zapał”?

– Brał udział w czystce... „operacji oczyszczającej”... w Groznm i dopuścił się czynów, o których nawet jego dowódcy nie chcieli mówić, a nie są to ludzie wrażliwi. Stosował tortury. Wiem tylko o kilku sprawach. Schwycił trzech czeczeńskich braci i tak dokładnie ich rozczłonkował, że została po nich tylko sterta kości i chrząstek.

– To dlatego trafił do więzienia?

– Nie, nie. Skazano go za przestępstwo, które popełnił po powrocie z wojny.

– Pewnie kolejne morderstwo?

– Cóż, nie do końca. Dostał pięć lat za kradzież. Zatrudnił się przy budowie rurociągu w Tomsku, gdzie obsługiwał koparkę, i wygląda na to, że „pożyczył” ją do własnego użytku.

– To trochę jak aresztowanie Ala Capone za niepłacenie podatków.

– Tylko o to mogli go oskarżyć. Milicjanci z Tomska nie byli w stanie połączyć go z żadnym poważniejszym przestępstwem, chociaż mieli pewność, że jest winny. Właśnie po to pożyczył koparkę. Przez ponad rok milicja prowadziła śledztwo w sprawie nagłego zniknięcia pewnego małżeństwa i ich nastoletniego syna. Wielokrotnie przesłuchiwali Żukowa, ale nie zdobyli żadnych dowodów. Dysponowali tylko niepotwierdzonymi plotkami, że jeden z byłych współwięźniów wynajął Żukowa do dokonania zabójstwa.

– Zabójstwa rodziny?

– Tamten człowiek był właścicielem kilku komisów samochodowych w Tomsku. Został ostrzeżony, że jeśli nie odsprzeda interesu znajomemu Żukowa, zapłaci za to cała jego rodzina. Zdaje się, że nie były to czcze pogrozki.

– Więc ciało nigdy nie znaleziono?

– Ależ znaleziono, rok po zaginięciu. Czystym przypadkiem. Podczas kopania fundamentów pod budynki mieszkalne na opuszczonej działce na przedmieściach natrafiono na trzy ciała. Parę w średnim wieku i ich nastoletniego syna. Lekarze sądowi znaleźli w ich płucach duże ilości piachu. Ofiary pogrzebano żywcem.

– Właśnie po to Żukow pożyczył koparkę.

– Na to wygląda. Jednak niczego nie udało mu się udowodnić. Widzisz, on świetnie zna się na rzeczy. Fachowo zatarł po sobie ślady. Rozumiem, dlaczego Roman Nawrozow go wynajął. Ale może cię zainteresować fakt, że kiedy Żukow był dzieckiem, jego ojciec zginął w wypadku w kopalni.

– Również został pogrzebany żywcem?

– Raczej utonął. Pewnego dnia górnicy przypadkowo przebili się do opuszczonego szybu wypełnionego wodą. Tunel został zalany; zginęło trzydziestu siedmiu ludzi.

– Ile lat miał wtedy Żukow?

– Dziewięć albo dziesięć. Pewnie się domyślasz, jaką traumę przeżyły rodziny ofiar. Zwłaszcza dzieci, które straciły ojców.

– Nie widzę związku między traumą z dzieciństwa a...

– Jego matka, Dusia, powiedziała nam przed laty, że jej syn najbardziej żałował, że tego nie widział. Wtedy po raz pierwszy zrozumiała, że nie jest taki sam jak inni chłopcy.

Nagle przestałem być senny.

– On nie robi tego dla pieniędzy, prawda?

– Pieniądze na pewno przydadzą mu się podczas ucieczki i pozwolą na kupienie nowych tożsamości, ale sądzę, że przyjął to zlecenie, ponieważ stanowiło dla niego rzadką okazję. Oczywiście tylko zgaduję.

– Jaką okazję?

– Zobaczyć na własne oczy, jak ktoś się topi.

Alexa śpiewała najgłośniej jak potrafiła: piosenki, do których lubiła tańczyć i których uwielbiała słuchać. Albo tylko urywki piosenek, gdy nie pamiętała całości.

Byle tylko nie myśleć o tym, gdzie się znajduje.

Bad Romance Lady Gagi. Próbowała sobie przypomnieć francuski tekst pod koniec piosenki. Było w nim coś o zemście. To na chwilę ją zajęło. Potem *Poker Face*. Śpiewała tak głośno, że prawie wrzeszczała. Ale to było zbyt proste. Wyobraziła sobie, że sama jest Lady Gagą, ubraną w obcisły kostium zrobiony z taśmy klejącej.

Następnie Black Eyed Peas. *Imma Be* na jakiś czas podziałało. Potem przerzuciła się na Ludacrisa: tutaj miała długi tekst do zapamiętania. Za długi. Przez chwilę próbowała z *Can't Touch This* MC Hammera, ale to było za trudne i szybko dała za wygraną.

Kiedy przerwała, znudzona, zniechęcona i zachrypnięta, od razu przypomniała sobie, gdzie jest, i znów zaczęła dygotać. Miała zszargane nerwy. Targały nią dreszcze i całe jej ciało się kuliło. Tak samo jak wtedy, gdy wyobrażała sobie, że szoruje styropianem po tekturze.

Jednak reakcja fizjologiczna była niczym w porównaniu z ogarniającym ją przerażeniem, lodowatym obłokiem strachu, który wciąż na nowo ją otaczał podczas tego koszmaru. Świadomością, że naprawdę jest coś gorszego od śmierci, i ona właśnie tego doświadcza.

Długo wrzeszczała, aż w końcu jej krzyk zmienił się w beznadziejny szloch. Czuła gorące łzy na policzkach.

Wrzeszczała i drapała paznokciami obicie trumny. Opuszki jej palców natrafiły na twarde przedmiot zamontowany na pokrywie i Alexa zrozumiała, że to musi być kamera.

Wyczuła mały obiekt i zakryła go kciukiem.

Przez chwilę nie zdejmowała palca.

Teraz jej nie widział.

Była w stanie oślepić Sowę.

Trzymała kciuk na obiektywie, dopóki nie zaczęła jej drzeć dłoń.

Nagle wzdrygnęła się, gdy z głośników rozległ się przenikliwy głos Sowy.

– Jeśli robisz sobie żarty, Alexo, to popełniasz duży błąd.

Nie odpowiedziała. Niby po co? Przecież nie musiała mu odpowiadać.

Potem przyszło jej do głowy coś tak niesamowitego, że serce szybciej jej zabiło, z podekscytowania, a nie strachu.

Mogła zerwać kamerę z uchwytu.

Oślepić Sowę na dobre.

Bez swojej kamery nie miał nad nią kontroli!

Chwyciła za obudowę i zaczęła ciągnąć, kręcąc kamerą na boki, jakby wyrywała obłuzowany ząb.

Genialny pomysł. Kamera stanowiła klucz do jego planu. To za jej pomocą przedstawiał żądania, wykorzystując Alexę, pouczając ją, zmuszając do wygłaszania dziwacznych poleceń, które miały wyprowadzić jej tatę z równowagi.

Zatem pozbędzie się kamery.

Odetnie mu dostęp i przerwie inwigilację. Uderzy w jego plany w sposób, którego on nie będzie mógł powstrzymać.

Bez transmisji wideo plan Sowy nie zadziała. Bez kamery nie będzie okupu.

Jeśli Alexa zniszczy kamerę, zmusi go do podjęcia desperackich kroków i do improwizacji.

Będzie musiał ją wykopać.

Naprawić swoją przeklętą kamerę, ponieważ to na niej wszystko się opiera.

Dlaczego dopiero teraz na to wpadła, do cholery?

Poczuła przyjemne pulsujące ciepło. Jej ojciec, który zapewne ją kochał, ale zupełnie nie szanował, teraz byłby z niej dumny. Zdziwiłyby go jej spryt i zaradność. Powiedziałyby: „Moja droga Lexie, masz głowę na karku, jak na Marcusów przystało”.

Zacisnęła dłonie na metalowej skrzyneczce tak mocno, że zadrżała jej cała ręka. Ciągnęła i wykręcała kamerę, aż wreszcie poczuła, że coś ustąpiło.

Jakiś mały przedmiot spadł jej na twarz. Wymacała go lewą dłonią. Metalowa śrubka. Pewnie od uchwytu.

Zrobi to. Wyrwie Sowie oczy.

Uśmiechnęła się do siebie, oszalała z dumy, czując, że kamera coraz bardziej się chybotze.

– Kolejny zły pomysł! – ryknął głos.

Nie odpowiedziała.

Oczywiście, że nie chciał, aby zerwała kamerę. Nic dziwnego, że mu się to nie podobało.

– Alexo, jestem twoim jedynym łączem ze światem – odezwał się głos cierpliwie, bez gniewu.

Zacisnęła zęby i nie przestawała szarpać, czując, że ręka drży jej ze zmęczenia, a ostre metalowe krawędzie wrzynają się w dłoń.

– Jeżeli uszkodzisz kamerę, zostaniesz odcięta od reszty świata – rzekł Sowa.

Na chwilę przerwała.

– Pomyśl, że umarłaś – dodał głos. – Niby z jakiego innego powodu transmisja miałaby zostać przerwana?

Zaciśnięta dłoń zamarła tuż nad twarzą. Jeszcze kilka minut, a uda się jej poluzować pozostałe śrubki albo urwać uchwyt, którym kamera była przytwierdzona do wieka...

– Może twój ojciec po tobie zapłacze. Może poczuje ulgę. Ale przynajmniej dowie się, że to koniec. Nie będzie mógł niczego więcej zdziałać. I tak nie chciał nam dać tego, czego zażądaliśmy, a teraz pomyśli: Nie muszę tego robić. Niby, w jakim celu, skoro moja córka umarła?

– Będzie wiedział, że wam się nie udało – warknęła gardłowo jak zwierzę.

– Podda się, możesz mi wierzyć. Albo mi nie wierz, to bez znaczenia.

Bolały ją mięśnie przedramienia i nadgarstka. Musiała opuścić rękę.

– Tak – odezwał się Sowa. – Wolałabyś wydostać się z tej skrzynki, prawda?

Zaczęła szlochać.

– Tak – powtórzył. – Ta kamera to twoja jedyna nadzieja na ujście z życiem.

Chociaż rozpaczliwie potrzebowałem snu, jeszcze pilniej musiałem porozmawiać z Dianą Madigan i opowiedzieć jej o tym, co odkryłem.

Szósta rano. Diana była rannym ptaszkiem. Niewykluczone, że już nie spała i piła kawę, czytała e-maile i robiła inne rzeczy, którymi agenci FBI zajmują się przed wyjściem do pracy, przynajmniej ci, którzy nie mają rodziny.

Dlatego zamiast wrócić do domu, zboczyłem z trasy w stronę South End, pojechałem Columbus Avenue i skręciłem w lewo w Pembroke Street.

W jej mieszkaniu paliły się światła.

...

– Może kawy? – spytała zaspanym głosem.

– Chyba już przekroczyłem ostatnią granicę – odparłem. – Jeszcze trochę kofeiny, a zapadnę w śpiączkę.

– To może zimnej wody?

Pokiwałem głową. Usiadłem na kanapie, a ona usadowiła się w fotelu naprzeciwko. Dokładnie tak jak poprzednim razem. Miała na sobie biały T-shirt, spodnie od dresu i była boso.

Poszła do kuchni i napełniła wodą z lodem jedną ze swoich odjazdowych szklanek z dmuchanego szkła. Wręczyła mi napój i ponownie usiadła.

Powiedziałem jej tyle, ile mogłem. Nie była to spójna opowieść. Mój mózg był na to zbyt zmęczony. Ale udało mi się przedstawić podstawowe fakty.

– Dorothy sprawdza wszystkie wypożyczalnie koparek w New Hampshire, ale nie dowie się niczego przed dziewiątą albo dziesiątą, dopóki nie rozpoczną pracy.

– Dobrze – odparła Diana. – Tymczasem sprawdziłam raporty z tamtego włamania w Connecticut.

– Tak szybko? Ale skąd wiedziałaś...?

Uśmiechnęła się smutno.

– Nico, musisz się przespać. Koniecznie. Przecież mówiłeś mi o tym wczoraj wieczorem.

Pokręciłem głową z zażenowaniem.

– Mąż przeżył. Chciałam sprawdzić, czy pamięta cokolwiek na temat napastników, ale... cóż, raczej z nikim nie porozmawia. Po ataku Żukowa ma poważnie uszkodzony mózg.

Pokiwałam głową.

– Na miejscu zbrodni nie znaleziono odcisków palców ani Żukowa, ani jego współnika. Miałam nadzieję, że miejscowi śledczy przekazali jakieś niezidentyfikowane odciski do archiwum nierozwiązanych spraw w IAFIS. Może te same odciski pojawiły się w ramach jakiegoś innego dochodzenia... Ale niczego nie znalazłam.

– I to wszystko? – Wstałem. Byłem wyczerpany, rozdrażniony i koniecznie chciałem coś zrobić. Zacząłem krążyć po salonie.

– Co to ma znaczyć?

– Ile wynosi budżet FBI? Prawie dziesięć miliardów dolarów, czy tak? Macie do dyspozycji wszystkich funkcjonariuszy w kraju. Więcej baz danych, niż jesteście w stanie ogarnąć. A mimo to nie dowiedzieliście się więcej niż ja i Dorothy.

– Och, a czego ty się dowiedziałeś? Z tego, co wiem, dziewczyna wciąż jest pod ziemią.

Odwrociłem się i ruszyłem do drzwi.

– Muszę wracać do biura.

– Nie, musisz się przespać – odparła. – Jesteś na krawędzi. Niczego więcej nie zrobisz, dopóki nie sprawdzimy któregoś z naszych lub twoich tropów. Albo dopóki nie zacznie się dzień pracy. Idź się przespać, Nick.

– Później.

Zbliżyła się i położyła dłoń na moim ramieniu.

– Jeśli nie dasz odpocząć mózgowi i ciału, to zaczniesz popełniać błędy, a co się wtedy stanie?

Obróciłem się.

– Nie przejmuj się – odrzekłem. – Ja nie popełniam błędów.

– Teraz już wiem na pewno, że jesteś niewyspany – powiedziała ze śmiechem.

Zanim się zorientowałem, nasze usta się zetknęły.

Jej wargi były ciepłe i smakowały miętą. Ująłem jej twarz w dłonie i pogłaskałem ją po włosach. Zamknęła oczy. Wsunęła gładkie dłonie pod moją koszulę, lekko przeczesując palcami włosy na mojej klatce piersiowej. Zacząłem pieścić jej piersi i całować szyję, a wtedy usłyszałem brzęk rozpinanej sprzączki od mojego paska.

– Diano – szepnąłem.

Uciszyła mnie ustami i mocno opasała nogami.

...

– Wiem, że nie możemy wrócić do tego, co było kiedyś – powiedziała.

– Nie traktowałem tego jako powtórki z rozrywki.

Uśmiechnęła się, ale miała wilgotne oczy. Wyciągnęła w moją stronę ręce, a ja długo ją przytulałem. Czuję się cudownie. Prawie mi to wystarczało.

Zadzwoił mój telefon. Zerknąłem na ekran. Marshall Marcus.

– Nick – szepnął. – Właśnie dostałem wiadomość.

Usłyszałem pisk wskazujący na połączenie z innego numeru. Dorothy.

– Od kogo?

– Od nich. Mam czas do końca dnia, a potem...

– Zaczekaj chwilę. – Odebrałem połączenie od Dorothy.

– Nick, Marcus właśnie otrzymał e-maila od porywaczy.

– Wiem, rozmawiam z nim na drugiej linii.

– Nie jest dobrze – stwierdziła.

Poczułem suchość w ustach.

– Masz pod ręką swój komputer?

Zawahałem się.

– Mam, ale nie swój.

– Zaraz prześlę ci e-maila.

Dałem sygnał Dianie, która przyniosła mi swojego laptopa, po czym zalogowałem się do swojej skrzynki. Tymczasem przełączyłem się na drugą linię.

– Zaczekaj, Marshall, właśnie otwieram wiadomość, którą dostałeś.

– Jak ci się to udało?

Nie odpowiedziałem. Byłem zbyt zajęty czytaniem treści kolejnego anonimowego e-maila.

Zasady się zmieniły

Teraz będzie ci łatwiej uratować córkę

Wpłać 500 milionów dolarów na konto podane poniżej przed zamknięciem banku dzisiaj o 17.00 czasu bostońskiego

Warunki nie podlegają negocjacom

To ostateczna oferta.

Jeśli do godziny 17.00 czasu bostońskiego otrzymamy odpowiednią sumę twoja córka Alexa zostanie uwolniona. Zostaniesz poinformowany o jej miejscu pobytu i będziesz mógł ją odebrać.

Nie będzie żadnych negocjacji.

Jeśli do godziny 17.00 czasu bostońskiego nie otrzymamy pieniędzy dostaniesz ostatnią szansę popatrzenia na swoją córkę Alexę przez internet

Zobaczysz, jak trumna wypełnia się wodą.

Zobaczysz, jak twoja córka się topi.

Zobaczysz ostatnie chwile jej życia.

Poniżej podano nazwę i adres banku w Belize, kody bankowe oraz numer konta.

– Jezu – szepnąłem.

– Nicky – odezwał się Marshall Marcus drżącym głosem. – Dobry Boże, proszę, Nick, pomóż mi.

– Właśnie to robimy – zapewniłem go. – Bez chwili spoczynku.

– Pięćset milionów dolarów? Już nie mam takich pieniędzy, i to za sprawą tych drani, a oni dobrze o tym wiedzą.

– Gdzie jest Belinda?

– Belinda? Obok mnie, jak zawsze. Dlaczego pytasz?

– Rozłączę się – odparłem. – Może uda nam się to zrobić.

– Jak?

Przerwałem połączenie.

Nachyliłem się i pocałowałem Dianę.

– Zadzwoń do mnie, kiedy tylko będziesz coś wiedział – poprosiła.

Przyjechałem do biura z pudełkiem pączków z Dunkin' Donuts.

Pół godziny później, po kilku telefonach do Belize, udało mi się połączyć z czcigodnym Oliverem Lindo, tamtejszym ministrem bezpieczeństwa narodowego.

– Nick! – zawołał Oliver. – Próbowałeś się do mnie dodzwonić? Tak mi przykro. Byłem na siłowni. Mam teraz osobistego trenera. Może pewnego dnia będę wyglądał jak ty.

– Co u Petera?

– Wiesz, że jest na drugim roku w Oksfordzie?

– Nie miałem pojęcia. Gratulacje. Ożeniłeś się ponownie?

Zachichotał.

– Mamy tutaj takie powiedzenie: Po co kupować krowę, skoro mleko jest za darmo?

– Chyba już je kiedyś słyszałem – rzekłem.

Nie musiałem wszystkiego mówić Oliverowi Lindo. Kiedy pracowałem w Stoddard Associates w Waszyngtonie, pomogłem mu się wypłatać z pewnej nieprzyjemnej sprawy, w której główne role odegrali statek, fabryka rumu, jedna z jego byłych żon oraz tłum wściekłych Kubańczyków. Później Oliver poprosił mnie o uratowanie jego syna, uczącego się wtedy w Lawrenceville School w New Jersey, przed gangsterami z Trenton.

– Czy znasz kogoś w Belize Bank and Trust Limited?

– Jeśli chciałbyś ukryć pieniądze, mogę polecić... chociaż w zasadzie to nie jest rozmowa na telefon.

– Jeśli kiedyś będę miał tyle pieniędzy, że zechcę je gdzieś ukryć, na pewno w pierwszej kolejności zadzwonię do ciebie, ale chodzi mi o coś innego. Muszę cię prosić o przysługę.

– Cokolwiek zechcesz, Nick. Dobrze o tym wiesz.

– Wytłumaczysz mi, jak to ma zadziałać? – spytała Dorothy.

– Tuż przed zamknięciem banku w Belize Dragomir Żukow otrzyma potwierdzenie, że na jego konto wpłynęło pięćset milionów dolarów – wyjaśniłem.

Upiła długi łyk kawy z kubka z napisem „Jezus zbawia – ja się bawię”.

– Twój znajomy z Belize może to załatwić?

– Odwiedzi samego prezesa banku. Podejrzewam, że bank nie będzie chciał mieć nic wspólnego z porwaniem nastoletniej dziewczyny. Albo zastosuje inne środki perswazji. Nie wiem i mało mnie to obchodzi.

– Ale to tylko sztuczka, tak? Bank potwierdzi wpłatę, która nie zostanie dokonana?

– Oczywiście.

– Tylko jaki w tym sens? Skoro Żukow wyrwał się spod kontroli, to przed nikim nie odpowiada. Nie będzie miało znaczenia, czy dostanie pieniądze, gdyż i tak nie uwolni Alexy.

– Nie zrobi tego, jeśli uzna, że nie musi. Właśnie dlatego tak ważne jest wycucie czasu. W ostatniej chwili pojawią się komplikacje. Pomyłka w numerze konta, która zmusi go do wykonania telefonu.

– A ty będziesz po drugiej stronie linii.

Wzruszyłem ramionami.

– Poinformuję go, że otrzyma pięćset milionów, dopiero gdy uwolni Alexę.

Spojrzała na komputer, a potem na mnie. Wbiła wzrok w podłogę, następnie znów go podniosła.

– Bredzisz, Nick. Nie masz żadnych argumentów. On po prostu odmówi, stwierdzi „wóz albo przewóz”, a potem ją zabije.

– Zapewne masz rację.

– Więc czego nie dostrzegam?

– Będzie chciał utrzymać ją przy życiu do siedemnastej, żeby móc udowodnić, że jej nie zabił. Żeby nie zamykać sobie żadnych dróg.

– No dobrze, ale o siedemnastej i tak ją zabije, niezależnie od tego, czy dostanie pieniądze i czy pojawią się jakieś utrudnienia w banku.

– Owszem.

– Więc o co tutaj chodzi, Nick?

– O to, żebym miał czas do siedemnastej na odnalezienie Alexy – odrzekłem. –

Chciałbym, żebyś ponownie spróbowała go zlokalizować na podstawie rozkładu lotów i zakłóceń sygnału satelitarnego.

– Po co, przecież to ślepy zaułek. Mówiłeś, że FBI nie znalazło żadnych pasujących lotów w bazie danych Federalnej Administracji Lotnictwa.

– Tak mówiłem.

– Uważasz, że się pomylili?

– Nic z tych rzeczy. Myślę, że sprawdzili wszystkie loty znajdujące się w rejestrze FAL. Ale on nie jest kompletny.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Jeśli na czymś się znam, to na wojskowości. Wiem, że armia nie lubi informować federalnych urzędników o wojskowych lotach.

– Wojskowych lotach?

– W Maine, Vermoncie i New Hampshire znajdują się wojskowe bazy lotnicze.

Prowadzą własne rejestry lotów.

– Zamieszczają je w internecie?

– Nigdy.

– Więc jak się do nich dostaniemy?

Podaliśmy jej telefon.

– W staroświecki sposób – wyjaśniłem.

Dorothy kazała Jillian sporządzić listę wszystkich firm w New Hampshire, które wynajmują sprzęt budowlany.

Było ich prawie dziewięćset.

Po zawężeniu poszukiwań do „sprzętu do kopania” i „ciężkiego sprzętu” otrzymaliśmy prawie sto wyników. Sprawa wydawała się beznadziejna. Potrzebowaliśmy niezwykłego szczęścia.

Dorothy tymczasem przez dwie godziny rozmawiała telefonicznie z wojskowymi bazami lotniczymi oraz kontrolerami lotów z Narodowej Straży Lotniczej. Kilka razy musiałem się włączyć do rozmowy i powołać na generałów w Pentagonie, którzy pewnie już mnie nie pamiętali. Ale kiedy Dorothy wkroczyła do mojego gabinetu z szerokim uśmiechem na twarzy, wiedziałem, że coś znalazła.

– Co to jest KC-135? – spytała.

– Stratotanker, produkowany przez Boeinga. Najczęściej używany jako latająca cysterna, chociaż niektóre egzemplarze zmieniono w podniebne centra dowodzenia. Zamieniam się w słuch.

– Mamy coś. Każde zakłócenie transmisji zbiegło się w czasie z wylotem KC-135 z Bazy Lotniczej imienia Pease’a.

– Czyli co? Znajdują się w Portsmouth w New Hampshire.

– Nie, to nie takie proste – odparła. – Porywacz może się znajdować gdziekolwiek w promieniu od ośmiu do sześćdziesięciu kilometrów.

– Możesz to bardziej zawęzić? Na przykład poprzez triangulację? Wy, specjaliści od elektroniki, zawsze stosujecie triangulację.

– Mamy za mało danych. Dysponujemy tylko trzema zakłóceniami, mniej więcej dziesięć sekund po wylocie trzech KC-135.

– To dużo – sprzeciwiłem się. – Przecież znasz kierunek, w którym leciały samoloty?

– Zgadza się.

– Wiesz, z jaką prędkością zazwyczaj startują, prawda?

– Być może.

– Sądzę, że powinno ci się udać określić ich miejsce pobytu z dokładnością do piętnastu kilometrów. Muszę wszystko robić za ciebie?

Próbowałem za pomocą rozbrajającego uśmiechu uchronić się przed Spojrzeniem, ale bezskutecznie. I tak mnie nim poczęstowała.

Zadzwoił mój telefon. Zerknąłem na ekran i zobaczyłem, że to Diana.

– Cześć – odezwałem się do słuchawki. – Dostałaś zdjęcie, które ci przesłałem?

– Nie tylko, Nick – odpowiedziała. – Chyba go znaleźliśmy.

Długo się nie odzywałem.

– Nick?

– Znaleźliście Żukowa?

Diana mówiła zdecydowanym głosem, donośniejszym niż zazwyczaj.

– Namierzyliśmy jego telefon.

– W New Hampshire?

– Zgadza się. Kawalek na zachód od Nashua.

– Pewnie go włączył.

– Posłuchaj, muszę lecieć. Ruszamy na północ.

– Dokąd?

– Zatrzymamy się na parkingu kilka kilometrów od celu.

– Dołączasz do oddziału SWAT?

– Wzywają wszystkie jednostki, nie tylko operacyjne. Chcą, żebym zorganizowała punkt obserwacyjny poza granicą terenu akcji.

– Podaj mi dokładne współrzędne.

– Nie może cię tam być, przecież wiesz. To operacja FBI, a ty jesteś cywilem.

Powoli nabrałem powietrza.

– Posłuchaj, Diano. Nie chcę, żeby Alexa zginęła w samym środku hałaśliwej akcji SWAT. Chcę, żeby przeżyła.

– Oni też, Nick. Ich priorytetem zawsze jest ocalenie ofiary.

– Nie mówię o intencjach, tylko o technikach działania.

– Nasi chłopcy ze SWAT są najlepsi w swoim fachu.

– Nie przeczę.

– Więc co sugerujesz?

Zamknąłem oczy, próbując się skupić.

– Co to za miejsce?

– Dom przy wiejskiej drodze. Na zdjęciach satelitarnych wygląda na opuszczony.

– Jest tam jakieś pole?

– To gospodarstwo.

– Położone na odludziu?

– Do czego zmierzasz, Nick?

– Czy on się tam tylko ukrywa, czy właśnie tam pogrzebał Alexę? Od tego zależy wasz sposób działania.

– Nie wiemy, czy Alexa tam jest.

– Kiedy usłyszysz trzask gałązki lub zobaczy facetów w strojach maskujących, nie będzie beczynn timer czekał, aż go zastrzelą. Zabije dziewczynę. Już groził zatopieniem grobu i nie zdziwiłoby mnie, gdyby był przygotowany do zrobienia tego na odległość, na przykład, używając dźwigni od instalacji nawadniającej. Nieważne, jak szybko będziecie kopać, nie wydostaniecie jej na czas.

– To bez sensu. Ona jest jego monetą przetargową. Chce ją utrzymać przy życiu. Jeżeli zatopi grób i ją zabije, straci wszystkie argumenty.

– Diano, ten facet nie działa zgodnie z zasadami. Takie założenie to niebezpieczny błąd. Chce zatopić jej grób albo odciąć dopływ powietrza i oglądać to na ekranie komputera. Chce patrzeć, jak Alexa rozpaczliwie łapie oddech, walczy i próbuje krzyczeć. Chce widzieć, jak umiera.

– Więc po co zażądał okupu?

– Uznał, że oprócz zabicia dziewczyny może zgarnąć kupę kasy. Powiedz swojemu dowódcy, że mu się przydam. Tylko ja coś wiem o Dragomirze Żukowie.

Kiedy jechałem na północ szosą numer 93, zaczęło padać. Najpierw ze stalowego nieba spadło kilka złowieszczych kropeł, a po chwili rozpętała się prawdziwa ulewa.

Tak silny deszcz niemal zawsze jest krótkotrwały, jednak tym razem nie było widać końca. Znikąd pojawiły się silne podmuchy wiatru, pod których wpływem krople uderzały niemal poziomo. Moje wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach, ale i tak ledwie widziałem drogę. Inne samochody zaczęły ślizgać się na szosie i zwolniły, a kilku kierowców zjechało na pobocze, żeby przeczekać.

Zazwyczaj lubię takie efektowne zjawiska, ale nie w takiej chwili. Miałem wrażenie, że pogoda odzwierciedla dziwny niepokój, który mnie ogarnął.

Intuicja podpowiadała mi, że to wszystko źle się skończy.

...

Dlatego włączyłem muzykę. Niewiele utworów tak mnie pobudza do działania jak brzęczące gitarowe frazy i potężne, dudniące, napędzane dieslem brzmienie rockabilly Billa Kirchena, nazywanego Tytanem Telecastera, faceta, który przed laty wykonywał *Hot Rod Lincoln*. Puściłem *Hammer of the Honky-Tonk Gods*, a potem koncertową wersję *Too Much Fun*. Kiedy dotarłem do granicy New Hampshire, czułem się jak za swoich najlepszych czasów.

Potem musiałem wyciszyć muzykę, żeby odebrać telefon.

To była Diana, która przekazała mi, jak trafić do miejsca, w którym rozstawił się oddział SWAT.

– Przeprowadzamy odprawę na parkingu trzy kilometry od domu – doniosła. – Dołączysz do mnie i do zespołu pilnującego granicy terenu działań. Ale to oznacza, że nie będziesz jej przekraczał.

Szosa stała się węższa i zmieniła w dwupasmową drogę ze stalowymi barierkami po obu stronach. Minąłem znak ostrzegający przed łośmiami przekraczającymi drogę.

– Może być. Będziemy się poruszać samochodem czy pieszo?

– Na szczęście jednym z ich SUV-ów. Nie chciałabym sterczeć na takim deszczu. U ciebie też pada?

– Leje. Jestem najwyżej czterdzieści pięć kilometrów od was.

– Jedź ostrożnie, Nico.

Czterdzieści pięć minut później siedziałem w fotelu pasażera w czarnym chevrolecie suburbanie. Auto zostało specjalnie przystosowane do potrzeb oddziału SWAT. Zamontowano w nim bagażnik dachowy i drabinkę, ale nie było opancerzone. Znajdowaliśmy się poza obszarem kryzysowym. Nie mieliśmy zostać zaatakowani.

Diana prowadziła. Pod koszulką FBI miała dyskretną kamizelkę kuloodporną z płytą pochłaniającą siłę uderzenia.

Padał gęsty deszcz. Wycieraczki pracowały jak rozpędzony metronom.

Zatrzymaliśmy się na skraju lasu, niedaleko wjazdu na wąską i krętą asfaltową drogę, w miejscu położonym na „żółtej linii”, jak to określili ludzie ze SWAT. Była to ostatnia ukryta pozycja przed właściwym terenem działań. Linia zielona otaczała dom i miejsce akcji.

Teoretycznie stanowiliśmy część oddziału pilnującego granicy terenu działań oraz drogi ewakuacji, ale w praktyce byliśmy tylko obserwatorami. Moja rola była ograniczona i wyraźnie określona: jeśli uda im się schwytać Rosjanina żywcem, a on odmówi współpracy, wtedy połączą go ze mną i będziemy rozmawiać przez radio, nie osobiście.

Otaczały nas rozmaite SUV-y amerykańskiej produkcji – fordy explorery, a także chevrolety blazery i suburbany, na których również zamontowano bagażniki dachowe i drabinki. Z boku stali funkcjonariusze SWAT ubrani w dwuczęściowe oliwkowe stroje z pancerzem wyposażonym w ceramiczne płytki pochłaniające siłę uderzenia, który miał wytrzymać strzał z karabinu. Nosili hełmy oraz osłony na oczy i cali byli pokryci emblematami FBI. Mieli karabinki M4 z celownikami optycznymi, a w kaburach przy boku pistolety, z których mogli korzystać tylko w wypadku zacięcia się broni maszynowej. Snajperzy w strojach maskujących ukryli się w lesie, w cieniu drzew, w zasięgu strzału od domu.

Długo siedzieliśmy w milczeniu, nasłuchując rozmów w radiostacji umieszczonej na desce rozdzielczej.

Czekaliśmy. Wydawało się, że wszyscy czekają na sygnał. W powietrzu wyczuwało się napięcie.

– Jeśli on się pokaże... – odezwałem się.

– Snajperzy go zdejmą. Mają zgodę na użycie broni.

– Czy to zgodne z protokołem FBI?

– Tylko w sytuacjach, gdy cel ma możliwość i zamiar uśmiercenia ofiary. Wtedy jego zabicie jest prawnie usprawiedliwione.

– A jeśli się nie pokaże?

– Spróbują dyskretnie dostać się do domu z dwóch stron i zastosować scenariusz odbicia zakładników.

Jeszcze przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu Diana przerwała ciszę.

– Chciałbyś tam być, prawda? Przyznaj się.

Nie odpowiedziałem. Wciąż się namyślałem. Coś mi się nie podobało w tej całej sytuacji.

Diana na mnie popatrzyła.

– Mogę pożyczyć twoją lornetkę? – spytałem. Nie zabrałem swojej z land rovera. Nie sądziłem, że będę jej potrzebował.

Wręczyła mi dużą zieloną lornetkę Steiners, część standardowego wyposażenia funkcjonariuszy SWAT, oznaczoną naklejką „Własność FBI SWAT”. Ustawiłem ostrość na budynek: niewielki, elegancki domek z białym szalowaniem i ciemnozielonymi okiennicami. To wcale nie było gospodarstwo, tylko dom w lesie. Otaczający go teren był zaskakująco mały. Porastająca ziemię trawa miała około metra wysokości, jakby nikt jej nie kosił od co najmniej roku.

Było ciemno. Nie widziałem żadnego samochodu ani ciężarówki na podjeździe.

Oddałem lornetkę Dianie.

– Chyba jesteśmy w niewłaściwym miejscu – stwierdziłem.

– Jak to? Właśnie tutaj namierzyliśmy jego telefon, nie ma co do tego wątpliwości.

– Pilnujemy jedynej drogi dojazdowej. Las na tyłach domu jest gęsty, pełen zarośli i pnączy. Gdyby próbował tamtędy przejść, po dwóch minutach utknąłby w kolczastych krzewach.

– Zobaczyłeś to wszystko?

– Dobra lornetka.

– Dobry wzrok.

– Jest uwięziony. Nie wybrałby takiego miejsca na kryjówkę.

– Może go nie wybrał. Może ludzie Nawrozowa zrobili to za niego. Dom był opuszczony przez ostatnie półtora roku.

– Wątpię, żeby pozwolił komuś innemu podjąć za niego taką decyzję. Nie lubi na nikim polegać.

– To twoja opinia, oparta na pochodzącej z trzeciej ręki ocenie zawartej w starej teczce KGB.

Zignorowałem tę uwagę.

– Czy ktokolwiek sprawdzał rachunki za media w tym budynku?

– Nikt tutaj nie mieszkał przez osiemnaście miesięcy.

– Nie widzę żadnych generatorów, a ty? Jak on się łączy z internetem, do diabła?

Pokręciła głową z namysłem.

– Nie widzę też anteny satelitarnej – dodałem.

Dalej kręciła głową.

– Poza tym to z jego strony bardzo niefrasobliwe.

– Co takiego?

– Używanie komórki. Nie powinien ponownie jej włączać.

– Nie wie, że mamy jego numer.

– Ten facet nigdy nikogo nie lekceważy. Dlatego jeszcze żyje.

Wyjąłem komórkę i połączyłem się z Dorothy.

– Gdzie jesteś, Heller?

– W New Hampshire.

– Jasne. Gdzie dokładnie?

– W samym środku czegoś, co zaczyna wyglądać na zmyłkę – odparłem. – Na zachód od Nashua.

– Nashua? To... około sześćdziesięciu kilometrów na południe od strefy lotów.

– Możesz mi przesłać współrzędne GPS? – spytałem.

– Załatwione.

– Na jak dużym obszarze się skupiasz? Ciekawe, czy udałoby nam się zawęzić możliwości. Przyjrzyj się temu terenowi, budynkom i...

– Chyba mam jeszcze jedną informację.

– Słucham.

– Przeszukiwałam archiwum Narodowego Centrum Informacji o Przystępności i natrafiłam na możliwe zabójstwo.

Narodowe Centrum Informacji o Przystępności to skomputeryzowana baza danych o przestępstwach prowadzona przez FBI i wykorzystywana przez wszystkich policjantów oraz agencje stojące na straży prawa w kraju.

– Jaki to ma związek?

– Raport oznaczono kodem 908. Umyślne zabójstwo funkcjonariusza policji z użyciem broni.

– I co?

– Pewnego początkującego policjanta znaleziono w jego samochodzie na dnie wąwozu w New Hampshire. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że zjechał z drogi, ale miejscowy szef policji podejrzewa zabójstwo.

– Dlaczego?

– Ze względu na obrażenia ofiary. Według coronera nie pasują do wypadku samochodowego. Na przykład wszystkie wewnętrzne organy w klatce piersiowej uległy zniszczeniu. Jakby ktoś w niej zdetonował ładunek głębinowy.

Serce szybciej mi zabiło.

– Gdzie to było?

– W zasięgu wyznaczonego toru lotu. W miasteczku Pine Ridge w New Hampshire. Jak wspomniałam, sześćdziesiąt kilometrów od ciebie.

– Jesteśmy w niewłaściwym miejscu – stwierdziłem.

– Skąd możesz mieć pewność?

– Jego telefon zapewne tutaj jest, ale on nie. To tylko odwrócenie uwagi, może nawet pułapka.

– Jak to?

– On wie, że Nawrozow próbuje go dopaść. Może chce wyprowadzić ludzi Nawrozowa w pole, żeby ukryć swoje prawdziwe miejsce pobytu. – Wziąłem mikrofon z radiostacji na desce rozdzielczej i wcisnąłem przycisk. – Zgłoś się, Zulus Jeden, tutaj Victor Osiem.

– Nick, co ty robisz? – spytała Diana.

– Musimy się wycofać i ruszyć na północ – odrzekłem.

W głośniku rozległ się ostry i donośny głos dowódcy oddziału SWAT.

– Mów, Victor Osiem.

– Zulus Jeden, mam do przekazania nowe wiadomości. Gdzie znajduje się punkt zborny?

Diana popatrzyła na mnie oszołomiona.

– Powtórz, Victor Osiem – odpowiedział dowódca po chwili milczenia.

– Zulus Jeden, mam do przekazania pilne informacje. Proszę o jak najszybsze spotkanie. Odbiór?

– Nic z tego, Victor Osiem.

Jednak nie zamierzałem się poddawać.

– Zulus Jeden, proszę o pilne spotkanie.

Tym razem dowódca odpowiedział natychmiast.

– Zrozumiałem, Victor Osiem, ale odmawiam. Rozłącz się. Bez odbioru.

Wzruszyłem ramionami i odwiesiłem mikrofon na haczyk.

– O rany, Nick – odezwała się Diana. – Po prostu... brak mi słów.

– Dlaczego?

– Za chwilę przeprowadzimy atak.

– Co oznacza, że najlepsza ekipa FBI jest zajęta sześćdziesiąt kilometrów od miejsca, w którym nasz cel doprowadza swoją robotę do końca. Ruszajmy.

– Dobrze wiesz, że nie możemy tak po prostu odjechać. Nie wolno nam opuścić naszej pozycji bez zezwolenia.

– Nie jesteś im tutaj potrzebna. Jesteś widzem. Marnujesz czas i umiejętności.

Sprawiała wrażenie rozdartej i niezdecydowanej.

– No chodź – rzuciłem, otwierając drzwi chevroleta.

– Heller!

– Wybacz – powiedziałem, wysiadając.

– Nick, zaczekaj.

Odwrociłem się.

– Nie rób tego, Nick. Nie sam.

Przez chwilę jej się przyglądałem: tym niezwykłym zielonym oczom i szalonej fryzurze. Czulem, jak coś zaciska się w moim wnętrzu.

– Muszę iść – rzekłem.

– Nie rób tego, Nick.

Delikatnie zamknąłem za sobą drzwi.

Powrót pieszo na oddalony o półtora kilometra parking, gdzie zostawiłem swój samochód, był powolny i uciążliwy. Szedłem wąskimi wiejskimi drogami, a następnie ruchliwą szosą. Lało jak podczas potopu. Zanim dotarłem do land rovera, byłem całkowicie przemoczony, mimo płaszcz przeciwdeszczowego.

Podkręciłem ogrzewanie na maksimum i ruszyłem na północ w stronę Pine Ridge. Zmierzch szybko zmienił się w noc, ale deszcz nie odpuszczał.

Przez trzysta dwadzieścia dni w roku land rover jest bestią o zbyt dużej mocy, ciekawostką, czołgiem M1 Abrams wypuszczonym na ulice miasta. Jednak tej nocy, w niebezpiecznych warunkach, był królem szosy. Mijałem niezliczone samochody stojące na poboczu, jak łodzie wyciągnięte na brzeg, czekające na koniec sztormu.

Piętnaście minut po moim odejściu z miejsca akcji zadzwoniła Diana.

– Znaleźli ciało.

– Były przy nim dokumenty? – spytałem.

– Tak. Denat to Kirył Czuzoj. Przyjechał do Stanów Zjednoczonych z zieloną kartą, mieszkał w East Rutherford w New Jersey. Urodzony w Moskwie. Zatrudniony przez spółkę holdingową RosInvest należącą do Romana Nawrozowa.

– A w jego kieszeni znaleźliście podróbkę telefonu Nokia – powiedziałem.

– Zgadza się. Zapewne własność Żukowa.

– Nie, to raczej jego telefon z kartą SIM Żukowa.

– Co?

– Wiedział, że jeśli włoży swoją kartę SIM do telefonu ofiary, to wyświetli się wam jego numer i uznacie, że wreszcie go znaleźliście. Miał rację.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie mógł po prostu zamienić telefonów?

– Facet ma łeb na karku. Nie chciał ryzykować, że w telefonie Czuzoja jest zainstalowane jakieś oprogramowanie namierzające. Możesz mi przesłać zdjęcie ofiary?

– Zaczekaj. – Odezwała się ponownie po około minucie. – Już powinno do ciebie dojść.

Zawiesiłem połączenie i zajrzałem do skrzynki e-mailowej, gdzie znalazłem fotografię.

To był fałszywy attaché z brazylijskiego konsulatu. Ten sam, który zabił handlarza narkotykami w siedzibie FBI w Bostonie. Roman Nawrozow zapewne wysłał go, żeby upewnić się, że Mauricio Perreira nie zdradzi żadnych informacji, które mogłyby go powiązać z uprowadzeniem Alexy.

Ponownie połączyłem się z Dianą.

– Prześlij to zdjęcie Gordonowi Snyderowi, dobrze?

– Po co?

– Ponieważ pozwala połączyć Nawrozowa z morderstwem w siedzibie FBI.

– Rozumiem. Załatwione.

– Gdzie teraz jesteś? – spytałem.

– Wracam do punktu zbornego, a ty?

– Trzydzieści kilometrów od was. Ale muszę jechać bardzo powoli. Mogłabyś wysłać tutaj oddział SWAT?

– Dokąd?

Odczytałem współrzędne GPS.

– Czy to dokładne współrzędne miejsca, w którym on się znajduje?

– Nie, to centrum Pine Ridge. Miasteczko ma około osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych.

– Skąd pewność, że to właściwe miejsce?

– Nie jestem pewien. Dorothy porównuje dane z rejestru nieruchomości z obrazami satelitarnymi z Google Earth.

– Czego szuka?

– Wystarczająco dużej i odosobnionej działki z kilkoma drogami ucieczki. Niezamieszkaną, porzuconą, przejętą, nieważną. Najbardziej podejrzane są posiadłości, których właściciel wyjechał.

– A co z rachunkami za media?

– Nie dysponujemy takimi źródłami jak wy. Działamy na ślepo. Dlatego postaraj się jak najszybciej wysłać tutaj oddział SWAT.

– Zrobię, co w mojej mocy – rzekła. – Do zobaczenia na miejscu.

– Mam nadzieję.

Mniej więcej minutę po zakończeniu rozmowy wpadłem na pewien pomysł. Zadzwoiłem na komórkę Dorothy.

– Zdobądź dla mnie domowy numer naczelnika policji z Pine Ridge – poprosiłem.

– Och, może mi pan wierzyć, że nie przeszkadza nam pan w kolacji – zapewniła żona naczelnika. – Walter układa worki z piaskiem i nie wiem, kiedy wróci. Wszyscy tam są, razem z pracownikami na pół etatu i każdym ochotnikiem, którego udało im się zwerbować. Jest kiepsko. Rzeka wezbrała i wszędzie schodzą lawiny błotne. Czym mogę panu służyć?

– Czy przydałby się jeszcze jeden ochotnik? – spytałem.

– Niech pan jedzie na miejsce.

– Jaki jest jego numer?

Naczelnik Walter Nowicki odebrał po pierwszym dzwonku.

– Panie naczelniku, przepraszam, że przeszkadzam panu w takiej trudnej chwili, ale dzwonię w sprawie jednego z pańskich funkcjonariuszy...

– To będzie musiało poczekać – odparł. – Tkwię po szyję w aligatorach.

– Chodzi o Jasona Kenta. Służył w pańskiej jednostce i padł ofiarą zabójstwa.

– Kto mówi? – spytał ostro naczelnik.

– FBI – odpowiedziałem. – CJIS.

Znał żargon, jak każdy policjant. CJIS to wydział informacji o sprawach karnych, który prowadzi centralny rejestr wszystkich zgłoszonych przestępstw.

– Czym mogę panu służyć?

– Zgłosił pan to przestępstwo jako 908, czyli umyślne zabójstwo funkcjonariusza, a ja badałem tę sprawę.

– No dobrze... to nie jest najlepsza chwila na rozmowę. Zmagamy się w New Hampshire z paskudną powodzią i mamy ludzi uwięzionych w samochodach oraz rzekę występującą z brzegów...

– Rozumiem – rzekłem. – Ale to pilna sprawa. W Massachusetts mamy zabójstwo, które pod wieloma względami pasuje do tego, które pan zgłosił, więc gdyby mógł pan odpowiedzieć na kilka bardzo krótkich pytań...

– Wsiądę do samochodu, żeby pana lepiej słyszeć. Tutaj nie słyszę nawet siebie.

Usłyszałem, jak przekłada telefon, a następnie zatrzaskuje drzwi.

– Co pan chce wiedzieć? – zapytał.

– Ma pan jakichś podejrzanych?

– Podejrzanych? Nie, proszę pana. Jestem pewien, że to zrobił ktoś spoza miasteczka.

– Czy przed śmiercią funkcjonariusz Kent prowadził dochodzenie w sprawie jakiegoś przestępstwa?

– W tych okolicach rzadko mamy do czynienia z przestępczością. Głównie zajmujemy się przekroczeniami prędkości, ale tego rzadko dopuszczają się miejscowi. Był na rutynowym patrolu, sprawdzał jedno zgłoszenie dotyczące zakłócenia porządku, ale...

– Czy zatrzymał jakiś samochód niedaleko miejsca, w którym został zabity?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Początkowo tak podejrzewałem, ale on niczego nie zgłosił.

– Nikogo nie spotkał?

– Nic o tym nie wspominał.

– Ma pan jakieś podejrzenia, co mogło go spotkać?

– Niestety nie, proszę pana. Trudno było o lepszego dzieciaka niż on... – Wydawało się, że naczelnik ugryzł się w język i na chwilę umilkł.

– Bardzo mi przykro.

– Gdyby spotkał samego diabła, to oddałby mu swoją ostatnią koszulę. Jedyne, co mógłbym mu mieć do zarzucenia, to że niekoniecznie nadawał się do pracy w policji. To mnie obciąża. Nie powinienem był go przyjąć.

– Czym się zajmował w dniu, gdy został zabity?

– Tym, co zwykle. Kazałem mu sprawdzić zgłoszenie, które otrzymaliśmy od... cóż, nazywam ich kłopotliwymi obywatelami. Mamy tutaj faceta nazwiskiem Dupuis, który lubi zawracać nam głowę. Wciąż skarży się na jednego ze swoich sąsiadów, więc wysłałem Jasona, żeby to sprawdził. Założę się, że Jason nawet nie...

– Czego dotyczyła skarga?

– Czy ja wiem... Dupuis twierdził, że facet ukradł mu psa, jakby ktokolwiek mógłby chcieć tego wyliniałego kundla, a także podejrzewał go o prowadzenie jakichś prac bez zezwolenia.

Już miałem zmienić temat, gdy nagle coś przyszło mi do głowy.

– Jakiego rodzaju prac?

– Chyba budowlanych. Wiem tylko, że na farmie Aldersonów od lat nikt nie mieszkał, odkąd zmarła żona Raya Aldersona, a on sam przeprowadził się do Delray Beach. Uznałem, że może Ray zatrudnił dozorcę, który miał przygotować dom do sprzedaży, ponieważ jakiś tydzień temu facetowi dostarczono sprzęt do wykopów.

Przestałem słuchać. Byłem niecałe piętnaście kilometrów od celu. Deszcz bębnił w dach i maskę samochodu, chociaż wydawało się, że stopniowo słabnie. Widoczność

była kiepska. Pokonanie piętnastu kilometrów przy takiej pogodzie mogło zająć dwadzieścia minut.

Nagle dotarło do mnie kilka słów.

„Zatrudnił dozorcę”.

„Przeprowadził się do Delray Beach”.

To znaczyło, że właściciel nie mieszka na farmie.

– Czy ten dozorca przebywa tam od dawna? – spytałem.

– Cóż, oczywiście nie mogę mieć pewności. Nigdy go nie spotkałem. To chyba cudzoziemiec, ale dzisiaj to typowe. Amerykanie nie nadają się do pracy fizycznej. Z tego, co wiem, po prostu pojawił się pewnego dnia, ale tutaj przeważnie staramy się nie wtykać nosa w cudze sprawy.

– Zna pan adres tego domu?

– Tutaj rzadko posługujemy się adresami. Gospodarstwo Raya to ładny kawałek ziemi, ponad dwieście akrów, ale sam dom jest w ruinie. Słabo go widać i dlatego...

– Gdzie on jest? – wtrąciłem się ostro.

– Przy Goddard, tuż za Hubbard Farm Road. Sądzi pan, że ten dozorca miał z tym coś wspólnego?

– Nie – odpowiedziałem pośpiesznie.

Ostatnie, czego potrzebowałem, to naczelnik lokalnej policji zadający pytania.

– Chętnie bym się tam przejechał. Wziąłbym samochód z napędem na cztery koła... to letnia droga, więc teraz zapewne zmieniła się w bagno.

– Nie ma pośpiechu – odparłem. – Może pan odczekać ze dwa dni.

– Jeżeli chce pan porozmawiać z właścicielem, to poszukam numeru Raya na Florydzie. Niech pan poczeka dwie minuty.

– Niech się pan nie kłopotuje. Wiem, że jest pan zajęty. Po prostu uzupełniam bazę danych. Zwykła formalność. Na tym upływa mi życie.

– Cóż, to ważna praca – odrzekł grzecznie naczelnik. – Ktoś musi ją wykonywać. Cieszę się przynajmniej, że zajmuje się tym ktoś, kto zna język.

Podziękowałem mu i rozłączyłem się, zanim zdążył zapytać o coś jeszcze.

– Dorothy – powiedziałem piętnaście sekund później. – Musisz mi wskazać drogę.

Zanim wjechałem do Pine Ridge, deszcz zelżał do mżawki. Główna droga wyglądała na świeżo wybudowaną. Asfalt był gładki jak szkło, a środkiem szosy biegło wzniesienie ułatwiające odprowadzanie wody. Minąłem stację benzynową, którą ktoś szumnie nazwał Pine Ridge Quality Auto, a następnie lokalną szkołę, ceglany gmach wzniesiony w stylu architektonicznym celnie określanym jako współczesna szkolna brzydota. Dalej mieściła się poczta. Przy pierwszym większym skrzyżowaniu znajdowała się stacja benzynowa, obok niej zaś całodobowy sklep wielobranżowy z wygaszonymi światłami. Na kolejnym skrzyżowaniu ze światłami skręciłem w lewo.

Mijałem gospodarstwa i skromne kilkupoziomowe rancza zbudowane zbyt blisko drogi. Widziałem nieoznakowane zjazdy z krawężnika i wąskie uliczki przecinające las, w większości gruntowe, tylko czasem brukowane. Jedynymi charakterystycznymi elementami były skrzynki pocztowe, przeważnie duże z namalowanymi, a czasem wytłoczonymi nazwiskami.

Po przejechaniu około pięciu kilometrów wąską drogą otoczoną gęstymi drzewami dotarłem do prowizorycznej blokady z dwóch kozłów do piłowania drewna obwieszonych odblaskowymi krążkami.

To była Goddard Road. Około trzech kilometrów dalej znajdowało się gospodarstwo Aldersonów.

Jeżeli się nie myliłem, właśnie tam pogrzebano Alexę Marcus.

Tam także mogłem znaleźć Dragomira Żukowa.

Podjechałem do samej blokady i włączyłem reflektory.

Drogę znaczyły koleiny wyżłobione w głębokim błocie. Piesza trzykilometrowa wędrówka po takiej nawierzchni byłaby czasochłonną torturą, a mnie się śpieszyło.

Wysiadłem, odsunąłem z drogi jeden kozioł, wróciłem do land rovera i ruszyłem naprzód.

Czułem się, jakbym jechał przez bagno. Opony głęboko zapadały się w gęstej mazi, a fontanny wody strzelały w powietrze. Jechałem na trzecim biegu, utrzymując równe tempo. Nie za szybko i nie za wolno. Lepiej nie jechać na zbyt niskim biegu, gdy pokonuje się błoto. Zbyt wolna jazda grozi zalaniem rury wydechowej i silnika.

Droga stopniowo zmieniała się w wąską mroczną alejkę na poboczach porośniętą wysokimi sosnami i brzoza. Reflektory omiatające rzekę błota stanowiły jedyne źródło światła.

Samochód radził sobie jak amfibia i wkrótce byłem w połowie drogi.

Jednak wtedy koła zapadły się na kolejne dziesięć centymetrów i utknąłem.

Pozostało półtora kilometra.

Wiedziałem, że nie ma sensu cofać. Zamiast tego na chwilę zdjąłem stopę z pedału gazu, po czym mocniej go docisnąłem.

Wciąż tkwiłem w miejscu.

Kolejne krótkie dodanie gazu, ledwie uderzenie w pedał, i auto zaczęło się kołysać w przód i w tył. Po kilku minutach samochód wspiął się na krawędź zagłębienia i ponownie ruszył przez brązową breję.

Nagle w świetle reflektorów zobaczyłem zardzewiałą metalową skrzynkę na listy z napisem „Alderson”.

Nieobecny właściciel i niedawno przybyły dozorca. Sprzęt do wykopów: czy znajdowała się tutaj także koparka?

W tej chwili tylko spekulowałem.

Ale nie miałem innych możliwości.

Podjazd posiadłości Aldersonów stanowił część głównej drogi dojazdowej. Jeżeli to rzeczywiście było właściwe miejsce – a na razie musiałem zakładać, że tak – Żukow zapewne zainstalował tutaj sprzęt do inwigilacji: kamery, czujniki na podczerwień, jakiś rodzaj systemu wczesnego ostrzegania.

Jednak nie jest łatwo rozstawić takie przyrządy pod gołym niebem i sprawić, żeby poprawnie działały. Wymaga to wcześniejszych przygotowań.

Mimo wszystko bezpieczniej było założyć, że podjazd jest monitorowany.

Dlatego pojechałem dalej, mijając wejście, i brnąłem błotnistą rzeką przez kolejne osiemset metrów, póki droga gwałtownie się nie skończyła. Wtedy wjechałem po stromym brzegu w głąb lasu, najdalej jak mogłem.

Zgodnie z mapą, którą Dorothy przesłała na mój telefon, znajdowałem się przy skraju posiadłości Aldersonów. Gospodarstwo zajmowało dwieście czterdzieści akrów, a jego przednią granicę stanowiło osiemset metrów brukowanej drogi oraz półtora kilometra drogi gruntowej.

Dom znajdował się w odległości około czterystu metrów. Zgodnie z topografią nie było z niego widać drogi.

Właściciel przez lata pozwalał myśliwym wkraczać na swoją ziemię. Dorothy dowiedziała się tego z internetowej bazy danych dotyczącej polowań na terenie stanu.

To nie było nietypowe w New Hampshire. Polowania na państwowych, a nawet prywatnych terenach były dozwolone, dopóki właściciel nie rozstawił znaków „Zakaz polowania”.

Jednak tak bardzo się skupiałem na brnięciu przez błoto, że dopiero teraz zauważyłem tabliczki z napisami „Teren prywatny/Zakaz polowania” rozwieszane na drzewach mniej więcej co piętnaście metrów.

Znaki wyglądały na nowe. Ktoś niedawno je tutaj umieścił, żeby odstraszyć nieproszonych gości od domu.

Dysponowałem niezłej jakości zdjęciami satelitarnymi posiadłości Aldersonów, ale nie były one najnowsze. Niewykluczone, że wykonano je na przykład trzy lata wcześniej. To mi utrudniało zadanie.

Przynajmniej miałem dobrą broń: półautomat SIG-Sauer P250. To piękny pistolet: niewielki i lekki, gładki, idealnie zaprojektowany. Mój egzemplarz miał kolor matowej czerni z aluminiowym szkieletem. Zainstalowałem celownik na podczerwień Tritium oraz znakomity celownik laserowy LaserMax, a także poprosiłem pewnego rusznikarza z Manassas w Wirginii, żeby dodał matową fakturę i żłobienia na metalowej rękojeści, zaokrąglił wszystkie ostre kąty w celu łatwiejszego wydobywania broni z kabury oraz ukształtował rękojeść w sposób ułatwiający przeładowywanie. Dostroił mój pistolet jak stradivariusa, zwiększając czułość spustu, tak że wystarczyło go dotknąć, żeby oddać strzał.

Dobrze wykonaną broń cechuje elegancja, jak każdą starannie zaprojektowaną maszynę. Lubię precyzyjną inżynierię, dopracowane detale, gładko działający spust, zapach smaru, dymu, prochu i nitrogliceryny.

Załadowałem kilka magazynków z pociskami o wydrążonych wierzchołkach. Zaprojektowano je tak, aby zadawały poważne obrażenia: gdy trafiają w miękką tkankę, odkształcają ją, rozszerzają i robią duży otwór. Policjanci lubią ich używać, ponieważ nie przebijają ścian – ani celu.

Mój land rover miał ciemnozielony kolor, ale był tak zbryzgany błotem, że wyglądał, jakby pokryto go farbą maskującą. Zostawiłem go w brzozowym zagajniku, gdzie nikt nie mógł go dostrzec z drogi, zabierając trochę sprzętu z bagażnika, między innymi znakomitą lornetkę Leicas oraz zapasowe buty, wciąż pokryte zaschniętym błotem po ostatniej wędrówce. Przypiąłem do biodra kaburę i wsunąłem do niej SIG-Sauera, a następnie przytwierdziłem kilka magazynków do paska.

W ostatniej chwili przypomniałem sobie, że pod tylnym siedzeniem mam coś, co może mi się przydać. To była stara wojskowa kamizelka kuloodporna Interceptor wykonana z włókna aramidowego. Nie zapewniała całkowitej odporności na pociski – taki sprzęt nie istnieje – ale stanowiła najskuteczniejszy dostępny miękki pancerz. Powinna zatrzymać dziewięćmilimetrowe pociski wystrzelone z karabinu maszynowego. Włożyłem ją i zapiąłem paski z rzepami.

Jeżeli trafiłem we właściwe miejsce, musiałem się przygotować.

Z kompasem w dłoni ruszyłem przez las.

Grunt był mokry, wręcz gąbczasty, i w niektórych miejscach tak śliski, że prawie traciłem równowagę. Nisko zwieszające się gałęzie oraz kolczaste krzewy chłostały mnie po twarzy i szyi. Teren przez pewien czas wznosił się stromo, a następnie spłaszczał. Ze szczytu pagórka zauważyłem polanę i niewielki budynek w oddali.

Popatrzyłem przez lornetkę i dostrzegłem dużą budowlę pozbawioną okien: stodołę. Zgodnie ze zdjęciem lotniczym kilkaset metrów za nią znajdował się dom.

Podszedłem bliżej i wreszcie go zobaczyłem. Jednak w domu nie paliły się światła. To nie wyglądało obiecująco. Albo trafiłem w niewłaściwe miejsce, albo Żukow już odjechał.

A to by znaczyło, że Alexa nie żyje.

Zbliżyłem się, klucząc między drzewami i kryjąc się w cieniu, aż stodoła znalazła się w zasięgu mojego wzroku. Kiedy ją otoczyłem, zauważyłem długie podwórze prowadzące do domu. Niebo zaczęło się przejaśniać, a księżyc świecił na tyle mocno, że w jego blasku widziałem nierówny trawnik, na którym więcej było łysych placków ziemi niż trawy.

W połowie drogi między stodołą a pogrążonym w mroku domem ktoś wyciął podłużny kształt na żałośnie wyglądającym trawniku. Prostokąt o długości około trzech metrów i szerokości metra.

Niczym świeżo wykopany grób.

Jednak zamiast kupki ziemi, jaką widuje się na świeżych grobach, tutaj grunt był płaski, poprzecinany śladami opon, jakby ktoś wielokrotnie jeździł po nim samochodem albo ciężarówką, a deszcz następnie rozmiękczył ślady.

Poczułem ukłucie niepokoju.

Na jednym końcu piaszczystego prostokąta sterczała rurka z tworzywa sztucznego, jak spiłowany pień młodego drzewka.

Opuściłem lornetkę, która zakołysała się na pasku otaczającym moją szyję, po czym zbliżyłem się do krawędzi lasu.

Stary brązowy dom był zrujnowany. Oszalowanie popękało, a na dachu brakowało licznych dachówek.

Na szczycie domu zamontowano białą antenę satelitarną.

Wyglądała na nową.

W cieniu za stodołą wypatrzyłem zarys jakiegoś wysokiego sprzętu, który wznosił się jak olbrzymi geometryczny ptak – mewa albo żuraw.

Kiedy wytężyłem wzrok, dostrzegłem, że to koparka Caterpillar.

Patrząc przez lornetkę, skupiłem wzrok na domu. Dwie kondygnacje, spadzisty dach, niewielkie okna. Żadnego światła w środku. Na niskiej drewnianej werandzie stał jakiś sprzęt. Czyżby kompresor?

Tak. To miało sens. W ten sposób dostarczał powietrze do skrzynki, krypty czy gdziekolwiek znajdowała się Alexa.

To na pewno właściwe miejsce.

Przez minutę albo dwie uważnie się przyglądałem, wypatrując jakiegoś ruchu w ciemności, refleksu księżycowego blasku. Szacowałem, że dom znajduje się w odległości około trzystu metrów, czyli poza zasięgiem celnego strzału z mojego pistoletu.

Jednak jeśli w środku czekał ktoś z karabinem, trzysta metrów nie stanowiło dla niego żadnego problemu.

Kiedy tylko wyjdę na polanę, stanę się celem.

Wyjąłem komórkę i zadzwoniłem do Diany.

– Ona chyba tu jest – wyszeptałem.

– Widziałeś ją? – spytała Diana.

– Nie, ale widzę coś, co wygląda jak miejsce pochówku. Z ziemi sterczy rurka wentylacyjna. Niedawno ktoś tutaj kopał.

– A Żukow?

– W domu jest ciemno. Nie wiem, czy on tam jest. Powiedz swoim przełożonym, że to niemal na pewno właściwe miejsce. Muszą czym prędzej tutaj przyjechać. I zabierzcie łopaty.

Rozłączyłem się i upewniłem, że dzwonek jest wyłączony.

Następnie zbliżyłem się o kilka kroków, wyłaniając się z cienia. Ruszyłem przez łysy trawnik w stronę miejsca pochówku.

Coś obok moich stóp odbiło światło księżycy i nagle całe podwórze zalał blask, a mnie oślepiły reflektory punktowe świecące z dwóch kierunków.

Rozpłaszczyłem się na ziemi. Czułem intensywną woń ilastej gleby. Ścisnąłem w dłoni odbezpieczony pistolet i poszukałem palcem spustu, uważając, żeby za niego nie pociągnąć. Najśłabszy nacisk wywołałby strzał.

Szybkim ruchem przetoczyłem się na plecy. Snopy światła padały z dwóch kierunków: od stodoły po lewej oraz od domu po prawej. Powoli wciągnąłem powietrze do płuc i wyteżyłem słuch, ignorując łomot serca.

Niczego nie usłyszałem.

Wiedziałem, co się stało. Zaczepiłem o niewidoczną linkę rozciągniętą na wysokości kostek.

Żukow służył w rosyjskim wojsku w Czeczenii, gdzie z pewnością poznał wszystkie standardowe wojskowe techniki, na przykład rozciąganie linki w celu detonacji miny albo wykrycia zbliżającego się wroga. Używano do tego celu czarnego włókna polietylenowego nazywanego spectra, cienkiego jak nić dentystyczna. Było mało elastyczne i bardzo wytrzymałe. Nie dało się go zauważyć w ciemności, chyba że ktoś miał latarkę i wiedział, gdzie szukać. Żukow zapewne rozciągnął linki wzdłuż granic posiadłości, między pniami drzew, i połączył je z włącznikiem reflektorów punktowych. Powstał prosty czujnik ruchu.

A więc jest tutaj czy go nie ma? Może czeka, aż wstanę, żeby wziąć mnie na cel?

Nasłuchiwałem kroków, szurania butów na piachu albo żwirze.

Cisza.

Po dwóch minutach reflektory zgasły i wszystko utonęło w ciemności.

Nie padły żadne strzały. Nie trzasnęły gałązki. Wokół rozlegały się tylko odgłosy lasu: szelest liści na wietrze, daleki śpiew nocnego ptaka, tupot łapek wiewiórki albo pręgowca.

Od rurki wentylacyjnej dzieliło mnie mniej więcej sto metrów. Czy Alexa mnie usłyszy, jeśli powiem coś do otworu?

Nagle uświadomiłem sobie, jak duży błąd bym popełnił. Jeżeli Żukow ukrywa się w domu i monitoruje Alexę na odległość, to zapewne słyszy to samo, co ona.

Oczywiście jeśli jest w domu, to w końcu mnie zobaczy.

Dlatego musiałem go dopaść pierwszy.

Schować broń czy trzymać ją pod ręką? Potrzebowałem obu dłoni. Wepchnąłem pistolet do kabury, a następnie przetoczyłem się i kucnąłem. Po chwili zerwałem się na równe nogi.

Ruszyłem w stronę domu.

Ale nie puściłem się biegiem.

Nie chciałem wpaść w kolejną pułapkę. Idąc, wypatrywałem ogrodzeń, palików, wszystkiego, do czego można przywiązać żyłkę.

Może wchodziłem prosto w potrzask. Może on już czekał na mnie w ciemności z karabinem w dłoniach.

Okrążyłem dom, mijając drewnianą klapę z przegniłą ramą, pokrytą łuszczącą się farbą. Nie było na niej kłódki.

Wejść do piwnicy? Nie. Może to wcale nie piwnica, tylko dół do przechowywania roślin, z którego nie ma przejścia do domu.

Po tej stronie znajdowały się drzwi schowane za dziurawą moskitierą, ale poszedłem dalej, okrążając dom od frontu, po drodze mijając owalny placek łysej ziemi, na którym zapewne parkowały i zawracały samochody. W tej chwili nie stały tam żadne pojazdy. Podobnie jak przed domem.

Niemożliwe, żeby był w środku, w przeciwnym razie już byłbym trupem.

Ale co, jeśli Żukow po prostu porzucił gospodarstwo? W końcu dowiedział się od pośrednika wysłanego przez Nawrozowa, że ktoś na niego poluje. Po co miałby tutaj zostać? Lepiej pozostawić ofiarę pod ziemią, pozwolić jej umrzeć.

Na nierównym trawniku wydeptano ścieżkę prowadzącą do drzwi wejściowych, chociaż nie sposób było stwierdzić, kiedy to się stało. Nie zauważyłem żadnego ruchu w oknach, więc otworzyłem moskitierę i nacisnąłem klamkę drzwi frontowych.

Otworzyły się.

Ktoś bardzo niedawno tutaj był.

Zapach niedawno gotowanego jedzenia: kiełbasek albo jajek, czegoś smażonego na tłuszczu.

Niewielkie wejście, niski sufit, zatęchła woń wyczuwalna pod zapachem tłuszczu. Także smród papierosów, chociaż słabszy, jakby palił w innej części domu. Poruszałem się bezszelestnie, trzymając pistolet w obu dłoniach. Gwałtownie obróciłem się w lewo, a potem w prawo, gotowy do strzału.

Pusto. Zaskrzypiały klepki.

Musiałem dokonać wyboru. Miałem trzy możliwości. Drzwi po prawej prowadziły do niewielkiego pokoju od frontu. Po lewej znajdowały się strome schody ze zniszczonymi i powyginanymi drewnianymi stopniami. Przed sobą widziałem kolejne drzwi, za którymi zapewne kryła się kuchnia albo tylna część domu.

Schody stanowiły potencjalną kryjówkę. Wytężyłem słuch, ale niczego nie usłyszałem.

Ponownie się obróciłem z prawej strony na lewą. Następnie skoczyłem w stronę mrocznych schodów.

– Stać – zawołałem.

Żadnej odpowiedzi.

Nagle usłyszałem głos.

Nie dobiegał w góry, tylko zza domu. Kobięcy głos, przytłumiony, urywany, na przemian przybierający na sile i słabnący.

Włączony telewizor.

Przekroczyłem próg, rozglądając się po ciemnych kątach, napięty jak sprężyna. Palcem pieściłem spust. Sprawdziłem wnętrze, szybko przesuwając lufę pistoletu z lewej strony na prawą, a następnie w stronę narożników pokoju.

W kuchni nie było okien, gdyż wydzielono ją z jednego z wewnętrznych pomieszczeń. Podłogę pokrywało ciemnoczerwone linoleum w białe zawijasy, a płytki były wyszczerbione i popękane. Kuchenka General Electric pamiętała lata czterdzieste. Do tego blat pokryty laminatem z metalową listwą i biały porcelanowy zlew z osobnymi kranami do gorącej i zimnej wody. W komorze piętrzyły się talerze i miski

pokryte zaschniętymi resztkami jedzenia. Puste opakowanie po kiełbaskach leżało na środku kuchennego stołu z blaszanym blatem.

Ponownie usłyszałem głos kobiety, teraz znacznie wyraźniejszy, dobiegający z sąsiedniego pokoju. Z tylnej części domu.

To nie był telewizor.

Rozpoznałem głos Alexy.

Napompowany adrenaliną, wpadłem do sąsiedniego pokoju z wyciągniętą bronią.

– ...draniu! – wołała Alexa. – Ty cholerny draniu!

Nagle gwałtownie zmieniła ton i odezwała się błagalnym, piskliwym głosem.

– Proszę, mój Boże, proszę, wypuść mnie stąd, błagam, Boże, błagam, czego ty chcesz, do cholery? Nie wytrzymam tego, nie wytrzymam, proszę, mój Boże.

Wtedy zorientowałem się, że Alexy nie ma w pomieszczeniu.

Jej głos dobiegał z głośników komputera. Czarny komputer marki Dell stał na długiej czarnej ławie pod ścianą. Na monitorze zobaczyłem to samo dziwne zielonkawe zbliżenie twarzy Alexy, które oglądałem podczas transmisji.

Jednak teraz dziewczyna wyglądała tak źle, że ledwie ją poznałem. Miała wychudzoną twarz, opuchnięte powieki i sine cienie pod oczami. Podczas mówienia poruszała tylko jedną stroną ust, jakby doznała udaru. Jej twarz lśniła od potu. Miała wystraszone, rozbiegane spojrzenie.

Przed monitorem znajdowała się klawiatura. Po jej lewej stronie stał niewielki tani mikrofon na plastikowym trójnogu. Taki sprzęt można kupić na wyprzedaży w RadioShack.

Przez chwilę miałem wrażenie, że Alexa patrzy na mnie, ale potem jej wzrok zbłądził gdzieś w bok. Umilkła, następnie zaczęła pochlipywać, a wypowiedane przez nią słowa zlały się w jedno. Rozumiałem tylko „proszę”, „Boże” i „stąd”.

– Alexo – odezwałem się do mikrofonu.

Jednak ona nie przerywała. Na podstawie mikrofonu znajdował się mały czarny włącznik. Pstryknąłem nim i ponowiłem próbę.

– Alexo? – Tym razem zamilkła. Otworzyła usta. Zaczęła szlochać.

– Alexo? – powtórzyłem. – Tutaj Nick.

– Kto... kto mówi?

– Nick Heller. Nic ci nie będzie. Jestem w domu. Tuż obok. Posłuchaj, pomoc jest w drodze, ale musisz zachować ciszę i spokój, dobrze? Mogę na ciebie liczyć? Tylko przez chwilę. Nic ci się nie stanie, obiecuję.

Przez moment wydawało mi się, że przez okno widzę błysk światła na podwórku.

– Nick? Gdzie jesteś? Mój Boże, gdzie jesteś?

Znów światło. Reflektory samochodu. Usłyszałem warkot silnika, a potem trzaśnięcie drzwiami.

Żukow wrócił. To nie mógł być nikt inny.

Ale go nie widziałem. Zaparkował po stronie domu pozbawionej okien.

– Nick, odpowiedz! Wydostań mnie stąd, proszę, mój Boże, wyciągnij mnie stąd, Nick! – wrzeszczała.

– Nic ci się nie stanie, Alexo. Nic ci nie będzie.

W końcu zaczęła mnie słuchać.

– Nie zostawiaj mnie tutaj – jęknęła.

– On wrócił – szepnąłem. – Słyszysz mnie?

Podniosła wzrok i rozchyliła usta, po czym pokiwała głową i znów zaczęła szlochać.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłem. – Naprawdę. Tylko nie mów ani słowa. Dobrze? Ani słowa.

Ścisnąłem pistolet obiema rękami.

A co, jeśli to nie Żukow? Może to policja? Było zdecydowanie za wcześnie na oddział SWAT. Przemieszczali się samochodami, ponieważ dostarczenie na miejsce śmigłowca i załadowanie do niego ludzi oraz sprzętu zajęłoby jeszcze więcej czasu, a także pozbawiło ich ciężkiej broni.

Żukow, jeśli to on, wejdzie do domu frontowymi drzwiami, tak samo jak ja. Świadczyła o tym wydeptana ścieżka. Ale nie będzie się nikogo spodziewał w środku. To da mi chwilową przewagę. Jeżeli zajmę właściwą pozycję, być może zdołam go zaskoczyć.

Serce waliło mi jak młot. Czas zwolnił. Ogarnął mnie ten dziwny spokój, który często odczuwałem w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Towarzyszyły mu wyostrome zmysły i szybsze reakcje.

Gdzieś otworzyły się drzwi.

Ale to nie były drzwi frontowe. Więc jakie?

Boczne drzwi, które zauważyłem wcześniej.

Musiałem się ukryć, tylko gdzie?

Nie było czasu na wahanie.

Drzwi obok wejścia do kuchni. Pewnie szafa, obok której stało drewniane kuchenne krzesło. Odsunąłem je z drogi o kilkanaście centymetrów.

Otworzyłem drzwi lewą ręką i wkroczyłem w ciemność...

Po czym runąłem w pustkę.

To nie była szafa, tylko schody do piwnicy. Wyciągnąłem przed siebie ręce i czegoś się złapałem, żeby powstrzymać upadek. Wylądowałem nogami na ziemi z głuchym

łoskotem.

Drewniana balustrada. Obróciłem się i pociągnąłem za sobą drzwi. Trzymałem przekręconą gałkę, żeby zamek nie szczęknął.

Bezszelestnie je zamknąłem, a następnie przykląknę na pierwszym stopniu i wyjrzałem przez dziurkę od klucza.

Czekałem na Żukowa.

Dragomir Żukow tym razem zaparkował z boku domu, żeby zaburzyć schemat. Nigdy nie należy postępować w przewidywalny sposób.

Z tego samego powodu przerwał połączenie z internetem. Zapewne wszyscy się spodziewali, że pozostanie połączony z siecią, tymczasem było to niepotrzebne ryzyko. Istniały sposoby na namierzenie sygnału.

Oczywiście jeden kabel zostawił nienaruszony: ten, który łączył jego komputer z trumną.

Zanim otworzył drzwi, zerknął w dół na listwę przypodłogową i zauważył małe paski przezroczystej taśmy, który umieścił między drzwiami a ościeżnicą. Pasek wciąż był nienaruszony. To znaczyło, że nikt tędy nie wszedł.

A raczej chyba nie wszedł. Nic nie jest pewne.

Dragomir dawno temu nauczył się, jak ważne jest, żeby nie pozostawiać niczego przypadkowi. To była jedna z wielu lekcji, które przyswoił na piekielnym uniwersytecie, znanym także jako zakład karny numer jeden w Kopiejsku.

Przelew wpłynął na jego konto. Pośrednik został wyeliminowany.

Jakiś czas temu Dragomir przygotował się do szybkiej ucieczki, na wypadek gdyby operacja potoczyła się niezgodnie z planem. W stalowym pudełku, które zakopał w Parku Narodowym Acadia w Maine, znajdowały się ukraiński paszport oraz kilka plików gotówki, dolarów i euro. Paszport był ważny jeszcze dwa lata.

Z nową tożsamością przekroczenie kanadyjskiej granicy będzie szybkie i łatwe, a z Montrealu odlatuje wiele samolotów zmierzających za granicę.

Jedyny obowiązek, który mu pozostał, wcale nie był trudny do spełnienia.

To była jego nagroda za długie i uciążliwe dni czujności, cierpliwości i samokontroli.

Wiedział, jak to się potoczy: bez końca powtarzał to w myślach, rozkoszując się tą perspektywą. Poinformuje dziewczynę, co się zaraz wydarzy, bo nie ma niczego wspanialszego od świadomości ofiary. Całymi godzinami obserwował jej strach, ale kiedy wreszcie szczegółowo opowie jej, co ją czeka, przerażenie dzieciaka osiągnie zupełnie nowy poziom.

Potem skrupulatnie przystąpi do działania: odłączy wąż od kompresora i przytwierdzi go miedzianą złączką do ogrodowego węża. Kiedy przesunie dźwignię

hydrantu, popłynie woda. Minie parę sekund, zanim zacznie się sączyć do trumny.

Utopił kilka małych zwierząt – myszy, pręgowców, królików oraz jednego bezańskiego kota – w beczce na odpadki. Jednak piski i rozpaczliwe miotanie się bezmyślnego zwierzaka nie sprawiały mu satysfakcji. Brakowało w nich lęku.

Dziewczyna usłyszy sączącą się wodę i wtedy zrozumie.

Czy zacznie krzyczeć, czy błagać, a może jedno i drugie?

Kiedy poziom wody się podniesie, a ilość powietrza skurczy, będzie wymachiwała kończynami, tłukła o ściany, a przede wszystkim prosiła o litość.

Dokonał kilku obliczeń. Wewnętrzna objętość trumny wynosiła osiemset siedemdziesiąt litrów. Biorąc pod uwagę ciśnienie wody, średnicę węża, odległość kranu od miejsca pochówku oraz prawie trzy metry ziemi przykrywające trumnę, jej wypełnienie zajmie niecałe pół godziny.

Potem woda sięgnie podbródka i dziewczyna zacznie walczyć o utrzymanie głowy ponad powierzchnią, rozpaczliwie chwytając ostatnie łyki bezcennego powietrza, z szyją drżącą z wyczerpania i ustami wydętymi jak u ryby.

Będzie na to patrzył jak zahipnotyzowany.

Dziewczyna spróbuje krzyczeć, gdy jej płuca wypełnią się płynem; będzie wierzgała i błagała, a kiedy całkowicie zniknie pod wodą, wstrzyma oddech, by w końcu wypuścić powietrze z płuc. Potem tak jak dziecko w łonie matki zostanie zmuszona do odetchnięcia płynem.

Utonie na jego oczach.

To straszliwa śmierć. Tak umarł jego ojciec. Przez lata Dragomir mógł to sobie tylko wyobrazić.

Ale teraz się dowie.

Zdawał sobie sprawę, że nie jest taki jak inni ludzie. Rozumiał własną psychikę, potrzebę karmienia się cudzym strachem.

Kiedy wszedł do domu, na chwilę przystanął.

Coś się zmieniło. Czyżby jakieś poruszenie powietrza? Wibracja? Miał zmysły wyczułone jak dzikie zwierzę.

Teraz gdy już zabił pośrednika, zastanawiał się, ile minie czasu, zanim Klient domysli się, co się stało. Znali jego przybliżone miejsce pobytu, ale Dragomir był pewien, że nikt go nie śledził po ostatnim spotkaniu.

A jednak się wahał. Coś było nie tak.

Bezszelestnie przeszedł przez salon do frontowych drzwi, gdzie wcześniej umieścił niemal niewidoczny kawałek taśmy klejącej na dole drzwi obok ościeżnicy, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz.

Paseczek taśmy leżał na podłodze. Nie zauważyłby go nikt, kto by go nie szukał. Jednak teraz Dragomir już był pewien, że ktoś jest w domu.

Słyszałem kroki, skrzypienie drewnianej podłogi, coraz głośniejsze i bliższe. Ściskając pistolet w prawej dłoni, a lewą przytrzymując się balustrady, przykucnąłem i patrzyłem przez dziurkę od klucza, ale widziałem tylko błękitny blask komputerowego monitora.

Alexa na ekranie. Taka zaawansowana technika w służbie tak prymitywnego zepsucia.

Wszedł do pokoju.

Zobaczyłem nogę odzianą w dżinsy, lecz tylko przez chwilę. Szedł do komputera, a przynajmniej w jego kierunku. Potem się zatrzymał.

Stał w odległości metra. Widziałem jego plecy: potężny tułów, szerokie ramiona, ciemną koszulkę.

Czy coś podejrzewa? Jego zachowanie tego nie zdradzało.

Teraz widziałem, że stoi przy oknie i wygląda na zewnątrz, a na głowie ma czarną wełnianą marynarską czapkę.

Dostrzegałem ohydny wzór na jego karku.

Dolną część oblicza sowy.

Dragomir Żukow wszedł do pokoju na tyłach domu, spoglądając na brudne parapety, żółtą farbę łuszczącą się ze ścian i nierówne klepki podłogowe.

Z małego głośnika przy komputerze dobiegł trzeszczący głos. Dziewczyna się odezwała.

– Nick! – zawołała. – Proszę, nie odchodź!

Pistolet znalazł się w prawej dłoni bandyty, jeszcze zanim podjął świadomą decyzję, żeby go wydobyć.

...

Żukow odwrócił się gwałtownie; w rękę trzymał olbrzymi stalowy półautomat z lufą jak działo.

Od razu rozpoznałem tę broń. Izraelski pistolet Desert Eagle kalibru 50. Wyprodukowany przez tych samych ludzi, którzy dali światu uzi. Taki pistolet łatwiej spotkać w filmie czy grze komputerowej niż w prawdziwym życiu. Jest zbyt duży i niewygodny, o przesadnej sile ognia. Kiedy Clint Eastwood stwierdził w *Brudnym Harrym*, że jego magnum 44 jest najpotężniejszym pistoletem na świecie, miał rację. Ale to było w 1971 roku. Od tamtej pory ten tytuł przejął desert eagle.

Zobaczyłem szeroko otwarte, wściekłe oczy Żukowa, jego silnie zarysowane nos i szczękę, kalafiorowate ucho.

– Nick, dokąd poszedłeś? Myślałam, że tu jesteś! Kiedy przyjadą inni? Nick, proszę, wyciągnij mnie stąd, Boże, proszę, Nick, nie zostawiaj mnie...

Żukow powoli się obrócił.

Już wiedział.

Żukow wiedział, że gdzieś tutaj jestem.

Głos Alexy rozbrzmiewał coraz rozpaczliwiej.

– Proszę, Nick, odpowiedz mi! Nie zostawiaj mnie tutaj. Nie odchodź, do cholery!

Żukow poruszał się z pełną napięcia gracją kota. Jego oczy metodycznie badały pomieszczenie, poruszając się w górę i w dół według ustalonego schematu.

Bezgłośnie zaczerpnąłem powietrza po drugiej stronie ciężkich drewnianych drzwi. Patrzyłem przez dziurkę od klucza.

Przyjechałem uratować Alexę. Ale teraz musiałem po prostu przetrwać.

Pociski o wydrążonych wierzchołkach, którymi załadowałem pistolet, miały niezrównaną siłę, ale nie mogły przebić dzielących nas drzwi. W chwili uderzenia o drewno zaczęłyby się rozpadać. Gdyby nawet przedarły się na drugą stronę, poruszałyby się z tak niewielką prędkością, że nie stanowiłyby zagrożenia dla życia.

Byłem bezbronny.

Tymczasem moja kamizelka kuloodporna nie mogła powstrzymać wielkokalibrowych pocisków do magnum wystrzelonych z pistoletu Desert Eagle. Nie wiedziałem, czy pociski przebiją kamizelkę; nie było to wykluczone. Ale nawet jeśli tego nie zrobią, sama siła uderzenia zapewne by mnie zabiła.

Dlatego obserwowałem Żukowa przez dziurkę od klucza, wstrzymując oddech i czekając, aż przejdzie do innej części domu.

Ponownie uważnie rozejrzał się po pokoju. Najwyraźniej stwierdził, że nigdzie się nie ukrywam. Zerknął w stronę kuchni. Zrobił kilka kroków w tamtym kierunku.

Powoli wypuściłem powietrze. Kiedy tylko upewnię się, że przeszedł do kuchni, bezgłośnie przekręcę gałkę i jak najciszej wyjdę z ukrycia.

Jeżeli go zaskoczę, może uda mi się go powalić jednym dobrze wymierzonym strzałem.

Powoli położyłem dłoń na gałce, gotów ją przekręcić, gdy tylko Żukow opuści pomieszczenie.

Cały czas go obserwowałem.

Zaczerpnąłem powietrza. Cierpliwie czekałem. Jeszcze kilka sekund.

Nagle obrócił się do mnie plecami. Opuścił wzrok na podłogę, jakby coś tam zauważył. Zobaczyłem, na co patrzy.

Na krzesło, które odsunąłem przed drzwi do piwnicy.

Stało w innym miejscu. Nie tam, gdzie je zostawił.

Powoli podniósł wzrok. Uśmiechnął się, obnażając brązowe zęby jak u bobra.

Uniósł pistolet i wycelował w drzwi do piwnicy, prosto we mnie, jakby miał rentgenowski wzrok i widział przez drewno, po czym pociągnął za spust...

bam bam bam

...a ja odskoczyłem w bok. Wszystko toczyło się jak w zwolnionym tempie. Ogłuszający huk i błysk z lufy, kule ognia, które rozświetliły całe pomieszczenie, rozpryskujące się drzwi. Puszczając gałkę oraz barierkę i rzucając się do tyłu, poczułem uderzenie pocisku w pierś. Oszłomił mnie ból i wszystko pochłonęła ciemność.

Kiedy doszedłem do siebie kilka sekund później, moje ciało przeszywał potworny ból. Czulem się, jakby coś wybuchło mi wewnątrz klatki piersiowej, a moje żebra miażdżyło olbrzymie imadło. Jeszcze bardziej dokuczała mi lewa noga, którą targał ostry, pulsujący ból. Włókna nerwowe płonęły i drżały. Wszystko poruszało się jak w świetle stroboskopu; przed moimi oczami błyskawicznie przesuwała się seria nieruchomych obrazów.

Gdzie jestem?

Wiedziałem, że leżę na plecach, rozciągnięty na twardej, zimnej posadzce w ciemności, otoczony wilgotną wonią pleśni i starego betonu oraz smrodem moczu. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do mroku, zobaczyłem, że otaczają mnie kawałeczki czegoś, co przypominało podarte gazety, a także mnóstwo szczurzych odchodów.

Wzdrygnąłem się, gdy coś przebiegło obok mnie z piskiem.

Duży, potargany szczur wędrowny o wijącym się długim łuskowatym ogonie zatrzymał się w odległości metra ode mnie. Przypatrywał mi się paciorkowatymi brązowymi oczami, może z zaciekawieniem, a może z niechęcią, gdyż zakłóciłem spokój jego legowiska. Poruszył wąsami, po czym zniknął w ciemności.

Z góry sączył się blady blask księżyca, który docierał do mnie przez dużą dziurę w spodniej części drewnianych schodów.

Szybko zrozumiałem, co się wydarzyło.

Pocisk uderzył w lewą stronę kamizelki kuloodpornej, ale nie wniknął w moje ciało. Żyłem tylko dlatego, że pięć centymetrów twardego dębowego drewna spowolniło kulę. Jednak uderzenie spowodowało, że straciłem równowagę i spadłem ze schodów. Wtedy przebiłem nogami uszkodzone przez termyty, przegniłe deski i wylądowałem na betonowej podłodze poniżej.

Próbowałem zaczerpnąć powietrza, ale za każdym razem miałem wrażenie, że ktoś przeszywa moje płuca sztyletami. Czulem ciepłą krew spływającą po lewej nodze. Opuściłem dłoń, żeby wymacać ranę postrzałową.

Ale jej nie znalazłem.

Zamiast tego znalazłem nierówny, trzydziestocentymetrowy kawałek deski, który przebił dzinsy i zagłębił się na kilka centymetrów w lewą łydkę.

Chwyciłem deskę i wyrwałem ją z rany. Z drewna sterczały dwa długie zardzewiałe gwoździe. Choć sprawiała mi ból, gdy tkwiły w ciele, znacznie dotkliwiej odczułem ich wyciąganie.

Próbowałem sobie przypomnieć, ile pocisków Żukow we mnie wystrzelił. W magazynku pistoletu Desert Eagle mieściło się tylko siedem kul. Strzelał cztery czy pięć razy? Może nawet sześć.

Możliwe, że nie miał już naboju. A może miał jeden.

Brakowało mi tchu, byłem oszołomiony i odrętwiały. Gdzieś w górze rozległo się skrzypienie, a następnie ciężkie kroki na górnych stopniach. Żukow schodził do piwnicy.

Może myśli, że mnie zabił, ale chce się upewnić. Może zamierza mnie dobić. Musiałem się ruszyć, zanim strzeli do mnie z góry, wykorzystując to, że leżę bezbronny.

Sięgnąłem po broń, ale nie było jej w kaburze. Trzymałem ją w rękach, kiedy trafiły mnie pociski. Może upuściłem ją podczas upadku. Zacząłem obmacywać zimną podłogę, przesuwając dłońmi po betonie, odpadkach i szcurzych odchodach. Jednak pistoletu nie było w zasięgu ręki.

Zapaliło się światło: goła żarówka umieszczona na jednej z krokwi w odległości około trzech metrów. Sufit znajdował się nisko. To była niewielka piwnica – może dziewięć na sześć metrów.

Do ceglanych ścian przykręcono półki, na których stały rzędy starych słoików na przetwory. Koślawe dziecięce regały, pomalowane w klauny i tancerki, zawałono stertami podartych, pokrytych pajęczynami oraz warstwą szcurzych odchodów gazet i czasopism. W jednym kącie, w kwadratowym otworze wyciętym w betonowej posadzce i wypełnionym żwirem, tkwiła zardzewiała pompa do szamba, na której zbierały się kurz i pajęczyny. Tu i ówdzie stały rozkładane stoliki, a na nich piętrzyły się stare tostery, przybory kuchenne i inny złom.

Żukow zrobił kolejny krok. Leżałem nieruchomo, rozplaszczony na podłodze, wstrzymując oddech i spoglądając w górę.

Gdybym wydał jakiś dźwięk, zauważyłby mnie i bez trudu ustrzelił ze schodów. Kamizelka by mnie nie ochroniła.

Wiedział, że tutaj jestem. Słyszał, jak spadałem ze schodów. Z pewnością zauważył pęknięte deski, ziejącą dziurę, brakujące stopnie. Ale czy wiedział, że znajduję się dokładnie pod nim?

Dowie się, gdy tylko spojrzy w dół. Wtedy będzie po wszystkim.

Ponownie zerknąłem na gołą żarówkę, a po chwili dostrzegłem na ziemi pękniętą, zakrwawioną deskę, której nierówna krawędź wbiła mi się w nogę.

Chwyciłem ją i szybkim ruchem cisnąłem w żarówkę, rozbijając ją i pograżając piwnicę w ciemności.

Teraz miałem szansę.

Jednak po kilku sekundach na schodach rozbłysła latarka. Stożkowy snop światła zaczął powoli omiatać podłogę, ściany i mroczne kąty. Słyszałem, jak Żukow niespiesznie i z rozmysłem schodzi po schodach.

Nagle latarka zgasła. Ciemność rozpraszał tylko trapez światła wpadającego przez otwarte drzwi. Może schował latarkę do kieszeni. Potrzebował obu rąk, żeby trzymać potężny pistolet.

Teraz wszystko było kwestią kilku sekund. Musiałem wstać i przygotować się do walki, ale nie mogłem narobić hałasu. Najłżejszy szmer wskazałby Żukowowi moją kryjówkę.

Liczyło się wyczucie czasu. Mogę się poruszyć dopiero wtedy, gdy on to zrobi, kiedy odgłosy jego kroków oraz skrzywienie i stękanie starego drewna zamaskują ciche odgłosy, które będą towarzyszyły mojemu dźwiganiu się na nogi.

Nasłuchiwałem, leżąc nieruchomo.

Suchy chrobot. Szczur wyszedł z ukrycia, zaniepokojony ponownym zamieszaniem. Może bał się, że kolejny człowiek runie do jego gniazda. Podszedł do mnie, tupiąc po posadzce. Zatrzymał się, jakby podejmował decyzję, obserwując teren bystrymi oczkami.

Dokładnie nade mną zaskrzypiał kolejny stopień. Wystraszony szczur ruszył w moją stronę i przebiegł mi po szyi, drapiąc skórę ostrymi pazurami, przesuwając po twarzy twardym ogonem, łaskocząc w uchu. Zadrżałem.

Mimo wszystko udało mi się nie poruszyć.

Błyskawicznie zakryłem zwierzaka obiema dłońmi, chwyciłem wijące się, włochate ciało... i rzuciłem je na drugą stronę pomieszczenia.

Huknął strzał, a zaraz po nim rozległ się grzechot metalowych przedmiotów spadających na ziemię.

Dzwoniło mi w uszach.

Żukow usłyszał hałasującego szczura i pomyślał, że to ja.

Ale teraz już wiedział, że mnie nie trafił. Nikt nie może zostać trafiony pociskiem takiego kalibru i nie wydać z siebie wrzasku czy choćby stęknięcia.

Czy skończyła mu się amunicja? Czy w magazynku miał sześć, czy siedem pocisków? Nie mogłem mieć pewności.

Może pozostała mu jedna kula.

A może włożył nowy magazynek.

Zszedł na kolejny stopień, a ja już wiedziałem, co muszę zrobić.

Musiałem chwycić jego pistolet.

Przez dziurę po jednym z zapadniętych stopni widziałem obcasy butów Żukowa.

Potem usłyszałem charakterystyczny metaliczny trzask towarzyszący wyjmowaniu magazynka. Broń znajdowała się bezpośrednio nade mną, na tyle blisko, żeby ją złapać i wyrwać mu z dłoni. Jeżeli tylko będę się poruszał wystarczająco szybko i go zaskoczę.

Teraz.

Odepchnąłem się obiema rękami od podłogi i opierając się na prawej stopie, dźwignąłem do pionu.

Następnie chwyciłem Żukowa za prawy but i szarpnąłem. Stracił równowagę i zatoczył się w dół schodów, krzycząc z zaskoczenia i wściekłości. Schody stęknęły i zaskrzypiały, a wokół rozprysnęły się kawałki drewna. Coś ciężkiego i metalowego z łoskotem upadło obok moich stóp.

Desert eagle?

Sięgnąć po broń czy rzucić się na Żukowa i spróbować go unieruchomić, zanim zdoła wstać?

Rzuciłem się w stronę pistoletu.

Jednak to nie była broń, tylko jego latarka: długi i czarny sprzęt firmy Maglite. Lotnicze aluminium z gałką na rękojeści, ciężka jak policyjna pałka.

Pochyliłem się i ją podniosłem, a kiedy się obróciłem, Żukow stał niecałe dwa metry ode mnie z pistoletem w obu rękach, ale nie celował we mnie, tylko w miejsce położone o ponad pół metra w lewo.

Nie widział mnie w ciemności. Ja również niewiele widziałem, ale w tej chwili moje oczy były bardziej przyzwyczajone do mroku.

Rzuciłem w jego głowę latarką. Nie spodziewał się tego i ryknął z bólu, kiedy trafiła go w grzbiet nosa. Krew pociekła mu z oczu i trysnęła z nosa.

Zatoczył się, a wtedy skoczyłem na niego i przewróciłem go na podłogę, wbijając mu kolano w żołądek i prawą pięścią celując w krtań, lecz on się obrócił, tak że trafiłem go potężnym hakiem w szczękę.

Upuścił broń.

Wylądowałem na nim i przygwoździłem go do podłoża prawym kolanem i lewą dłonią. Na pięści czułem lepką krew. Jednak Żukow dysponował niespodziewanymi zapasami sił, jakby ból tylko go prowokował, napędzał i podsyczał wściekłość. Jakby przemoc sprawiała mu przyjemność.

Dźwignął tułów z posadzki i zdzielił mnie pięścią w lewe ucho. Obróciłem głowę, jednak i tak zdołał mnie mocno trafić tuż za uchem. Spróbowałem uderzyć go w twarz, ale wtedy w moją stronę pomknęło coś dużego i stalowego. Nieco za późno zrobiłem unik i zdałem sobie sprawę, że Żukow odzyskał swój pistolet.

Trzymając broń za długą lufę, trafił mnie rękojeścią w skroń, niczym dwukilogramową pałką.

Moja głowa eksplodowała bólem.

Przez chwilę widziałem tylko jaskrawe światła. W ustach czułem smak krwi. Moje dłonie chwyciły pustkę i przechyliłem się w bok, a wtedy Żukow usiadł na mnie i grzmotnął rękojeścią pistoletu w sam środek czoła.

Byłem zamroczony i brakowało mi tchu. Nad sobą widziałem jego twarz. Miał oczy w niepokojącym bursztynowym kolorze, jak wilk.

– Czy wierzysz, że po śmierci zobaczysz światełko na końcu tunelu? – spytał. Jego głos był wyższy, niż zapamiętałem z nagrań i szorstki jak papier ścierny.

Nie odpowiedziałem. Zresztą to było retoryczne pytanie.

Obrócił pistolet, po czym przycisnął lufę do mojego czoła, trzymając broń jedną ręką i kręcąc nią, jakby gasił papierosa.

– No dalej – wysapałem. – Pociągnij za spust.

Na jego twarzy nie było widać żadnej reakcji. Jakby mnie nie usłyszał.

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Co się stało, brakuje ci siły?

Miałem wrażenie, że jego źrenice rozbłysły.

– Pociągnij za spust! – wrzasnąłem.

Zobaczyłem wahanie na jego twarzy. Rozdrażnienie. Zastanawiał się, co ma zrobić.

Wiedziałem, że skończyła mu się amunicja. Wiedziałem, że on również zdaje sobie z tego sprawę. Wyjął magazynek, ale nie zdążył włożyć nowego.

Krew z nosa sączyła się na jego bobrze zęby i skapywała na moją twarz. Skrzywił się i lewą ręką wyciągnął coś z buta.

Błysk stali: dwunastocentymetrowe ostrze z czarną rączką. Okrągły stalowy guzik na rękojeści. Zamachnął się i przeciął mi ucho. Poczułem zimno, a następnie gorąco oraz okropny ból i próbowałem go trafić prawą pięścią, ale czubek ostrza znalazł się pod moim lewym okiem.

Opierał się o gałkę oczną. Przecinał delikatną skórę. Żukow popchnął rękojęść i czubek ostrza przebił skórę.

Chciałem zamknąć oczy, ale tego nie zrobiłem, tylko wpatrywałem się w niego wyzywająco.

– Wiesz, co to jest? – spytał.

Mój znajomy z KGB opowiadał mi o nożu pneumatycznym.

– Dusia – odparłem.

Prawie niezauważalne wahanie. Najwyraźniej imię jego matki go poruszyło.

– Rozmawiałem z nią. Wiesz, co powiedziała?

Zamrugnął, po czym lekko zmrużył oczy, a jego nozdrza się rozszerzyły.

Ta sekunda mi wystarczyła.

Zarzuciłem lewą nogę na jego prawe udo i pociągnąłem go ku sobie, jednocześnie wbijając mu prawe kolano w brzuch. Obrócił się pod wpływem tych dwóch przeciwstawnych sił, a wtedy chwyciłem go za lewy nadgarstek i błyskawicznie rzuciłem na ziemię.

Uderzyłem go łokciem w prawe ucho i osłoniłem głowę ramieniem. Prawym kolaniem unieruchomiłem jego nogę. Próbował mnie bić prawą pięścią i kilka razy trafił mnie w czubek głowy, ale nie odsłaniałem żadnych wrażliwych miejsc. Złapałem go za lewy nadgarstek i nacisnąłem na palce obejmujące rękojęść noża, usiłując rozerwać jego uchwyt i odebrać mu ostrze.

Jednak nie doceniłem wytrzymałości i niemal nieludzkiej siły bandyty. Kiedy walczyliśmy o nóż, uderzył mnie kolaniem w krocze. Cios przeszył moje podbrzusze falami tępego bólu przyprawiającego o mdłości. Żukow ponownie znalazł się na wierzchu, a wierzchołek noża zbliżył się do mojego lewego oka.

Chwyciłem gościa za dłoń, próbując odepchnąć nóż, ale udało mi się jedynie utrzymać go w tym samym miejscu, tuż nad skórą. Dłoń Żukowa drżała z wyczerpania.

– Jeśli mnie zabijesz, to niczego nie zmieni – wysapałem. – Inni już są w drodze.

– Więc się spóźnię – powiedział z krzywym, kpiącym uśmiechem. – Trumna wypełni się wodą, a ja ucieknę. Zanim ją wykopią, będzie martwa.

Nóż się zbliżał, a ja próbowałem go odepchnąć. Ostrze trzęsło się, ale wciąż dotykało mojego oka.

– Chyba znasz tę dziewczynę – powiedział.

– Tak.

– Więc opowiem ci, co mi zrobiła – dodał. – To bardzo niegrzeczna dziewczynka.

Ryknąłem wściekle i pchnąłem z całej siły. Żukow przewrócił się na bok, ale nie puścił rękojęści noża.

Wbiłem mu kolano w brzuch i odepchnąłem prawą rękę. Ostrze noża, który ciągle mocno ścisnął w dłoni, zagłębiło się w jego gardle, w miękkim ciele pod brodą.

Dopiero później zrozumiałem, co się wtedy wydarzyło.

Jego dłoń najwyraźniej nieco się przesunęła i trąciła metalowy przycisk.

Nóż wypuścił dużą kulę zmrożonego gazu prosto do jego tchawicy.

Rozległ się głośny trzask, a następnie syczący wybuch.

Ohydna fontanna krwi i kawałków ciała zbryzgała mi twarz, a w jego wytrzeszczonych bursztynowych oczach dostrzegłem niedowierzanie.

Wytrzymałem, dopóki nie wydobyli trumny.

Pięciu członków oddziału SWAT musiało kopać przez dwie godziny, używając łopat pożyczonych od policjantów z Pine Ridge. Trumna znajdowała się na głębokości prawie trzech metrów, a ziemia była nasiąknięta i ciężka po niedawnym potopie. Wydobyli skrzynię na czarnych nylonowych pasach. Dwaj mężczyźni ustawili się z jednej, a trzech z drugiej strony otworu. Poradzili sobie błyskawicznie. Trumna ważyła nieco ponad sto kilogramów.

Była wgnieciona w kilku miejscach, a z jej jednej strony wystawał żółty wąż o średnicy centymetra. Ukryto go pod ziemią na długości sześćdziesięciu metrów i podłączono do kompresora na werandzie. Z drugiej strony trumny wystawała znacznie grubsza, sztywna rura z tworzywa sztucznego, której koniec sterczał z ziemi.

Funkcjonariusze nie uwierzyli w moje zapewnienia, że w trumnie nie ma bomby pułapki. Oczywiście nie mam im tego za złe. Nie patrzyli w oczy potwora.

Gdyby Żukow podłożył bombę w trumnie, nie odmówiłby sobie przyjemności dręczenia mnie tą informacją.

Ale tego nie zrobił. Bomby nie było.

Dwaj saperzy zbadali wąż od kompresora, rurkę wentylacyjną oraz powłokę trumny, szukając detonatorów.

Jakoś udało im się ignorować łomotanie, tłuczenie i zduszone krzyki dobiegające ze środka. Ja tego nie potrafiłem.

Diana mnie obejmowała. Była dla mnie wsparciem, i to w najbardziej dosłownym znaczeniu. Nogi miałem jak z waty. Wszystko rozmazywało mi się przed oczami, chociaż sam nie wiedziałem dlaczego. Przecież straciłem bardzo niewiele krwi. Jednak ból w klatce piersiowej stale przybierał na sile. Otrzymałem mocny cios, ale sądziłem, że najgorsze już minęło.

Mylłem się. Nasilający się ból powinien był mnie ostrzec, ale zbyt się skupiałem na wydobyciu Alexy z trumny.

– Nico, nie miałeś na sobie płytek rozpraszających siłę uderzenia – zauważyła Diana.

– Hej, miałem szczęście, że w ogóle włożyłem kamizelkę – odparłem między gwałtownymi oddechami. – Takie płytki nie stanowią standardowego wyposażenia. –

Oddychałem z coraz większym trudem. Nie mogłem napełnić płuc powietrzem. To powinno stanowić drugi sygnał ostrzegawczy.

– Trzeba było na nas zaczekać.

Popatrzyłem na nią i spróbowałem się uśmiechnąć.

– No dobrze – dała za wygraną, tuląc się do mojej szyi. – Cieszę się, że nie czekałeś.

Ale czy zawsze musisz pierwszy stawiać się na polu bitwy i opuszczać je jako ostatni?

– Nie, odejdę, kiedy tylko ją zobaczę.

Głuche uderzenia i niewyraźne krzyki, które równie dobrze mogłyby dobiegać z odległości kilometra. Nie mogłem tego słuchać. Jednak saperzy kontynuowali skrupulatną inspekcję.

– Tam nie ma żadnych ładunków wybuchowych – powiedziałem, zataczając się na podmokłym polu. – Na pewno by się tym przechwalał.

– Dokąd idziesz?

– Muszę ją wyciągnąć.

– Nie wiesz jak.

Ale wiedziałem. Znam się na trumnach. Departament Obrony na życzenie zapewnia standardowe metalowe albo drewniane trumny rodzinom żołnierzy poległych na służbie. Kilkakrotnie miałem ponury obowiązek eskortowania ciał kolegów na pokładzie samolotu lecącego do domu.

Kiedy dotarłem do trumny Alexy, odepchnąłem na bok jednego z facetów w masywnym ochronnym kombinezonie kosmonauty. Zaczął protestować, a drugi z saperów usiłował zagrozić mi drogę.

– Cofnąć się! – krzyknął ktoś.

Pozostali członkowie oddziału SWAT zgodnie z procedurami trzymali się z daleka.

– Na pewno któryś z was ma zestaw kluczy ampulowych! – zawołałem.

Ktoś rzucił mi zestaw imbusów. Znalazłem właściwy i wsunąłem go w otwór u podstawy trumny, a następnie przekręciłem cztery albo pięć razy w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, żeby odblokować wieko.

Gumowa uszczelka była zgnieciona w kilku miejscach, w których stalowa trumna zaczęła uginać się pod ciężarem trzech metrów ziemi, ale udało mi się otworzyć pokrywę.

Ze środka buchnął straszliwy smród, jak ze ścieku.

Alexa leżała we własnych odchodach, a raczej kilkanaście centymetrów ponad nimi. Podniosła wzrok, ale nie patrzyła na mnie. Miała potargane włosy, bladą twarz i zapadnięte oczy.

Była ubrana w niebieski fartuch lekarski i pokryta wymiocinami. Lekko zaciśniętymi dłońmi co jakiś czas targały wstrząsy. Nie mogła przestać uderzać w ściany trumny. Jej bose stopy drgały.

Nie rozumiała, że jest wolna.

Ukląknęłam nad nią i pocałowałam ją w czoło.

– Hej – powiedziałem.

Wodziła oczami po niebie. Nie widziała mnie. Nagle zatrzymała na mnie zaskoczony wzrok.

Uśmiechnąłem się do niej, a ona zaczęła płakać.

To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętałem.

Nienawidzę szpitali.

Niestety, musiałem spędzić kilka dni w szpitalu Beth Israel w Bostonie, dokąd moi życzliwi przyjaciele z FBI przetransportowali mnie śmigłowcem z New Hampshire. Lekarz na oddziale urazowym oznajmił, że na skutek otrzymanego uderzenia doznałem odmy opłucnowej. Cała moja klatka piersiowa wypełniła się powietrzem, a płuca się zapadły, co spowodowało zaburzenia oddychania. Stanowiło to zagrożenie życia, a gdyby jeden z funkcjonariuszy SWAT nie zainterweniował, z pewnością bym umarł.

Spytałem, co takiego zrobił.

– Chyba nie chce pan wiedzieć – odparł lekarz.

– Zaryzykuję.

– Ktoś z przeszkoleniem medycznym wbił panu w pierś dużą igłę, żeby wypuścić powietrze – wyjaśnił delikatnie.

– Czyli skorzystał z zestawu Cooka?

Lekarz wyglądał na zaskoczzonego.

– W wojsku nazywaliśmy to torakotomią za pomocą igły. Każdy sanitariusz polowy nosi w apteczce zestaw Cooka, żeby sobie poradzić z odmą opłucnową.

Lekarz odetchnął z ulgą.

Zlecił wykonanie mnóstwa zdjęć rentgenowskich, założył mi dren w klatce piersiowej, a także oczyścił i zabandażował ranę na łydce, dał mi zastrzyk przeciwtężcowy i odesłał na inny oddział, żebym odpoczął. Po trzech dniach wypuszczono mnie ze szpitala.

Diana czekała, żeby odwieźć mnie do domu.

...

Chociaż mogłem już chodzić, pielęgniarz uparł się, żeby przetransportować mnie do wyjścia na wózku, podczas gdy Diana poszła po samochód.

Podjechała moim land roverem. Świeżo umyty lakier lśnił.

– Wygląda znajomo? – spytała, kiedy wsiadłem.

– Niezbyt. Wygląda niemal jak nowy. Ktoś znalazł go w lesie w New Hampshire?

– Jeden ze snajperów. Przyjechał nim do Bostonu i uznał, że podoba mu się bardziej od jego chevroleta malibu. Nie było łatwo wyrwać mu go z łap. Ale przynajmniej go umył.

– Chciałbym się zobaczyć z Alexą. Wciąż jest w szpitalu?

– Wyszła znacznie szybciej od ciebie. Zajęli się jej odwodnieniem, przebadali ją i stwierdzili, że nic jej nie jest.

– Wątpię.

– Masz rację. Miałam do czynienia z wieloma dziećmi, które doznały traumatycznych przeżyć. Znam kilku dobrych terapeutów. Może przekonasz ją, żeby się do któregoś wybrała.

– Jest w domu?

– Tak, w Manchesterze. Nie sądzę, żeby była tym zachwycona, ale to jej dom. – Kiedy jechaliśmy Comm Avenue w stronę Mass Avenue, Diana zaproponowała: – Może ugotuję dziś dla ciebie kolację? Uczcijmy to.

– Niby co mamy uczcić?

Zerknęła na mnie z ukosa i wydeła usta.

– Czy ja wiem, może to, że uratowałeś tej dziewczynie życie?

– Gdyby nie pomoc...

– I znów to samo.

– Co takiego?

– Przypisujesz zasługi wszystkim oprócz siebie. Przy mnie nie musisz tego robić.

Byłem zbyt zmęczony, żeby się kłócić.

– Jedźmy do mnie – stwierdziła. – Nie chcę być pierwszą osobą, która włączy twoją kuchenkę. Czy ona w ogóle działa?

– Nie jestem pewien. Pozwól, że najpierw wrócę do siebie i wezmę prysznic. Albo długą kąpiel.

– To tylko kolacja.

– A nie randka. Jasne.

– Nie udawaj, że nie przyszło ci to do głowy.

– Ależ skąd – odparłem.

– Wiesz co, Nico? Jak na faceta, który tak dobrze rozpoznaje kłamstwa, sam wyjątkowo kiepsko kłamiesz.

Wzruszyłem ramionami. Ona też nie była w tym najlepsza.

Tydzień później

Fale głośno rozbijały się o skały w dole, a wiatr wył wzdłuż przylądka. Niebo pokrywały ciężkie chmury w kolorze żalobnej szarości, z których w każdej chwili mógł spaść ulewny deszcz.

Nie zauważyłem żadnych uzbrojonych strażników. Stróżówka była pusta. Zaparkowałem na okrągłym podjeździe i przeszedłem przez werandę, słysząc pod stopami skrzypienie desek.

Wcisnąłem przycisk dzwonka i odczekałem prawie minutę, a następnie ponownie zadzwoniłem. Po kolejnej minucie drzwi się otworzyły i w progu stanął Marshall Marcus.

Miał na sobie szary rozpinany sweter i wygniecioną białą koszulę frakową.

– Nickeleh – powiedział z uśmiechem, ale na jego obliczu nie było radości. Sprawiał wrażenie zmęczonego i pokonanego. Jego twarz wychudła, a zęby wyglądały na zbyt duże i zdecydowanie za białe. Skórę znaczyły zmarszczki, a rudawe włosy sterczały w chaotycznych kępkach. Wyglądał, jakby przed chwilą drzemał.

– Przepraszam, że cię obudziłem – rzekłem. – Jeśli chcesz, wpadnę później.

– Nie wygłupiaj się, wejdź. – Mocno mnie uściskał. – Dziękuję, że przyjechałeś.

Przeszedłem za nim do przedniej części domu, skąd można było obserwować ocean. Marshall siedł przygarbiony. W salonie było ciemno, jedyne światło pochodziło od blaknącego późnopołudniowego nieba. Na jednej z kanap leżał zmięty tani koc z logo Red Soxów. Sprzedają takie na stadionie Fenway Park.

– Nadal nie chce rozmawiać? – spytałem.

Marcus przeciągle westchnął i opadł na fotel.

– Prawie nie wychodzi z pokoju. Zupełnie, jakby jej tutaj nie było. Ciągle śpi.

– Po tym, co przeszła, powinna z kimś porozmawiać. To nie musi być jeden ze specjalistów, których poleciła Diana, ale ktoś by się przydał.

– Wiem, Nick. Wiem. Może ty ją przekonasz. Lexie zawsze cię słuchała. Czujesz się już lepiej?

– Zdecydowanie.

– Dobrze, że miałeś na sobie kamizelkę, co?

– Tak, prawdziwy łut szczęścia. Dobrze robisz.

Popatrzył na mnie pytająco.

– Chodzi mi o rozmowy z FBI.

– Aha. Po prostu Schecky twierdzi, że może mi pomóc zawrzeć układ.

– Daj Gordonowi Snyderowi, czego chce, a FBI stanie po twojej stronie – poradziłem.

– Mają duże wpływy u prokuratora generalnego.

– Ale co to oznacza? Wsadzą mnie do więzienia? Popatrz, co musiała wycierpieć moja córeczka... Teraz dodatkowo straci tatę?

– Jeżeli pójdziesz na pełną współpracę, być może nawet unikniesz kary.

– Naprawdę tak uważasz?

– To zależy od tego, jak wiele im zdradzisz. Będziesz musiał powiedzieć wszystko o Merkurym. Już i tak dużo wiedzą.

– Schecky twierdzi, że nie muszę się niczym przejmować, jeśli tylko będę robił to, co mi każe.

– Jak do tej pory na tym wychodziłeś? – spytałem.

Zawstydził się i długo nic nie mówił.

W końcu przerwałem ciszę.

– Gdzie jest Belinda?

– Właśnie dlatego poprosiłem, żebyś przyjechał – odrzekł Marcus. – Odeszła.

Wręczył mi jasnoniebieską kartkę, na której szczycie widniało nazwisko Belinda Jackson Marcus nakreślone drobnym starannym pismem. Sam list napisano dużymi, pełnymi zawijasów literami, które wyraźnie wyszły spod ręki kobiety, jednak kilka z nich – wszystkie „h”, a także „a” oraz „w” – przypominały cyrylicę. Zupełnie jakby napisał je ktoś, kto w dzieciństwie uczył się rosyjskiego. Wiadomość głosiła:

Kochanie!

Myślę, że tak będzie lepiej. Kiedyś o tym porozmawiamy.

Bardzo się cieszę, że Alexa wróciła do domu.

Naprawdę Cię kochałam.

Belinda

– Powiedziała, że jedzie się spotkać z koleżanką w mieście, a kiedy wstałem, znalazłem ten liścik oparty o ekspres do kawy. Co to znaczy?

To znaczyło, że została ostrzeżona, iż FBI zamierza ją dopaść. Chociaż prawdę mówiąc, trudno byłoby udowodnić, że Anja Afanasjewa popełniła jakiegokolwiek poważne przestępstwo.

– Czasami dopiero w kryzysowych sytuacjach dowiadujemy się, kim naprawdę jest dany człowiek – odrzekłem.

Wątpię, czy zrozumiał, o kim mówiłem.

Pokręcił głową, jakby opędzał się przed uciążliwą muchą albo myślą.

– Nick, musisz ją znaleźć.

– Sądzę, że ona tego nie chce.

– O czym ty mówisz? Jest moją żoną. Kocha mnie!

– Może bardziej kochała twoje pieniądze.

– Od wielu miesięcy wiedziała, że jestem bankrutem. Nic się między nami nie zmieniło.

– Widzisz, Marcus, są różne poziomy bankructwa.

Zapadła długa cisza.

W końcu Marcus odwrócił się do mnie plecami.

– Daj spokój, Marshall. Naprawdę myślałeś, że wyprowadzisz czterdzieści pięć milionów dolarów za granicę i nikt się o tym nie dowie? Dziś to już nie jest takie łatwe.

Marcus poczerwieniał.

– No dobrze, więc zapewniłem sobie małe zabezpieczenie – powiedział. – Pieniądze, których nie zamierzałem tykać. Pieniądze, których będę potrzebował, jeśli kiedyś zechcę wrócić do gry. – Miałem wrażenie, że się broni, a nawet jest rozdrażniony. – Nie zamierzam przeproszać za to, co mam.

– Przeproszać? A za co miałbyś przeproszać?

– No właśnie.

Nie zauważył uszczypliwego tonu, z jakim to powiedziałem.

– Przecież od początku działasz konsekwentnie... ani na chwilę nie przestałeś mnie okłamywać. Nawet kiedy Alexa po raz pierwszy została porwana, a ty powiedziałeś, że nie masz pojęcia, kto za tym stoi. Wiedziałeś, że to ludzie Davida Schechtera strzelają z bicza. Upewniam się, że zrobisz, co ci każą. Ale myślę, że Annelise coś podejrzewała. Może właśnie dlatego nie mogła dłużej z tobą wytrzymać.

Zawahał się, ale najwyraźniej nie zamierzał zaprzeczać.

– Słuchaj, jeśli chodzi o pieniądze, to nie ma sprawy. Zapłacę ci za wszystko. – Kąciki jego ust drgnęły, jakby starał się ukryć uśmiezek.

Roześmiałem się.

– Jak już wspominałem, Marcus, są różne poziomy bankructwa. Od dziewiątej rano nie masz niczego. Sprawdź w banku na Kajmanach. Dzisiaj rano wypłacono całą sumę czterdziestu pięciu milionów dolarów.

– Zniknęły? – Marcus opadł na sofę i zaczął się kołysać w tył i w przód. Jakby zamierzał pogрузić się w modlitwie albo rozpłakać. – Dlaczego znów mi się to przytrafia?

– Może to nie był najmądrzejszy pomysł, żeby założyć konto na nazwisko Belindy – odparłem.

David Schechter chciał się ze mną spotkać, zanim FBI odwiedzi go w jego biurze. Stwierdził, że to pilna sprawa.

– Chciałbym cię przeprosić – rzekł. Siedział na rozchwianym zabytkowym krześle za malutkim zabytkowym biurkiem.

– Za co?

– Przyznaję, że zareagowałem przesadnie. Powinienem od początku być z tobą szczery. Jesteś rozsądnym człowiekiem. Więcej, jesteś prawdziwym amerykańskim bohaterem.

Posłał mi spojrzenie pełne podziwu, jakby stał przed nim wybitny mąż stanu, na przykład Winston Churchill. Albo Bono.

– To bardzo miłe słowa – powiedziałem. – Przyjmuję przeprosiny.

– Sam najlepiej rozumiesz, że nie wolno nam narażać bezpieczeństwa narodowego.

– Niewątpliwie.

– Już dałem Marshallowi do zrozumienia, jak ważne jest, żeby nie przekazywał FBI żadnych informacji dotyczących Merkurego wykraczających poza to, co jest im niezbędne do prowadzenia dochodzenia.

– Po co ukrywać to przed FBI?

– Nick, przecież wiesz, jak działa Waszyngton. Jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw, że dziesięć miliardów dolarów z wojskowego czarnego budżetu przepadło na skutek prywatnych inwestycji... Dobry Boże, do takiej przynęty ściągną rekiny z najdalszych zakątków oceanu. Byłeś żołnierzem. Wyobrażasz sobie, jak taka informacja nadszarpię nasze narodowe bezpieczeństwo?

– Nie bardzo.

Zamrugnął z powagą za okularami w rogowych oprawkach.

– Nie rozumiesz, że wybuchłby potężny skandal?

– Ależ oczywiście. Skandal będzie potężny. Mnóstwo ludzi zacznie się zastanawiać, jak to możliwe, że ukradliście tyle pieniędzy z Pentagonu.

Uśmiechnął się nerwowo.

Ponieważ wreszcie poznałem prawdę w holu hotelu Mandarin.

– Musi pan zrozumieć – wyjaśnił mi Roman Nawrozow – jakie to frustrujące, że muszę trzymać się z boku, chociaż mógłbym zainwestować miliardy dolarów i euro w amerykański przemysł. Niestety, wszystkie moje interesy są blokowane przez rząd Stanów Zjednoczonych, podczas gdy Ameryka sprzedaje się wszystkim krajom świata, wliczając własnych zaciekle wrogów.

– To chyba lekka przesada – powiedziałem.

– Czy pan wie, że dziesięć procent Ameryki znajduje się w rękach Saudyjczyków? Komunistyczne Chiny są w posiadaniu większości obligacji wyemitowanych przez wasz Departament Skarbu. Część waszych największych firm z branży zbrojeniowej należy do zagranicznych koncernów. Ale kiedy ja próbuję kupić amerykańską firmę produkującą stal albo komputery bądź spółkę z branży energetycznej, wasz rząd odmawia. Anonimowi biurokraci z Departamentu Skarbu twierdzą, że to zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

– Więc potrzebował pan dokumentów dotyczących Merkurego jako karty przetargowej? Żeby rząd Stanów Zjednoczonych był zmuszony dać panu zielone światło?

Wzruszył ramionami.

– W takim razie w tych dokumentach musi się znajdować coś, co wielu potężnych ludzi chciałoby zachować w tajemnicy.

Wzruszył ramionami.

– Zamieniam się w słuch – rzekłem.

...

Rozparłem się na delikatnym zabytkowym drewnianym krześle. Mebel ostrzegawczo zatrzeszczał. Schechter się skrzywił.

– Zmiana tajnego funduszu w fundusz hedgingowy, żeby przez trzydzieści lat po cichu przekazywać pieniądze najpotężniejszym ludziom w Ameryce. Genialne – zauważyłem.

Popatrzyłem znacząco na ścianę obwieszoną zdjęciami, na których Schechter z uśmiechem ścisnął dłonie byłych sekretarzy obrony narodowej, czterech byłych

wiceprezydentów, a nawet kilku byłych prezydentów.

– Tylko w jakim celu? Chciał pan poprawić swoją pozycję? Czego pan pragnął? Jak wielkie wpływy musiał pan zdobyć? Po co?

– Nie ma pan zielonego pojęcia, prawda?

– O czym?

Długo milczał, przyglądając się nieskazitelnemu blatowi swojego biurka, aż w końcu podniósł wzrok.

– Zapewne jest pan zbyt młody, żeby pamiętać, że kiedyś najlepsi i najbystrzejsi podejmowali pracę na rządowych posadach, ponieważ tak wypadało.

– Jak w Camelot?

– A gdzie dzisiaj trafiają absolwenci najlepszych college'ów? Na uczelnie prawnicze i do banków inwestycyjnych. Idą tam, gdzie czekają największe pieniądze.

– Ma im pan to za złe?

– No właśnie. Dyrektor Merrill Lynch zgarnia sto milionów dolarów za doprowadzenie swojej spółki do ruiny. Facet, który niemal zniszczył Home Depot, dostaje dwieście dziesięć milionów odprawy. Tymczasem ciężko pracującego urzędnika publicznego, który pomaga zarządzać wartym piętnaście bilionów dolarów przedsięwzięciem o nazwie Stany Zjednoczone Ameryki, nie stać na posłanie dzieci do college'u? Generał, który przez całe życie walczył o to, żeby jego ojczyzna była bezpieczna i silna, spędza starość w szeregowcu w Rockville w stanie Maryland, próbując jakoś przeżyć ze stu tysiącami emerytury rocznie?

– Dobrze – powiedziałem. – Chyba nigdy nie słyszałem lepszego usprawiedliwienia dla nieuczciwych zysków.

– Nieuczciwych? – Schechter był czerwony na twarzy, a jego oczy lśniły. – Pan to nazywa nieuczciwym zyskiem? A może to po prostu pieniądze na utrzymanie? Zwrot inwestycji w Amerykę? Celem Merkurego jest zadbanie o to, żeby najlepsi i najmądrzejsi obywatele nie byli karani za patriotyzm. Owszem, Nick, przekierowaliśmy strumień pieniędzy i stworzyliśmy cholerną fosę. Zagwarantowaliśmy naszym najlepszym urzędnikom publicznym, że nigdy nie będą się musieli martwić o finanse, dzięki czemu mogą szczerze poświęcać się służbie społecznej. Tak, chodziło o bezpieczeństwo narodowe. O nagradzanie bohaterów, mężów stanu i patriotów, a nie bankierów i oszustów, którzy sprzedaliby ojczyznę za dwa punkty bazowe.

Widziałem, jak pulsują mu żyły na szyi.

– Cóż, dobrze pan argumentuje – odrzekłem cicho. – Jestem pewien, że będzie pan miał okazję powtórzyć to przed ławą przysięgłych.

– Zaprzeczę, że kiedykolwiek o tym z panem rozmawiałem – powiedział z okrutnym uśmiechem.

– Nie musi się pan wysilać. – Wstałem i otworzyłem drzwi jego gabinetu. Stali za nimi Gordon Snyder i Diana Madigan, którzy towarzyszyli Marshallowi Marcusowi. Za ich plecami stało sześciu facetów w wiatrówkach z logo FBI. – Marshall zgodził się współpracować.

Schechter pokręcił głową.

– Ty sukinsynu. – Otworzył szufladę biurka.

– Nie ruszaj się! – krzyknął jeden z agentów.

Ale Schechter nie sięgnął po broń, tylko po miętówkę, którą wrzucił sobie do ust.

– Panowie – rzekł z błogim uśmiechem. – Proszę, wejdźcie.

Jednak nie wstał z krzesła, co nie było w jego stylu.

– Davidzie, bardzo mi przykro – odezwał się Marcus.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że Schechter wbija we mnie nieruchome spojrzenie.

Na usta wystąpiła mu piana. Poczulem zapach migdałów.

– Czy ktoś ma apteczkę? – zawołałem.

Dwaj agenci wpadli do gabinetu. Jeden z nich sprawdził puls Schechtera na nadgarstku i szyi. Potem pokręcił głową.

David Schechter zawsze się chwalił, że zna wyjście z każdej sytuacji.

Najwyraźniej nie przesadzał.

Wczesną jesienią zabrałem Dianę na przejażdżkę. Chciała zobaczyć drzewa w Nowej Anglii. Mnie one niespecjalnie interesowały, chociaż muszę przyznać, że ognistoczerwone liście klonów robiły wrażenie.

Diana nie miała żadnego konkretnego celu, po prostu chciała się przejechać. Zaproponowałem New Hampshire, gdzie wzdłuż dróg rośło więcej drzew.

Żadne z nas nie wspominało o naszej ostatniej wspólnej wizycie w New Hampshire.

– Mam coś dla ciebie – odezwałem się jakiś czas po wyruszeniu.

– Ojej.

– Zjrzyj do schowka.

Posłała mi zaskoczone spojrzenie, po czym otworzyła schowek i wyjęła małe, niezdarnie zapakowane pudełeczko.

Podniosła je, udając, że podziwia opakowanie.

– Każda pani domu mogłaby się od ciebie uczyć – zadrwiła.

– To chyba oczywiste, że znam się na innych rzeczach – powiedziałem.

Rozdarła papier i wstrzymała oddech.

– Nie wierzę – wykrztusiła, wpatrując się w ośmiokątną czarną buteleczkę perfum. – Gdzie do cholery zdobyłeś Nombre Noir? I to trzydzieści mililitrów? Zapieczętowane? Czyś ty oszalał?

– Chciałem ci je dać już kilka lat temu.

Nachyliła się i dała mi całusa.

– Prawie mi się skończyły. Myślałam, że już nigdy ich nie zdobędę. Kiedy ostatnio sprawdzałam na eBayu, piętnastomililitrową buteleczkę sprzedawali za ponad siedemset dolarów. Gdzie je zdobyłeś?

– Pamiętasz mojego znajomego jordańskiego handlarza bronią?

– Samira?

– Zgadza się. Sammy je dla mnie znalazł. Jednym z jego klientów jest pewien szejik z Abu Zabi, który przechowuje spory zapas w klimatyzowanym magazynie.

– Podziękuj ode mnie Samirowi.

– Już podziękowałem, możesz mi wierzyć. Można by pomyśleć, że poprosiłem go o głowicę nuklearną. Ale wyjechałaś, zanim zdążył mi je dostarczyć.

– Mogłeś mi je przesłać.

– Nie ufam poczcie – skłamałem.

Diana kiedyś mi wyjaśniła, że Nombre Noir to jedne z najwspanialszych perfum, jakie kiedykolwiek stworzono. Jednak teraz nie dało się ich kupić. Najwyraźniej firma, która je produkowała, traciła pieniądze na każdej buteleczce. Następnie Unia Europejska w swej nieskończonej mądrości zakazała stosowania jednego z głównych składników, damaskonu, ponieważ u drobnego odsetka ludzi wywołuje on nadwrażliwość na słońce. Firma wycofała ze sklepów wszystkie buteleczki, po czym zmiażdżyła je walcem.

Oczywiście kiedy tylko Diana powiedziała mi, że Nombre Noir nie da się zdobyć, postawiłem sobie za punkt honoru ich znalezienie.

– Mam nauczkę za to, że wyjechałam bez pożegnania.

– No właśnie.

– A skoro o tym mowa, to zaproponowano mi posadę specjalnej agentki nadzorującej w Miami.

– Świetna wiadomość – powiedziałem, starając się wykrzesać z siebie jak najwięcej entuzjazmu. – Gratulacje. W Miami może być wspaniale.

– Dzięki.

– Trudno odrzucić taką propozycję – stwierdziłem.

Miałem wrażenie, że niezręczne milczenie nigdy się nie skończy.

– A co z posadą Gordona Snydera?

Przełożeni Snydera nie byli zachwyceni tym, że potajemnie kazał zainstalować nielegalne urządzenie namierzające w moim telefonie, a następnie próbował zatrzeć ślady, twierdząc, że tajny informator zdradził mu miejsce pobytu Mauricia Perreiry. Został zdegradowany i przeniesiony do Anchorage.

Podobno zza swojego biurka widzi Rosję.

– Nie, na to miejsce szukają jakiegoś specjalisty od przestępczości zorganizowanej. Nico, czy mogłabym cię spytać o Romana Nawrozowa?

– Dobrze.

– Co z tą katastrofą śmigłowca w Marbelli? Nie uważasz, że to zbyt duży zbieg okoliczności?

Wzruszyłem ramionami. Umowa to umowa.

– Niech zgadnę. Ludzie Putina od lat starali się go dopaść, ale on nie ułatwiał im zadania. Dlatego dogadałeś się z jednym ze swoich informatorów z byłego KGB. Dokonałście handlu informacjami. W końcu to, co spotkało Nawrozowa, to nie

tragedia. Niektórzy nawet nazwaliby to sprawiedliwością. Zapewne uznałeś, że wszyscy na tym zyskają.

– A może po prostu pękła łopata wirnika, tak jak ustalono.

Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– Jasne. Niech ci będzie.

– Czasami pewne rzeczy po prostu się dzieją – dodałem po dłuższym milczeniu.

– Hm.

– Czytałaś dwa dni temu w „Globe” o księgowym, którego zmiażdżyła przewracająca się szafka? Nie ma bezpiecznych miejsc. Żadnych gwarancji.

– Nie mówiłam poważnie, kiedy wspominałam o małżeństwie z księgowym.

– Nie?

– Wystarczyłby mi administrator baz danych.

– Wcale nie żartuję. Możesz otoczyć się pięcioma warstwami zabezpieczeń, ale twój luksusowy śmigłowiec i tak spadnie nad Marbellą. Nie wiem, jak ty, ale ja wolałbym widzieć nadlatujący pocisk.

Przez chwilę oboje patrzyliśmy przed siebie.

– Może nie powinnam ci tego mówić, ale wkrótce dokonamy pierwszego aresztowania w sprawie Merkurego.

– Zastanawiałem się, czy kiedyś do tego dojdzie.

Tygodnie zmieniły się w miesiące i ani jeden z „inwestorów” Marshalla Marcusa nie został nawet przesłuchany. Żadne nazwiska nie pojawiły się w prasie.

Marshall Marcus pozostawał na wolności, gdyż zgodził się na współpracę z FBI, a jego nowi prawnicy prowadzili negocjacje z Komisją Papierów Wartościowych i Giełd. Wielu inwestorów domagało się jego głowy. Z pewnością czekała go odsiadka.

Jednak poza tym wydawało się, że nic się nie stało.

Może jestem cyniczny, ale podejrzewałem, że ktoś dyskretnie skontaktował się z prokuratorem generalnym. Może szepnął mu coś do ucha podczas obiadu u Charliego Palmera w Waszyngtonie.

– To złożona sprawa – odezwała się Diana. – Mówimy o bardzo ważnych osobistościach... wysokich rangą urzędnikach państwowych, starszych mężach stanu. Jak głosi przysłowie, jeśli strzela się do króla, trzeba go zabić.

– Przecież dysponujecie nazwiskami i numerami kont...

– Nagle pojawiła się cała masa nerwowych ludzi we władzach Departamentu Sprawiedliwości, którzy przywiązują ogromną wagę do szczegółów. Chcą, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik, zanim dokonają czystki na tak wysokich

szczeblach. Posypią się głowy, a ludzie stracą wiarę w wybranych przez siebie przedstawicieli.

– Tego byśmy nie chcieli – powiedziałem cierpko.

– Wydział spraw kryminalnych domaga się rejestrów bankowych z całego świata, także z zagranicznych banków, które nigdy nie pójdą na współpracę.

– Innymi słowy, nic się nie wydarzy.

Diana przez chwilę milczała.

– Jak wspominałam, to złożona sprawa.

– I to cię nie frustruje?

– Nie wychylam się i staram się jak najlepiej pracować.

– Więc kogo zamierzacie aresztować?

– Generała Marka Hooda.

Zerknąłem na nią z ukosa, po czym ponownie przeniosłem wzrok na drogę.

– Defraudacja, oszustwo... Lista zarzutów jest długa. To on nadzorował nielegalne przekazywanie tajnych funduszy pochodzących z czarnego budżetu Pentagonu.

Pokiwałem głową.

– Tak podejrzewałem.

– Byłeś blisko jego zdemaskowania, prawda? Zanim cię zwolnił?

– Chyba tak. Chociaż wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

Pokonaliśmy kilka kilometrów w milczeniu.

Może jedyną sprawiedliwością, na którą można liczyć, jest karma.

Na przykład taka Taylor Armstrong. Stwierdziła, że kiedy Mauricio Perreira nakłaniał ją, żeby umówiła go ze swoją najlepszą przyjaciółką Alexą, nie miała pojęcia, co się wydarzy. Uwierzyłem jej. Oczywiście nie stała się przez to mniej narcystyczna, podejrzana i podstępna.

Wkrótce po naszej ostatniej rozmowie Taylor wypisano ze szkoły i posłano do pewnej instytucji na zachodzie Massachusetts, która specjalizuje się w „nowatorskich” metodach leczenia poważnych zaburzeń zachowania i słynie ze stosowania elektrowstrząsów jako czynnika zniechęcającego. W porównaniu z tym miejscem Akademia Marston-Lee przypomina luksusowe spa.

Terapia wymagała także cotygodniowych konsultacji z rodzicami, co nie stanowiło problemu, skoro ojciec Taylor, senator Armstrong, ogłosił, że zrezygnuje ze swojego stanowiska, żeby spędzać więcej czasu z rodziną.

Zauważyłem zjazd z szosy i włączyłem kierunkowskaz.

– Dokąd jedziemy?

– Widziałaś kiedyś kampus w Exeter?

– Nie. Po co miałabym... – Nagle zrozumiała. – Myślisz, że jest gotowa, żeby się z tobą spotkać?

– Przekonamy się.

...

Diana zaczekała na mnie w samochodzie. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli sam spotkam się z Alexą.

Dziewczęca drużyna hokeja na trawie ćwiczyła na oszałamiająco zielonej sztucznej nawierzchni na stadionie futbolowym po przeciwnej stronie kampusu. Nie znałem się na hokeju na trawie, ale rozgrywka wyglądała jak szamotanina. To była chaotyczna gra, w pierwszej chwili trudna do zrozumienia. Co sekundę rozbrzmiewał dźwięk gwizdka. Kilka dziewcząt wyraźnie się wyróżniało, zwłaszcza jedna, a kiedy się odwróciła, zobaczyłem, że to Alexa.

Nosiła opaskę na związanych włosach. Miała opalone i muskularne ręce oraz długie, smukłe nogi.

W niebieskim ochraniaczu na zęby wyglądała agresywnie, ale sprawiała wrażenie zdrowej i zadowolonej.

Trenerka zagwizdała i zawołała: „Napijmy się wody” i wszystkie dziewczęta wypluły ochraniacze. Był to precyzyjny, automatyczny gest. Niektóre schowały je pod sportowe biustonosze, inne pod ochraniacze na piszczelach. Nawołując się, głośno rozmawiając i piszcząc, udały się w stronę wodotrysku z wodą pitną. Dwie uściskały Alexę – już zapomniałem, że dziewczęta w tym wieku są znacznie bardziej wylewne od chłopców – i z czegoś się zaśmiały.

Alexa odwróciła się, jakby wyczuła moją obecność, i złowiła moje spojrzenie. Szybko powiedziała coś do jednej z koleżanek, po czym niechętnie do mnie podeszła.

– Cześć, Nick.

– Naprawdę jesteś w tym dobra, wiesz?

– Radzę sobie. Najważniejsze, że to lubię.

– Ostro grasz. Jesteś twarda. Wręcz nieustraszona.

Roześmiała się pośpiesznie i nerwowo.

– Dar strachu, czy tak?

– Zgadza się. Chciałem się tylko przywitać i upewnić, że wszystko w porządku.

– Aha, no cóż, dzięki. Tak, wszystko jest spoko. Naprawdę dobrze. Po prostu... –

Popatrzyła tęsknie w stronę swojej drużyny. – To nie najlepsza chwila... rozumiesz?

– Nie ma sprawy.

– To znaczy, chyba nie jechałeś taki kawał drogi tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć, prawda? Mam nadzieję, że nie.

– Nic z tych rzeczy. Byłem w okolicy.

– Sprawa zawodowa?

– Właśnie.

– No więc, eee... – Pomachała mi. – Muszę lecieć. Dzięki, że wpadłeś. Miło cię widzieć.

– Tak, ciebie także – powiedziałem.

Zrozumiałem: mój widok przywołał mroczne i niepokojące emocje. Już zawsze będę się jej kojarzył z tym koszmarem. Przy mnie czuła się niekomfortowo. W głębi jej umysłu kryły się wspomnienia, z którymi jeszcze nie potrafiła sobie poradzić. Postanowiła ratować się przez zapomnienie.

Każdy z nas ma jakieś sposoby.

Kiedy wróciła na boisko, jej krok stał się swobodniejszy. Widziałem, jak opuszcza ją napięcie. Jedna z jej koleżanek powiedziała coś zabawnego, Alexa się uśmiechnęła, a trenerka ponownie dmuchnęła w gwizdek.

Patrzyłem jeszcze przez kilka minut. Alexa grała z płynną elegancją, niemal jak baletnica. Gdy zacząłem rozumieć zasady, obserwowanie rozgrywki stało się emocjonujące. Alexa pomknęła po boisku, podała do innej zawodniczki i wyrwała do przodu. Kiedy tylko znalazła się w polu strzału, w jakiś sposób z powrotem otrzymała piłkę, a wtedy zobaczyłem to samo, co jej koleżanki. Dziewczyna na bramce została wyprowadzona w pole i Alexa znalazła się na czystej pozycji. Uśmiechnęła się, podrzucając piłkę w powietrze i posyłając ją w stronę bramki.

Wiedziałem, że sobie poradzi.

Podziękowania

Chciałbym zacytować świętej pamięci Spike'a Milligana i powiedzieć: „Nie zamierzam nikomu dziękować, ponieważ zrobiłem wszystko sam”. Niestety, w moim przypadku to nieprawda.

Wykonałem tylko najtrudniejszą część zadania.

Jednak wielokrotnie zwracałem się do niewielkich grup ofiar... to znaczy doradców technicznych. Oto moja drużyna informatorów: Jeff Fischbach, niezwykle specjalista od danych elektronicznych i postać żywcem wyjęta z *Matrixa*, która wie zatrwającą dużo o namierzaniu telefonów; Stuart Allen, wybitny specjalista od analizy danych audio, który podziela moje zamiłowanie do dobrego wina i kiepskich kawałów; a także, ponownie, Dick Rogers, założyciel oddziału do uwalniania zakładników, który działa w ramach FBI, i krynica mądrości w tematach porwań i strategii ratunkowych, działań w terenie oraz broni.

Wielu ludzi w bostońskiej siedzibie FBI pomogło mi dopracować szczegóły, zwłaszcza agent specjalny Randy Jarvis, prawdziwy bohater filmów akcji, który dowodzi oddziałem do walki z brutalną przestępczością; Kevin Swindon z wydziału analizy danych elektronicznych; Ed Kappler, specjalista od broni palnej; Steve Vienneau z wydziału do walki z przestępstwami przeciwko dzieciom oraz agentka specjalna Tamara Harty z organizacji CARD w Providence. Szczególnie dziękuję agentce specjalnej Gail Marcinkiewicz, która mnie przedstawiła i pokierowała moimi krokami.

Kilku tytanów z branży funduszy hedgingowych łaskawie poświęciło czas na objaśnienie mi tajników swojej pracy – czas, który mogliby wykorzystać na zarobienie milionów. Tak, mam z tego powodu poczucie winy. Ale także jestem pełen wdzięczności wobec Jona Jacobsona z Highfields Capital Management, Richarda Leibovitcha z Gottex Funds (jego syn Jeremy pokazał mi grę *Call of Duty*), Billa Ackmana z Pershing Square Capital Management i Setha Klarmana z Baupost Group. Kristin Marcus z Highfields oraz Steve Alperin z Harvard Management Company wyjaśnili mi, jak są konstruowane fundusze.

Nick Heller ponownie mógł liczyć na wsparcie drużyny „prywatnych szpiegów”: Skipa Brandona i Gene'a Smitha ze Smith Brandon International oraz Terry'ego Lenznera z Investigative Group International, jak również Jacka Devine'a z Arkin Group.

Prawnicy, broń i pieniądze: najserdeczniejsze podziękowania dla Jaya Shapiro za porady prawne, doktora Eda Nawotki juniora za informacje o pistoletach i amunicji, Jacka Bluma, specjalisty od zagranicznej bankowości, spółek holdingowych i prania brudnych pieniędzy, za pomoc w obmyśleniu wielkiego przekrętu, a także dla mojego starego przyjaciela i współspiskowca Gilesa McNamee, właściciela ciemnozielonego land rovera defendera 110.

Za informacje dotyczące analizy danych komputerowych dziękuję Anishowi Dhandzie i Richowi Personowi z DNS Enterprise, Inc., Simsonowi Garfinkelowi i Markowi Spencerowi z Arsenal Consulting oraz Larry'emu Danielowi z Guardian Digital Forensics. O wykrywaniu podsłuchów opowiedział mi Kevin D. Murray z Murray Associates, o komunikacji satelitarnej – Wolf Vogel, a o tajnikach włamywania się i zabezpieczeń – Marc W. Tobias, Michael Huebler i Jeffrey Dingle z Lockmasters Security Institute. Dziękuję także Randy'emu Milchowi, radcy prawnemu w Verizon, i Michaelowi Sielickiemu, naczelnikowi policji w Rindge w New Hampshire, jak również majorowi Gregowi Heilshornowi z Narodowej Straży Lotniczej w New Hampshire, Kevinowi O'Brienowi, Justinowi Sullivanowi z RegentJet, Mercy Carbonell z Phillips Exeter Academy i Kevinowi Roche z agencji federalnej US Marshals Service. Raja Ramani z Uniwersytetu Stanowego w Pensylwanii, Brian Prosser z Mine Ventilation Services i Kray Luxbacher z Virginia Tech przekazali mi ważne szczegóły logistyczne dotyczące podziemnych cierpień Alexy Marcus. Natomiast Dennis Sweeney z domu pogrzebowego w Quincy w Massachusetts pozwolił mi przez chwilę zasmakować losu Alexy. Mam szczerą nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiał tego robić.

Domo arigato dla osobistego trenera Nicka Hellera, Jacka Hobana, etycznego wojownika i muzyka. Christopher Rogers z Grubb & Ellis znalazł dla mnie „steampunkowe” biuro Nicka w śródmieściu Bostonu, a Diane Kaneb łaskawie pozwoliła, żeby Marshall i Belinda zamieszkali w jej rodzinnym domu nad oceanem w Manchesterze. Hilary Gabrieli i Beth Ketterson opowiedziały mi co nieco o Louisburg Square. Lucy Baldwin była konsultantką do sprawy mody Alexy Marcus. Vivian Wyler i Anna Buarque z siedziby Rocco, mojego brazylijskiego wydawcy, pomogły mi z portugalskim. Liz Berry udzieliła mi kilku cudownych wskazówek dotyczących mieszkańców Georgii. Dziękuję Seanowi Reardonowi z hotelu Liberty, Aliemu Khalidowi z hotelu Four Seasons oraz Mike'owi Arnettowi z Mandarin Oriental za szczegółowe informacje o środkach bezpieczeństwa stosowanych w hotelach, a także mojemu bratu, doktorowi Jonathanowi Finderowi, i doktorowi Tomowi Workmanowi za informacje medyczne.

Perfumy, które Nick wręcza Dianie, Nombre Noir, naprawdę istnieją (choć już się ich nie produkuje, a ich zdobycie graniczy z cudem). Zaproponowała mi je dwójka wybitnych specjalistów od perfum, biofizyk (zwany cesarzem zapachów) Luca Turin i jego żona, pisarka Tania Sanchez.

Skoro miałem w swoim narożniku tylu ekspertów, to ewentualne błędy muszą oznaczać, że któryś z nich się zagapił.

Nie ma lepszego agenta literackiego niż Molly Friedrich. We Friedrich Agency dziękuję także Paulowi Cirone oraz Lucy Carson – za niezwykle wnikliwą pracę redaktorską. Miałem do dyspozycji znakomitą specjalistkę od internetu Karen Louie-Joyce oraz najwyższej jakości redaktorkę i poszukiwaczkę informacji w osobie Clair Lamb.

Bez Claire Baldwin, mojej asystentki, niczego bym nie zrobił. Jesteś najlepsza.

Dwa słowa do mojej genialnej redaktorki Keith Kahli: wiem, że doprowadzałem cię do szaleństwa, pisząc tę książkę... ale ty nie pozostawałaś mi dłużna.

Henry Finder, szef redakcji „The New Yorker”, służył mi nieocenioną pomocą na każdym etapie pracy, a poza tym jest moim młodszym bratem.

Odkąd skończyła dwa lata i wylała kubek wody na klawiaturę mojego laptopa, moja córka Emma jest pilnym krytykiem moich tekstów. Zwróciła uwagę na kilka istotnych scen w niniejszej powieści i uratowała mnie przed upokarzającymi gafami. Powiedziałbym, że jesteś czadowa, Em, ale wtedy stwierdziłabyś, że jestem żalonym piernikiem, który udaje luźnego gościa.

Moja żona Michele Souda ma najtrudniejsze zadanie: wyszła za pisarza. Dziękuję, że przez cały ten czas trwasz przy moim boku. Wiem, że niełatwo ze mną tańczyć.

Joseph Finder
Boston, Massachusetts

¹ (ang.) – pogrzebana żywcem

² 1 J, 5:19, Biblia Tysiąclecia, wyd. Pallottinum, Poznań 2003.